

RENATA KOSIN

Powieść o tajemnicach przeszłości
i cenie, jaką trzeba zapłacić za ich poznanie...



*Jedwabne
rękawiczki*

FILIA

RENATA KOSIN

*Jedwabne
rękawiczki*

FILIA

PROLOG

Chmurne zasępione niebo lizał rdzawy płomień, który trawił nie tylko ludzkie ciała, ale też dusze. Pożerał wszystko zachłannie i nie zostawiał resztek. Zabierał nieśmiertelność, odzierał z godności i nie dawał wyboru ani niczego w zamian. Bezwzględny, okrutny i nieprzekupny spalał w pierwszej kolejności tych, którzy najgłośniej błagali o litość, w ostatniej zaś obdarowanych złudną i podsycaną do końca nadzieją na ocalenie. Dla nikogo nie czynił wyjątku, nikomu nie darowywał win, nawet tych, które nigdy nie istniały. Gardził wszystkim i nie gardził niczym, pochłaniał każdy opierający mu się byt i niebyt. Podsyczał swoją moc, bo tylko tak mógł wreszcie stać się wieczny.

– Ogień... wszędzie ogień... – szeptała na okrągło. Jej pomarszczone spierzchnięte usta poruszały się bez przerwy, lecz nie za każdym razem wydobywał się z nich dźwięk. Wyblakłe i zmatowiałe, tak jak twarz, włosy, poduszka. Wątła sylwetka kobiety rozmywała się w gęstniejącym mroku i kurczyła, jakby miała niebawem zniknąć. – Uciekaj, zanim cię dosięgnie. Teraz! Już! – mówiła coraz głośniej, wkładając w to zbyt dużo sił.

Dotknęła pulsującej skroni dziewczyny, która klęczała przy jej łóżku, i, obróciwszy z trudem głowę, zajrzała w jej oczy. Były lustrem. Zobaczyła w nich siebie i przeraziła się. Powinna była dostrzec to wcześniej, może wtedy udałoby się wszystkiemu zapobiec, jej myśli gorączkowo szukały odpowiedzi. Teraz mogła już tylko błagać i mieć nadzieję.

– Uciekaj! – Szarpnęła się i odepchnęła niezdarnie obejmujące ją drobne i rozdygotane ramiona.

– Nie chcę. – Dziewczyna przywarła do niej jeszcze mocniej, tłumiąc szloch.
– Nie mogę.

– Nadal nie jest za późno. Zrób to, proszę, zanim przyjdą.

– Już tu są. Czuję to.

– Na razie jest tu tylko ON. Ale był przecież od początku, nigdy nie zrezygnował.

Rozejrzała się niespokojnie, a zaraz potem zacisnęła powieki i usta.

Jej ciałem wstrząsnął krótki dreszcz. Skuliła się, jakby chroniąc przed wyimaginowanym ciosem, i ugięła pod niewidocznym ciężarem, ale tylko na chwilę. Uspokoila się, gdy dziewczyna pochwyciła delikatnie jej dłonie i wtuliła w nie twarz.

– Pokaż mi go – wyszeptala, ogrzewając je swoim oddechem. – Wytłumacz, dlaczego muszę się bać.

Ręce staruszki powędrowały do jej uszu, zawinęły za nie pasma włosów rozsypanych na policzkach, a potem zsunęły się na szyję, ramiona, i objęły dziewczynę niespodziewanie mocno.

– I tak nie zdołasz go powstrzymać. Odbierze ci duszę i uczyni z nią to, co zrobił z moją. A wtedy będzie już za późno na ratunek. Dlatego powinnaś uciekać, teraz, natychmiast!

– Nie mogę – powtórzyła. – Muszę najpierw zrozumieć, gdzie był początek, a wtedy łatwiej odnajdę koniec.

Delikatnie wyzwoliła się z kruchych objęć i wyprostowała, jakby zamierzała wstać i odejść. Na twarzy starszej kobiety odmalowała się ulga, którą szybko zastąpił żal, gdy zrozumiała, że intencje dziewczyny są inne. Znowu zwarła blade usta. W pierwszej chwili po to, by nie uwolnić z nich już ani jednego słowa, później, by zyskać czas na odnalezienie w sobie tych właściwych.

– Na początku była miłość, którą potem zabiłam – powiedziała wreszcie, a jej umęczoną twarz ściągnęła kolejna fala bólu. – Poświęciłam ją dla ułudy, pycha odebrała mi rozum, przez co straciłam, co miałam najcenniejsze. Moja wina, tylko moja, choć zapłacą za to inni. Ci, dla których ocaliłam za mało. Pomyliłam ścieżki i nieroztropnie pociągnęłam za sobą również ciebie... A potem zabrakło mi sił i odwagi, żeby wrócić i wskazać ci te właściwe. Dlatego musisz zrobić to sama. Tylko tak ocalisz siebie i innych.

– Nie boję się i zrobię to, o co mnie prosisz. – Dziewczyna przycisnęła dłonie do piersi w geście obietnicy.

– Będzie cię powstrzymywał, nie zrezygnuje...

– Znam już jego imię, usłyszałam, jak wykrzykujesz je przez sen, ale żeby mu się przeciwstawić, muszę wiedzieć więcej!

– Wtedy będzie ci jeszcze trudniej. I nie odnajdziesz już drogi powrotnej.

– Wcale tego nie chcę. Nie jest mi do niczego potrzebna. Nie wraca się z raz obranych ścieżek.

– Tylko wówczas, gdy pali się za sobą mosty. Dlatego lepiej dobrze przemyśleć każdy, nawet najmniejszy krok. I bez przerwy oglądać się za siebie, ale

tak, by nie tracić z oczu celu.

Staruszka urwała, ponieważ zobaczyła w oczach dziewczyny żar podsycany każdym nowym słowem. Jej rozszerzone źrenice znów stały się lustrem, ale tym razem odbijały również jej własne pragnienia. Niebezpieczne i mogące prowadzić do zguby.

– Nigdy nie przestałam widzieć mojego celu – zapewniła, tylko to potwierdzając. – Wiem, czego chcę, od zawsze pragnę tylko jednego. Chciałabym...

– Nie! – Podniosła ręce do jej ust. – Nie rób tego, bo wypowiedziane głośno życzenie może się spełnić, gdy akurat spada jakaś gwiazda, a wśród nich ta jedna... szafirowa, zło w najczystszej postaci.

Dziewczyna znów schowała jej dłonie w swoich i pochyliła się nisko.

– Czy twoje życzenie spełniła szafirowa gwiazda? – spytała łagodnie.

Staruszka skinęła głową. Po bladej, zmęczonej twarzy popłynęły łzy. Żalu, bezsilności i gorzkiego niepokoj. Dziewczyna otarła je własnym policzkiem, wtuliła głowę w miękkie mleczno-białe włosy rozsypane na poduszce.

– Powiedz. Proszę, powiedz mi wszystko, dopóki jest na to czas. – W jej głosie pojawiła się natarczywość. – Muszę wiedzieć!

Nie odeszła, dopóki nie usłyszała prawdy, o którą długo jeszcze błagała.

Słowa, które wreszcie wtargnęły do uszu dziewczyny, zakłuły dotkliwiej, niż się spodziewała. Mimo to pozwoliła, by zakradły się głębiej – w jej umysł, serce i duszę, sturlały się do świadomości jak rozżarzone węgle, parząc i raniąc to, co napotkały po drodze. Czowała, że ból nie ustąpi, dopóki wszystko nie zostanie naprawione. Łudziła się, że potem zły płomień, który zaczynał się w niej tlić, w końcu zgaśnie. Tak jednak się nie stało, choć przestała go podsycać, gdy tylko zrozumiała swój błąd. Powstał z niego ogień, nad którym prawie straciła kontrolę i niemal pozwoliła, by strawił ją od środka do samego końca. W ostatniej chwili ujrzała nową drogę, a na jej krańcu jedyne możliwe rozwiązanie.

Wiedziała, kto będzie tam na nią czekał, dlatego już się nie bała.

Nie pomyliła się, choć z daleka dostrzegła na pięknej, smutnej twarzy żal i niemą prośbę, by zawrócić. Było na to jednak za późno. Bo jakże zawrócić z raz obranej drogi, gdy spaliło się za sobą mosty i gdy ten niebezpieczny ogień niosło się w sobie?

Można było jedynie nie pozwolić mu się rozproszyć, ocalić to, co zostało.

Na tym właśnie polegała jej rola: nie dopuścić, by płomień szafirowej gwiazdy pochłonął jeszcze więcej.

Samolot łagodnie wylądował na płycie warszawskiego lotniska.

Laura odetchnęła z ulgą i zwolniła napięte mięśnie. Rozmasowała bolący kark, a przy okazji ujarzmiła rozpuszczone na czas podróży włosy, upinając je ciasno wsuwką wyjętą z kieszeni. Przyglądała kołnierzyk bluzki, strzepnęła z kolan niewidoczne okruchy i starannie podwinęła długie rękawy aż do łokci. Wpadające przez okno jaskrawe promienie słońca zapowiadały temperaturę wyższą niż ta w klimatyzowanym wnętrzu samolotu.

Prawie gotowa do wyjścia sięgnęła do podręcznego schowka po niedoczytaną książkę. Odłożyła ją tam kilka godzin wcześniej, właściwie tylko na moment, żeby rozprostować – na ile to było możliwe w tak niewielkiej przestrzeni – zdrętwiałe ramiona, ale już do niej nie wróciła. Wcale nie dlatego, że nie było warto, bo nie potrafiłaby o niej nawet opowiedzieć. Bardzo długo wodziła wzrokiem po kolejnych liniijkach tekstu i automatycznie przewracała kartki, zanim zorientowała się, że jej mózg nie rejestruje treści, zaprzątnięty czymś zupełnie innym. Wewnętrzne napięcie i podenerwowanie, którego nie potrafiła się pozbyć, uniemożliwiały skupienie się na fabule. Najnowsza powieść ulubionej przecież autorki, wsunięta w ostatniej chwili do bagażu, wbrew oczekiwaniom nie

urozmaiciła długiego lotu, nie pozwoliła też oderwać się ani na chwilę od realnego świata. Nie tylko obecnego, ale również tego, który Laura zostawiła za sobą, gdy wsiadła na pokład samolotu American Airlines, jak i tego, z którym miała się zetknąć już niebawem.

Dotąd nie bała się latania. W zasadzie nawet je lubiła, jednak nie wtedy, gdy lot trwał dziesięć godzin, nie licząc tych spędzonych na lotnisku. I przede wszystkim nie wtedy, gdy jej głowę wypełniało tyle niespokojnych myśli rozpierzchających się w tak wielu kierunkach, czasem zgodnie z jej wolą, częściej jednak wbrew. Te niechciane zostawały i ciążyły nieprzyjemnie, natomiast pozostałe, które usiłowała zatrzymać, uciekały, gdy tylko pozwoliła sobie na chwilę nieuwagi. Zmęczenie, senność i przede wszystkim perspektywa dalszej podróży tylko pogłębiały ten stan. Pogarszał się jej nastrój. Zdołała stłumić w sobie to poczucie jedynie na moment, by uśmiechnąć się ze szczerą wdzięcznością do współpasażera, który podał jej ze schowka podręczny bagaż. Podziękowała mu kolejny raz, gdy puścił ją przodem, i z nie do końca uzasadnionym – jak przyznała sama przed sobą – ociąganiem ruszyła do wyjścia. Ulga, którą poczuła, gdy tylko koła samolotu dotknęły ziemi, z minuty na minutę zmieniała się w niepewność co do słuszności decyzji o powrocie do Polski.

Do niedawna wierzyła, że to najlepsze rozwiązanie – teraz zaczęła wątpić. Podekscytowanie opadło, odsłoniły się niedostrzegane wcześniej konsekwencje i ciemne strony spontanicznie podjętej decyzji. Zalety podstępnie przeobraziły się w wady, a wizja trzytygodniowego urlopu (po raz pierwszy z dala od rodziny) nie wydawała się już tak pociągająca. Przeszkodą nie była wyłącznie tęsknota za mężem i dziećmi, choć ta już teraz dawała o sobie znać, ale narastające wątpliwości z powodu obietnicy złożonej tylko po to, by zyskać pretekst do wyjazdu.

Wywiązanie się z niej początkowo wydawało się proste. Laura miała zamiar szybko się uporać z tym zadaniem, by potem od razu zająć się wyłącznie własnymi sprawami. Jednak to, co przypadkiem wyszło na jaw tuż przed jej wylotem z USA, prognozowało dużo mniej optymistyczny scenariusz. Niestety, na zmianę planów było za późno. Teraz mogła jedynie łudzić się, że wszystko pójdzie dobrze i nie pojawią się dodatkowe komplikacje. Przede wszystkim takie, że prawdziwy powód jej ucieczki przyleci tutaj za nią, jeśli nie uda się załatwić wszystkiego jak należy.

Na tę myśl zapiekły ją policzki. Dotknęła ich mimowolnie. Były chłodne, ale wyraźnie czuła palący rumieniec wstydu wywołany tym, co zaległo się w jej głowie. Wcześniej nie myślała o tym w ten sposób, jednak w głębi duszy czuła, że taka właśnie jest prawda. Wyjechała, bo miała dość własnej matki. W dodatku pragnienie ucieczki, choć początkowo nieświadomione, przylgnęło do niej już wtedy, gdy po długiej rozłące witały się na lotnisku w Chicago.

– Źle wyglądasz, córeczko. – Usłyszała, gdy przytuliła swój policzek do matczynego, zaraz po tym, jak poczuła znajomy zapach szamponu z olejkiem

arganowym i miękkość włosów łaskoczących jej skroń. – Jesteś dziwnie przygaszona. Wręcz jakaś taka... szara.

„To pewnie ze zmęczenia”.

Zdziwiona zorientowała się, że ta prosta przecież odpowiedź, zamiast trafić do jej ust, a potem uszu matki, pozostała w głowie.

Matka tymczasem zmarszczyła czoło, odsunęła ją od siebie na długość ramion i, wciąż nie wypuszczając z uścisku, oglądała od stóp do głów.

– Moim zdaniem to wszystko przez ten sweterek. – Cmoknęła z dezaprobatą. – Jesteś taka śliczna, a czasem robisz wszystko, by to zepsuć! Tyle razy ci mówiłam, kochanie, że niedobrze ci w żółtym. Chłodny lila albo róż! To są twoje kolory, córeńko. Idealne w zestawieniu z bladą cerą. Zamaskowałyby ten niezdrowy odcień.

„Ale ja nie znoszę chłodnego lila ani różu, zwłaszcza na sobie”.

Znów odpowiedziała jedynie w myślach, tym razem świadomie. Nie chciała, by jej źle dobrany strój stał się zarzewiem konfliktu. Kolejnego z wielu, dodała bezwiednie i od razu zganiła się za brak rozsądku i bezmyślność. Przecież dobrze wiedziała, jak bardzo jej matka nie znosi żółtego koloru.

„Dlaczego wybrałam akurat TEN cholerny sweter spośród tylu innych?”

Po jej głowie nieustannie tłukło się to samo bezsensowne pytanie. Przecież nawet niespecjalnie go lubię, zastanawiała się gorączkowo, usiłując jednocześnie poskromić rosnące podenerwowanie. Nie zrobiła tego rozmyślnie. Nie planowała zepsuć spotkania, na które tak bardzo czekała i po którym tyle sobie obiecywała.

Nie widywała rodziców często, nawet wtedy, gdy mieszkali w Polsce, a ostatnio rozstała się z nimi w nie najlepszej atmosferze. Posprzeczały się z matką, dziś już pewnie żadna z nich nie pamiętała, o co. W Laurze pozostało jednak nieprzyjemne poczucie zawodu. I jeszcze gorsza świadomość, że powinna do tego dawno przywyknąć, ponieważ działo się tak niemal za każdym razem, gdy się spotykały. Wydarzało się coś, za co nie sposób było winić żadnej z nich, i jednocześnie paradoksalnie można było przypisać niemal równą winę obu, gdyby tylko ktoś odgadł, czym naprawdę była.

Laura obiecała sobie, że tym razem rozważniej dobierze słowa i gesty, że będzie inaczej. Niestety, ku jej rozpaczy, to nic nie dało, ponieważ nie pomyślała o czymś tak banalnym, jak strój.

Wszystko poszło nie tak. W dodatku nie tylko z powodu nieszczęsnego żółtego sweterka, bo ten stał się jedynie preludium tego, co nastąpiło później. Znów wszystko potoczyło się tak jak zwykle i zakończyło jak zawsze. Nie potrafiły się z matką porozumieć niemal w żadnej kwestii. Być może dlatego, że z reguły to matka mówiła, a Laura za każdym razem udzielała jej szczerych odpowiedzi... wyłącznie w duchu. Na zewnątrz jedynie przytakiwała, wtrącała coś neutralnego lub po prostu zmieniała temat rozmowy. Tłumiła wszelkie niebezpieczne emocje

z nieustającą obawą, że kiedyś zabraknie w niej dla nich miejsca, a wtedy wyrzuci z siebie wszystkie zalegające w duszy słowa. Również te, które powinna zatrzymać dla siebie.

Dlatego ucieczka wydawała się jedynym sposobem na to, by temu zapobiec. Uniknąć kłótni z matką i rozstać się z nią w lepszej niż ostatnio atmosferze. Laura bardzo chciała wierzyć, że tym razem im się udało, choć podskórnie czuła, że to nieprawda. Gdy całowała matkę na pożegnanie, znów doświadczała woni olejku arganowego i miękkości jej włosów, tak bardzo kontrastującej ze sztywnością ramion, które, choć ją obejmowały, nie tuliły tak, jak oczekiwałaby tego spragniona matczynej bliskości córka.

Pogrążona w chmurnych rozważaniach pozwalała tłumowi pasażerów nieść się w stronę wyjścia. Zdrętwiałe od długiego siedzenia stopy nie reagowały bólem, gdy ktoś je niechcący deptał, podobnie jak plecy trącane od czasu do czasu czyimiś łokciami. Nie przeszkadzała jej nadmierna bliskość spoconych ciał. Zwłaszcza że sama z pewnością pachniała podobnie. Była zbyt znużona i otumaniona, by zwracać na to uwagę. Z półprzymkniętymi powiekami sunęła do przodu jak automat, skupiając się już tylko na tym, by nie zasnąć, i powtarzając jedynie co pewien czas mechaniczne „przepraszam”, gdy sama komuś nieostrożnie nastąpiła na stopę. Gdy wreszcie przywołał ją do rzeczywistości podmuch ciężkiego, nagrzanego powietrza, wyjęła z kieszeni telefon. Napisała pośpiesznie wiadomość: „Wylądowałam. Zadzwońię po wszystkim”, dodała kilka stosownych emotikonów, nacisnęła „wyślij” i, nie czekając na odpowiedź, wyłączyła aparat.

W kolejce do kontroli paszportowej odruchowo pomacała wybrzuszoną zewnętrzną kieszeń torby i westchnęła ponuro. W natłoku myśli niemalże zapomniała o tym, co od początku ciążyło jej nie tyle w bagażu, co na psychice. Tuż przed odlotem z Chicago matka nieoczekiwanie wcisnęła jej plik grubych kopert. Raczej celowo w ostatniej chwili, jakby przeczuwała, że mogłyby wiele zmienić. Nie myliła się. Gdyby Laura poznała ich zawartość wcześniej, na pewno poważnie przemyślałaby swoją decyzję o wyjeździe. I najprawdopodobniej wymigała się od powziętych zobowiązań, gdyby wiedziała, na czym w rzeczywistości miały polegać. Nie chodziło jedynie o zwyczajne dopełnienie formalności związanych ze sprzedażą domu rodziców – skontaktowanie się z nabywcą i wyjaśnienie niewielkich nieprawidłowości, a potem uregulowanie ich poprzez sporządzenie aneksu do podpisanej już umowy. Te zwyczajne na pierwszy rzut oka sprawy skomplikowały te właśnie koperty... a raczej ich zawartość.

Przecucia podpowiadały Laurze coraz natarczywiej, że robi błąd, mimo to nie wycofała się z obietnicy danej rodzicom. Głównie dla własnego spokoju. By nie wywołać kolejnego cichego konfliktu, przede wszystkim z matką, gdyż ojciec z pewnością ograniczyłby się tylko do lakonicznego poinformowania córki, jak bardzo jest mu z jej powodu przykro. A to zaboląoby ją nawet mocniej niż zwykła

kłótnia, o czym miała okazję przekonać się niejednokrotnie.

Z matką zresztą też prawie nigdy nie awanturowała się otwarcie. Z reguły nie czyniły sobie złościwości ani wyrzutów wprost. Coś jednak powodowało, że zawsze, gdy się spotykały, wytwarzał się między nimi specyficzny dystans, a atmosfera gęstniała od negatywnych emocji. W dodatku na ogół do końca pozostawała nierozładowana – chociażby przez pospolitą pyskówkę albo zwyczajne wyjaśnienie nieдомówień – co powodowało efekt śniegowej kuli. Bo słowa, które w końcu padały (najczęściej z ust Laury), niczego nie zmieniały: ani nie pogarszały, ani nie polepszały sytuacji. I nie wiadomo było, dlaczego tak się działo. Przecież bardzo się starała, dostrzegała też wysiłki matki... Czasem myślała, że wiele zmieniłby powrót do momentu, w którym wszystko się zaczęło. Niestety, to było niemożliwe. Nie tylko dlatego, że sobie nie wyobrażała takiego scenariusza. Przede wszystkim bardzo tego nie chciała. Drętwiała na samą myśl o tym, z czym musiałaby się wówczas zmierzyć. Z tego właśnie powodu matka nie powinna wysłać jej tam, gdzie z pewnością odżyją najbardziej bolesne dla nich obu wspomnienia.

Postanowiła mimo wszystko być silna. Spotka się z nowym właścicielem domu, który kupił go w prezencie ślubnym dla swojej córki, i szybko załatwi formalności. Zapyta też o powód, dla którego przez ostatnie miesiące wysyłał na adres rodziców w Naperville listy pękające w szwach od pożółkłych wycinków z gazet, spłowiałych stron wydartych z nieznanymi książek, strzępków ledwie czytelnych notatek, biletów kolejowych sprzed kilkadziesiąt lat i mnóstwa innej, bliżej nieokreślonej papierowej starzyzny znalezionej pewnie podczas remontu budynku.

Najobfitsza i zarazem najdziwniejsza była zawartość ostatniej przesyłki. Pomędzy bezwartościowymi szpargałami tkwiła cienka jedwabna rękawiczka. Tylko jedna – bez pary. Z wyhaftowanym symbolem przypominającym literę A, ledwie widocznym spod odstręczającej warstwy brudu i plamek pleśni. Znaleźisko było według nadawcy listów wyjątkowe. Nie wyjaśniał dlaczego, za to sugerował, że ma w zanadrzu kolejne sensacje, a to budziło w Laurze jeszcze większy niepokój, a nawet irytację. Ilość zgromadzonych papierzysk sugerowała, że mężczyzna pasjonował się historią. Dlatego można było się domyślać, że swoje „cenne” odkrycia weryfikował według jednego tylko, w dodatku subiektywnego kryterium: „stare”. Przemawiały za tym emfaticzne opisy znalezionych eksponatów. W rzeczywistości kompletnie bezużytecznych – nikomu niepotrzebnych.

Jeśli miały jakakolwiek wartość, to tylko sentymentalną. O ile oczywiście ktoś przejawiał takie skłonności. Rodzice Laury, podobnie jak ona sama, niestety nie należeli do tej kategorii ludzi. Dom, dotąd w posiadaniu kilku pokoleń rodziny Kossackich, nie wyzwał w jej żyjących potomkach żadnych głębszych emocji.

Z tego powodu niespecjalnie interesowały ich dalsze losy nieruchomości, która w dodatku formalnie już do nich nie należała. Jeśli jednak nowy właściciel rzeczywiście był pasjonatem historii – a wskazywał na to nie tyle jego zawód (Laura wiedziała, że jest emerytowanym nauczycielem), co dotychczasowe zachowanie – przekonanie go, że inni nie podzielają jego pasji, mogło się okazać niełatwym zadaniem. Pozostawała nadzieja, że mimo wszystko uda się wyprostować realne, niewyimaginowane problemy i zakończyć sprawy związane ze sprzedażą domu. Najlepiej możliwie szybko.

Właśnie dlatego liczyła, że jeszcze tego samego dnia przed wieczorem dotrze na miejsce i spotka się z nowym właścicielem domu, panem Henrykiem Lichotą. Oczywiście pod warunkiem, że Warszawa okaże się niezakorkowana, a ruch na ósemce w stronę Podlasia nieduży. W środku tygodnia można było mieć na to nadzieję. Przy odrobinie szczęścia już za parę godzin będzie miała spotkanie wreszcie za sobą. Potem od razu uda się do Bujan i resztę urlopu spędzi w przytulnym pokoiku na poddaszu domu ciotki Helenki.

Podbudowana tą perspektywą uśmiechnęła się szeroko do pracownika lotniska, podając mu swój paszport.

Nieco później, jeszcze bardziej podniesiona na duchu, podziękowała w myślach swojemu przewidującemu mężowi, za którego radą zabrała ze sobą tylko podręczną torbę. Co prawda trudno jej było się rozstać z kilkoma parami nowych butów, zestawem ubrań i amerykańskimi kosmetykami, które zostały w bagażu męża i córek przylatujących do Polski dopiero za kilka tygodni, ale dzięki temu teraz nie musiała wiele dźwigać. Okazało się to zbawienne, bo mimo poprawy stanu ducha fizycznie wciąż czuła się odrętwiała.

W dodatku znów ogarnęła ją senność. Wsiadła do taksówki z nadzieją, że kierowca nie okaże się zbyt rozmowny. Jet lag coraz mocniej dawał się jej we znaki. Przechwyciła we wstecznym lusterku spojrzenie mężczyzny, uśmiechnęła się przepraszająco. Zanim przymknęła oczy, wydało się jej, że skinął głową ze zrozumieniem. Pewnie był przyzwyczajony, że pasażerowie odbierani z lotniska czasem zasypiali w jego taksówce, bo ściszył nawet radio. Tak jak się spodziewała, łagodna muzyka (ucieszyło ją, że kierowca słucha Vivaldiego) i płynna jazda podziały kojąco. Błyskawicznie zapadła w półsenny błogostan i poczuła się wręcz zawiedziona brakiem korków na ulicy Żwirki i Wigury oraz tym, że – wbrew jej przewidywaniom – na Rudawską dotarli zaledwie w niecałe dwadzieścia minut.

– Reszty nie trzeba – oświadczyła mechanicznie, podając banknot, by natychmiast pożałować tego gestu. Nie kilku złotych napiwku, ale przedłużenia drzemki na wygodnej kanapie auta w tej krótkiej chwili, podczas której kierowca szukałby drobnych.

Niechętnie wysiadła z wozu i w lekkim otumanieniu powlokła się na ostatnie

piętro swojej kamienicy. Głośne burczenie w brzuchu przypomniało jej o pustej, w dodatku wyłączonej na czas nieobecności lodówce. Nie miała pojęcia, czy w kuchennych szafkach znajdzie cokolwiek zdatnego do jedzenia, jakąś kaszę, ryż lub makaron, który mogłaby sobie ugotować i zjeść z oliwą i przyprawami, albo w ostateczności z powidłami ze słoika. Na wiele więcej nie mogła liczyć. Przewidując wielotygodniową nieobecność, pozbyła się wszystkiego, co mogłoby się zepsuć. Na myśl o posiłku, nawet tak niewyrafinowanym, poczuła kolejny bolesny skurcz żołądka. Zawahała się, rozważając, czy nie zawrócić i nie zrobić zakupów w pobliskim sklepiku, ale szybko odrzuciła ten pomysł. Zmęczenie zwyciężyło głód. Postanowiła, że w najgorszym razie zadowoli się herbatą z cukrem albo poszuka zachomikowanych łakoci w pokojach swoich córek. A potem weźmie orzeźwiający prysznic, odpocznie chwilę, przepakuje bagaż i wsiądzie już do własnego samochodu, by ruszyć w dalszą podróż. Może dzięki nasilającemu się ssaniu w żołądku zbierze się do drogi szybciej, żeby na pierwszej stacji benzynowej kupić sobie hot-doga? I jakiś napój energetyczny, zanotowała w myślach, grzebiąc niemrawo kluczem w zamku i ziewając przeciągle.

W środku spodziewała się nieprzyjemnego zaduchu, tymczasem mieszkanie było świeżo przewietrzone.

– Pani Lusia! – Uśmiechnęła się do siebie.

Domyśliła się, że to zasługa sąsiadki z dołu, która miała zapasowe klucze do mieszkania. Zaprzyjaźniona z rodziną starsza pani zobowiązała się podlewać kwiatki i od czasu do czasu sprawdzać, czy wszystko jest w porządku. Laura uprzedziła ją o swoim wcześniejszym powrocie, stąd pewnie ten miły gest. W dodatku nie jedyny, jak okazało się już po chwili.

Na stole w kuchni Laura znalazła talerzyk z kawałkiem jabłecznika, a na płycie indukcyjnej mały rondel z nadal gorącą zawartością – po uchyleniu pokrywki ze środka buchnęła aromatyczna para. Kolejny gwałtowny skurcz żołądka i przyjemnie pobudzone zmysły nieoczekiwanie przywróciły Laurze wigor. Z lekkim poczuciem winy i świadomością, że należałoby najpierw zejść na dół i podziękować za poczęstunek, wyciągnęła z szuflady widelec i ochoczo wbiła go w jeden z podlanych obficie pomidorowym sosem gołąbków. Nie mogła się powstrzymać. Pani Lusia była prawdziwą mistrzynią w ich przyrządzaniu, a kiepska ostatnio dieta Laury spowodowała, że kusily jeszcze bardziej. Ani ona, ani matka nie miały wybitnych zdolności kulinarnych, ale tylko jedna z nich brała to pod uwagę, gdy zabierała się do przyrządzania bardziej skomplikowanych potraw. Irena Kossacka-Szubaj w przeciwieństwie do swojej córki kompletnie nie zdawała sobie sprawy, że nie jest mistrzynią w tej dziedzinie. Dlatego efekt jej coraz śmielszych eksperymentów kuchennych, zwłaszcza tych inspirowanych smakami Ameryki, przyprawiał często rodzinę nie tylko o ból głowy, ale i rozstrój żołądka. Po takich doświadczeniach wszystko smakowałoby lepiej, nawet gdyby

nie było tak wyśmienite, jak gołąbki pani Lusi.

Laura przełknęła pierwszy kęs z pewnym trudem nie tylko dlatego, że farsz okazał się bardzo gorący, ale z powodu ściśniętego nagłym wzruszeniem gardła. Przypomniała sobie ciotkę Helenkę, której potrawy były równie doskonałe. A to sprawiło, że perspektywa podróży na Podlasie stawała się coraz miłsza.

Wyjadła z apetytem wprost z rondelka wszystkie gołąbki i łapczywie pochłonęła szarlotkę. Dopiero gdy strząsała z siebie okruszki, przypomniała sobie, że deser miał być dodatkiem do espresso. Zerknęła z żalem na pusty talerzyk i machnęła ręką. Po namyśle darowała sobie na razie kawę. Postanowiła natomiast podziękować swojej dobrodziejce.

Schyliła się z wysiłkiem i rozsunęła zamek torby porzuconej w korytarzu. Wydobyła z niej mały flakonik perfum, kupiony specjalnie dla sąsiadki. Teraz pożałowała, że nie wybrała większego, gest pani Lusi był wart całego galonu najwspanialszych wonności. Był wręcz bezcenny. Laura owinęła prezent w elegancki papier, przewiązała wstążką i prawie zapomniawszy o dręczących ją efektach zmiany strefy czasowej – wypartych zresztą przez ból żołądka spowodowany pospiesznie zjedzonym posiłkiem, zeszła piętro niżej.

Ku ogromnemu rozczarowaniu nie zastała sąsiadki. Właściwie powinna się tego spodziewać. Pani Lusia mimo podeszłego wieku nie zwykła beczynnie i samotnie spędzać czasu w czterech ścianach niewielkiego mieszkania. Należała do osiedlowego Klubu Seniora, uczestniczyła w zajęciach Uniwersytetu Trzeciego Wieku i codziennie, bez względu na pogodę, z kijami do nordic walkingu w towarzystwie sobie podobnych aktywnych emerytek przemierzała pobliski Zieleniec Wielkopolski albo Pole Mokotowskie. Jeśli dziś wybrała drugą opcję, nieprędko można było się jej spodziewać, ponieważ taka wycieczka często kończyła się lunchem w jednym z tamtejszych kultowych pubów – Bolku lub Lolku, zależnie od tego, w której części parkowego kompleksu energiczne seniorki kończyły swój marsz.

Laura z żalem wróciła na górę i od razu napisała liścik z podziękowaniem, żeby wsunąć go w drzwi mieszkania sąsiadki, o ile ta nie wróci na czas. Złożyła karteczkę na pół i z rozrzewnieniem uśmiechnęła się pod nosem. Pani Lusia nie uznawała telefonów komórkowych, tolerowała jedynie stacjonarny. Twierdziła niezmiennie, że woli papierowe esemesy zostawiane w drzwiach oraz rozmowy z ludźmi na żywo, zamiast za pośrednictwem – jak zwykła mawiać – „tych piekielnych urządzeń, o których właściwie nie wiadomo, co tak naprawdę wyprawiają z ludzkim mózgiem albo innymi narządami, w pobliżu których się je nosi”.

Laura zaśmiała się na tę myśl. Szybki prysznic jeszcze bardziej poprawił jej nastrój, ale, zamiast orzeźwić, spowodował nawrót senności. Rozsądek podpowiadał krótką drzemkę, dlatego w szlafroku i z ręcznikiem na głowie

położyła się na sofie w salonie i zarzuciła stopy na oparcie. Nie miała czasu na sen, ale łudziła się, że ta krótka chwila relaksu przywróci ją do życia na tyle, by mogła bezpiecznie wsiąść za kółko. Przez zbyt obfity posiłek nadal czuła się ociężała. Swoje zrobił też brak kawy. Już sama myśl o mocnym aromatycznym espresso poprawiała jej samopoczucie. Uznała, że lepiej będzie, jeśli nie uśnie, a jedynie przez moment odpocznie. A potem jednak uruchomi domowy ekspres, zamiast korzystać z oferty stacji benzynowej.

Lekko rozluźniona założyła ręce za głowę i leniwie powiodła wzrokiem po jasnym wnętrzu salonu, urządzonego w modnym w ostatnich latach stylu skandynawskim, ale ze swojską nutą w postaci ludowych wzorów na poduchach i dywanikach. Wysokie okna wpuszczały do środka mnóstwo światła i słońca, które igrało optymistycznie wśród szklanych paciorków żyrandola. Laura uwielbiała swoje mieszkanie w przedwojennej warszawskiej kamienicy, co dziwiło ją niezmiennie, gdy tylko o tym pomyślała. Powinna przecież go nie cierpieć, tak jak nie znosiła większości starych domów, łącznie z tym, w którym się urodziła i dorastała. Przytłaczały ją i najczęściej powodowały irracjonalne przygnębienie. Podobnie było z przedmiotami, które nosiły jakiegokolwiek znaki czasu. Dlatego nie zgodziła się na zakup pasujących do kamienicznego wnętrza starych mebli czy innych pamiątek przeszłości. Nie tylko cudzej, ale i własnej – nie pozwoliła ustawić na półkach nawet tych zabranych z rodzinnego domu. Zostawiła tylko kilka ulubionych książek. Całą resztę, bibeloty, mniej i bardziej użyteczne naczynia, haftowane obrusy i serwetki zabezpieczyła porządnie w tekturowych pudłach i wyniosła do piwnicy.

Nie akceptowała staroci właściwie w żadnej formie i dlatego początkowo nie chciała nawet obejrzeć wystawionego na sprzedaż mieszkania przy ulicy Rudawskiej – nieopodal dziewiętnastowiecznych Warszawskich Filtrów, na Starej Ochocie. Nie potrafiła tego wyjaśnić zdziwionemu mężowi, który, wychowany w ursynowskim bloku z wielkiej płyty marzył o zamieszkaniu w kamienicy wybudowanej przed wojną. W końcu dała się namówić, aby obejrzeć upatrzone przez niego mieszkanie, tylko to jedno. Wyłącznie po to, żeby sprawić mu przyjemność, gdy już niemal wpłacili zaliczkę za inne.

Nie wierzyła, by cokolwiek mogło odwieść ją od zakupu pachnącego nowością apartamentu na wspaniałym, nowoczesnym osiedlu. Nie przypuszczała, że niemal bez wahania zgodzi się wymienić je na skrzypiące drewniane podłogi, wysokie sufity, wielkie kafłowe piece przerobione na elektryczne, rozstrojony stuletni fortepian wpisany w wystrój mieszkania już na stałe za sprawą zbyt wąskich obecnie drzwi wyjściowych, łazienkowe kafelki pokryte gęstą siecią drobnutkich spękań powstałych w czasach wojennej pożogi i ogromną żeliwną wannę na stylowych lwich łapach. Ku własnemu zdumieniu zakochała się w każdym fragmencie tego miejsca od pierwszego wejrzenia. Było stare, ale

zamiast przygnębiać, każdego dnia wprawiało ją w dobry nastrój. Stało się dla niej domem. Prawdziwym. Tym pierwszym, chociaż nie rodzinnym.

Niewiele było trzeba, by odzwyczaić się od widoku dobrze znanych kątów, i jeszcze mniej, by do nich zatęsknić. Dlatego pożałowała, że nie zdąży należycie nasycić się domowymi pieleszami. Zwłaszcza teraz, gdy panowała w nich tak rzadko tu spotykana cisza. Kochała wesoły rozgardiasz, jaki robiły wokół siebie jej córki, ale tak samo mocno uwielbiała spokojne momenty, czasem obok drzemiącego na kanapie męża. Wyłączała wówczas wszystko, co mogłoby ten spokój zakłócić, i wsłuchiwała się w pozostałe znajome codzienne dźwięki – tykanie zegara, szmer lodówki, skrzypienie obelkowań i ciężkie postękiwanie zmęczonego budynku albo stłumione odgłosy ulicy przebijające się przez wiekowe, grube mury. Oddawała się przyjemnym myślom, napawała widokiem kojącego wnętrza urządzanego samodzielnie i z wielkim pietyzmem. Analizowała dotychczasowe aranżacje i projektowała w głowie nowe, by było jeszcze piękniej i przytulniej.

Ostatnia myśl sprawiła, że Laura drgnęła.

Początkowo nie rozumiała powodu nagłego niepokoju. Nerwowo szukała przyczyny. Powiodła wokół wzrokiem i zatrzymała go na półce z książkami. Coś było nie tak. Zapominając o zmęczeniu, podniosła się z sofy i podeszła bliżej. Przesunęła dłonią po grzbietach woluminów. Stały jak zwykle w równiutkich rzędach, jednak odniosła wrażenie, że inaczej. Nie były na właściwych miejscach. Rozejrzała się z uwagą po salonie. O ile książki mogła przeglądać pani Lusia, o tyle z pewnością nie dotykałyby innych przedmiotów. Dopiero teraz Laura zdała sobie sprawę, że nie wszystkie znajdowały się tam, gdzie je zostawiła. Nawet niektóre meble nieznacznie zmieniły swoje pozycje.

Zamierzała obejrzeć również pokoje dziewczynek, ale po namyśle zrezygnowała. Rezolutne bliźniaczki same utrzymywały w nich porządek, a właściwie nieporządek, i tam z pewnością nie dałoby się rozpoznać niczyjej ingerencji, nawet gdyby ktoś przewrócił wszystko do góry nogami. Skręciła w drugi koniec korytarza i powoli uchyliła drzwi sypialni. Nie miała żadnych wątpliwości. Ktoś przesunął szafki nocne, ponieważ stały w innej odległości od łóżka niż zwykle. Również kurz na toaletce zdradzał, że podnoszono stojące tam kosmetyki i puderka. Laura drżącymi dłońmi otworzyła srebrną szkatułkę, w której trzymała najcenniejszą biżuterię, ale widząc, że niczego nie brakuje, odetchnęła. Niepokój jednak jej nie opuszczał. Zajrzała nerwowo do szaf. Stamtąd też nic nie zginęło. Nie miała pewności, czy ktoś dotykał tam czegokolwiek, ponieważ, pakując się, zostawiła niewielki bałagan. Być może w pośpiechu nie zapięła należycie pokrowców, w których przechowywała ulubione sukienki i płaszcze, jednak równie dobrze zamki mógł rozsunać ktoś inny.

Sprawdziła raz jeszcze wszystkie pomieszczenia, także schowek na

odkurzacz i deskę do prasowania, podniosła siedziska sof, zajrzała do wazonów, zlustrowała nawet nigdy nieodsłaniane wnętrze starego fortepianu, by wreszcie opaść na stojący nieopodal fotel z młynkiem myśli w głowie, nomen omen wciąż owiniętej turbanem z ręcznika.

Nie miała wątpliwości, że ktoś dokładnie przeszukał mieszkanie. Z pewnością starał się nie zostawić śladów i pewnie udałoby mu się to, gdyby nie pedantyzm Laury. Dzięki temu, co niektórzy uważali za wadę, bezbłędnie odgadywała, gdy ktoś dotykał jej rzeczy. Nie lubiła bałaganu i przede wszystkim nieuzasadnionych zmian w starannie zaplanowanej przestrzeni, jaką był jej dom. Najbliźsi wiedzieli o tym i akceptowali to dziwactwo, rozumiejąc, jak bardzo to dla niej ważne. Nawet jej córki, mimo dużo mniejszego zamiłowania do ładu i ciągłego manifestowania tego we własnych pokojach, w pozostałych pomieszczeniach rygorystycznie stosowały się do reguł i utrzymywały porządek. Dlatego niespodziewane odkrycie nie mieściło się jej w głowie.

Kto mógł coś takiego zrobić? Zastanawiała się nerwowo. Pani Lusia pozostawała poza podejrzeniem. Niejednokrotnie udowodniła, że jest godna zaufania. Często dostawała klucze, czasem też opiekowała się dziewczynkami i nigdy nic podobnego się nie zdarzyło. Wypytywanie jej byłoby wręcz niestosowne. Przecież gdyby sąsiadka zauważyła coś niepokojącego, sama dałaby znać. Poza tym większość dnia spędzała poza domem, więc każdy, kto umiał posłużyć się wytrychem, mógł wejść do mieszkania. Zwłaszcza że na ostatnim piętrze kamienicy przy Rudawskiej znajdowało się tylko jedno, można więc było się do niego dostać bez narażania się na czujne spojrzenia sąsiadów.

Laura na tę myśl poczuła dreszcze. Może przed wyjazdem na Podlasie powinna zmienić zamki? Tak byłoby rozsądniej, ale ostatecznie porzuciła ten pomysł. Pani Lusia mogłaby to niewłaściwie odebrać. Powiadomienie policji też nie wchodziło w grę. Ze względu na znikome i raczej niezauważalne dla innych ślady obecności intruza, uznano by ją pewnie za paranoiczkę. Albo, co gorsza, obciążono podejrzeniami sąsiadkę.

Zapominając, że wciąż ma na sobie szlafrok, raz jeszcze zeszła na dół. Chwilę pukała do drzwi, w końcu wetknęła w nie karteczkę z podziękowaniem za obiad i biegiem wróciła na górę. Ubrała się w pośpiechu, a potem spakowała w kilka minut, starając się nie myśleć o potencjalnych włamywaczach. Bała się, że jeśli zastanowi się nad tym dłużej, nie odważy się wyjechać. Przecież nic nie zginęło, powtarzała sobie w duchu, mocując się na klęczkach z zamkiem walizki.

Wstała i nerwowo szarpnęła uchwyt, który zamiast wysunąć się na odpowiednią długość, oderwał się całkiem, przez co Laura klapnęła z impetem na podłogę. Prychnęła poirytowana, rozmasowując potłuczoną kość ogonową. Gdy usiłowała się podnieść, dostrzegła na podłodze różowawą poświatę. Przez chwilę przypatrywała się jej zaskoczona i niepewna, czy nie są to jedynie mroczki

spowodowane upadkiem. Zjawisko było jednak jak najbardziej realne, w dodatku wyjątkowo urokliwe. Na czworakach przysunęła się bliżej, żeby przyjrzeć mu się dokładniej. Kolorowa smuga wyłaniała się spod fotela i kończyła w miejscu, w którym fortepian rzucał na podłogę cień. Laura zajrzała pod mebel, a potem wsunęła pod niego rękę. Świetlna smuga zniknęła.

Ze zdziwieniem patrzyła na niewielki amarantowy paciorek ze szkła. Lekko spłaszczony, z przewleczonym przez środek strzępkiem srebrnej nici. Wsparty o jedną z nóg fotela w jakiś zadziwiający sposób filtrował zabłąkany słoneczny promień, nadając mu niecodzienną barwę. Przytrzymała błyskotkę dwoma palcami i obejrzała z zainteresowaniem. Z pewnością widziała koralik po raz pierwszy, więc jeśli nie zgubiła go pani Lusie...

Laura wstrzymała oddech i zacisnęła dłoń na znalezisku.

– Zrobił to ktoś, kto plądrował mieszkanie!

Znalazła dowód na obecność intruza! Niestety, tylko dla siebie samej, bo raczej niewystarczający, by ktokolwiek uwierzył w teorię o włamaniu, jak skonstatowała już po chwili z rezygnacją.

Wsunęła koralik do kieszeni, a uchwyt przymocowała na powrót do walizki. Rozejrzała się po raz ostatni i z pękiem kluczy w ręku ruszyła do wyjścia.

Mniej więcej w połowie drogi zrozumiała, że przeceniła swoje siły. Początkowo ignorowała sygnały wysyłane przez organizm. Przecierała piekące oczy, napinała bolące mięśnie i wyciągała zdrętwiałą szyję, łudząc się, że to jej pomoże.

Oszukiwała pogarszające się z minuty na minutę samopoczucie i podśpiewywała krotocwilnie, gdy omijała długi korek albo wyprowadzała w pole kolejnego drogowego cwaniaka. Zżymała się na wyprzedzających każdy jadący przed nimi pojazd. Denerwowali ją zmienianiem bez powodu pasa ruchu i wjeżdżaniem na stacje benzynowe lub parkingi tylko po to, by ominąć skrzyżowanie ze światłami. Bo Laura sama przestrzegała zasad fair play w każdej sytuacji z wyjątkiem tych, w których uczestniczyli uliczni piraci. Wtedy odzywał się w niej zawodowy belfer, mimo że na co dzień odżegnywała się od takich skłonności, nie znosząc ich u innych przedstawicieli własnego zawodu. Robiła wszystko, by nie tylko dać nauczkę spryciarzom, ale wszczepić im przy okazji kilka zasad dobrego wychowania, zawstydzić ich, a jeśli nic by z tego nie wyszło, przynajmniej zdenerwować. To ostatnie już z zemsty i trochę dla własnej satysfakcji. Chowając do kieszeni przyzwoitość, kierowała się złośliwą

przyjemnością, niezrażona reakcją pouczanych, wyrażaną najczęściej niewerbalnie przy pomocy popularnego międzynarodowego gestu. Bo w taki właśnie, pewnie jedyny znany sobie sposób kierowcy okazywali przez szyby aut poziom swojej frustracji.

Nie przejmowała się tym. Za to do szału doprowadzały ją uwagi nawiązujące do jej płci. Wobec tych czuła się bezradna. Nie słyszała ich, ale łatwo było odczytać z ruchu warg słowo: „babo”, ozdobione odpowiednimi epitetami i szeregiem innych, równie rozpoznawalnych i jeszcze mniej cenzuralnych słów. Z nieodgadnionego dla niej powodu kobiety uważane były przez niektórych za upośledzonych użytkowników dróg. Nie pojmowała takiej postawy. Przecież o tym, kto jakim jest kierowcą, decydowały umiejętności, doświadczenie i odpowiednio rozwinięta wyobraźnia, a nie płeć. Żałowała, że inni tego nie rozumieją.

– Co za gamoń... – warknęła pod nosem i z furią nacisnęła klakson, gdy kolejny raz ktoś zajechał jej drogę, chcąc pewnie skrócić sobie, choćby tylko o kilka aut, wielokilometrowy korek w Markach.

Zamyślona nie zauważyła, że tkwi w nim od dłuższego czasu, jednak intuicyjnie zareagowała poirytowaniem. Niestety przy okazji niesłusznie zrugowała włączających się do ruchu, którzy jej opieszałość odczytali jako zaproszenie. Speszyla się i uśmiechnęła przepraszająco do wstecznego lusterka. Wzięła głęboki oddech, potrząsnęła głową i podkręciła radio, ponieważ znów zaczęły opadać jej powieki. Miała nadzieję, że to minie, kiedy na trasie zrobi się luźniej i gdy jazda nabierze normalnego tempa. Na wszelki wypadek otworzyła puszkę napoju energetycznego kupionego na stacji benzynowej i wypila duszkiem.

Podziałał znacznie lepiej niż kawa. Już po chwili czuła się jak nowo narodzona. Ochoczo docisnęła pedał gazu, gdy tylko droga się odblokowała, by w okolicach Wyszkowa ponownie zwolnić. Tym razem nie z powodu natężenia ruchu. Zawarte w napoju tauryna i kofeina przestały działać szybciej, niż się spodziewała, a oczy znów zaczęły zachodzić mgłą.

Zjechała na parking. W pierwszym odruchu chciała pójść po kolejną porcję wspomagacza, jednak zrezygnowała. Wmawiała sobie, że z rozsądku, ale tak naprawdę nie miała siły wysiąść z samochodu. Odchyliła siedzenie i z ulgą przymknęła powieki, planując kilkunastominutową drzemkę, z postanowieniem, że jeśli to nie pomoże, zastosuje inne środki. Dalsza jazda w jej stanie nie była bezpieczna, ale tak bardzo pragnęła znaleźć się już na miejscu, że zamierzała zrobić wszystko, by tak się stało. Nie tylko dlatego, że odczuwała nostalgię za Bujanami, cudownym podlaskim miasteczkiem, gdzie przez pewien czas mieszkała, wyprowadziwszy się od rodziców. Stęskniła się przede wszystkim za ciotką. Tym bardziej kusiła ją perspektywa świętego spokoju, który z pewnością odzyska, gdy tylko załatwi sprawy rodziców. Upatrywała w tym szansę na poprawienie

atmosfery między nią a matką – być może ostatnią. Nie mogła się doczekać, kiedy do niej zadzwoni i opowie, jak świetnie sobie poradziła. A potem uwolni się wreszcie od domu w Jedwabnem i wszystkiego, co z nim związane. Ostatnia myśl sprawiła jej największą przyjemność, ale zaraz potem odpłynęła z innymi, uwalniając Laurę od ich ciężaru.

Zastąpił je upragniony sen.

Gdy się ocknęła, czuła się tak rześko, że nie potrzebowała nawet kawy. Niestety, dobre samopoczucie minęło, kiedy spojrzała na zegarek. Nie mogła uwierzyć, że przespała ponad trzy godziny. Przez to mogła nie zdążyć na umówione spotkanie z Henrykiem Lichotą. Ciotka też pewnie już się niepokoiła. Potwierdzało to kilka nieodebranych połączeń.

Musiała zasnąć naprawdę twardo, skoro nie słyszała dzwonka telefonu. Zatem nic dziwnego, że była tak wypoczęta.

– A niech to jasny szlag! – mruknęła rozeźlona, a potem szybko wybrała numer ciotki Helenki, by ją uspokoić. Zaraz potem połączyła się z Lichotą.

Po krótkiej rozmowie ruszyła w dalszą drogę już w nieco lepszym nastroju. Mężczyźnie najwidoczniej równie mocno zależało na spotkaniu, bo zapewnił, że będzie czekał tyle, ile będzie trzeba. Wiązało się to, co prawda, ze zmianą planów, bo zamiast w kierunku Bujan jechała prosto do Jedwabnego, ale miała nadzieję, że ciotka wybaczy jej spóźnienie. Zwłaszcza że Laura planowała zostać u niej dłużej – w swoim dawnym pokoju na poddaszu.

Zajmowała go, gdy jeszcze pracowała w bujaneckiej szkole. Dla wygody i żeby mieć bliżej do pracy, tak to sobie wówczas tłumaczyła, choć w rzeczywistości był to jedynie pretekst do wyprowadzki z rodzinnego domu. Nie stać jej było na własne mieszkanie, a tylko w ten sposób mogła zyskać trochę samodzielności. Wyrwać się spod rodzicielskich skrzydeł i nieco odetchnąć. Dziś też potrzebowała podobnego oddechu i odpoczynku. Nadarzała się też świetna okazja, by pobyć trochę z ciotką, na co na ogół brakowało Laurze czasu. Wciąż miała z tego powodu wyrzuty sumienia. Zbyt rzadko odwiedzała ulubioną, choć dość daleką krewną.

Helena nie miała zresztą rodziny bliższej niż Laura i jej rodzice. Owdowiała młodo i bezdzietnie, nigdy powtórnie nie wyszła za mąż. Żyła sama. Ale mimo to zapewniała, że nie czuje się samotna, otoczona przyjaciółmi i często odwiedzana przez dawnych uczniów, którzy nie zapominali o ulubionej bibliotekarce. Nie oczekiwała od nikogo pomocy, mimo zaawansowanego wieku wciąż dobrze sobie radziła z codziennymi obowiązkami, a jednak Laura czuła się winna, że ją zaniedbuje. Wielokrotnie bez skutku namawiała ciotkę na przeprowadzkę do Warszawy. Helena od czasu do czasu ją odwiedzała, zaprzyjaźniła się nawet z panią Lusią z dołu, ale nie wyobrażała sobie zamieszkania w stolicy na stałe. „Nie przesadza się starych drzew” – powtarzała wytarty, choć okrutnie prawdziwy

frazes za każdym razem, gdy Laura wracała do tematu.

Właściwie motywy decyzji ciotki były zrozumiałe. Laura sama pewnie postąpiłaby podobnie. Nikt nie opuszcza dobrowolnie miejsc, które kocha, bo one i tak podążają za człowiekiem, zagnieżdżwszy się na stałe w jego sercu, głowie i duszy. Wywołują nieutuloną tęsknotę i żal, gdy stają się już tylko odbiciem przeszłości.

Podobnie dzieje się również wtedy, kiedy człowiek opuszcza miejsca, w którym nie czuł się szczęśliwy. Takich też nie da się ostatecznie zostawić za sobą. Pomkną za człowiekiem, gdziekolwiek się ruszy, niestety zagarniając przy okazji wszystkie złe wspomnienia. Te, które wolałby zostawić za sobą. Bo bardzo trudno jest odciąć się od przeszłości. Jakiegokolwiek. W życiu każdego człowieka od zawsze istniały sprawy, od których nie potrafił uciec ani o nich zapomnieć, mimo starań. A w życiu Laury było takich spraw nawet więcej niż tych, które pragnęłaby przy sobie zachować.

Odetchnęła z ulgą, gdy minęła ogromny plac targowy na rogatkach Jedwabnego. Ulica Łomżyńska wiodła wprost do głównego rynku. Jego centralną część stanowił park, co było typowe dla większości miasteczek w tych stronach. Laura zwolniła, objeżdżając go, bez wyraźnej potrzeby, tylko po to, by przyjrzeć się wszystkiemu dokładniej.

Zatrzymała się obok jednej ze starych kamienic, przy zaokrąglonych schodach apteki, ulokowanej w tym samym miejscu od przynajmniej kilkudziesięciu lat. Obróciła się i zajrzała z ciekawością w jedną z szerokich parkowych alejek naprzeciwko – dawniej kończącą się okazałym klombem obsadzonym różami i z ławkami wokół. Dziś kwiatowy kobierzec zamieniono w plac wybrukowany dwukolorową kostką. Na jego skraju, w cieniu drzew stał pomnik poświęcony ofiarom wywózek na Syberię, dokonanych w czasie sowieckiej okupacji. Drewniane ławki zastąpiono nowymi, innymi niż te zapamiętane przez Laurę z czasów, gdy przychodziła tu jako nastolatka, malowane na zielono lub niebiesko, z wydrapanymi serduszkami przebitymi strzałą i inicjałami zakochanych.

Patrząc na park, Laura przypomniała sobie, że przed laty, z nieznanego jej powodu wycięto z niego część pięknych starych drzew. Na szczęście ocalały równie wspaniałe srebrne świerki, podcięto im jedynie dolne gałęzie. Imponujące i dostojne wciąż stanowiły największą ozdobę zieleńca. Zadarła głowę i zerknęła ponad ich wierzchołki, w stronę bielejących wież kościoła. Wyglądały na odnowione. Podobnie jak wnętrze świątyni. Kiedy była tu ostatnim razem, wstąpiła na chwilę do środka. Początkowo sądziła, że trafiła na moment przed jakąś ważną uroczystością, ponieważ kościół prezentował się bardzo odświeżenie. Wszystko lśniło świeżością i czystością, a w środkowej nawie na błyszczącej szkliszcie podłodzi leżał długi, czerwony dywan. Potem jednak sobie przypomniała, że

przecież tak było zawsze. Kościół właściwie codziennie wyglądał odświętnie. W wazonach pyszniły się świeże kwiaty zerwane z przydomowych ogródków, a boczne ołtarze zdobiły ręcznie dziergane koronkowe obrusy ofiarowane przez pobożne parafianki.

Wiedziała też, że drzwi kościoła są zwykle otwarte, dlatego zastanawiała się, czy i tym razem nie wstąpić. Ostatnio nieczęsto bywała w takich miejscach. Wyjątek stanowiły zabytkowe świątynie odwiedzane podczas zagranicznych wakacji, z całkiem innego powodu i w zupełnie odmienny sposób – powierzchowny, niemetafizyczny, przyziemny i pozbawiony jakiegokolwiek duchowości czy chociażby krótkiej chwili refleksji rozpraszaney szmerem rozmów turystów przechadzających się w tę i z powrotem. Dlatego właśnie zrezygnowała z pomysłu odwiedzenia jedwabieńskiej świątyni. Nie miała czasu na pogrążanie się w rzeczywistej, nieudawanej zadumie, była przecież umówiona, a zbyt krótka chwila spędzona naprzeciwko ołtarza z pewnością niczym nie różniłaby się od tych wakacyjnych.

Z tego powodu postanowiła odłożyć to na bliżej nieokreślone „później”.

Zanim odjechała, raz jeszcze okrążyła park. Z pewnym sentymentem zerknęła w stronę dawnej, dziś już nieczynnej piekarni. Prawie poczuła zapach, który niósł się po całym rynku w czasach, gdy przybiegała tu każdego poranka po słodkie drożdżówki z marmoladą albo ogromne maślane rogalce. Uśmiechnęła się do tych wspomnień, bo odświeżyły w niej inne, równie przyjemne doznania. Zawahała się, czy z tego powodu nie pojechać prosto i chociażby tylko zerknąć z daleka na bibliotekę i dom kultury w odrestaurowanym dziś dworku Rembielińskich. Jego widok zawsze poprawiał jej nastrój. Budynek należał do tych nielicznych pamiątek minionego czasu, które nie budziły w niej niechęci, a wręcz wyzwały pozytywne emocje. Popatrzyła na zegarek z żalem, bo już wiedziała, że nie starczy na to czasu. Zwłaszcza że pewnie nie odmówiłaby sobie przynajmniej parominutowego spaceru po przepięknej okolicy. Dosłownie w ostatniej chwili skręciła i wjechała w ulicę Wojska Polskiego.

Po kilku minutach była u celu. Zaparkowała przed swoim rodzinnym domem, obecnie należącym do obcego człowieka. Spróbowała odnaleźć w sobie i określić uczucia, jakich powinna w takim momencie doświadczyć, jednak bezskutecznie. Pewnie zbyt mocno broniła się przed ogarniającymi ją już w drodze nieprzyjemnymi emocjami, ponieważ nagle wyparowały lub też zostały zepchnięte w najdalszy kąt świadomości, zabierając przy okazji ze sobą również te przyjemne.

Bo przecież nie wyniosła stąd wyłącznie złych wspomnień. Właściwie dobrych miała tyle samo, jednak zbyt słabo zaznaczonych w pamięci, by nie pozwolić stłamsić się tym, których wolałaby pozbyć się na zawsze. Być może wtedy wyzbyłaby się też strachu, że to, co kiedyś tu się wydarzyło, powróci, a ona po raz kolejny będzie musiała stoczyć tę samą walkę. Z towarzyszącą jej

świadomością, że tym razem może nie starczyć jej sił, by wygrać. A teraz stawka była wyższa. Walczyłaby już nie tylko o siebie i nie tylko dla siebie. I tym samym więcej miałyby do stracenia.

Westchnęła ciężko, przytłoczona niechcianymi reminiscencjami, ale zaraz potem wyprostowała się energicznie. Zerknęła we wsteczne lustro i ukradkiem poprawiła włosy. W jej stronę zmierzał starszy mężczyzna. Rozpoznała w nim obecnego gospodarza, z którym rozmawiała kilka miesięcy wcześniej.

– Dzień dobry! – krzyknął z daleka pierwszy, gdy tylko uchyliła drzwi auta.
– Miło mi znów panią widzieć.

Henryk Lichota otworzył szeroko furtkę i zaprosił ją kordialnym, a jednocześnie szarmanckim gestem. Zachowanie, poza i uroczystry wyraz twarzy powinny były kontrastować z jego roboczym strojem, jednak stało się wprost przeciwnie. Zdumiewająca dystynkcja dżentelmena starej daty sprawiała, że zapięty pod szyję kombinezon z granatowego drelichu wyglądał bardziej jak służbowy uniform niż ubranie do pracy – w dodatku zaskakująco zadbane jak na odzież roboczą, czysty i odprasowany.

Również wokół domu panował nieskazitelny porządek. Laura rozejrzała się ze zdziwieniem i nieskrywanym uznaniem. Spodziewała się towarzyszącego remontowi bałaganu, stosu rupieci wywleczonych z zakamarków domu, gruzu i opakowań po zakupach ze sklepu budowlanego. Tymczasem ogród zamiast w śmieciach tonął w zieleni i kwitnącej obficie o tej porze roku roślinności. Zadaszona weranda i wyściełone poduszkami drewniane fotele zapraszały do wypoczynku. Na niewielkim stoliku czekały dwie filiżanki – osłonięte przed kurzem papierowymi serwetkami, obok termos, prawdopodobnie z kawą albo herbatą.

Laura, nieco oszołomiona, ujęła podane sobie ramię i pozwoliła się poprowadzić w tamtą stronę. Uprzejmie podziękowała za proponowany poczęstunek, wymawiając się brakiem czasu. Już po chwili pożałowała, bo tak naprawdę chętnie zasiadłaby na werandzie i popatrzyła na ogród, za którym dla odmiany zawsze przepadała. Przed laty spędzała w nim mnóstwo czasu. Często wspinała się na starą rozłożystą jabłoń, której grube konary tworzyły siedzisko w kształcie rozcapierzonej dłoni, idealne, by przy odrobinie wprawy zaszyć się tam z książką lub choćby tylko przyjemnymi myślami. Z nutą gorczy i żalu zdała sobie sprawę, że dziś nie miała przy sobie żadnej książki, za to nękało ją wiele nieprzyjemnych myśli. Chcąc je odegnąć, przechyliła się przez balustradę i sprawdziła, czy przy domu wciąż rosną jej ulubione maliny. Były, podobnie jak kilka krzaków czerwonej porzeczki i agrestu. Przypomniała sobie, jak bardzo nie znosiła zrywać jagód tego ostatniego ze względu na kolce. Za to kwaskowaty i orzeźwiający kompot wręcz uwielbiała. Podobnie jak z innych owoców, które rosły w ogrodzie. Jabłek, gruszek, śliwek węgierek, a nawet aronii czy czarnego

bzu.

Wspomnienia sprawiły, że prawie zapomniała o powodzie swojej wizyty. Poczula się spokojniejsza. Niespodziewanie odzyskała też energię i pewność siebie, a wcześniejsze obawy wydały jej się wręcz absurdalne. Dlatego teraz już bardziej zdecydowanym krokiem przestąpiła drewniany próg.

– Przepraszam za ten nieporządek – zafrasował się mężczyzna. – Nie wszystko jest jeszcze tak, jak powinno...

– Nieporządek? – zdziwiła się Laura.

Omiotła wzrokiem wycyklinowane, olśniewająco czyste podłogi i gładkie ściany odarte z kiczowatych tapet w kwiatki, które od niepamiętnych czasów w wątpliwy sposób zdobiły wszystkie pomieszczenia. Jedyne ślady trwającego właśnie remontu stanowiło kilka puszek farb ustawionych równo w kącie przedpokoju. Dom jawił się właściwie jako gotowy do zamieszkania, brakowało jedynie mebli i pozostałego wyposażenia. Laura pamiętała, że był prezentem ślubnym i jednocześnie niespodzianką dla jedynej córki mężczyzny i jej przyszłego męża, opowiadał jej o tym poprzednim razem. Była pod wrażeniem tak wspaniałego gestu, którego nie umniejszał nawet fakt, że mężczyzna miał przez pewien czas mieszkać z młodymi, oraz ogromu pracy włożonej w remont. Rozglądała się z nieskrywanym zaciekawieniem i wielkim podziwem.

Otwarte drzwi wszystkich pomieszczeń zasłaniały koniec korytarza, który, jak wynikało z ostatniego listu mężczyzny, miał być o pół metra za krótki – cokolwiek to miało znaczyć. Laura, zaskoczona zastanym ładem, dopiero na ten widok przypomniała sobie, po co tu przyjechała. Wypatrywała rzekomej usterki, ale zamiast niej dostrzegła jedynie oparte o ścianę fragmenty zdemontowanej szafy wnękowej. Z pewnością czekały na złożenie lub po prostu schły, ponieważ zeskrobano z nich farbę dawniej nieokreślonego, lecz zdecydowanie paskudnego koloru, a odsłonięte, usiane pięknymi słojami drewno pokryto matowym lakierem.

Nowy właściciel zdecydował się odrestaurować oryginalne elementy wnętrza, pozbył się za to wszystkich postkomunistycznych mebli. Zachowana została pociemniała ze starości podłoga. Klepki ułożono jednak na nowo, dzięki czemu zniknęły szczeliny, w których wcześniej gromadził się brud. Dopiero teraz można było docenić rustykalną urodę dębowych desek pokrytych jedynie warstwą wosku. Dla ich ochrony wszędzie wokół rozrzucono gumowe podkładki przypominające dywaniki samochodowe. Laura stanęła niepewnie na jednej z nich, zastanawiając się, czy wąska spódniczka pozwoli jej zrobić wystarczająco długi krok, by sięgnąć następnej. Gospodarz zauważył jej wahanie, ponieważ znów wykonał gest oznaczający, że gości nie obowiązuje zakaz stąpania po odnowionym parkiecie.

Laura mimo to pozostała na miejscu. Jednak nie dlatego, że bała się uszkodzić drewno. Znieruchomiała pod wpływem wpatrzonych w siebie pary

błyszczących ciemnobrązowych oczu.

– Izis! – Gospodarz przywołał psa, który nie wiadomo kiedy pojawił się w korytarzu. – Przepraszam najmocniej. Prosiłem, żeby została na swoim posłaniu w kuchni. Zwykle jest posłuszna.

Laura pokręciła głową na znak, że nic się nie stało, i absolutnie oczarowana przykleiła wzrok do czarnego jak smoła cocker spaniela, który również przyglądał się jej z hipnotyzującą uwagą.

Nagle pojawienie się zwierzęcia zaskoczyło ją do tego stopnia, że na moment straciła oddech. Z pewnością jednak nie z powodu obawy o własne bezpieczeństwo. Lubiła psy i chętnie zaprzyjaźniała się z nimi. One też zwykle do niej lgnęły, ale ten wcale się do tego nie kwapił. Spojrzenie ciemnych ślepi mówiło: „Ja jestem tu, ty tam, i nie waż się tego zmieniać”. Cofnęła się odruchowo. Suczka z kolei przysiadła wolno, wciąż czujnie wyprostowana. Nie okazywała agresji, zachowywała się zaskakująco spokojnie. Nie zrobiła nic, co mogłoby świadczyć o jej złych zamiarach, a mimo to widać było, że nie jest nastawiona przyjaźnie. Właściwie nie sposób było odgadnąć, co zamierza. Po prostu patrzyła. Laura nie miała dotąd pojęcia, że psie spojrzenie może być tak przejmujące. Badawcze, a jednocześnie chłodne i lekceważące.

– Dlaczego nie szczeka? – spytała, zdziwiona, że bezwiednie zniżyła głos do szeptu. W międzyczasie uświadomiła sobie, że nie czuje przed psem strachu, tylko dziwny respekt. Trochę ją to rozbawiło. Uśmiechnęła się niepewnie i dla dodania sobie animuszu postąpiła pół kroku w bok, stając na sąsiedniej podkładce. Ta, która leżała przed nią, znajdowała się mimo wszystko zbyt blisko zwierzęcia.

– Jest niemową. – Lichota poklepał lekko spanielkę po karku i gestem nakazał jej powrót na legowisko. O dziwo, natychmiast posłuchała.

Laura odprowadziła ją wzrokiem.

– Jak to, niemową? – Przeniosła zaskoczone spojrzenie na mężczyznę.

– Prawdopodobnie urodziła się z uszkodzonymi strunami głosowymi. Nie szczeka ani nawet nie warczy. Dlatego pewnie nikt jej nie chciał. To wielkie szczęście, że nie pozbyli się jej na amen, gdy była jeszcze szczeniakiem, bo takie rzeczy też się zdarzają. W naszej okolicy przyjęło się, że pies, który nie szczeka, nie jest wiele wart, bo nie przypilnuje domu. No a ja to nawet wolę takiego milczka. Niepotrzebny mi hałas, cenię sobie ciszę i spokój. Ona zresztą też. – Kiwnął brodą w stronę kuchni. – Swoje już w życiu przeszła.

– Pochodzi z nielegalnej hodowli... – Domyśliła się Laura i, zanim ugryzła się w język, wypowiedziała to na głos.

Nie chciała być nieuprzejma, niestety, pytanie mogło wywołać wrażenie posądzenia o kupowanie psów z niezarejestrowanych źródeł. Na szczęście tak się nie stało. Mężczyzna machnął tylko ręką.

– Nie posiada tatuazu ani żadnych papierów, więc pewnie nie jest rasowa.

Nie mam pojęcia, skąd dokładnie się wzięła. Mam ją ze schroniska. Wiem tylko tyle, ile mi tam powiedzieli. I tak naprawdę nie potrzeba mi więcej. Pasujemy do siebie, to najważniejsze. Ona też tak uważa. Nigdzie się bez siebie nie ruszamy. Oboje źle znosimy rozłąkę.

– Biedna sunia. Jakie to szczęście, że trafiła na pana – podsumowała Laura ze szczerą empatią w głosie.

Zastanawiała się nad zręczną, ale i taktowną zmianą tematu rozmowy. Nie dlatego, że los psa nie leżał jej na sercu. Wprost przeciwnie. Była pełna podziwu dla człowieka, który wielkodusznie przygarnął porzucone zwierzę, ale powinna pomyśleć też o ciotce czekającej pewnie z kolacją. Zająć się wreszcie tym, po co tu się znalazła, a potem jechać do Bujan. Dyskretnie zerknęła na zegarek. Lichota prawidłowo odczytał sygnał. Od razu ruszył tam, gdzie do niedawna znajdowała się szafa. Odstawił jej rzeźbione skrzydła drzwi na bok. Laura na ich widok mimo woli się wzdrygnęła. Przywoływały niechciane wspomnienia...

Przypominały czas, kiedy chowała się w najdalszym zakamarku przepastnego mebla, marząc o magicznym przejściu do zaczarowanego świata Narnii. Początkowo, bo potem jej dziecięce myśli zdominowało inne pragnienie. Żeby zniknąć. Przestać istnieć, ale tak, jakby nigdy jej nie było. Jak gdyby nigdy się nie urodziła.

– Tutaj znalazłem rękawiczkę.

Z odrętwienia wyrwał ją głos Lichoty. Przypomniał jej o listach zostawionych w samochodzie. I o tym, że powinna spytać, po co je przysyłał, jednak po namyśle zrezygnowała. Rozmowa by się przedłużyła, a tego wolała uniknąć. Nie tylko ze względu na ciotkę.

– Ojciec mojej prababki był rękawicznikiem. – Zamiast tego wspomniała o zasłyszanej kiedyś rodzinnej historii. – I podobno właścicielem jednej z trzech fabryk rękawiczek działających na tych terenach w dziewiętnastym wieku.

– Tak, tak. – Skinął głową ze znawstwem, co jej przypomniało, że ma przecież do czynienia z emerytowanym historykiem. Nie uczył, co prawda, w jedwabieńskiej ani bujaneckiej szkole, ponieważ by go pamiętała. Nie wiedziała, skąd właściwie pochodził, ale mógł przecież interesować się historią miasteczka, w którym kupił ponad stuletni dom. – Jednak wszystkie warsztaty w Jedwabnem – kontynuował, potwierdzając tym samym znajomość tematu – więc zapewne i ten należący do pani przodka, produkowały rękawiczki całkiem innego typu. Zwykle, codzienne. Nie tak wytworne, jak ta. Moim zdaniem, ona mogła należeć...

– Przepraszam – przerwała mu trochę zbyt gwałtownie i tym razem już otwarcie postukała w szkiełko swojego zegarka. – Zrobiło się późno, a pan zapewne też jest zmęczony. Rozumiem, że te wszystkie znaleziska mogą być cenne dla pasjonata historii. Niestety ja jestem pod tym względem laikiem, poza tym... – Zawahała się. – Te rzeczy nie mają dla mnie nawet wartości sentymentalnej.

Przykro mi. Nie czuję się emocjonalnie związana z tym miejscem. – Zatoczyła ramieniem krąg. Chciała jeszcze dodać, że właściwie nawet przebywanie w nim jest dla niej trudne, ale zrezygnowała z poczuciem, że mogłoby to zostać niewłaściwie odebrane. – Interesują mnie przede wszystkim nieprawidłowości w planach, o których wspomniał pan w ostatnim liście do moich rodziców.

– Ach tak. – Wyglądał na lekko zawiedzionego. – Proszę zatem łaskawie spojrzeć tu. – Wyjął z kieszeni kombinezonu złożoną na czworo kartkę. – Za tą ścianą znajduje się druga część domu, ta, w której wcześniej mieścił się warsztat tkacki należący, jak mi wiadomo, do pani pradiadka. – Zerknął na nią pytająco, na co skinęła głową. – Obecnie to mieszkanie państwa Bączków. Na starym planie, który od państwa dostałem, granica stanowi linię prostą, jednak w rzeczywistości tak nie jest. Nie wiem, jak to wygląda u sąsiadów, nie miałem jeszcze okazji tego zweryfikować, ale tutaj pokoje po obu stronach korytarza są znacznie od niego dłuższe. Bardzo dokładnie to sprawdziłem już po rozebraniu szafy.

Laura z zainteresowaniem pochyliła się nad szkicem i przyjrzała naniesionej przerywaną linią poprawce. Zmarszczyła czoło. Chwilę milczała.

– Wygląda to trochę tak, jakby część korytarza została zamurowana.

– O tym samym pomyślałem!

– Ale jak to możliwe, że nikt tego wcześniej nie zauważył? Przecież rodzice... ja... mieszkaliśmy tu tyle lat. A przed nami dziadkowie...

Mimowolnie przypomniała sobie marzenia o czarodziejskich drzwiach prowadzących do świata Narnii, które tak bardzo pragnęła odnaleźć, gdy kulila się jako dziecko w starej szafie, i znów przeszedł ją dreszcz.

– Wcześniej nie można było tego zauważyć, bo szafa była dość głęboka. – Ekscytował się tymczasem jej rozmówca. – Właściwie dlatego ją zdemontowałem, żeby zmniejszyć i zyskać miejsce w przedpokoju. Niestety, kiedy wszystko pomierzyłem, korytarz okazał się za krótki w stosunku do pokoi.

– Dlaczego więc pan od razu tego nie sprawdził? Trzeba było wyburzyć ścianę.

– Ale ona według planu jest jakby nośna, więc nie można – zająknął się. – To znaczy ta właściwa, na równi z pokojami. Poza tym nie czułem się upoważniony, to są okoliczności, które powinny zostać omówione przed sfinalizowaniem transakcji, chciałem najpierw ustalić to z państwem.

– Ale co ustalić? – Zdziwiła się. – Chodzi o pozwolenie na rozkucie ściany? Bo jeśli tak, to chyba już nas to nie dotyczy? Ani mnie, ani moich rodziców.

Poczuła zniecierpliwienie i żal, że dla takiej błahostki skróciła urlop z rodziną. Niemal zapominając, że pomysł wyjazdu wynikał bardziej z obawy przed kolejnym konfliktem z matką. Znowu naszała ją myśl, że popełniła błąd. Powinna była zostać z mężem i córkami.

– Nie do końca się z panią zgadzam, ponieważ nie wiemy, kiedy postawiono

tę ściankę – zaczął mężczyzna spokojnie, jednak podenerwowanie Laury musiało mu się udzielić, bo przerwał, żeby złapać oddech – ani dlaczego to zrobiono.

– I czy czegoś tam nie zamurowano? – dokończyła za niego.

– Właśnie. – Odetchnął tym razem z wyraźną ulgą. – A ja nie byłem pewien, czy mam prawo zajrzeć tam jako pierwszy. Cokolwiek tam jest, o ile oczywiście w ogóle jest, należy do pani rodziny.

Zwłaszcza jeśli to są czyjeś szczątki, które mogłyby nowemu właścicielowi narobić niezłego galimatiasu, dodała już tylko w myślach. Zmęczenie powodowało, że robiła się złośliwa i reagowała na słowa mężczyzny nazbyt impulsywnie. Dlatego nie należało przedłużać spotkania.

– Tak czy inaczej, trzeba to sprawdzić – zdecydowała ostatecznie. – Wcześniej jednak należałoby uprzedzić sąsiadów, bo będzie przy tym trochę hałasu.

– Tak, tak! Oczywiście, już o tym pomyślałem, niestety na razie nie ma ich w domu.

– To nic, dziś jest i tak za późno na kucie ścian. Przelóżmy to na jutro rano.

Skinął głową. Ucieszyła się, że nie oponował. Zamurowane pomieszczenia z reguły nie kojarzyły się z niczym przyjemnym. A co do tego konkretnego miała złe przeczucia i niewielką tylko nadzieję, że to przez nadmiar wrażeń. Odpoczynek i spokojny wieczór w towarzystwie ciotki miał jednak szansę sprawić, że nazajutrz wszystko ukaże się w lepszym świetle. Bo jak na razie kolejny dzień nie zapowiadał się najlepiej. Trupa w szafie (czy też raczej za szafą) jakoś uda się jej przeżyć. Gorzej z konsekwencjami i problemami, jakie pociągnie za sobą takie znalezisko. Pewnie trzeba będzie gdzieś to zgłosić, potem zacznie się śledztwo, przesłuchania, frasowała się w duchu, łudząc się jeszcze, że na zapas.

Otrzepała dłonie gestem kogoś, kto zamierza się pożegnać. Niestety gospodarz nie zareagował zgodnie z jej oczekiwaniem, za to wyglądał, jakby miał coś jeszcze w zanadrzu. Przeształ z nogi na nogę i zbierał się w sobie, najwyraźniej szukając właściwych słów. Westchnęła lekko i dyskretnie przewróciła oczami.

– Jest jeszcze coś – wydusił wreszcie, potwierdzając jej przypuszczenia, i przesunął ostatni element szafy oparty o ścianę, według obecnych ustaleń przeznaczoną do rozbiórki.

Był tam rysunek. Dziesięć kolorowych kółek połączonych pionowymi, poziomymi i ukośnymi liniami, układających się w dziwny, podłużny wzór przypominający schemat łańcucha DNA, zapamiętany przez Laurę z podręcznika biologii. Wewnątrz każdego okręgu umieszczono trudne do odczytania napisy i liczby. Cyfry dopisano też przy łączących je liniach schodzących się na samym dole, gdzie całość wieńczył wizerunek motyla z rozpostartymi skrzydełkami.

– To jest kabalistyczne drzewo życia. – Lichota uprzedził jej pytanie, więc

pewnie sam starał się to wyjaśnić. – Tylko trochę nietypowe przez tego tu owada. Poza tym wszystko się zgadza.

– O ile się nie mylę, kabała ma coś wspólnego z religią żydowską?

Przypominała sobie mgliste już dziś informacje, które mignęły jej wśród innych, gdy wiele lat temu zaintrygowana starozakonnymi wątkami w historii własnej rodziny fascynowała się tematem.

Przytaknął w milczeniu.

– W takim razie wyjaśnienie jest proste – kontynuowała. – Ojciec mojej prababki, wspomniany rękawicznik, był Żydem. Nie mieszkał tutaj, ale jego córka, prababka Eleonora Kossacka, już tak. Być może wyznawała tę samą religię, może tutaj się modliła, dlatego zachował się ten rysunek.

Snuła chaotyczne domysły, chcąc jak najszybciej zakończyć rozmowę. Wcześniej dzięki atmosferze w ogrodzie i później przez incydent z psem jej emocje nieco osłabły, ale teraz zaczynała tracić nad nimi kontrolę. Wracały, w dodatku o wiele silniejsze niż przedtem. Czuła, że powinna jak najszybciej opuścić to miejsce.

– Ale tożsamości żydowskiej nie dziedziczy się po ojcu, tylko po matce. A żona rękawicznika, pana Rosena, matka pani prababki, z tego, co mi wiadomo, nie była Żydówką, lecz gojką. Chyba nawet katoliczką.

Zaskoczyło ją, że Lichota tyle wie o jej przodkach, ale po raz kolejny wytłumaczyła to sobie jego historycznym zacięciem. Dlatego nie dopytywała.

– Myślę, że cokolwiek ustalimy, dziś nie uda się odgadnąć, skąd to się tu wzięło – powiedziała zamiast tego. – Poza tym nie wydaje mi się to aż tak istotne.

– Chyba że ktoś zostawił to tutaj nieprzypadkowo – zripostował enigmatycznie.

– Myśli pan, że rysunek ma związek z tym, co znajduje się za tą nieszczęsną ścianą? – Roześmiała się trochę nerwowo. – Jeśli tak, nie byłoby powodu, by to zamurowywać. Religia żydowska nie jest zakazana ani nie była w czasach mojego prapradziadka, kiedy Żydzi stanowili przeważającą część jedwabieńskiej społeczności.

– Oboje wiemy, że wiele lat później nadszedł dla judaizmu czas znacznie trudniejszy – odparł poważnie.

Zerknęła z niedowierzaniem najpierw na niego, a potem znów na ścianę.

– Jeśli ma pan na myśli drugą wojnę światową, to wydaje mi się, że wówczas ukrywano przed Niemcami Żydów. Przedmioty ich kultu czy też inne rzeczy z nimi powiązane prościej było gdzieś zakopać albo po prostu zniszczyć. Dlatego tworzenie takiej skrytki wydaje się bez sensu.

– Przypominam, że Jedwabne to szczególne miejsce, jeśli chodzi o kwestię żydowską. – Uparcie trwał przy swoim. – Gdyby tak...

– Tak, wiem – przerwała mu z obawy przed tym, co za chwilę mogła

usłyszeć.

Nie miała ochoty na dalsze dywagacje. Z nikim nie dyskutowała na podobne tematy, jak i na parę innych, gdy spodziewała się odmiennego zdania rozmówcy. Nie zamierzała modyfikować własnych poglądów ani też nikogo do nich przekonywać. Źle znosiła konflikty. Rozmów o polityce, religii, pogromie w Jedwabnem i *Pokłosiu*, mimo że z ulubionym aktorem w roli głównej, unikała jak ognia. Każdy, kto ją znał, doskonale o tym wiedział. Niestety, nie dotyczyło to Henryka Lichoty.

Zastanawiała się, jak mu o tym powiedzieć i jednocześnie do siebie nie zrazić, ale nie zdążyła, ponieważ zniemacka wyciągnął rękę na pożegnanie. Uśmiechnęła się, chcąc mimo wszystko pozostawić po sobie dobre wrażenie. Pomyślała ze wstydem, że ze względu na wyjątkową uprzejmość i dobre maniery mężczyzny powinna lepiej powściągnąć emocje. Zmęczenie nie usprawiedliwiało jej obcesowego zachowania. Nie był niczemu winien i kierowały nim z pewnością dobre intencje.

Zastanawiała się, jak go taktownie za to przeprosić. Zatrzymała się z tą myślą przy opartym o ścianę skrzydle szafy. Zanim zastanowiła się, co robi, przesunęła opuszkami palców po oszlifowanym gładko drewnie i wyrzeźbionych w nim roślinnych motywach. W jej głowie znów błysnęło słowo: „Narnia”. Tym razem jednak towarzyszył temu obraz. I nie był to wcale pejzaż przedstawiający cudowną, fikcyjną krainę stworzoną przez C.S. Lewisa, ale coś skrajnie odmiennego. Ujrzała swój rodzinny dom w czasach, gdy chowała się w szafie. Zobaczyła dłonie matki zaciśnięte na długim jasnym warkocz, poczuła szarpnięcie.

Zadrzała. Usiłowała strząsnąć z siebie tę wizję. Bezwiednie uniosła rękę i dotknęła głowy. Ujęła w palce pasmo swoich wciąż naturalnie jasnych włosów, dziś sięgających jej zaledwie do ramion, i pociągnęła mocno.

Zabolało.

Zamiast matki zobaczyła ojca. Z kamienną, pozbawioną emocji twarzą naciągał na czoło czapkę i, nie oglądając się za siebie, wychodził z domu.

Do rzeczywistości przywołał ją jej własny, zbyt szybki i głośny oddech.

– Źle się pani czuje? – Lichota przyglądał się jej z niepokojem. – Może wody? Mam na werandzie, przyniosę.

– Nie, nie trzeba! Proszę się nie fatygować. – Potrząsnęła energicznie głową, jakby ocknęła się z transu. – To znaczy chętnie się napiję, ale pójdę po wodę z panem. Powinnam już jechać.

– Jest pani bardzo błada. Na pewno da pani radę?

Na zewnątrz podał jej szklanekę z mineralną, trzymając w pogotowiu butelkę, by w razie czego znów napełnić naczynie.

– Za mną długa podróż. To dlatego. – Upiła kilka łyków i uśmiechnęła się

słabo. – Już mi lepiej, ale powinnam położyć się i odpocząć. Jadę do Bujan. To przecież niedaleko. Będę ostrożna. I... przepraszam – wyszeptała na koniec.

Wsiadła do samochodu, ale nie przekreśliła kluczyka w stacyjce. Odczekała chwilę, chcąc ostudzić emocje. Udawała, że szuka czegoś w torebce, by nie napotkać wzroku Lichoty tkwiącego wciąż w pobliżu. Zdażyła jednak dostrzec niegasnący niepokój i troskę malujące się na twarzy obcego jej człowieka. Przy jego nodze tkwiła nieruchomo pochmurna jak bezgwiezdna noc Izis, która znów zjawiła się niczym duch.

Laura zacisnęła oczy i teraz celowo przywołała obraz Narnii, ale tym razem ten z powieści, wiosenny, kipiący szczęściem, pogodnymi barwami i wyłącznie dobrą magią. Bez zimowego mroku i zła. Uśmiechnęła się w duchu. Wciąż miała tę książkę, dostała ją od ciotki na piąte urodziny. Zachowała to wyjątkowe wydanie z pobudzającymi wyobraźnię ilustracjami Pauline Baynes dla własnych dzieci, podobnie jak książkę o Karolci i magicznym niebieskim koraliku spełniającym wszystkie życzenia i uszczęśliwiający ludzi. Przez niemal całe dzieciństwo, w przerwach, gdy nie chowała się do szafy, w której usiłowała odnaleźć upragnioną krainę, marzyła o znalezieniu takiego koralika. Wyobrażała sobie, co mogłaby dzięki niemu wyczarować, a potem zawsze wypowiadała to samo życzenie. Jedno, ale za to najważniejsze.

Nagle przypomniała sobie o innym, realnym już koraliku. Wsunęła rękę do kieszeni i wyjęła z niej ten znaleziony pod fotelem. Nie był niebieski, ale amarantowy. Teraz w wieczornym półmroku dziwnie ciemny. Całkiem jak krew, pomyślała i wykrzywiła usta. Zamknęła błyskotkę w dłoni. Potarła energicznie twarz, wzięła kilka głębokich oddechów. Uruchomiła silnik i włączyła radio dokładnie w momencie, w którym Kamil Bednarek intonował refren jednego ze swoich nastrojowych utworów: *I chodź ucieknijmy stąd, nie chcę już oddychać tym zatrutym powietrzem! Chodź ucieknijmy stąd...*

Zaśmiała się z goryczą i zawtórowała wokaliście: „Chodź uciekniiijmy stąd!”.

Wreszcie ruszyła w stronę Bujan.

Wciąż nie dowierzała, jak bardzo może zmienić się widok za oknem w ciągu zaledwie kilkunastu lat, chociaż dowód miała przed sobą.

Ciotka Helenka mieszkała na skraju miasteczka. Za jej domem od zawsze rozpościerała się łąka. Zimą jednolicie biała i niemal bezkresna, gdyby nie widoczny w oddali las, wiosną żółta od kwitnących mniszków, natomiast latem upstrzona wielobarwnym polnym kwieciem. Najcudowniejsza była jednak wczesną jesienią ze względu na woń ostatniej skoszonej trawy, a potem usypanego w stogi siana, wdzierającą się wieczorami do pokoju.

Dziś nad dawną łąką unosił się zapach grillowanej karkówki. Niepostrzeżenie zmieniła się w finezyjnie przystrzyżony ogród w stylu angielskim, otaczający pyszną willę sąsiadującą z sobie podobnymi. Zniknęły bezpowrotnie polne kwiaty. Przepadły ciągnące się nieopodal podzielone miedzami pola – plantacje porzeczek, truskawek i złotawe łany zboża poprzątkane czerwonymi i niebieskimi plamkami maków i chabrów. Na szczęście pozostał widoczny w oddali las. Pewnie nikt nie wiedział, na jak długo. Ogród ostatniego z nowo wybudowanych domów prawie się z nim stykał.

Laura potarła z roztargnieniem policzek połaskotany falującą firanką. Czują

się rześka i wypoczęta. Nie zamierzała przespać ponad połowy doby, jednak jej umęczony wczorajszym dniem organizm zdecydował inaczej. Widać, było mu to potrzebne, skoro ocknęła się dopiero koło południa. Na szczęście czekał na nią esemes, w którym Henryk Lichota ze względu na jej wieczorne złe samopoczucie sugerował odłożenie umówionego spotkania na inną godzinę. Z ulgą ustaliła je na późne popołudnie, dlatego teraz nigdzie nie musiała się śpieszyć. Po raz kolejny przeciągnęła się leniwie. To był jeden z tych momentów, gdy w domu ciotki Helenki czuła się nawet lepiej niż we własnym. Na swój sposób.

Wczoraj, mimo nocnej już pory czekała na nią ciepła kolacja. I chłodna pościel. Laura ubrana w staroświecką, płócienną i białą jak śnieg koszulę do kostek podarowaną jej przez ciotkę w czasach, gdy jeszcze u niej mieszkała, z lubością zanurzyła się w gęsim puchu obficie wypełniającym poduszkę i kołdrę. Wydawały się nieodpowiednie na obecną porę roku, jednak w tym domu Laura nie wyobrażała sobie innej pościeli. Czuła się przez nią cudownie utulona. Zmęczona długą podróżą z przyjemnością zatopiła się w niej i podciągnęła kołdrę pod samą brodę. Szorstkość wykrochmalonych na sztywno poszewek przyjemnie drażniła jej skórę, a brzęczenie zabłąkanego komara zamiast zdenerwować, ukołysało do długiego, niczym niezmaconego snu.

Zerknęła tęsknie na niepościelone łóżko. Wabiło ją, by wskoczyć do niego jeszcze na parę chwil, ale nie uległa pokusie ze względu na coraz głośniejsze burczenie w żołądku. Był najwyższy czas na śniadanie.

Zanim się ubrała, przysiadła na moment w przepastnym fotelu stojącym w kącie i rozejrzała się po pokoju. Nic się w nim nie zmieniło od czasu, gdy się wyprowadziła. Wciąż stały tu te same meble – kultowa już peerelowska meblościanka na wysoki połysk, tapczan z wypukłym materacem i tak giętkimi sprężynami, że człowiek bujał się na nich jeszcze długo po tym, jak usiadł albo się położył. Półki nadal ugiwały się od wydanych w poprzednim stuleciu książek, których Laura nigdy nie zabrała ze sobą, chociaż należały do niej. Uznała, że to miejsce będzie dla nich odpowiedniejsze. Mogła przecież w każdej chwili wrócić do ich lektury. W Bujanach miała nadzieję odnaleźć czas na czytanie, odpoczynek albo po prostu beztroskie, nomen omen, bujanie w obłokach. Z tym właśnie kojarzyło jej się to miejsce. Tak je zapamiętała. Na poddaszu domu ciotki spędziła spory wycinek swojego życia, wypełniony niemal wyłącznie dobrymi wspomnieniami. Tu odnalazła swój azyl, gdzie mogła ukryć się przed złymi myślami. Dziś przekonała się, że nadal tak jest.

Najwięcej wspomnień przywoływało biurko. Bardzo stare, ogromne, z mnóstwem szufladek i zakamarków. Przy nim Laura sprawdziła tysiące klasówek, przygotowała setki szkolnych konspektów, planów pracy, pomocy naukowych. Ślęcząc nieraz do późna, w dodatku bez tego frustrującego poczucia niesprawiedliwości i braku nadziei na wymierne efekty własnych poświęceń, które

towarzyszyło jej niejednokrotnie podczas podobnych zajęć obecnie. Z tamtego czasu pamiętała jedynie zapał i entuzjazm, dzięki któremu rzadko kleiły jej się oczy. Wówczas uwielbiała uczyć i nie wyobrażała sobie innego zajęcia. Dziś przekonywały ją do tego zawodu jedynie długie wakacje i ferie, dzięki którym mogła więcej czasu spędzać z własnymi dziećmi.

– Bzdura – mruknęła do siebie, wciąż gładząc chropowaty blat. – Idiotyczna wymówka lenia bez pomysłu na życie.

Tak właśnie myślała, jednak dopiero niedawno odnalazła w sobie odwagę, by przyznać to sama przed sobą. Z wątlą nadzieją, że popchnie ją to wreszcie do zmian. Jej córki nie były już małymi dziećmi wymagającymi ciągłej opieki, ale coraz bardziej samodzielny, wkrótce już nastolatkami. Bliźniaczki miały własne sprawy, częściej wołały spędzać czas z koleżankami niż z matką. Nawet w tej chwili były daleko, mimo że tym razem nie z własnego wyboru. Za to zaraz po powrocie z Ameryki miały wyjechać na swój pierwszy dwutygodniowy obóz. Cieszył je nawet bardziej niż rodzinna wyprawa za ocean i czas spędzony z rzadko widywanymi dziadkami. Pewnie nawet wołały, by ich matka zmieniła pracę na taką od ósmej do szesnastej, za to bez przynoszonego do domu ciągłego podenerwowania, którego nie dało się rozładować w szkole. I z dniami wolnymi nie tylko z nazwy, bo z reguły spędzonymi na mozolnym sprawdzaniu klasówek.

Laura niejednokrotnie zastanawiała się, jak do tego doszło, że uwielbiana wcześniej praca zaczęła jej ciążyć. Coraz mniej lubiła swoich uczniów, choć z rozrzewnieniem wspominała tych z Bujan, dziś już dorosłych. Czy powodem były inne, całkiem nowe czasy i fakt, że z obecną młodzieżą coraz trudniej było się porozumieć? Czy też może ta prowincjonalna, wychowywana z dala od wielkomiejskiego chaosu młodzież była inna niż warszawska? I czy gdyby dziś została panią od matematyki w bujaneckim gimnazjum, byłoby jak dawniej? Znow polubiłaby swoją pracę? Wiedziała, że nie ma na to wystarczająco dobrej odpowiedzi. A najgorsza była ta, której powinna poszukać w sobie.

Z zadumy wyrwał ją intensywny zapach kardamonu. Ciotka od zawsze dodawała go do kawy w ilościach tak nierozsądnych, że zagłuszał naturalny aromat palonych ziaren kawowca. To oznaczało również, że śniadanie było na stole. Laura teraz już w pośpiechu i z wyrzutami sumienia z powodu nazbyt długiego otrząsania się ze snu i wspomnień, spędziła w łazience zaledwie kilka chaotycznych minut, po czym ubrała się i zbiegła na dół.

Tak jak się spodziewała, śniadanie już na nią czekało. Świeżo upieczony chleb, prawdziwe masło, biały ser ze śmietaną, warzywa z ogrodu i jajka na miękko od wiejskich kur hodowanych bezstresowo głównie na tym, co same sobie wydziobały z ziemi. Domowa konfitura z truskawek pachniała z otwartego przed chwilą słoika i kusila, by tak jak w dzieciństwie wyjadać ją palcami.

Wróciła też poranna błogość i nastrój z chwili tuż po przebudzeniu. Nie

zepsuł go nawet kardamon, za którym Laura nie przepadała, a czego nigdy nie odważyła się wyznać ciotce, nie chcąc sprawić jej przykrości. Teraz też wolała zagłuszyć jej smak przy pomocy grubej pajdy chleba ze słodkim, aromatycznym dżemem.

– Chcesz, żebym pojechała z tobą? – zagadnęła niespodziewanie ciotka, krzątając się przy kafłowej kuchni, na której pyркаł już wywar na zupę. – No nie patrz tak, wiem, że nie w smak ci ta wizyta. Nie lubisz tam wracać. Dlatego pomyślałam, że ze mną byłoby ci różniej.

Laura milczała chwilę.

– Z tobą czy bez ciebie nie będę tego lubiła dokładnie tak samo – powiedziała wreszcie z niezamierzonym przekąsem. – Nie ma sensu, żebyś się fatygowiała. Załatwię to szybko i wrócę przed kolacją – dodała, siląc się na beztroski ton, po czym mrugnęła żartobliwie. – Zdążę jeszcze przyrządzić dla nas coś specjalnego. I nie waż się wchodzić mi w drogę, tym razem moja kolej.

Pogroziła palcem ciotce, która sugestywnie wskazywała na wyłożone na blat składniki obiadu, gdyż właśnie zaczęła go przygotowywać. Laura nie mogła pozwolić, by starsza pani tylko z jej powodu spędziła cały dzień w kuchni, a poza tym pierwszy raz od dawna naszła ją prawdziwa ochota, by samodzielnie coś upichcić. Udała, że nie widzi znaczącej miny ciotki, która doskonale znała jej niezbyt imponujące umiejętności kulinarne. Przyrzekła sobie w duchu tym razem ją zaskoczyć. Miała przecież w swoim repertuarze kilka niezawodnych potraw, które rzadko udawało się jej zepsuć.

Liczyła też, że sprawnie zakończy się historia z zamurowanym korytarzem i nie spełni się najczarniejszy scenariusz z trupem w roli głównej. Postanowiła na razie nie wspominać o tym ciotce. Przynajmniej dopóki nie będzie wiadomo, co się za tym wszystkim kryje. Lepiej nie narażać staruszki na niepotrzebny stres. Laura mimowolnie wzdrygnęła się na myśl o tym, z czym sama niebawem miała się zmierzyć. Lubiła niespodzianki, ale dzisiejszej wolałaby uniknąć. Ciotka od razu dostrzegła grymas na jej twarzy, jednak zinterpretowała go po swojemu.

– Wiem, ile cię kosztują powroty do tego domu – westchnęła. – I wciąż nie rozumiem dlaczego. Przecież to, co ci się tam stało, jest już dawno za tobą. Poza tym wszystko dobrze się skończyło.

– Dzięki tobie. – Uśmiechnęła się trochę z przymusem.

Nie miała ochoty wracać do tamtych zdarzeń ani o nich rozmawiać. Ciotka powinna to rozumieć jak nikt inny. Dlaczego rozgrzebywała przeszłość? Przecież musiała widzieć, jak wiele kosztuje Laurę rozpamiętywanie jej, nie raz miała okazję się o tym przekonać.

– Wiesz dobrze, że to był przypadek. – Helena zbliżyła się do niej. Położyła rękę na ramionach. – Każdy, kto znalazłby się na moim miejscu, postąpiłby tak samo.

– Ale nie było nikogo na twoje miejsce. Byłaś ty. Uratowałaś mnie i nigdy ci tego nie zapomnę.

– Twoja matka...

– Wiem. – Laura delikatnie wywinęła się spod dotyku ciepłych rąk ciotki i obróciła tak, by widzieć jej twarz. – Mówiłaś mi to już setki razy. Wierzę, że wolałaby być na twoim miejscu, a nawet na moim wtedy... – Próbowała wstać, chcąc jak najszybciej zakończyć tę rozmowę. Albo przynajmniej odłożyć ją na później. Dzień rozpoczął się zbyt pięknie, by go zepsuć w taki sposób.

Ciotka jednak ponownie przytrzymała ją za ramiona i nie pozwoliła odejść. Uśmiechnęła się łagodnie.

– Zjedz spokojnie śniadanie, a potem idź na spacer. Żal marnować taką ładną pogodę.

Laura usiadła posłusznie i dopiła chłodną resztkę kardamonowej kawy.

Chwilę później bez słowa zebrała naczynia ze stołu i z kawałkiem świeżo wyjętej z pieca drożdżówki wyszła przed dom. Nie miała jednak nastroju na spacer dalej niż do ogrodu. Przysiadła na drewnianej huśtawce i próbowała wyłączyć myślenie – posprzątać zabałaganioną głowę, zrobić miejsce na to, co ją dziś czekało. Przygotować się mentalnie również na tę mniej przyjemną wersję zdarzeń, czyli z zamurowanym trupem w tle. Usiłowała się skupić, wykorzystując poznane kiedyś techniki jogiczne, ale zamiast tego parsknęła śmiechem, ponieważ wyobraziła sobie, jak rozklekotany szkielet wypada z impetem przez dziurę w ścianie wprost w objęcia zaskoczonego Henryka Lichoty.

– Trudno – mruknęła pod nosem. – Sam się prosił o kłopoty. Mógł sobie spokojnie ustawiać meble, mocować karnisze i wieszać na ścianach rodzinne fotografie, zamiast biegać po domu z miarką i nieaktualnymi planami budynku.

Zerknęła na zegarek. Zostało wystarczająco dużo czasu, by wziąć długie prysznic, a potem wypić spokojnie kolejną kawę. Mocną, bez mleka, cukru, i przede wszystkim już bez kardamonu. Chciała też побыć trochę z ciotką, porozmawiać o jej sprawach, zatroszczyć się o samopoczucie. Helena zawsze była dla Laury największym oparciem, zwłaszcza w trudnych chwilach. Teraz sama potrzebowała wsparcia ze względu na wiek.

Niestety plany Laury niespodziewanie pokrzyżował Henryk Lichota. Był bardzo zaniepokojony. Z jego zawiłych telefonicznych wyjaśnień wynikało, że pojawił się nowy problem, któremu nie potrafił zaradzić. Laura zdecydowała spotkać się z nim od razu, by sprawdzić, co się stało. Dlatego zamiast spokojnie przygotować się do wyjścia, przeczesала tylko palcami włosy, zgarnęła torebkę i niemal w locie dopiła drugą kawę, którą zrobiła ciotka, widząc jej pośpiech. Oczywiście z należytą ilością kardamonu, mleka i cukru. Laura krzyknęła na odchodnym, że wyjaśni wszystko po powrocie, jak tylko sama się dowie, o co właściwie chodzi.

W drodze do Jedwabnego bezwiednie dociskała pedał gazu, pełna coraz gorszych przeczuć. Wyobrażała sobie szereg różnych komplikacji, od których cierpła jej skóra. Niektóre były dość absurdalne, ale dostatecznie realne, by podnieść jej ciśnienie. Na przykład nieprawidłowe zapisy w księdze wieczystej lub innych, równie istotnych dokumentach. Nie знаła się na prawie dotyczącym nieruchomości, ale taki scenariusz wydawał się całkiem prawdopodobny. Dom miał ponad sto lat, przetrwał niemal bez uszczerbku dwie wojny światowe, parokrotnie zmieniał właścicieli, nie była też pewna, czy zawsze w drodze dziedziczenia. Dlatego nie można było wykluczyć błędów w dokumentach lub wręcz zaginięcia niektórych.

Im dłużej o tym myślała, tym bardziej w to wierzyła.

Dopiero na miejscu okazało się, jak mylne były jej przypuszczenia, pośpiech zbędny, a nerwy niepotrzebne. Lichota przywitał ją w progu z ręką wyciągniętą w stronę posesji sąsiadów.

– Od wczoraj nie ma ich w domu. – Gorączkował się. – I nie odbierają telefonu. Nie wiem, dokąd pojechali, i nie mogę ich w żaden sposób powiadomić, że dziś rozkujemy ścianę. Dlatego pewnie trzeba będzie przenieść całą akcję na inny dzień.

– Ale po co w ogóle mamy ich powiadamiać? Skoro ich nie ma, hałas nie będzie im chyba przeszkadzał? – Laura nie posiadała się ze zdumienia.

– Chodzi o drgania. – Podniósł oparty o balustradę potężny młot. – Może coś pospadać na przykład, będą straty.

Westchnęła ukradkiem, wchodząc za nim do środka.

– W porządku. Jeśli rzeczywiście coś się stanie, wezmę to na siebie. To znaczy pokryję koszty tych ewentualnych strat.

– Ale tak nie można...

– Nie widzę innego wyjścia. Rozwalamy, skoro już tu jestem – dodała zdecydowanie i zakasała rękawy, jakby sama zamierzała się za to zabrać.

Westchnął ostentacyjnie, ale podał jej dźwiękoszczelne słuchawki. Drugą parę włożył sam. Do tego maskę ochronną i okulary. Jedną ręką ujął przecinak, drugą młot i po chwili wahania wymierzył pierwsze uderzenie. I kolejne. Najpierw delikatnie, przez co w tynku powstał tylko niewielki ubytek. Potem śmieiej, by wreszcie w coraz większym betonowym pyłe uderzać już z całych sił.

Laura czym prędzej włożyła na głowę słuchawki i docisnęła je mocno do uszu. Początkowo planowała przeczekać dewastację na zewnątrz, jednak ciekawość zwyciężyła i nakazała zostać. Rozejrzała się jeszcze z niepokojem w poszukiwaniu Izis, ale suczka pewnie tym razem została na swoim posłaniu. Drzwi do kuchni były zamknięte i częściowo chroniły ją przed hałasem. Laura mimo to obawiała się o nią. Rozważała, czy do niej nie zajrzeć, ale ostatecznie uznała, że jej właściciel nie narażałby swojej pupilki na stres. Z pewnością odpowiednio się o nią

zatroszczył.

Po niedługim czasie zapomniała jednak o psie i przestał jej przeszkadzać hałas. Z rosnącą ciekawością obserwowała każdy kolejny zamach młota. Okruchy tynku sypały się na jej spodnie i buty. Skonstatowała też mimowolnie, że mężczyzna rozpoczął dewastację w miejscu najbardziej oddalonym od tajemniczego szkicu na ścianie, jakby zależało mu na jego zachowaniu. Przynajmniej na razie, bo pewnie i tak trzeba będzie zburzyć całą ścianę. Dziwiła się, że mimo tej perspektywy usiłował ocalić rysunek.

– Proszę uważać! – Lichota przerwał na moment pracę i przetarł wyjętą z kieszeni chustką zakurzone okulary ochronne. Gestem wskazał uchylone drzwi jednego z pokoi. – Coś może trafić panią na przykład w oko i będzie kłopot. Lepiej się schować.

Cofnęła się posłusznie, choć chętniej podeszłaby jeszcze bliżej. W ścianie powstał właśnie niewielki otwór, jednak na razie niewiele było widać. Należało go powiększyć. Lichota znów przystąpił do pracy, ale już po kilku kolejnych uderzeniach przerwał. Zmarszczył czoło, wyraźnie zaniepokojony, i odłożył młot. Poświecił do środka latarką.

– O mój Boże – jęknął z ewidentną rozpaczą w głosie.

– Co? – Laura podbiegła do niego. Usiłowała też coś zobaczyć, ale otwór był za wysoko. Rozejrzała się za drabiną albo jakimś stołkiem, w końcu wzięła jedną ze stojących w kącie puszek z farbą i stanęła na niej. Lichota, wciąż nic nie mówiąc, podał jej latarkę.

– Ale... – Obejrzała się z pytaniem w oczach. Na moment odebrało jej mowę. – Jak to możliwe? – wydukała wreszcie.

Mężczyzna patrzył na nią bezradnie. Wydawał się zdruzgotany.

– Nie wiem, ale będą z tego potężne kłopoty.

– Przecież plany mówią coś innego! Jak to się stało, że sąsiedzi zagospodarowali fragment naszej... to znaczy pana szafy? – Poprawiła się, przypomniawszy sobie w porę, że dom już nie należy do rodziny. – I to całkiem spory fragment!

Wciąż z niedowierzaniem wpatrywała się w widoczne w wykutym otworze ubrania na wieszakach, z całą pewnością współczesne, więc niewątpliwie należące do państwa Bączków mieszkających w drugiej części domu.

– O to musimy spytać już ich. – Rzucił okiem w stronę okna wychodzącego na ulicę. – I chyba będziemy mieli za chwilę okazję. Wydaje mi się, że słyszę ich samochód. Zostawiłem im na poczcie głosowej tyle wiadomości z prośbą o kontakt, że w końcu zareagowali. Teraz pewnie się zaczną...

Kręcił z przejęciem głową, spoglądając na wyjęty z kieszeni telefon. Pokazał Laurze wyświetlacz i kilka nieodebranych połączeń. Przez hałas i słuchawki nie słyszeli dzwonka, gdy sąsiedzi usiłowali się skontaktować.

Laura nie miała okazji dotąd ich poznać. Kupili swoją część domu nieco wcześniej. Rozmawiała tylko raz z ich synem i wydawał się sympatyczny. Niestety, pan Henryk miał już chyba nie najlepsze doświadczenie w relacjach z sąsiadami i dlatego przewidywał kłopoty. Pewnie też z tego powodu nie dopytywał ich dotąd o niezgodności w planach domu. Aż skulił się w sobie, gdy dojrzał korpulentną kobietę zmierzającą dziarsko w ich stronę i mężczyznę o podobnej posturze, stąpającego równie pewnym krokiem. Widząc to, Laura wzięła sprawy w swoje ręce. Dosłownie, bo z planami w garści wybiegła na werandę.

Najpierw obejrzeliby straty. Rozmowa była krótka, ale sprawiła, że tym razem Laura wręcz gotowała się z nerwów. Nie bacząc na porę i różnicę czasu, od razu zatelefonowała do Naperville.

– Wyleciało im z głowy, bo uznali to za mało ważne – oświadczyła cierpko, gdy już udało jej się porozumieć z zaspianą matką.

Rodzice nie powiedzieli jej, że od dawna wiedzą o dziwnym schowku wyodrębnionym z dwóch sąsiadujących ze sobą korytarzy należących do osobnych mieszkań – pomieszczeniu niewiadomego pochodzenia o szerokości metra, bez okien, ale za to ze śladem po zamurowanych drzwiach od strony domu rodzinnego Laury. Tak przynajmniej twierdzili Bączkowie, którzy odkryli je podczas remontu, a potem – jak się okazało za zgodą Ireny Kossackiej-Szubaj i symboliczną opłatą – przejęli niespodziewany dodatkowy metraż, dołączając go do własnego przedpokoju i urządzając w nim garderobę.

– Dobrze, że przynajmniej zachowali to, co przy okazji znaleźli. – Ekscytował się Lichota, nie bacząc na podenerwowanie Laury. – Mam nadzieję, że zwrócą, tak jak obiecali. Szkoda tylko, że jeszcze nie dziś.

Był zdecydowanie bardziej zainteresowany wspomnianym znaleziskiem niż faktem bezpowrotnej utraty fragmentu korytarza. Nie chciał nawet słyszeć o rekompensacie finansowej. Machnął na to ręką. Był wyraźnie zawiedziony informacją, że na prośbę rodziców Laury sąsiedzi zobowiązali się przechować tajemniczą skrzynkę znaną w schowku, ale z braku miejsca u siebie wywieźli ją do rodziny na wieś.

– Przejrzeli wszystko dokładnie i podobno to tylko stare papierzyska. Pożydowskie, pewnie przedwojenne – tłumaczyła Laura. – Możliwe, że to ma jakiś związek z kabalistycznym drzewem życia na ścianie. Ktoś miał tam skrytkę i opróżnił ją w stosownym czasie – snuła domysły. – Zostawił tylko bezwartościowe szpargały. A potem, żeby nie dawać powodów do podejrzeń i niepotrzebnych sensacji, na powrót ją zamurował.

– Wcale nie wiemy, czy te papiery są bezwartościowe. Należy je jeszcze raz obejrzeć!

Na twarzy historyka rozgrywał się prawdziwy spektakl różnorodnych emocji.

Laura wcale się temu nie dziwiła. Miał prawo być podekscytowany, skoro fascynowały go stare bilety na pociąg czy strzępki gazet znalezione pod podłogą. W tajemniczej skrzyni spodziewał się pewnie odkryć więcej historycznych ciekawostek i dlatego pragnął jak najszybciej poznać jej zawartość. Świadczyły o tym wypieki na twarzy i mocno błyszczące oczy. Laura zaniepokoiła się nawet, czy nadmiar wrażeń nie odbije się na zdrowiu starszego pana.

– Ale pomoże mi pan przejrzeć to znalezisko, prawda? – zagadnęła go. Liczyła, że dzięki temu się uspokoi. Bała się o niego. Na oko wyglądał na zdrowego i silnego mężczyznę, porwał się przecież na samodzielny remont domu, ale z racji wieku i łatwego ulegania emocjom mógł mieć słabe serce. – Z pana wiedzą historyczną będzie łatwiej – dodała jeszcze na wszelki wypadek.

Pokiwał energicznie głową nadzwyczaj uradowany.

– Powiadomi mnie pan, jak tylko ci ludzie przywiozą skrzynkę? – spytała, szykując się już do wyjścia.

Znów przytaknął. Euforia prawdopodobnie odebrała mu mowę. Stał z przyklejonym do twarzy uśmiechem i bezwiednie zacierał ręce.

Pożegnała się szybko, ale nie od razu wróciła do Bujan, mimo że obiecała to ciotce. Zamiast tego skręciła w ulicę wiodącą wzdłuż rozległego, przykościelnego ogrodu wprost do jedwabieńskiego cmentarza.

Nie znała zbyt dobrze historii swojej rodziny, a przynajmniej nie w takim stopniu, jak powinna. Niewiele wiedziała o nieżyjących od dawna przodkach, swoim pochodzeniu, korzeniach. Właściwie tylko tyle, ile sama zaobserwowała i dowiedziała się, właściwie mimochodem, bo nigdy specjalnie o to nie zabiegała.

Rodzice rzadko wspominali swoje przeszłe życie i tym samym członków rodziny, których Laura nie zdążyła poznać albo poznała zbyt słabo, by móc ich wspominać z sentymentem, a tym bardziej z czułością. Dlatego zdumiała się, gdy niejaki Alojzy Kossacki, o którym opowiadał na jednej ze szkolnych lekcji historii miejscowy regionalista, okazał się jej własnym prapradziadkiem. Dowiedziała się wówczas, że był sukiennikiem sprowadzonym w dziewiętnastym wieku z odległej Pomeranii do Jedwabnego w związku z planami uprzemysłowienia miasteczka za namową miejscowego dziedzica, Rajmunda Rembielińskiego – prezesa Komisji Województwa Mazowieckiego. Plany niestety się nie powiodły, na czym skorzystała imponująco zindustrializowana Łódź, w której dzięki staraniom owego ambitnego działacza sprawnie rozwinął się przemysł włókienniczy. W Jedwabnem z wielu powodów to się nie udało, sukiennicy mimo udzielonych im przywilejów zwinęli swoje warsztaty tkackie w poszukiwaniu lepszych miejsc dla prowadzenia

interesów. Wśród nielicznych, którzy zostali, był syn Alojzego, Kajetan Kossacki. Zatrzymała go jednak nie wiara w powodzenie przemysłowego przedsięwzięcia, a miłość. Zakochał się bez pamięci w młodszej od siebie o ponad dwadzieścia lat córce żydowskiego rękawicznika Eliasza Rosena. Ożenił się z nią, potem urodziły im się bliźnięta: Leonia, matka ciotki Heleny, i Jakub – dziadek Laury.

Gdy Laura zaintrygowana opowieściami regionalisty zajrzała do rodzinnego albumu ciotki i zobaczyła po raz pierwszy fotografie przedstawiające upozowaną Eleonorę Kossacką z domu Rosen, zwątpiła nieco w prawdziwość historii o romantycznej miłości swoich pradziadków. I wcale nie dlatego, że prababce brakowało urody. Wprost przeciwnie, była piękną kobietą, a raczej mogłaby nią być, gdyby nie zaciśnięte groźnie usta, odstręczający chłód w spojrzeniu, postarzająca gładka fryzura i zapięta sztywno pod samą brodę stójka czarnej sukni, co tylko potęgowało odpychające wrażenie. Eleonora wyglądała niesympatycznie. Oschle i nieprzystępnie, w przeciwieństwie do przystojnego pradziadka Kajetana o śmiejących się oczach i zawadiackim, choć odrobinę melancholijnym spojrzeniu. Dlatego trudno było sobie wyobrazić tę ich szaleńczą miłość pokonującą przeszkody w postaci chociażby różnic kulturowych. Bo choć – według relacji historyka – matka Eleonory, tak jak jej przyszły zięć, była gojką, to ojciec mimo wszystko pozostawał Żydem. Bez wątplenia musiało to mieć wpływ na przyszłe życie młodych.

Laura dzieliła się swoimi wątpliwościami z Heleną, ale ta tylko rozkładała bezradnie ręce. Nie wiedziała, jak było naprawdę. Zasłaniała się kiepską pamięcią albo odpowiadała zdawkowo, że miłość chadza czasem najbardziej dziwnymi ścieżkami, i uczucie, które splotło losy Eleonory i Kajetana, takie z pewnością było. Niczego więcej nie chciała powiedzieć, mimo że musiała pamiętać swoją babkę. W chwili śmierci Eleonory jej wnuczka miała prawie siedem lat.

Laura z kolei o własnych dziadkach rzeczywiście wiedziała bardzo niewiele. Jakub, syn Kajetana i Eleonory, zmarł wiele lat przed narodzinami jedynej wnuczki, z kolei o babce, którą zdążyła poznać, wołałaby nie pamiętać. Mimo to w jej głowie nadal tkwił obraz wyniszczonej chorobą kobiety o zapadniętych policzkach i ściągniętej bólem twarzy, na której czasem tylko pojawiał się grymas udający uśmiech. Najczęściej na widok siedmioletniej wówczas Laury. Unosiła wtedy z trudem żółtą, pomarszczoną dłoń i przywoływała ją do siebie tylko skinieniem. Laura siadała na brzegu łóżka, w nogach, jak najdalej od babki, która budziła w niej nie tyle strach, co wstręt. Gdyby nie musiała, w ogóle nie wchodziłaby do pokoju, w którym powietrze było wiecznie gęste od woni moczu, potu i zgnilizny wyczuwanej w płytkim oddechu chorej. Wzdrygała się przed tym, a jednocześnie pragnęła pomóc matce wycieńczonej opieką nad niewstającą z łóżka staruszką. Zwykle sprowadzało się to do posiedzenia przy niej chwilę albo głośnego czytania.

Początkowo były to fragmenty Biblii, ale Laura szybko odkryła, że babcię Zofię to męczy, bo zaciskała wówczas oczy i usiłowała zasnąć. Albo po prostu udawała, że śpi. Całkiem inaczej niż wtedy, gdy Laura przynosiła jej własne szkolne lektury. Staruszka słuchała z wyraźnym zainteresowaniem, czasem prosiła wręcz, by jakiś fragment przeczytać jeszcze raz.

– Gdybym znalazła taki czarodziejski koralik, jaki miała Karolcia, poprosiłabym... – wyszeptała kiedyś, nie patrząc na wnuczkę. – Poprosiłabym...

– Żeby wyzdrowieć? – domyśliła się Laura.

– Żeby nigdy nie zachorować. Móc umrzeć ze zwyczajnej starości, nawet jeśli miałyby to nastąpić wcześniej. I żeby rak przestał istnieć. W ogóle... Dla wszystkich.

Laura skuliła się na wspomnienie tych słów. Bezwiednie włożyła rękę do kieszeni dzinsów i ścisnęła w palcach szklany paciorek. Sama nie wiedząc dlaczego, wciąż nosiła go przy sobie. Bo nawet gdyby miał magiczną moc niebieskiego koralika Karolci z powieści Marii Krüger, i tak nie zmieniłby tego, co już się stało. Nie cofnąłby czasu, nie zapobiegł cierpieniu, którego skutków nie można już było odwołać.

Mógłby jedynie zapobiec kolejnym.

Kiedy babka umarła, Laura poczuła ulgę tak wielką, że tylko lęk przed karą powstrzymał ją przed roześmianiem się w głos. Nie rozumiała, dlaczego matka ciągle płacze. Powinna przecież poczuć to samo, co ona. Śmierć litościwie przerwała potworne cierpienia chorej, a matkę uwolniła od przytłaczającego jarzma, pozwoliła w końcu odpocząć, wywietrzyć pokój Zofii. Wyrzucić jej meble i wciąż wiszące w szafie, nikomu już niepotrzebne sukienki.

Tymczasem matka godzinami przesiadywała w cuchnącym nieustannie pokoju i płakała. Laura wchodziła tam za nią, otwierała na całą szerokość okna, żeby wpuścić jak najwięcej powietrza i słońca, a potem ze wstrzymywanym oddechem długo głaskała matkę po włosach i plecach, zdziwiona, że ta tego nie dostrzega. Była zbyt mocno pogrążona we własnym cierpieniu, by zauważyć córkę i jej starania. Dokładnie tak samo, jak dwa lata później, gdy Laura tak bardzo potrzebowała, by to ją głaskano po plecach i otwierano okna po to, by wypędzić otaczający ją wówczas mroczny zaduch i zrobić miejsce dla nowej nadziei.

Zofia Kossacka od blisko trzydziestu lat spoczywała obok swojego męża Jakuba i jego siostry Leonii w rodzinnym grobowcu na cmentarzu w Jedwabnem. Laura spędziła tam dziś zaledwie kilka chwil. Tak jak zawsze, gdy poczucie obowiązku nakazywało jej przyjść i zapalić znicz. Tym razem jednak po raz pierwszy naprawdę tego potrzebowała, mimo że wciąż niewystarczająco mocno, by zostać dłużej niż zwykle. Nawet dla Leonii.

Matka ciotki Heleny, bliźniacza siostra dziadka Laury, była podobno kobietą niezwykłą. Tak twierdziła Helena, która nie zdążyła się nią należycie nacieszyć,

ponieważ zbyt późno przyszła na świat – jako trzecie dziecko Leonii i Aarona Albrechtów. Rodzeństwo, sporo starsze od niej, szybko rozjechało się po świecie i zajęło własnymi sprawami, dlatego Helena po śmierci rodziców została sama.

Musiała czuć się wówczas bardzo samotna i nieszczęśliwa. Laura nigdy nie miała śmiałości ją o to wypytywać, ale jednocześnie odnosiła wrażenie, że Leonia wlała w swoją najmłodszą córkę tak wiele matczynej miłości, by nie wyczerpała się nawet wtedy, gdy jej samej zabraknie. W dodatku zostawiła po sobie tak dużo dobrych wspomnień, że dzięki nim nigdy nie odeszła do końca. Laura, mimo że jej własna matka żyła, miała ją przy sobie o wiele krócej niż Helena swoją. I wcale nie dlatego, że mieszkali z dala od siebie, bo czasem ludzie, choć rozłączeni, potrafili być ze sobą bliżej niż ci mieszkający pod jednym dachem. Z matką rozdzieliło Laurę coś znacznie gorszego niż ocean. Wydarzenia sprzed lat nie tylko zostały w umyśle Laury trwały ślad, ale nadal w niej żyły.

Pojawiały się w snach i na jawie, w najtrudniejszych momentach życia. Wracały pod wpływem odświeżających je obrazów lub całkiem niespodziewanie, bez powodu. Wtedy zwykle czuła nagłe i bardzo wyraźne szarpnięcie nad karkiem. Słyszała tamten dźwięk. Nieprzyjemny chrzęst, a potem hałas odkładanych na stół nożyczek. I widziała swój długi błyszczący blond warkocz w rękach matki.

Przyjazd do Jedwabnego spowodował, że wspomnienia wróciły. Dziecięce koszmary znów panoszyły się w głowie dorosłej już kobiety. Nie pomogła wizyta na cmentarzu ani relaksująca kąpiel po powrocie do domu w Bujanach, ani nawet długa rozmowa przez komunikator internetowy z mężem i córkami. Bliźniaczki z wypiekami na twarzach opowiadały o wycieczce do akwarium i Lincoln Park Zoo. Słuchała ich z uwagą i przez moment prawie zapomniała o ostatnich wydarzeniach, jednak kiedy tylko zamknęła laptopa, powróciła do dawnego stanu.

Znów miała przed oczami obraz odgrzebany niechcący z pamięci w starym domu w Jedwabnem, niby już nie tym samym, a jednak nadal pełnym cieni przeszłości.

– Inne dziewczynki miały wianki – odezwała się do ciotki po długiej chwili milczenia, gdy z herbatą w fajansowych kubkach wyszły przed dom i usiadły na ławce, by delektować się wspólnie panującą wokół ciszą i wyjątkowo ciepłym, pogodnym wieczorem.

Ciotka obejrzała się ze zdziwieniem.

– Inne dziewczynki?

Laura nie podniosła na nią wzroku.

– A ja miałam tę okropną chustkę na głowie – wyszeptała ledwie słyszalnie.

– Nie była okropna. – Helena zdecydowanie pokręciła głową. Wreszcie do niej dotarło, o czym mówi Laura. – Zwyczajna, biała.

– No właśnie. Zwyczajna...

– Jeśli coś jest zwyczajne, wcale nie znaczy, że brzydkie. A tamta chustka

w swej prostocie była bardzo ładna.

– Ale nie była wiankiem. Inne dziewczynki miały wianki – powtórzyła z uporem.

– I welony. – Ciotka usiłowała obrócić rozmowę w żart, choć przychodziło jej to z trudem. Samej nie było jej do śmiechu. – Doczepione do wianków z plastikowych kwiatów, różyczek niemalże większych od ich głów. To już chyba chustka lepsza.

– Nie wszystkie nosiły welony. Niektóre miały żywe wianki. Z frezji albo stokrotek. Bardzo chciałam mieć wianek ze stokrotek.

– Przecież mogłaś...

Laura ucieszyła się, że jest ciemno, gdy poczuła na policzkach wilgoć. Potoczyło się po nich kilka dużych łez. Wytarła je ukradkiem, ale nie powstrzymała pociągania nosem. Zawstydziło ją to i niespodziewanie rozzłościło. Zacisnęła powieki i zęby, by nie rozsypać się ostatecznie, nie wybuchnąć. A przynajmniej nie w obecności ciotki, która przecież nie była niczemu winna. Wprost przeciwnie, uratowała ją wtedy.

– Nie mogłam – załkała mimo woli. – Niczego nie mogłam, bo inni wiedzieli lepiej, co jest dla mnie dobre, a co nie. A ja chciałam mieć wianek i długie włosy. Bez loków, jak inne dziewczynki, ale za to najdłuższe. Do pasa, jak królowa Narnii. A ona, moja matka, ścięła mi je.

– To nie był zły pomysł. I tak już niedługo byś się nimi cieszyła. Irena szukała sposobu, żeby je jakoś uratować. Mimo wszystko. Żebyś miała nadal ten swój warkocz.

– Nie! – Laura pokręciła energicznie głową. – To był bardzo zły pomysł. Najgorszy z możliwych. Poczulałam się wtedy, jakbym już umierała. Po kawałku. Najpierw włosy, potem miała przyjść kolej na mnie. Bo one były martwe i już nie moje. Jak mogła pomyśleć, że zechcę nosić na głowie truchło? Już lepszy był mój łysy łeb! Albo ta cholerna chustka!

Przestawała się kontrolować. Spanikowana przycisnęła pięść do ust i wstrzymała oddech.

– Perukę nazywasz truchłem?

– Te włosy były martwe – powtórzyła, wolno cedząc słowa. – Już nie moje. Tylko by mi przypominały, że też niedługo umrę.

– Nie umarłaś.

– Ale w końcu tak by się stało, gdyby nie twoje komórki macierzyste. Przecież chemia nie pomogła na długo. Zresztą wtedy byłam święcie przekonana, że umrę. Tak jak babka Zofia. I że wcześniej stanę się taka, jak ona.

Zabrakło jej odwagi, by określić, jaka dokładnie. Obrzydliwa. Cuchnąca zgnilizną i śmiercią.

– Dla Zofii było już za późno na ratunek. – Ciotka mówiła prawie szeptem,

wydawało się, że również ukradkiem przetyka łyzy. – W dodatku miała już swoje lata, gdy zachorowała, a ty byłaś młoda i silna. Poza tym to był całkiem inny rodzaj nowotworu. I od początku miałaś ogromną szansę na całkowite wyzdrowienie. Tak mówili lekarze.

– Jak miałam w to uwierzyć, skoro nawet ona nie wierzyła? Moja własna matka? Zachowywała się, jakbym mogła umrzeć w każdej chwili. To dlatego nie pozwoliła mi przystąpić do Pierwszej Komunii Świętej później. Kiedy odrosną mi włosy. Bała się, że tego nie doczekam.

– To prawda. Była przerażona.

– I dlatego przeoczyła mój strach?! Przez nią bez przerwy myślałam tylko o tym, że któregoś dnia po prostu się nie obudzę. Nie pomogła mi.

– Była tuż obok. Nieustannie. Trwała przy tobie.

Helena objęła ją ramieniem.

– To nie tak. – Laura z trudem powstrzymała się przed wyszarpieniem z uścisku. Dłonie Heleny były gorące, powinny koić, a tymczasem parzyły. – Trwała, ale była zbyt pogrążona we własnej rozpacz, żeby dostrzec moją. Nie pomogła mi...

– Miała swoje powody.

– Wiem. Rok wcześniej straciła matkę, ale to i tak jej nie usprawiedliwiło.

– Powinnaś z nią wreszcie o tym porozmawiać – powiedziała Helena, ścisnąwszy jeszcze mocniej jej ramię. – Szczerze. Opowiedzieć, jak się wtedy czułaś i co się dzieje z tobą nadal.

– Wiem. Staram się za każdym razem i za każdym razem coś idzie nie tak. Może mam nadzieję, że ona też mi w końcu powie, co tak naprawę myśli, co czuje?

– Kocha cię.

– Wiem. – Laura wstrzymała na chwilę oddech. – Ale wcale tego nie doświadczam.

– Bo wiecznie się rozmijacie. Pędzicie do siebie, wyciągacie ręce i w ostatniej chwili zaledwie ocieracie się ramionami, a potem znów się oddalacie. Coraz bardziej. Zmierzacie w przeciwne strony. W dodatku w dwóch skrajnie różnych światach...

– I to jest ta przyczyna, dla której nie możemy się porozumieć? – Laura podniosła na ciotkę zdumiony wzrok. Nie spodziewała się usłyszeć podobnych banałów z jej ust. – Bo żyjemy w dwóch różnych światach?

– Nie. Nie wy, ale ty sama. To ty żyjesz w dwóch odmiennych światach, które sobie stworzyłaś. W jednym z nich nadal jesteś dzieckiem. Drugi, ten dorosły, zarezerwowałaś dla męża i córek. Bywasz raz w jednym, raz w drugim, zależnie od okoliczności, jednak w żadnym nie zrobiłaś miejsca dla swojej matki. Ani tej obecnej, ani tamtej, która umierała ze strachu o swoją ciężko chorą córeczkę. Myślę, że Irka to wie i dlatego tak uporczywie się do ciebie dobija, może

zbyt mocno i nerwowo, dlatego to niekiedy boli.

– Zgubiła klucz i robi to po omacku. A ja nawet nie wiem, czy naprawdę nie słyszę, czy po prostu nie chcę słyszeć jej pukania. Bo na początku wcale nie musiała się dobijać. Bardzo chciałam, żeby do mnie przyszła. Już wtedy, gdy umarła babcia Zofia, i jeszcze bardziej, gdy sama zachorowałam...

Urwała, znów zagryzając usta prawie do krwi, by powstrzymać płacz. Nadal nie potrafiła mówić o tym spokojnie. Za każdym razem, gdy wracała do tamtych chwil, stawała się małą dziewczynką, która chowa się do szafy i marzy o Narnii.

– Nigdy nie zrobię czegoś takiego moim córkom. Gdyby któraś z nich...

– Przestań! – Ciotka potrząsnęła nią lekko. – Twoje córki są zdrowe! Zachorowałaś na białaczkę, ale to wcale nie oznacza, że je też to spotka.

– Babcia umarła na raka. A mama miała kiedyś w piersi guz.

– Niezłościwy!

– Tylko że mój rak był już jak najbardziej złościwy. Cholernie złościwy i wredny, bo przeskoczył sobie jedno pokolenie, żeby dopaść właśnie mnie. Teraz się przyczaił, ale nigdy nie wiadomo, w którym momencie i kogo zaatakuje. Mnie, dziewczynki, a może ich dzieci. Wszystko przez ten pieprzony zmutowany gen, który pewnie im przekazałam. – Znów załkała.

– A może wcale nie przekazałaś? Zrób im badania, wtedy zyskasz pewność.

– Nie chcę. Boję się tej pewności...

Ciotka westchnęła. Jej oddech wyraźnie drżał. Również dłonie. Milczała chwilę, szukając prawdopodobnie odpowiednich słów, by rozładować napięcie. Uspokoić Laurę.

– To, że babcia miała raka, wcale nie oznacza, że wszystkie kobiety w rodzinie zachorują – zaczęła bardzo spokojnie, starając się panować nad głosem.

– Matka Zofii umarła śmiercią naturalną. Dziadek Jakub chorował na serce. Żadne z rodziców jego i mojej mamy nie zmarło na nowotwór.

Ostatnie słowa brzmiały już całkiem wiarygodnie. Helena najwyraźniej wierzyła w to, co mówi, natomiast Laura zerknęła na nią z powątpiewaniem w oczach.

– Tego nie wiesz na pewno. Przecież nie wiadomo nawet, gdzie jest ich grób.

– Ale wiadomo, że oboje, Eleonora i Kajetan, zginęli w tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym roku. – Podkreśliła mocniej ostatnie słowa.

– Skąd... Skąd właściwie ta pewność?

Tym razem nie uzyskała odpowiedzi. Za to, ku jej zaskoczeniu, niespodziewanie dla nich obu rozmowa zeszała na inne tory. Niechcący dotknęły rodzinnego tabu. O tym nie rozmawiało się nigdy, nawet między wierszami. Mimo istniejących przesłanek, że to, co się stało wówczas w Jedwabnem, mogło dotyczyć rodziny Kossackich.

Media z kolei o jedwabieńskim pogromie Żydów w lipcu czterdziestego

pierwszego roku mówiły dużo i chętnie. Niekiedy stanowiło to również kanwę wielu nowych, niekoniecznie prawdziwych historii i zbyt często stawało się orężem w ustach polityków. Wciąż trwały spory dotyczące odpowiedzialności, jakby rozstrzygnięcie w ogóle było możliwe. Bo Laura była przekonana, że nie jest, nie tylko ze względu na trudności z ustaleniem faktów. To wydawało się jej najmniej istotne. Ważniejszy był brak możliwości wniknięcia w serca i umysły tych, którzy byli świadkami ówczesnych wydarzeń, zrozumienia, co czuli i jak pojmowali swoją rzeczywistość. Nikt ze współcześnie żyjących ludzi nigdy nie zdoła zrozumieć człowieka, który miał nieszczęście trwać w tamtych czasach, o ile udało mu się w ogóle je przetrwać, by mógł o tym opowiedzieć. O ile chciał i potrafił to zrobić, bo na ogół nie umiał odnaleźć w sobie odpowiednich słów, dlatego wybierał milczenie.

Wojna siała nie tylko strach i zniszczenie, ale też dawała inne niechciane plony, trujące bądź zgniłe owoce i chwasty. Niektórym ludziom odbierała dusze, zmieniała ich serca w kamienie i zabijała w nich resztki człowieczeństwa. Zostawał tylko zwierzęcy instynkt nakazujący walkę o przetrwanie i terytorium. Zaślepieni tym, odgradzali się szczelnym murem od wszystkiego, co mogło im zagrozić, wszystkiego, co ludzkie i wcześniej dla nich najważniejsze, by zabić w sobie wstyd z powodu tego, kim się stali jako ofiary wojny.

Zapominali, kim byli wcześniej, z niezłomnym przekonaniem, że cokolwiek się zdarzy, już nigdy tacy nie będą. Mimo to pragnęli przetrwać, za wszelką cenę uratować siebie i swoich najbliższych. Próbowali zapomnieć o tym, na co patrzyli, gdy nie dało się zasłonić oczu, starali się nie myśleć o bólu własnym i cierpieniu innych. Dlatego ktoś, kto nie stał wtedy obok, nie powinien rościć sobie prawa do ferowania wyroków. Jeśli nie doświadczył tego samego, nie zobaczył na własne oczy, jak w stojącej w szczerym polu drewnianej stodole płonie żywcem ponad trzystu jedwabieńskich Żydów – mężczyzn, kobiet i dzieci, powinien na ten temat zamilknąć. Tak jak milczeli członkowie rodziny Kossackich, mimo podejrzeń, że wśród ofiar byli również Kajetan i Eleonora. Nigdy nie znaleźli potwierdzenia, ale ciotka wydawała się w to wierzyć, do czego właśnie bezwiednie się przyznała. Natomiast Laura wołała przyjąć, że to tylko rodzinna legenda, i poczułaby się lepiej, gdyby zyskała co do tego pewność.

– Nie ma żadnych dowodów, że oni tu wtedy jeszcze byli – drażyła temat.

Liczyła, że stanie się to teraz. Że uda się wreszcie wydobyć z ciotki fakty, które musiała znać, skoro tak bardzo była pewna swojej wersji śmierci dziadków. Poza tym Laura pragnęła zmienić temat krępującej ją rozmowy. Czuła się zbyt mocno zażenowana, by ją ciągnąć. I zbyt obnażona uczuciowo, dlatego musiała najpierw pocerować swoją warstwę ochronną, która niespodziewanie popękała i przetrzała się w zbyt wielu miejscach.

– Nie ma też dowodów na to, że ich tam nie było – zripostowała ciotka

i zacisnęła usta.

– Ale może zdążyli jednak wyjechać? – Laura nie ustępowała. Widoczny opór ciotki sprawił, że nagle zapragnęła poznać prawdę. Poza tym dzięki temu mogła nie myśleć o sobie. – Ich dzieci i wnuki przecież przeżyły wojnę – kontynuowała. – Poza tym Eleonora nie była Żydówką. Tylko jej ojciec. Matka już nie, a tożsamość żydowską dziedziczy się w linii żeńskiej. Dlatego prawdopodobnie nie było ich w tej stodole, nie spłonęli z innymi.

O zasadach dziedziczenia żydostwa wspominał Henryk Lichota, ale Laura też sprawdzała to wiele lat temu, wówczas, gdy na lekcji historii dowiedziała się o rękawiczniku Eliaszu Rosenie, ojcu prababki Eleonory. Żywiła cichą nadzieję, że dzięki starozakonnemu przodkowi sama też jest Żydówką. Bardzo jej to wtedy imponowało. Czuała się wyróżniona przez tak oryginalne pochodzenie, liczyła na zyskanie dzięki temu większej popularności wśród rówieśników. Kiedy ją uświadomiono, że Żydówką mogłaby być jedynie wtedy, gdyby jej matka, babka i prababka były wyznania mojżeszowego, odczuła zawód. Przestała zgłębiać temat, ale do dziś po ówczesnych rozterkach egzystencjalno-religijnych pozostała jej pewna fascynacja kulturą żydowską.

– Mogła przejąć dobrowolnie wiarę po ojcu – podsumowała Helena. – Ta skrzynia... – Splotła ramiona na piersiach i objęła się nimi, jakby nagle zrobiło jej się zimno, mimo że wieczór pozostawał wyjątkowo ciepły. – Wspominałaś, że są w niej jakieś dokumenty?

– Tak twierdzili ludzie, którzy ją znaleźli, ale równie dobrze mogą to być kompletnie bezwartościowe szpargały. Podobne do tych, które znalazł Lichota w różnych innych zakamarkach domu.

Laura rozłożyła bezradnie ręce. Nie przyznała, że jej samej chodziło po głowie coś podobnego. Liczyła po cichu, że w tajemniczej skrzyni, którą ktoś zamurował w schowku, odnajdą się dowody na to, jak naprawdę umarli pradiadkowie Kossaccy. Miała nadzieję, że wbrew wersji ciotki zdążyli opuścić Jedwabne, zanim doszło do pogromu, że jeśli zginęli, to nie w taki sposób. Nieznane było miejsce ich pochówku, ale musiało być na to wszystko jakieś racjonalne wytłumaczenie. Choćby takie, że ich groby przepadły w wojennej zawierusze, może też od początku nikt nie miał pojęcia, gdzie zostali pogrzebani.

Po powrocie z Jedwabnego opowiedziała ciotce o wszystkim, czego dowiedziała się od sąsiadów Lichoty. Również o wizycie na cmentarzu, a potem na plebanii. I o tym, jak próbowała dotrzeć do dokumentów, w których spodziewała się odnaleźć informację o miejscu pochówku pradiadków. Brała pod uwagę także i to, że naprawdę zginęli w czasie wojny i zostali pochowani przez przyjaciół lub sąsiadów – kogoś, kto ich znał. Grób mógł zostać zapomniany, co wcale nie znaczyło, że nigdy nie istniał. Łudziła się, że znajdzie jakiś ślad po nim. Wtedy zyskałaby pewność, że nie spłonęli w tamtej stodole, a grób prababki Eleonory na

katolickim cmentarzu udowodniłby, że przejęła wiarę męża, nie ojca.

Niestety poszukiwania się nie powiodły. Pomysł, by przyjrzeć się kamiennym nagrobkom na pobliskim cmentarzu żydowskim, również wydał się chybiony. Napisy, które się na nich zachowały, były ledwie czytelne, w dodatku wszystkie sporządzone w języku hebrajskim. Pamiętała je, gdy jeszcze jako dziecko bawiła się tam w chowanego albo z innymi dziećmiakami śledziła kryjące się między leszczynami zakochane pary. Mogiłki... – tak nazywano pofałdowany, orzechowy zagajnik, w którym wciąż tkwiły w ziemi porośnięte mchem głązy. Jednak jeśli pod którymkolwiek z nich spoczywali jej przodkowie, już nikt nigdy tego nie sprawdzi.

Pozostawała nadzieja, że dokumenty znajdujące się w skrzyni cokolwiek wyjaśnią.

– Jutro powinnam wszystko odzyskać. Jeśli masz ochotę, możesz ze mną pojechać.

Tak naprawdę wołała zrobić to sama, ale nie chciała, by Helena czuła się pominięta. W tajemniczych papierach mogło znaleźć się coś dotyczącego również jej rodziców. Ekscytacja ciotki, gdy dowiedziała się o znalezisku, wskazywała, że na to liczyła.

– Nie rozumiem tylko, dlaczego wywieźli to wszystko na wieś. – Laura zastanawiała się nad tym już wcześniej. Nie dawało jej to spokoju, ale dopiero teraz wypowiedziała swoje wątpliwości na głos. – Z tego, co mówili, to całkiem nieduża skrzynka. Mogli ją upchnąć w dowolnym kącie na strychu albo w piwnicy, gdziekolwiek.

– Może się bali.

– Czego?

– Tego, co ktoś w niej schował. A potem jeszcze na wszelki wypadek zamurował w tajnym schowku.

– Nie rozumiem. Chodzi o sprawy związane z religią? Że niby jako katolicy nie akceptują żydowskiej?

– Raczej o to, że znalazło się tam coś związane z Żydami w ogóle. Sama wiesz, że Jedwabne nie jest najlepszym miejscem dla takich rzeczy. I wcale nie dlatego, że ludzie są tu uprzedzeni. Sądzę, że państwo Bączkowie obawiali się czegoś zupełnie innego. – Zamilkła na krótką chwilę i rozejrzała się niepewnie. – Bali się konsekwencji.

– Chyba trochę przesadzasz! – Laura się zachnęła. – Jakich konsekwencji? Myślisz o linczu? O tym, że świat od razu wyda na nich wyrok, czy czymś równie niedorzecznym? Przecież to ich nie dotyczy! Pewnie sami, tak jak inni, nie wiedzą do końca, jak było naprawdę. Nie było ich przy tym, dlatego nie mogą wziąć na siebie odpowiedzialności za to, co się wówczas stało, ani tym bardziej tłumaczyć się czy kogokolwiek przepraszać. Poza tym mamy dwudziesty pierwszy wiek!

Teraz żyje się i myśli zupełnie inaczej niż kiedyś.

– W przypadku niektórych spraw nie ma znaczenia, w jakich czasach żyjemy. Ludzie pod pewnymi względami wcale się nie zmieniają, a świat, wbrew temu, co uważasz, bardzo łatwo feruje wyroki. Takie jest moje zdanie. – Ciotka podparła brodę w chwilowym zamyśleniu. – Z drugiej strony, nie nam oceniać tych, którzy żyli przed ponad półwieczem, bo syty nigdy nie zrozumie głodnego, a głodny będzie sytemu zazdrościł. Nie jest też tajemnicą, że od zawsze po Ziemi chodzili ludzie dobrzy i źli, czy tego chcemy, czy nie. Tak samo kiedyś, jak i dziś. Z powodu tych drugich jak świat światem działy się rzeczy straszne i... one dzieją się nadal. Tu i teraz, tylko pewnie będą to oceniać dopiero ci, którzy przyjdą po nas. Niestety, bo tak być nie powinno. A na pytanie o to, jak być powinno, każdy musi odpowiedzieć sobie sam.

Kolejny raz zaparkowała przed domem w Jedwabnem. Z nadzieją, że tym razem już naprawdę po raz ostatni.

Wczesnym rankiem Henryk Lichota powiadomił ją, że Bączkowie zwrócili skrzynię. W jego głosie nie było jednak entuzjazmu. Laurę zaskoczyło to i jeszcze bardziej zaniepokoiło. Mężczyzna początkowo nie chciał zdradzić powodu swojego rozczarowania, a nawet się go wypierał, ale naciskany przyznał w końcu, że znalezisko jest w opłakanym stanie.

– Drewno zawilgotniało, wszędzie są ślady pleśni – westchnął. – Wydaje mi się, że trzymali to w jakiejś oborze. Nawet zapach na to wskazuje.

– A zawartość? – Niecierpliwiła się. – Jak wygląda zawartość?

– Nie wiem, nie zaglądałem do środka.

Wydawał się zaskoczony jej pytaniem. Nie rozumiała, dlaczego.

– Skrzynia jest zamknięta? Brakuje klucza? – dopytywała.

– Nie, skądże, wieko jest wręcz całkiem luźne i prawie odpada. Jednak nie ośmieliłbym się sam...

– Ależ proszę nie żartować! – Teraz zirytowała się nieznacznie. – Przecież tamci ludzie już dawno temu przejrzeliby ją sobie dokładnie. Wątpię, by pytali

o pozwolenie, rodzice nie wspominali mi o tym. Zupełnie niepotrzebnie się pan kryguje. Proszę jak najszybciej wyjąć stamtąd wszystko. Cokolwiek tam jest. – W tym momencie pomyślała o potencjalnych odrażających lokatorach i wszystkim, co mogło się zalegnać lub uwić gniazdo wśród papierzysek, ale powstrzymała się przed zwerbalizowaniem obaw. – Jeśli skrzynia jest mokra, zawartość pewnie też. Niech wszystko trochę przeschnie, zanim przyjadę, bo mokry papier łatwiej jest niechcący uszkodzić.

Zyskała pretekst, by odłożyć oględziny znaleziska na później. Wciąż interesowała ją zawartość, ale potrzebowała czasu na tym razem spokojne przygotowanie śniadania dla siebie i ciotki. Należało się jej też trochę porannego relaksu. Z kawą już bez kardamonu. Poza tym nieśpieszno jej było do przeglądania zapleśniałych papierzysek, a istniała szansa, że przez parę najbliższych godzin odparuje z nich przynajmniej część zbieranej przez ostatnie lata wilgoci, jak można było się domyślać raczej nieszczególnie aromatycznej. Już sam kontakt ze starociem zapowiadał się niezbyt przyjemnie, a dodatkowe atrakcje w postaci zapachu stęchlizny czy pojawienia się robactwa mogły to tylko pogorszyć. Za to pyszne śniadanie na werandzie miało moc sprawić, że dzień stanie się lepszy, bez względu na to, co jeszcze przyniesie.

– A przynajmniej lepszy niż miniony – mruknęła ponuro, wspominając poprzedni wieczór i rozmowę z ciotką.

Starannie układała na półmiskach wędlinę, ser, sałatę i pomidory. Zerkała też raz po raz w stronę pokoju starszej kobiety. Helena na ogół była rannym ptaszkiem, lecz tego dnia najwyraźniej postanowiła pospać dłużej. Laura parokrotnie podchodziła do drzwi i przystawiała do nich ucho. Nie pukała, by nie zbudzić śpiącej, a z drugiej strony niepokoiła się przedłużającą się ciszą. Wyszła nawet na zewnątrz, chcąc zajrzeć do pokoju ciotki przez okno, ale w ostatniej chwili zrezygnowała, zawstydzona niedorzecznym pomysłem. Z ulgą jednak zanotowała, że jest otwarte szerzej niż wcześniej, a na parapecie pojawiła się poduszka. Z pewnością nie działa się nic złego. Być może ciotka potrzebowała dłuższego niż zwykle odpoczynku, by ostudzić wrażenia. Albo, podobnie jak Laura, postanowiła przemyśleć sobie ich wczorajszą rozmowę. Laurze zajęło to większość nocy, kiedy to, przewracając się z boku na bok, analizowała niemal każde słowo. Własne i przede wszystkim ciotki.

Zastanawiała się nad jej teorią o dwóch równoległych światach i życiu w rozkroku między jednym a drugim. Początkowo uznała pomysł za niedorzeczny, a nawet śmieszny. Potem jednak pomyślała o Narnii i o tym, że pragnienie, by się tam dostać, tak naprawdę nigdy w niej nie zgasło. Może nie było dokładnie takie, jak wówczas, gdy jako kilkuletnia dziewczynka marzyła o byciu Zuzanną – królową cudownej krainy, jednak nadal przesycone było ogromną tęsknotą za czymś, czego Laura nie potrafiła właściwie określić. Wiedziała tylko jedno – że

jest to coś, dzięki czemu odnajdzie wreszcie swoje szczęście. Ale czy to oznaczało, że obecnie nie czuła się szczęśliwa?

Zamarła z nożem do smarowania pieczywa uniesionym nad maselniczką i niespodziewaną myślą zastygła w jej umyśle, a potem zaczęła skrobać nerwowo zmrożoną kostkę. Jak mogło coś tak głupiego przyjść jej do głowy?

Przecież miała wszystko, czego kobieta potrzebuje do szczęścia. Przynajmniej według obowiązujących obecnie norm. Kochającego męża, wspaniałe córki, może nie wymarzoną, ale całkiem dobrą pracę, do tego stabilizację i poczucie bezpieczeństwa. Przy ostatnim słowie znów się zawahała. Przecież zaledwie wczoraj tłumaczyła ciotce, że nie czuje się bezpieczna. Że tak bardzo boi się o swoje dzieci i przeraża ją myśl o ich chorobie. Nie, zdecydowanie nie czuła się bezpieczna w tej właśnie kwestii. Myśl o nowotworze, który mógł zaatakować jej córki lub po raz kolejny ją samą, powracała do niej niemal każdego dnia. To dlatego, że wobec raka musiała być nieustannie czujna, bo wiedziała, że atakuje znienacka. I wtedy nikt nie jest w stanie pomóc, nawet ktoś, kto kocha tak mocno, że mógłby poświęcić wszystko. Tak jak matka, dla której życie dziecka jest niepoliczalnie cenniejsze niż jej własne.

W obliczu takiego zagrożenia matka pozostaje bezsilna. Właśnie to czułaby Laura, gdyby zachorowała któraś z bliźniaczek. Przerazającą bezradność. Ale czy mimo to poddałaby się i pograżyła w biernej rozpacz jak jej własna matka ponad dwadzieścia lat temu? Czy tak właśnie by się stało? Bo to bezsilność zabiła w Irenie wolę walki i nadzieję na wyzdrowienie córki. Czyżby popełniła tyle błędów wobec własnego dziecka tylko dlatego, że była zbyt słaba, by zmierzyć się z jego chorobą?

– Była obrzydliwym tchórzem – wyszeptała Laura i natychmiast zacisnęła usta, usłyszawszy skrzypnięcie drzwi.

Z lekkim roztargnieniem podniosła wzrok na ciotkę, która wreszcie wyłoniła się ze swojego pokoju.

– Przepraszam, trochę boli mnie głowa. Wzięłam rano proszek i chyba ponownie zasnęłam. – Helena stała w progu, nadal w koszuli nocnej i szlafroku. – Za chwilę będę gotowa. Zjem coś i możemy jechać.

– Nie musisz się śpieszyć, umówiłam się dopiero na popołudnie. – Laura patrzyła na nią z troską. Ciotka rzeczywiście nie wyglądała zbyt dobrze. Była blada, miała zapadnięte policzki. – Może połóż się jeszcze, co?

– Nie, lepiej nie. Myślę, że parę łyków świeżego powietrza i kawy szybciej postawią mnie na nogi. – Powiodła wzrokiem po zastawionym półmiskami stole. – Pięknie to wszystko przygotowałaś. – Uśmiechnęła się i sięgnęła do kieszeni szlafroka, gdzie właśnie rozdzwoniła się jej komórka. – Przepraszam – mruknęła, zamykając za sobą drzwi sypialni, zanim jeszcze odebrała telefon.

Laura patrzyła chwilę w tamtą stronę ze zmarszczonym czołem.

Przypomniała sobie, że w nocy również słyszała dźwięk telefonu. Wyrzała nawet na korytarz zaniepokojona, ale gdy usłyszała przyciszony głos ciotki, od razu się wycofała. Wiele wskazywało na to, że to jej własna matka niepokoi staruszkę o tak nieludzkiej porze. Nie pierwszy raz zapominała o różnicy czasu i pod wpływem nagłego impulsu wykręcała również numer córki, stawiając przy okazji na nogi zięcia i wnuczki.

Zastanawiające było, co tym razem stało się przyczyną nagłego telefonu do Bujan. Laura spodziewała się dowiedzieć tego przy okazji, bo sama nie zamierzała dopytywać. Nie była też pewna, czy chce znać szczegóły rozmowy matki i ciotki.

Helena wróciła wreszcie, ubrana i uczesana. Zrobiła sobie nawet lekki makijaż i przypięła do sukienki ukochaną kameę z zielonego i białego jadeitu, pamiątkę po matce noszoną tylko w wyjątkowe dni. Widać spodziewała się takiego. Miała nadzieję, że z dokumentów znalezionych w skrzyni dowie się czegoś o swoich rodzicach, zwłaszcza o ojcu, którego słabo pamiętała, ponieważ zmarł w pierwszym roku wojny, gdy miała zaledwie pięć lat. Pewnie dlatego rzadko o nim wspominała, dużo częściej mówiła o matce, wręcz hołubiła pamięć o niej. Czy to właśnie związane z tym emocje spowodowały jej poranną niedyspozycję?

Niestety, kolejne godziny nie przyniosły poprawy, a nawet pogorszyły samopoczucie ciotki. Położyła się znów w zaciemnionym pokoju i wszystko wskazywało na to, że nie pojedzie do Jedwabnego. Gdy zbliżał się czas spotkania z Lichotą, Laura wahała się jeszcze, czy nie przełożyć tego i zostać z ciotką, ale niecierpliwie ponaglana przez nią wsiadła wreszcie do samochodu. Obiecała jednak wrócić możliwie szybko.

Pan Henryk czekał na werandzie. Spacerował w tę i z powrotem, najwyraźniej zbyt zdenerwowany, żeby ustać w miejscu. Zatrzymywał się tylko od czasu do czasu przy stole i muskał końcami palców pożółkłe papiery – ułożone w równych rzędach, poprzekładane kawałkami bibuły wchłaniającej wilgoć. Osobno, na czystych lnianych szmatkach spoczywały trzy grube księgi w ciemnych oprawach. W całkiem niezłym stanie, przynajmniej na pierwszy rzut oka. Laura z rękami założonymi do tyłu pochyliła się, żeby im się przyjrzeć. Nie odważyła się jednak dotknąć ani tym bardziej unieść okładki, by zajrzeć do środka. I bez tego wystarczająco mocno drażnił ją zapach stęchlizny.

– To Zohar, Księga blasku. – Pośpieszył z wyjaśnieniem mężczyzna. – Najważniejszy tekst żydowskiej mistyki i kabały. Sprawdziłem to w internecie. Na szczęście woluminy niewiele ucierpiały, bo ktoś porządnie omotał je sukmem. Tkanina przyjęła na siebie prawie całe zawilgocenie.

– To trzy tomy czy jednakowe egzemplarze?

– Raczej tomy, ale nie jestem pewien, czy wszystkie. To bardzo obszerne dzieło. Nie wiem, czy tutaj kompletne. Spisano je w języku aramejskim

i hebrajskim. Te egzemplarze pochodzą z początku dziewiętnastego wieku. Wyczytałem, że Księga blasku została przetłumaczona w całości na angielski dopiero kilkanaście lat temu. – Podrapał się w głowę. – Pewnie dlatego, że kabała stała się ostatnio modna. Zwłaszcza wśród celebrytów. Niektórzy bardzo się z tym obnoszą, zawiązują na nadgarstkach czerwoną nić Racheli. Owija się ją wokół grobu pramatki, niełatwo ją zdobyć, ale widać jakoś im się to udaje. Albo też wiążą sobie na rękach taką z pasmanterii, dla efektu. Jeden z nowych elementów popkultury, rozumie pani, na czasie.

– Nie miałam o tym pojęcia. Wiele lat temu interesowałam się kulturą żydowską. Niestety nie kabałą. Trochę tylko czytałam o mistycyzmie żydowskim i chasydach, podobno nieakceptowanych przez ortodoksyjnych Żydów, o ile dobrze pamiętam – dodała w razie, gdyby się myliła, i od razu przyrzekła sobie w myślach jak najszybciej uzupełnić tę wiedzę. – O Zoharze jednak dotąd nie słyszałam. O Torze raczej albo Talmudzie.

– Zohar to właściwie komentarz do Tory, tak jak Talmud, ale mistyczny właśnie, ściśle związany z kabałą.

– Czyli to kabalistyczne drzewo życia nieprzypadkowo znalazło się za szafą?
– Kiwnęła brodą w stronę wnętrza domu. – Księga blasku jest na to dowodem.

– Nie tylko ona.

Mężczyzna ostrożnie podsunął jej jedną z pojedynczych, wciąż jeszcze wilgotnych kartek. Widniał na niej wyblakły nieco rysunek przypominający ten ze ściany. Również z motylem na dole, tylko wyraźniejszym. Laura rzuciła na niego okiem, a zaraz potem przeniosła wzrok na resztę papierów.

– Co jest na pozostałych? Też coś związanego z kabałą i mistycyzmem?

– Trudno powiedzieć. – Zasepił się nagle. – To jakieś luźne zapiski na osobnych kartkach, prawie nieczytelne. I wcale nie dlatego, że kiepsko przechowywane. Większość jest chyba w jidysz albo po hebrajsku. Nie znam się na tym za bardzo. A te nieliczne notatki po polsku też są prawie nie do odszyfrowania, bo autor miał mało staranny charakter pisma bądź też notował w wielkim pośpiechu. Znalazłem poza tym jakieś obliczenia i wykresy, trochę dat, ale i z tego niewiele można zrozumieć. Rozpoznałem jedynie nazwiska. Również żydowskie. I jeszcze symbole. Część z nich jest dość powszechna i od razu kojarzy się z judaizmem, innych nie zidentyfikowałem, ale przeczytałem o nich w internecie.

Prześledziła wzrokiem wszystkie kartki. Rzeczywiście, na niektórych widać było różnorakie znaki. W tym motyle. Tych było najwięcej, podobnie jak heksagramów.

– To gwiazda Dawida, prawda? – Wskazała najbliższy.

Inne symbole także widziała nie po raz pierwszy, jednakże nie potrafiła przypomnieć sobie ich znaczenia.

– Nazywana też pieczęcią Salomona – uzupełnił Lichota, kiwając głową. –

Niektórzy uważają, że trójkąty, z których się składa, symbolizują połączenie dwóch pierwotnych sił – męskiej i żeńskiej, dających początek nowemu życiu. – Sięgnął po kolejny papier ze szkicem przedstawiającym oko z ozdobnym zawijasem na dole. – A to jest oko Horusa. Pojawia się tutaj niemal równie często, jak heksagramy. Tak jak nie Racheli chroni przed złym spojrzeniem, poprawia jasnowidzenie, twórcze myślenie i kreatywność. Rozwija też intuicję. Podobno. Niekiedy traktuje się je nawet jako symbol władzy i wszechwiedzy – ciągnął w zamyśleniu, jakby sam zastanawiał się, ile w tym wszystkim jest prawdy, a ile hodowanego przez wieki zabobonu. – Oczy Horusa ponoć pomagały onegdaj stłamszonym i przygniecionym przez życie spojrzeć na nie z innej perspektywy, od środka, by odnaleźć szczęście ukryte we własnym wnętrzu. Żeby żyć w pełni świadomie i bez strachu. Bo oczy Horusa bywały jakby lustrem odbijającym prawdziwą naturę człowieka. Wierzono, że przez nie dusza zmarłego ogląda świat i dokonuje się reinkarnacja.

Mówiąc to, przymknął oczy, złączył palce obu dłoni i znów się zamyślił.

Laura słuchała jego słów z uwagą, ale nie komentowała. Mężczyzna zaimponował jej wiedzą. Obiecała sobie uzupełnić jak najszybciej własną i poszukać informacji o symbolach. Zwłaszcza o oku Horusa. Zaintrygowało ją jego rozbudowane znaczenie symboliczne. Wcześniej nigdy się z nim nie zetknęła.

– A motyle? – zagadnęła. – Czy one też coś znaczą? Jest ich tutaj tak dużo... I wszystkie niemal identyczne. Takie jak ten przy drzewie życia, z rozpostartymi skrzydełkami. Nie pojawiają się chyba tutaj przypadkowo albo dla ozdoby?

Ściągnął brwi, przyglądając się kartkom.

– Przyznam, że nie udało mi się tego rozszyfrować. W spisie symboli magicznych podobny motyl przypisany jest do pewnego hipisowskiego, zdaje się, ruchu o nazwie New Age. Jednak powstał on dopiero w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku, a nasze zapiski są znacznie starsze. Więc sam nie wiem... Ale tak sobie myślę, że przy pojmowaniu wszelkich znaków wiele zależy od kontekstu i tego, kto i jak je interpretuje. W co sam wierzy. Rozumie pani, o czym mówię? To dotyczy nie tylko tych tutaj, ale ogólnie. Na przykład tęcza. Niby niewinna, a budzi tyle kontrowersji właśnie przez różnorodność znaczeń. W przypadku motyla może być podobnie. Chociaż – zawahał się krótko – jest jeszcze coś, co łączy ze sobą te wszystkie symbole. Każdy z nich ma pewien związek z okultyzmem i alchemią mistyczną. Z kabałą również. W dodatku to nie wszystko. – Wciągnął mocno powietrze. – Chodzi mi jeszcze o tę rękawiczkę...

– Mam ją w ze sobą – przerwała mu. – Mogę przynieść.

Nie czekając na odpowiedź, pobiegła do samochodu. Przez chwilę zastanawiała się, czy zabrać też listy, zdecydowała jednak, że lepiej będzie, jeśli zostawi je na razie w schowku. Wróciła na werandę z samą tylko rękawiczką. Lichota wygładził ją delikatnie, położył obok trzech leżących osobno kartek

i wskazał symbol nadrukowany w ich rogach, a potem ten, który wyhaftowano na rękawiczce.

– Ale to chyba nie jest ten sam...? – Laura patrzyła z powątpiewaniem kolejno na brudną rękawiczkę, mężczyznę i papiery. – Podobny, ale mimo wszystko inny.

– Za to zbudowany z tych samych elementów. Wszystkie zawierają w sobie cyrkiel i węgielnicę, najważniejsze symbole masońskie.

– Bez przesady! – Mimowolnie się obruszyła. – Nie za dużo tu tego? Żydowskie księgi, kabała i jeszcze symbole masońskie?

– Wbrew pozorom to też w pewien sposób się łączy. Istnieją różne typy wolnomularstwa, między innymi masoneria mistyczna, związana z okultyzmem i ezoteryką, a niektórzy uważają, że również z kabałą. Dowodzą tego pewne rytuały masońskie, terminologia...

– A tutaj? Jak to wszystko łączy się tutaj? Dlaczego znalazły się tu akurat te znaki? Kto je tu zostawił? I przede wszystkim po co?

Ogarnął ją informacyjny przesyt powodujący kompletną dezinformację i miała wrażenie, że za moment eksploduje jej głowa. Chwyciła się za skronie i przycisnęła do nich mocno pięści. Ignorując wciąż unoszący się w powietrzu nieprzyjemny zapach, złapała kilka głębszych wdechów. Zastanawiała się nad prawdziwą przyczyną pogarszającego się samopoczucia. Czy zrazała ją pleśń na papierach i denerwowała ich niezrozumiała treść, czy coś zupełnie innego? Najchętniej zostawiłaby wszystko tak, jak to zastała, i czym prędzej wróciła do Bujan. Już sama myśl o tym przynosiła jej ulgę.

Mężczyzna tymczasem rozłożył bezradnie ręce.

– Sam chciałbym wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi. Głowią się nad tym od momentu, gdy ujrzałem te papiery. Niestety dla mnie to też zagadka. Mam, co prawda, pewną teorię na temat rękawiczki... – Zerknął na nią pytająco. Widać, zauważył jej znużenie i chęć ucieczki. Skinęła jednak głową, zatem kontynuował. – Wspominałem pani, że ojciec pani pradziadka, Alojzy Kossacki, przybył do Jedwabnego z Pomierania.

– Tak, był jednym z sukienników sprowadzonych tu przez Rembielińskiego – powtórzyła jego własne słowa.

– Z dziedzicem jedwabieńskich dóbr łączyło go jeszcze coś. – Wskazał rękawiczkę. – Obaj byli masonami. Podobnie zresztą jak później pani pradziadek, Kajetan Kossacki, syn Alojzego. Istnieją na to dowody, wzmianki we wspomnieniach innych masonów.

– Dobrze – przytaknęła ostrożnie. – Załóżmy, że ma pan rację. Co w związku z tym?

– Istnieje taka piękna anegdota opisana przez panią Danutę Bieńkowską w jednej z jej książek o Rajmundzie Rembielińskim, Kawalerze Różanego Krzyża.

Znalazła się tam wzmianka o masońskim obyczaju, zgodnie z którym członek loży wolnomularskiej tylko jeden jedyny raz w życiu mógł podarować specjalną parę rękawiczek z symbolami bractwa swojej ukochanej. Rembieliński ofiarował rękawiczki drugiej żonie, Antoninie z Weltzów, jako symbol największego oddania i miłości. Może Kajetan Kossacki podarował podobne Eleonorze?

– Jeśli to prawda, moja prababka niespecjalnie doceniła gest, skoro jedna z nich skończyła wśród śmieci, które wpadły za szafę – zauważyła Laura z przekąsem.

Znów przypomniała sobie znany ze zdjęć wizerunek prababki, który w żaden sposób nie pasował do jakichkolwiek romantycznych uniesień. Może jej mąż kochał ją tak bardzo, że tego nie dostrzegął? Miłość przecież potrafi być ślepa. Ciekawe zatem, co czuł, jeśli naprawdę podarował jej masońskie rękawiczki w imię miłości, a ona po prostu rzuciła je w kąt.

– Mogła zgubić niechący. – Pan Henryk jakby odczytał jej myśli. – To się działo sto lat temu. Nie można po takim czasie nikogo osądzać. Nie wiemy, jak to naprawdę wyglądało.

– Ani czy pańska teoria jest wiarygodna. Przede wszystkim ta o przynależności moich przodków do loży wolnomularskiej. Pierwszy raz o tym słyszę!

Trudno jej było uwierzyć, że coś takiego mogło przejść bez echa w rodzinie, nawet takiej, w której nie przechowywano zbyt pieczołowicie wspomnień o przodkach. Tymczasem pradziadek Kajetan jawił się w oczach Laury jako coraz ciekawsza postać.

– Zgadza się, jeśli chodzi o rękawiczkę, tym bardziej że w przypadku Rembielińskiego to też może być tylko legenda – kontynuował tymczasem Lichota. – Natomiast co do drugiej kwestii, jak wspominałem, mam dowody. Proszę samej obejrzeć je sobie w tutejszej bibliotece, w dawnym dworze Rembielińskich. Zresztą tutaj, w dokumentacji, którą mamy przed sobą, też pojawiają się nazwiska pani przodków. O, proszę tylko spojrzeć. Kajetan Kossacki, syn Alojzego, Kawalera Różanego Krzyża. Rembielińskiemu też przynależał ten tytuł. Da się poza tym rozszyfrować jakieś pojedyncze słowa o zaprzysiężeniu i tajemnicach masońskich.

– I Rosen? – Wskazała palcem nabazgrane słowo, które niechący rzuciło jej się w oczy. Panieńskie nazwisko prababki? Czyżby i jej ojciec był masonem? A może również ona?

– Kobiet nie przyjmowano wówczas do łóż. Poza tym nie widziałem tu żadnej wzmianki o niej, choć ta, która tu jest, dotyczy właśnie kobiety. Ale niestety, choć nazwisko się zgadza, imię już nie.

– Jak to? Może w takim razie chodzi o jej matkę?

– Miała na imię Sara?

– Nie, o ile dobrze pamiętam chyba Maria. Albo Marianna... Tak, raczej

Marianna. W każdym razie na pewno nie Sara. – Znow przypomniła sobie wiadomości zdobyte na lekcji historii i po raz pierwszy pomyślała z goryczą, że nie stamtąd powinny pochodzić.

– Tutaj mamy Sarę. W dodatku w kilku miejscach. Sara Rosen. Mówi to pani coś?

Zaprzeczyła wolno. Nie miała pojęcia, kim jest Sara Rosen, jednak mimo to odnosiła wrażenie, że gdzieś już o niej słyszała. Z pewnością nie na pamiętnej lekcji z regionalistą. Tym bardziej nie mogli o niej wspominać rodzice kompletnie ignorujący rodzinną historię i znajomość własnego drzewa genealogicznego. A przecież na dźwięk wypowiedzianego przez Lichotę imienia i nazwiska drgnęło coś w jej głowie, niestety na zbyt krótką chwilę, by zdążyła to z czymkolwiek połączyć. Dotknęło ją to jednak dostatecznie mocno, by nie mogła przestać o tym myśleć.

Nazwisko tajemniczej Sary Rosen zapisane na pożółkłych stronicach wciąż absorbowало myśli Laury. Usiłowała przypomnieć sobie, gdzie je widziała lub słyszała, ale bezskutecznie. Przejrzała strony internetowe w poszukiwaniu genealogii rodu Rosen, rozważała też odwiedziny w jedwabieńskiej bibliotece albo Urzędzie Stanu Cywilnego, chociaż nie była pewna, czy wgląd do archiwalnych rejestrów gminnych będzie w ogóle możliwy. Wiedziała, że dopóki się tego nie dowie, będzie musiała zadowolić się tym, co odzyskała dzięki sąsiadom.

Jeszcze w Jedwabnem pozbyła się zatechłej skrzynki, a Księgę blasku owinęła porządnie w czyste lniane szmatki, które dostała od Henryka Lichoty, i włożyła do bagażnika. Planowała na razie zostawić tomiska na bujaneckim strychu. Liczyła, że tam doschną porządnie i niemiły zapach straci nieco na sile. Wtedy zabierze je do Warszawy i przekaże odpowiedniemu muzeum. O ile któreś będzie nimi zainteresowane.

Podsuszona papierzyska spakowała do czystego kartonowego pudełka, które również przygotował dla niej Lichota.

Ze względu na jego zaangażowanie nie miała odwagi ich wyrzucić, ale też nie bardzo uśmiechało się jej zabieranie ich sobą ze względu na niemiłą woń

i plamy pleśni. Dlatego ucieszyła się, gdy mężczyzna nieśmiało poprosił, by zostawiła mu je na kilka dni. Miał nadzieję znaleźć kogoś, kto je przetłumaczy.

– Proszę je sobie po prostu zatrzymać – zaproponowała, ku jego aprobacie.

Zanim oddała mu papiery, jeszcze raz im się przyjrzała. Najdłużej tym, na których pojawiało się intrygujące nazwisko. Liczyła, że wyczyta coś jeszcze, niestety, tak jak uprzedzał gospodarz, okazało się to niemożliwe.

Po powrocie do Bujan opowiedziała o znalezisku ciotce. Lecz Helena również nie kojarzyła wśród przodków nikogo o imieniu Sara. Z drugiej strony bardzo niewiele było wiadomo o rodzinie Eleonory z domu Rosen ponad to, że jej ojciec, właściciel niewielkiej fabryki rękawiczek, był wyznania mojżeszowego, a matka – prawdopodobnie katolickiego. Ich córka była jedynaczką, a przynajmniej nie było nic wiadomo o istnieniu rodzeństwa. Może Eliasz Rosen miał siostrę? Albo jego matka nosiła imię Sara? Laura zastanawiała się głośno.

– Wciąż nie opuszcza mnie wrażenie, że gdzieś już widziałam to imię i nazwisko. – Nerwowo bębniła palcami w stół. – I nie chodzi o to, że słyszałam, ale właśnie widziałam. Teraz już to wiem na pewno. Zapisane. Tylko gdzie?

– Oj tam, pewnie jakiś zbieg okoliczności. – Ciotka lekceważąco machnęła ręką. – A czy to jedna Sara Rosen na świecie? Nie powinnaś się tym zadrećzać. Dobrze, że pozbyłaś się tych papierzyk. Na nic by się nam zdały, skoro w większości nie były po polsku. A ten cały, jak mu tam, Lichota też nie powinien mieszać ci w głowie. Najlepiej daj sobie z tym spokój.

– A może moja matka coś wie? Jeśli była jakaś Sara w naszej rodzinie i dziadek Jakub o tym wspominał...? – Zamyśliła się, zaskoczona, że ciotka nagle straciła zainteresowanie czymś, co wcześniej tak bardzo ją intrygowało.

– Wiedziałabym o tym. W końcu Jakub był bratem bliźniakiem mojej matki – odparła Helena stanowczo. – A nie wiem kompletnie nic, więc raczej nikt taki w naszej rodzinie nie istniał.

Laura wyciągnęła z kieszeni telefon.

– Spytam chociaż – zdecydowała. – Inaczej nigdy nie da mi to spokoju.

– Za to zburzysz spokój biednej Irce i obie będziecie się tym zadrećzać zupełnie bez sensu – zaoponowała ciotka słabo i westchnęła.

Wsparła się ciężko o krawędź stołu, drugą ręką rozmasowała skroń. Laura patrzyła na nią z niepokojem.

– Ciągłe cię boli?

Helena skinęła głową.

– To nic takiego, położę się na chwilę. Niedługo mi przejdzie.

– Może zaparzę ci twoje zioła albo podgrzeję mleko?

Laura poderwała się, ale staruszka przytrzymała ją za ramię.

– Nie, nie trzeba, już sobie zaparzyłam, stygną. – Zawahała się chwilę. – Tylko gdzieś mi się zapodziały proszki przeciwbólowe.

– Mam jakieś u siebie, zaraz ci przyniosę.
– Dziękuję ci, ale to na nic. Pomagają mi tylko te moje, z krzyżykiem.
– To może skoczę do apteki po nowe opakowanie?
– Jeżeli faktycznie mogłabyś... – Ciotka uśmiechnęła się z wdzięcznością.
– Wrócę migiem. – Sięgnęła po torebkę przewieszoną przez oparcie krzesła i sprawdziła, czy są w niej kluczyki.

– Nie spiesz się, nie boli mnie aż tak bardzo, tylko już zbyt długo i czuję się tym zmęczona. A apteka jest niedaleko, nie musisz brać auta. Zrób sobie przy okazji spacer, zobacz, co słychać w Bujanach. Jesteś tu od kilku dni, a nie robisz nic innego, tylko biegasz w tę i z powrotem. I jeśli mam być szczerą, nie wyglądasz najlepiej. Martwię się o ciebie.

Laura objęła ją i przytuliła. Dotknęła lekko policzka – delikatnego jak pomarszczone płatki białego czystka, który kwitł przed domem.

– Połóż się, ciociu, i odpocznij. Wrócę szybko.

Poszła za jej radą i zostawiła auto. Apteka była blisko, a Laura rzeczywiście nie umiała sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz przemierzała Bujany pieszo. Nie był to najwłaściwszy moment na powolny spacer, ale mimo to rozglądała się ciekawie. Zdziwiło ją, jak niewiele się zmieniło w samym miasteczku przez ostatnie lata. Tak jak w Jedwabnem czy innych podlaskich miejscowościach, dodała w myślach. Wszystkie wyglądały podobnie, choć rozrosły się, zagarniając okoliczne pola na nowe domy i posesje, w środku były wciąż takie jak dawniej.

Centrum nieodmiennie stanowił rozległy park, skąd odchodziły cztery główne ulice, poprzecinane kolejnymi. Zwykle wyludnione, jak zdążyła się zorientować, bo nikt nimi nie spacerował. Od czasu do czasu przemknęło jedynie jakieś auto, jeszcze rzadziej pieszy z torbą pełną zakupów albo z dziecięcym wózkiem. Laura nie miała w Bujanach wielu znajomych, więc szansa, że ktoś ją zaczepi na ulicy i utnie pogawędkę, była znikoma. Czasem ukłonił się jej tylko jakiś dawny uczeń albo ktoś, kogo nie kojarzyła z nazwiska, mimo że twarz wydawała się znana. W Jedwabnem z kolei niemal wszyscy szkolni koledzy wyjechali, by po skończeniu szkół w Warszawie, Olsztynie czy pobliskim Białymstoku nie wrócić już w rodzinne strony. Nawet jeśli wcześniej mieli taki zamiar, nie znaleźli w sobie motywacji i być może powodów, by to zrobić. Nie widzieli dla siebie miejsca w prowincjonalnym środowisku albo zabrakło im pomysłu na to, jakie życie mogliby tu wieść.

Laura podziękowała skinieniem głowy siwowłosemu aptekarzowi, którego pamiętała jeszcze z czasów, gdy pomieszkiwała w Bujanach. Była zaskoczona widokiem mężczyzny. Już przed laty sądziła, że osiągnął wiek emerytalny. Czy to oznaczało, że nie było nikogo, kto mógłby go zastąpić? Żaden absolwent farmacji nie wrócił do Bujan, by poprowadzić prowincjonalną aptekę?

Zastanawiała się nad tym chwilę z pewnym żalem, a zaraz potem

uświadomiła sobie, że w przeciwieństwie do innych, sama nie miała nawet planu powrotu. Właściwie nie mogła się wręcz doczekać zamieszkania w całkiem innym miejscu, gdziekolwiek, byle nie na Podlasiu. A mimo to już pod koniec studiów wróciła. Właściwie za namową ciotki, dzięki której znalazła posadę nauczycielki matematyki w bujaneckim gimnazjum. Drugim powodem był Michał, jej mąż. Oświadczył się jej wówczas, a ona potrzebowała czasu na odpowiedź i przede wszystkim dystansu, by zyskać pewność.

Czasowe rozstanie było najlepszym sposobem na przekonanie się o autentyczności uczucia i uniknięcie pomyłki. Zbyt często działo się tak, że ludzie zwykle przyzwyczajenie mylili z miłością. Bała się, że z nią i Michałem też tak jest. Spotykali się od początku studiów i spędzali razem niemal każdą chwilę, dlatego musiała sprawdzić, czy rozłąka sprawi, że do siebie zatęsknią, a jeśli tak, to kiedy. I czy dostatecznie mocno odczują swój brak. Wytrzymali rok. Potem Laura wróciła do Warszawy, tam znalazła pracę, wzięli ślub, urodziły się bliźniaczki. Nie tęskniła za prowincją. Za Jedwabnem wcale. Niekiedy jedynie myślała z nostalgią o swoim pokoju na poddaszu w Bujanach i przede wszystkim o ciotce Helenie, gdy zbyt długo jej nie widziała.

Współczesna moda na prowincjonalne życie nigdy Laury nie pociągała. W przeciwieństwie do wielu warszawskich znajomych, którzy kupowali domy w jej rodzinnych stronach – koniecznie drewniane, z gankami porośniętymi bluszczem i najchętniej w pobliżu rzeki lub pod lasem. Spragnieni sielskich klimatów natychmiast nawiązywali przyjacielskie kontakty z sąsiadami, a ci niejednokrotnie dopasowywali się do ich wyobrażeń o prostolinijności i dobroduszości mieszkańców podlaskich wsi. Traktowali miejskich przybyszów z pobłażliwą wyrozumiałością, zaśmiewając się jedynie za ich plecami, gdy jakiś elegancko ubrany „miastowy” wdepnął markowym obuwem w krowi placek, ochlapał błotem eleganckie auto, pokonując grząskie koleiny drogi rozjeżdżonej przez czyjś traktor, albo dopytywał o lokalne specjały kulinarne ze świętą wiarą, że na podlaskiej wsi czas się zatrzymał, wszystko jest wyłącznie ekologiczne, a jedynym tchnieniem cywilizacji, która tu dotarła, są oni sami.

Do domu weszła na palcach, niepewna, czy ciotka nie śpi. Nie było jej w kuchni, więc mogła się położyć. Drzwi do jej sypialni zastała uchylone. Ostrożnie wsunęła tam głowę i upewniła się, że Helenie udało się w końcu zasnąć. Wycofała się szybko i zamknęła delikatnie pokój. Wyjęła z torebki tabletki przeciwbólowe i wysunęła szufladę z lekami, żeby je tam odłożyć. Na samym wierzchu dojrzała napoczęte żółte opakowanie z krzyżykiem, identyczne jak to, które trzymała w ręku. Odetchnęła uspokojona. Domyśliła się, że podczas jej nieobecności odnalazły się zaginione proszki, a ich działanie pomogło ciotce zasnąć.

Przez moment rozważała planowaną wcześniej wizytę w bibliotece, gdzie

miała nadzieję znaleźć coś na temat tajemniczej Sary Rosen, ale ostatecznie przełożyła to na inny dzień. Nie powinna zostawiać ciotki samej, poza tym postanowiła pójść za jej radą i trochę się zrelaksować. Dopiero gdy Helena jej to uświadomiła, zdała sobie sprawę, jak bardzo jest zmęczona. Zbyt wiele się działo, by zrozumiała, że właśnie to jest powodem pogarszającego się samopoczucia i rozdrażnienia. Brak chwili oddechu. Zdecydowanie powinna odpocząć. Myśl o bibliotece przypomniała jej o niedoczytanej w samolocie książce. Zabrała ją ze sobą, choć dotąd nie wyjęła z bagażu. Od razu ruszyła po nią, by poczytać chwilę w fotelu na werandzie.

Już na górze zmieniła jednak zdanie i zamiast otworzyć walizkę, zatrzymała się przy regale z książkami. Powiodła po nim wzrokiem. Dotknęła palcami starych, wystrzępionych tu i ówdzie grzbietów. Zdziwiła się, że sprawia jej to przyjemność, a brudzący dłonie kurz w ogóle nie przeszkadza. Przeglądała znajome tytuły z czułością i zaskakująco silnym poczuciem, że z ochotą wróciłaby do któregoś i przeczytała raz jeszcze dawno zapomnianą powieść.

– Tylko którą? – mruknęła, wertując kolejne półki.

Zatrzymała wzrok na dwóch grubych tomach oprawionych w granatową skórę, ze względu na zawartość niezbyt odpowiednich na relaks z lekturą. Zmarszczyła brwi i przeciągnęła dłonią po wklęsłych napisach na obwolutach. Słownik polsko-francuski, który dostała od ciotki z gorącą zachętą do nauki tego pięknego języka. Helena przyswoiła go sobie całkiem nieźle, gdy pracowała jako opiekunka do dzieci we Francji, dokąd wyjechała niedługo po śmierci swojej matki, zaproszona przez jej dawnych znajomych. Prawdopodobnie chcieli w ten sposób pomóc osieroconej dziewczynie, namawiali ją nawet, by została nad Loarą na stałe. Mimo to wróciła już po kilkunastu miesiącach, stęskniona za krajem, i nigdy nie wyjechała ponownie, choć sentyment do Francji zachowała na zawsze. Dlatego zwykle chętnie przysłuchiwała się zmaganiom Laury wkuwającej słówka. Niekiedy jej pomagała, uczyła poprawnej wymowy, czasem też asystowała przy pisemnych zadaniach, choć z trudem, ponieważ знаła francuski w wersji raczej mówionej.

Laura przyglądała się słownikom i nie mogła wyzbyć się wrażenia, że wspomnienie wspólnej nauki z ciotką nie jest jedynym powodem, dla którego właśnie na nich skupiła uwagę. Z pewnością było coś jeszcze, niedoprecyzowana myśl, przez którą na moment zapomniła, po co właściwie przyszła na poddasze. Znów dotknęła grzbietu słownika. Usiłowała sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz z niego korzystała i czy coś się wówczas wydarzyło. Wyjęła tom i przekartkowała wolno. Potem kolejny raz.

– Całkiem jakby czegoś brakowało... – Zamyśliła się znów, schylając się odruchowo po to, co wypadło spod karty.

Spojrzała na skrawek papieru, który wzięła za zakładkę, i zamarła.

– Nie wiem, jak mogłam o tym zapomnieć! – wyszeptała, patrząc na znalezione notatki sprzed lat, przetłumaczone pojedyncze słowa, i tym razem dokładniej przeszukała słownik, wielokrotnie, nerwowo, kartka po kartce. Sięgnęła po drugi tom, lecz nie otworzyła od razu. Objęła go mocno ramionami i zamknęła oczy, wznosząc twarz ku górze.

– Błagam, niech to tu będzie...

Przypomniała sobie. Już wiedziała, dlaczego nazwisko Sary Rosen wydało się jej znajome. Właśnie w tamtym czasie, gdy Laura zaczęła się uczyć języka francuskiego, jej matka dostała z Francji dziwny list. Ktoś poszukiwał swoich polskich przodków. Interesowało go nazwisko Rosen, a wśród imion, które wymieniał, było właśnie imię: Sara. Sara Rosen. Laura nie poradziła sobie z tłumaczeniem listu, zatem poprosiła o pomoc Helenę. Udało im się to w dużym stopniu, niestety nigdy na niego nie odpisały. Być może dlatego, że wówczas nie miały autorce nic interesującego do powiedzenia. Teraz to się zmieniło. Należało jak najszybciej nawiązać z nią kontakt.

– Jeśli tylko to nadal tu jest.

Złożony na pół papier listowy tkwił w słowniku w charakterze zakładki. Jeszcze niedawno. Widziała go, gdy tłumaczyła nazwę jednego ze składników francuskiego balsamu do ciała, który podarowała jej ciotka. Niedługo po Bożym Narodzeniu. Teraz były tu tylko lakoniczne notatki z tamtego tłumaczenia, które wypadły z pierwszego tomu. Nic z nich nie wynikało.

Otworzyła wreszcie drugi tom i drżącymi dłońmi przerzucała kartki. Na końcu odwróciła słownik i potrzaskała nim mocno, jednak na podłogę spadło jedynie kilka strzępków skruszonego papieru. Listu nie było. Miała jedynie bezużyteczny skrawek z notatkami, który wysunął się spomiędzy kartek na początku, przypominając jej o zdarzeniu sprzed lat.

Opadła na fotel zrezygnowana, usiłując sobie przypomnieć, w którym momencie wyrzuciła list. Zerknęła na leżący obok zmięty papier. Podniosła go z podłogi i po prostu zgmiotła, uznawszy, że nie będzie jej do niczego potrzebny. Pomyślała, że to samo mogła zrobić z listem. Wpadł, gdy ostatnio zaglądała do słownika, a ona podniosła go odruchowo i wyrzuciła do śmieci, biorąc za jakąś starą zakładkę.

Ze złością uderzyła dłonią w obity pluszem podłokietnik. Pierwszy raz w życiu była na siebie wściekła z powodu nadmiernego zamięłowania do porządku. Tego samego, z którego dotąd była taka dumna. Z drugiej strony bez koperty i tak pewnie niewiele dałoby się zrobić, pomyślała z goryczą. Do skontaktowania się z autorem listu potrzebny był adres, a szansa na to, że ktoś zamieścił go w treści listu, była znikoma.

Z zamyślenia wyrwał ją dochodzący z dołu szczeł naczyń. Zdziwiła się, że ciotka jest już na nogach, ale i ucieszyła, bo to oznaczało, że czuje się lepiej.

A może ona zapamiętała więcej, pomimo tego że podobnie jak Laura zapomniała o liście? Poczula nagły przypływ nadziei. Na przykład nazwisko nadawcy lub coś, dzięki czemu uda się do niego dotrzeć?

Poderwała się i zbiegła na dół.

– Już wiem, dlaczego to imię i nazwisko wydało mi się znajome! – zakomunikowała od progu. – Pamiętasz list z Francji, który wspólnie próbowałyśmy przetłumaczyć? Dawno temu, przyszedł do moich rodziców. To tam je widziałam.

– List rzeczywiście pamiętam – oświadczyła Helena z pewnym wahaniem. – Ale o czym był, już nie. Nie kojarzę tym bardziej imienia, żadnego. Jesteś pewna, że tak właśnie brzmiało?

Laura wyjęła z kieszeni telefon.

– Tak. Umknęły mi jedynie szczegóły dotyczące treści listu. I co gorsza, nazwisko nadawcy. Ale wiesz co? Spytałam mamę. – Chwyciła się ostatniej deski ratunku, o której nie pomyślała wcześniej. – Może zapamiętała coś więcej, w końcu to ona była adresatką.

– Ale... – Helena zamilkła, widząc, że Laura już wybiera numer.

Tym razem telefonowała o właściwej porze, dlatego matka odebrała niemal od razu. Więcej czasu zabrało Laurze wytłumaczenie, jaki ma problem. Ciotka w tym czasie przyglądała się jej z niepokojem i wyczekiwaniem w oczach. Laura z kolei emocjonowała się coraz bardziej.

– Pamiętasz coś? – dopytywała niecierpliwie, dociskając telefon do ucha. – Szkooda... Nie, już go nie mam. Nie wiem, co się z nim stało, może wyrzuciłam... – urwała. Przez dłuższą chwilę znów uważnie wsłuchiwała się w słowa matki. – Żartujesz?! – wykrzyknęła wreszcie tak, że Helena aż podskoczyła. – Naprawdę wciąż go masz? Nie! Nie! Nie wysyłaj mi go pocztą. Zrób zdjęcie, a potem mailem... Tak, dokładnie tak. Tylko jak najszybciej! Najlepiej od razu, Michał ci pomoże. Dzięki, uściskaj ode mnie dziewczynki, pa!

Rozłączyła się i przez moment pocierała zaróżowione z emocji policzki.

– Niewiarygodne – szeptała bardziej do siebie.

– Powiesz mi wreszcie, co z tym listem?

Ciotka była wyraźnie zniecierpliwiona. Nerwowo postukiwała palcami w blat stołu.

Laura z kolei westchnęła odprężona.

– To jeden z tych nielicznych momentów, gdy skłonności mojej matki do gromadzenia masy bezużytecznych przedmiotów okazały się przydatne. Wyobraź sobie, że ona mi wtedy dała kolorową kserokopię, ponieważ chciała zachować oryginał na pamiątkę.

– Po co? – zdumiała się Helena.

– Bo był na ogromnie eleganckim papierze, ładnie pachniał i... w dodatku

z Francji – odparła Laura, odpowiednio modulując głos. Zrobiła w powietrzu cudzysłów, sugerując, że dokładnie przytacza słowa matki. – Wyobrażasz sobie? Trzymała go przez tyle lat – dodała już normalnym tonem.

– I teraz ci go przyśle, tak?

– Mailem. Za chwilę. Idę włączyć laptopa.

Pobiegła na górę, przeskakując po kilka stopni.

Uruchomiła komputer i przez kilka nieskończenie dla niej długich chwil odświeżała pocztę. Wreszcie usłyszała dźwięk nadchodzącej wiadomości. Załącznik otwierał się powoli, a Laura w tym czasie zlorzeczyła głośno na zbyt wolne łącze internetowe. W końcu się udało. Niecierpliwie wodziła wzrokiem po kolejnych liniijkach tekstu, odruchowo tłumacząc go sobie bezgłośnie na polski. Dziś już nie miała z tym problemu. Po kilku latach nauki posługiwała się francuskim znacznie sprawniej niż kiedyś.

Z szuflady biurka wyjęła przybory do pisania i zanotowała wszystko, co wydało się jej ważne. Nie było tego dużo, jednak wystarczająco, by nie polegać wyłącznie na własnej pamięci. Podekscytowana wpatrywała się w list sprzed ponad dziesięciu lat, który jej matka otrzymała od tajemniczej Josephine Berthier, jak się okazywało córki niejakiej Sary Rosen. Laura była zaskoczona, jak mało zapamiętała z jego treści, bądź też – co było wielce prawdopodobne – jak niewiele udało jej się wtedy przetłumaczyć.

Odwróciła się, słysząc na schodach kroki.

– Chodź, chodź! Nie uwierzysz, czego się dowiedziałam! – krzyknęła, zanim ciotka zdążyła zapukać.

– W moim wieku człowiek jest w stanie uwierzyć już w niemal wszystko. – Usłyszała świszczącą odpowiedź, poprzedzoną ciężkim, trochę ostentacyjnym stęknieniem.

Helena musiała bardzo się niecierpliwić, czekając w kuchni na wieści od matki Laury, ponieważ niezwykle rzadko pojawiała się w pokoiku na poddaszu ze względu na wysokie i strome schody, które do niego wiodły. Na ogół nie miała żadnych problemów z poruszaniem i cieszyła się dobrym zdrowiem, jednak wszelkie wspinaczki zdecydowanie jej nie służyły. Podobno nie miało to nic wspólnego z wiekiem, bo upierała się, że zawsze tak było. Nawet jako młode dziewczę w takich momentach dostawała zadyszki. Teraz też sapała niczym lokomotywa, dlatego Laura przyglądała się jej z niepokojem. Staruszka kiwnęła ręką na znak, że czuje się lepiej, a potem uczyniła kolejny gest, by ją ponaglić.

– No mówże wreszcie, co tam masz!

– List napisała jakaś kobieta. Twierdzi, że jej nieżyjąca już matka... – Laura uniosła triumfalnie palec. – Uważaj, Sara Rosen, przybyła do Francji na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku z Polski, prawdopodobnie z Jedwabnego lub okolic.

– I co w związku z tym?

– Francuzka ma nadzieję odnaleźć krewnych, a raczej ich potomków, którzy mogli tu zostać. W ten sposób dotarła do moich rodziców. Dowiedziała się, że Elias Rosen był pradziadkiem mojej matki.

– A kim był dla Sary Rosen?

– Tego nie napisała. – Zasepiła się Laura. – Może sama szuka odpowiedzi na to pytanie?

– Licząc na pomoc?

– Nie wiem. Nie pisze o tym wprost. Bardzo prosi jedynie o kontakt.

– Ale po co?

– Tego też nie wiem. Podkreśliła parokrotnie, że to dla niej ogromnie ważne.

Nie rozumiem, jak mogłam to wtedy zignorować.

Nagle poczuła wyrzuty sumienia. Zrobiło jej się też trochę wstyd wobec nieznajomej, która pewnie niecierpliwie wypatrywała odpowiedzi. Z drugiej jednak strony, gdyby tak właśnie było, wysłałaby następny list, uznawszy, że być może pierwszy zaginął. Tak jednak się nie stało. Ta refleksja w pewnym stopniu usprawiedliwiała zaniechanie. Kolejnej prośby o pomoc w odnalezieniu czyichkolwiek przodków Laura już na pewno by nie zignorowała.

– Ważne to to raczej było kiedyś – skwitowała tymczasem Helena. – Paręnaście lat temu. Nie sądzę, by prośba była jeszcze aktualna.

– Dlaczego? – Zdziwiła się Laura. – Myślisz, że przez te lata sama znalazła odpowiedź?

– Być może, ale z tobą raczej już się nią nie podzieli.

– Skąd ta pewność?

– Logika i trochę matematyki, moje dziecko. Matka autorki listu przybyła do Francji na początku ubiegłego wieku, nawet jeśli jako niemowlę, jej córka przyszła na świat pewnie w latach dwudziestych lub trzydziestych. Pomyśl, ile mogła mieć lat, gdy pisała ten list?

Laura zmarszczyła czoło.

– Chyba sporo – odparła w końcu niechętnie. – Zresztą wspomina nawet, że jest już niemłoda.

– Od tamtej pory minęło trochę czasu. Nie chcę być złym prorokiem, ale sama rozumiesz...

– Josephine Berthier może już nie żyć.

Laura rzuciła okiem na sporządzone chwilę wcześniej notatki.

– Podana swój telefon – zaczęła niepewnie. – Można sprawdzić.

Ciotka skrzywiła się wymownie. Laura udała, że tego nie dostrzega.

– Hmm. Jeżeli ona rzeczywiście... Nie wiem, do kogo teraz może należeć ten numer – zastanawiała się głośno. – Bo jeśli do kogoś z rodziny...

– Niezręcznie będzie ich wypytywać o jakąś matkę, babkę lub inną zmarłą

krewną – dokończyła za nią ciotka. – W dodatku powołując się na list, na który należało odpowiedzieć dawno, dawno temu.

Laura znów się zamyśliła.

– Trudno. Muszę to sprawdzić. Jeśli nawet nie dowiem się niczego o Sarze Rosen, pozbędę się wyrzutów sumienia. W przeciwnym razie ta sprawa zadręczy mnie na śmierć. – Sięgnęła po telefon. – Najwyżej zrobię z siebie idiotkę. Nic gorszego nie może się stać.

Helena wykonała ruch, jakby zamierzała odebrać jej aparat, ale Laura uchyliła się zgrabnie i pogroziła jej żartobliwie palcem. Potem szybko wybrała numer z listu. Wstrzymała oddech na dźwięk prawidłowego sygnału. Zanim zdążyła zdecydować, czy odezwać się po francusku, czy w języku angielskim, którym posługiwała się sprawniej, w słuchawce usłyszała kobiecy głos.

– *Allo?*

– Dzień dobry, nazywam się Laura... – odpowiedziała, decydując się na francuski, i zawahała się chwilę, ponieważ nagle przyszło jej do głowy, że powinna użyć panińskiego nazwiska. – Laura Kossacka-Szubaj... – wykrztusiła wreszcie. Była tak zdenerwowana, że słowa z trudem przechodziły jej przez gardło, zwłaszcza te francuskie. – Ja...

Nie zdołała dokończyć zdania, którego i tak pewnie z nerwów nie zdołałaby sklecić, ponieważ rozmówczyni nieoczekiwanie wskoczyła jej w słowo.

– *Mon Dieu!* – wykrzyknęła poruszona. – Co za szczęście! Jak dobrze, że pani dzwoni.

– Tylko mi nie mów, że się w końcu na to zgodzisz. – Ciotka Helena kręciła głową z niedowierzaniem i nieskrywaną dezaprobatą. – Przecież to czyste szaleństwo!

– Nie mówię! Nie wiem jeszcze, co zrobię. – Laura z trudem przełknęła mały kęs kanapki, z powodu nieustającego podenerwowania spożywanej bez krzty apetytu. – Zastanawiam się...

Właściwie od dwóch dni nie robiła niczego innego. Głowiła się nad tym, co ma odpowiedzieć nieznajomej Francuzce, której propozycja, absolutnie niezwykła i kompletnie zaskakująca, odebrała Laurze szansę na długo wyczekiwany spokój. Krótka rozmowa telefoniczna tak mocno namieszała jej w głowie, że zamiast wypoczywać, miotła się w poszukiwaniu najlepszego wyjścia z sytuacji, w jakiej się znalazła trochę wbrew swojej woli. Z jednej strony kusiło ją, by podjąć nieoczekiwane wyzwanie, z drugiej zdawała sobie sprawę, że Helena ma rację.

To byłoby prawdziwe szaleństwo.

Wbrew pesymistycznym prognozom ciotki Josephine Berthier wciąż żyła. Niestety ze względu na podeszły wiek w nie najlepszym już zdrowiu. Telefon odebrała jej córka. Amelie przekazała matce słuchawkę jedynie na chwilę tylko po to, by staruszka słabym głosem potwierdziła kilka skąpych, w dodatku dość

chaotycznych informacji nawiązujących do wysłanego dawno temu listu i na koniec powiedziała coś, co wprawiło Laurę w prawdziwą konsternację.

– Resztę opowiem ci, *ma enfant*, jak tylko tu przyjedziesz.

Laura nie zdążyła zareagować, ponieważ telefon od razu przejęła Amelie.

– Proszę cię, zastanów się chociaż, zanim odmówisz. – W jej głosie pobrzmiwał błagalny ton. Wzorem matki zrezygnowała ze zwracania się do Laury per *madame*. – Mama ostatnio o niczym innym nie mówi. To dlatego próbowałam raz jeszcze nawiązać kontakt z twoją rodziną. Niestety listy nadane na adres w Jedwabnem wciąż do mnie wracały. To prawdziwe zrzędzenie losu, że właśnie teraz zadzwoniłaś.

– Przepraszam, jednak kompletnie nie widzę sensu... – Laura zająknęła się.

– Chodzi mi o to, że chciałabym najpierw dowiedzieć się więcej.

Wyjaśniła, że dom został sprzedany, a wcześniej przez kilka lat stał pusty i z tego powodu listy nie docierały do adresata.

– Obiecuję, że się dowiesz, jeśli tylko tu przyjedziesz. To jest jej ostatnie życzenie. – Amelie zniżyła drżący głos do szeptu. – Wiem, że proszę o bardzo wiele, ale to dlatego, że widzę, jakie to dla niej ważne. Ona czuje, że jej kres jest bliski, i chce swoje życie zakończyć, jak należy. Pozamykać stare sprawy, żeby odejść w spokoju. A to będzie możliwe tylko wtedy, gdy zgodzisz się z nią spotkać, u nas, w Tergnier. Oczywiście pokryję wszystkie koszty...

– Ale przecież wcale nie chodzi o koszty! – Laura przerwała jej odrobinę zażenowana. – Nie mogę ot tak po prostu rzucić wszystkiego i polecieć do Francji po to tylko, żeby komuś uświadomić, w jak ogromnym tkwi błędzie. Nie ma żadnych dowodów na to, że Sara była rzeczywiście spokrewniona z moją prababką Eleonorą Rosen. A jeśli nawet, to raczej niezbyt blisko.

– Ależ oczywiście, że są dowody – odparła Amelie krótko. – Na razie musisz mi po prostu uwierzyć na słowo! Jesteśmy ze sobą spokrewnione. Przekonasz się o tym, jak tylko tu się zjawisz.

Laura czuła się zbyt skołowana, by dopytywać o więcej. Zanim się rozłączyła, obiecała przemyśleć propozycję, jednak bardziej po to, by nie przedłużać rozmowy, która wydawała jej się kompletnie bez sensu. Początkowo, ponieważ już następnego dnia, im dłużej zastanawiała się nad tym, co powiedziała Amelie, analizowała każde słowo z oszczędnie wydzielanych informacji, rozważała wszystkie za i przeciw, tym większa nachodziła ją chęć, by podjąć wyzwanie. Ku rozpaczy ciotki, która za wszelką cenę usiłowała wybić jej ten pomysł z głowy.

Być może właśnie dlatego, z wrodzonej przekory, po kolejnej słownej przepychance, tym razem przy kolacji, zamaszyście odstawiła na stół pusty kubek po ziołowej herbacie na uspokojenie, którą od dwóch dni parzyła jej ciotka, i wzięła bardzo głęboki wddech.

– Jadę – oświadczyła stanowczo i spojrzała hardo na Helenę siedzącą po

drugiej stronie stołu. – Jeżeli tego nie zrobię, do końca życia będę się zastanawiać, co chciała mi powiedzieć ta kobieta. Josephine Berthier z domu Rosen, kimkolwiek naprawdę jest.

Helena nie odpowiedziała. Westchnęła tylko wymownie. Podeszła do kredensu i wsypała do kubka kolejną porcję melisy. Tym razem dla siebie. Laura obserwowała ją z niepokojem, ale i podejrzeniem, że robi to na pokaz. To było do niej niepodobne, rzadko zachowywała się w ten sposób, nigdy nie grała na emocjach innych, więc teraz musiała być naprawdę zdesperowana. Z jakiegoś powodu pragnęła za wszelką cenę powstrzymać Laurę przed wyjazdem do Francji. Być może miała złe przeczucia, o których bała się opowiedzieć, lub też... wiedziała coś, o czym nie mogła bądź nie chciała mówić. Pewnie należało dać jej na to trochę czasu.

– Porozmawiam z nią tylko i za kilka dni wrócę. Do Bujan – tłumaczyła łagodnie, patrząc z troską na staruszkę, której lekko drżały palce zaciskane na uchu kubka. – I zostanę z tobą aż do powrotu Michała i dziewczynek.

– Dobrze wiesz, że nie o to mi chodzi – zachnęła się Helena, ignorując pojednawczy ton Laury, i upiła porządny łyk gorącego jeszcze naparu. – Nie znasz tych ludzi. Nie wiesz, kim są ani tak naprawdę czego od ciebie oczekują. Nie wydaje ci się dziwne, że nie wyjaśnili niczego przez telefon? Moim zdaniem to bardzo podejrzan.

– Ta kobieta jest umierająca. Sama słyszałaś. To jej ostatnia wola, a takich rzeczy nie załatwia się przez telefon.

– Właśnie! – Ciotka uniosła palce. – To też powinnaś wziąć pod uwagę. A co jeśli ona... Zanim tam dotrzesz... – zająknęła się. – Po prostu nie doczeka się ciebie?

– Mylisz się. Myślałam też i o tym. W najgorszym wypadku spotkam się i porozmawiam z jej córką – skłamała, bo wcześniej w ogóle nie przyszło jej to do głowy. Teraz za to wywołało lekki niepokój. Przestraszyła się, że ciotka to dostrzeże, i na wszelki wypadek zasłoniła twarz pustym kubkiem, udając, że sący z niego ostatnie krople herbaty.

– A fakt, że nie wiesz, w jakim ona jest właściwie stanie, też nie ma dla ciebie znaczenia? Intelktualnym i fizycznym? I że możesz sobie z tym nie poradzić?

Ciekawiło ją, czy Helena robiła to celowo. Uderzała w najczulszą strunę. Znała Laurę dostatecznie dobrze, by wiedzieć, gdzie jej szukać i jak na niej grać. Jej mina sugerowała, że wie, co robi, i jest zdecydowana posunąć się dalej, jeśli zaistnieje taka konieczność.

Dlatego Laura nie odpowiedziała od razu. Zacisnęła powieki i pochyliła głowę, żeby ciotka nie widziała wyrazu jej twarzy. Nie zastanawiała się, w jakiej formie zostanie nieznaną staruszkę, jednak chyba bardziej dlatego, że wolała

o tym nie myśleć. Podświadomie przewidywała, że rozmowa z umierającą kobietą przypomni jej inny podobny moment w życiu, gdy musiała dotrzymać towarzystwa chorej na raka babce.

Wzdrygnęła się na tę myśl.

– Tu nie chodzi o mnie. Dobrze, jeśli przy okazji dowiem się czegoś o naszej rodzinie, ale to spotkanie i tak będzie o wiele ważniejsze dla niej. Tak właśnie myślę.

Tak właśnie chcę myśleć, dodała już w duchu.

Tym razem nie czekając na odpowiedź, sięgnęła po leżący na stole telefon i wyszła do ogrodu. Jakby się bała, że kolejne słowa ciotki przekonają ją do zmiany podjętej właśnie decyzji. Tym bardziej że sama nie była już właściwie pewna, czy postępuje słusznie. Kierowała się jedynie niejasnym przeczuciem, że powinna coś zrobić, bo w przeciwnym razie będzie tego żałować.

Wybrała numer Amelie.

– Zdecydowałam się – powiedziała bez wstępów. – Przyjeżdżam.

Wbrew jej oporom Francuzka podjęła się załatwienia większości spraw związanych z podróżą, w tym rezerwacji biletów.

– Moja wnuczka Coralie pracuje na lotnisku w Beauvais Tillé. Zajmie się wszystkim, a jej chłopak Louis przywiezie cię do Tergnier. To bardzo miły młodzieniec, zrobi to z przyjemnością, a przy okazji odwiedzi tu swoich rodziców, więc to żaden kłopot – mówiła szybko, jakby bała się, że Laura mimo wszystko się rozmyśli. – Jeśli chcesz, zarezerwuję hotel, ale moim zdaniem wygodniej ci będzie w domu mojej matki. Właśnie zabieram ją do siebie, więc byłby cały do twojej dyspozycji. Zresztą, możesz zdecydować już na miejscu – zadysponowała. – Kiedy będziesz gotowa do drogi?

– W zasadzie już jestem – odparła nieco rozbawiona. – Muszę tylko ponownie wrzucić moje rzeczy do walizki.

Na szczęście ciotka nie wracała już do tematu wyjazdu, mimo że wcale nie wyglądała na pogodzoną z decyzją Laury. Z niepokojem, ale i ciekawością zerknęła na ekran laptopa, gdy Laura usiłowała dowiedzieć się czegoś więcej o nieznanym jej wcześniej Tergnier, niewielkiej miejscowości w regionie o nazwie Pikardia. Laura spędzała we Francji wakacje z rodziną, nawet parokrotnie, ale nigdy dotąd nie odwiedzała jej północno-wschodniej części. Na ogół wybierała typowo turystyczne południowe regiony, i oczywiście Paryż. Dlatego ciekawiło ją, czy w Pikardii odnajdzie chociaż małą część specyficznego francuskiego klimatu panującego na Lazurówym Wybrzeżu. Nie spodziewała się śródziemnomorskich upałów ani wszechobecnego zapachu lawendy, ale miała nadzieję na namiastkę tego, co zapamiętała ze spacerów uliczkami najbardziej romantycznej stolicy Europy. Zapach kawy i croissantów, nonszalancką swobodę stylu paryżan i ulicznych grajków na Montmartre.

Jeszcze zanim ułożyła się do snu, wcześniejsza niepewność zmieniała się w ekscytację. Nie myślała już o spotkaniu z Josephine Berthier, ale o tym, że znów zobaczy Francję, którą zawsze lubiła. Rozważała nawet dłuższy pobyt i wycieczkę do sąsiadującej z Pikardią Szampanii. Podniecona tą myślą zasypiała z niekończącą się zielonością królewskich winnic pod powiekami i postanowieniem, że nie zaprzepaści okazji obejrzenia wspaniałej doliny rzeki Marny i napije się ulubionego różowego szampana prosto z tamtejszych piwnic. Żałowała jedynie, że jedzie sama, bo w tak obiecującą podróż chętniej wybrałaby się z rodziną. Nic nie stało jednak na przeszkodzie, by w przyszłym roku pojechali tam razem. Może uda się też namówić ciotkę Helenkę?

Z tą myślą, w prawie szampańskim nastroju zbiegła z samego rana na dół i cmoknęła w policzek wciąż naburmuszoną ciotkę, która mruknęła tylko coś, co miało być powitaniem, po czym zabrała się za krojenie ciepłego chleba. Laura wyjęła jej z ręki nóż i wskazała krzesło obok.

– A może wybrałabyś się ze mną? – zagadnęła, ponieważ nagle przyszło jej do głowy, że przecież już teraz mogą jechać razem. Zdziwiła się, że nie wpadła na to wcześniej. – Lubisz przecież Francję, mogłybyśmy odwiedzić miejsce, w którym mieszkałaś przed laty. To chyba było właśnie gdzieś w północnej części Francji, prawda?

Helena przewróciła tylko oczami i popatrzyła na Laurę wymownie.

– Za dużo zamieszania – burknęła. – Nie chce mi się. Poza tym za stara jestem na takie eskapady. I nadal uważam, że to niezbyt odpowiedzialne. Ani bezpieczne.

Laura wzruszyła ramionami.

– Nie jestem dzieckiem. Podróżowałam już sama, również w dużo mniej bezpieczne miejsca. A Francja to przecież cywilizowany kraj.

Mrugnęła i roześmiała się, chcąc rozładować atmosferę. Mina ciotki sugerowała, że nie podziela jej nastroju. Helena otworzyła usta, jakby zamierzała jeszcze coś powiedzieć, ale nie zdążyła, ponieważ rozdzwonił się telefon Laury.

Zerknęła szybko na wyświetlacz.

– Amelie. Pewnie w sprawie biletów.

Już po pierwszym słowie Francuzki domyśliła się, że coś się stało. Przez moment sądziła, że najgorsze. Odetchnęła z ulgą, gdy okazało się, że nie. Słuchała przez dłuższą chwilę, kiwając jedynie głową i tym razem celowo ignorując pełne napięcia spojrzenie ciotki. W końcu odłożyła telefon.

– Czy ona...? Ta Josephine... – Helena wciąż przyglądała się jej z niespokojnym wyczekiwaniem.

– W nocy gorzej się poczuła. Jest w szpitalu. Nieprzytomna, ale zdaje się uśpili ją farmakologicznie, nie jestem pewna. W każdym razie nie ma sensu, żebym teraz jechała.

Na twarzy ciotki tym razem odmalowała się ulga, choć nie do końca ustąpił z niej niepokój.

– Z dwojga złego lepiej, że to stało się teraz, niż jakbyś była już w drodze – odparła odruchowo, ale od razu zreflektowała się, że nie zabrzmiało to najlepiej, bo zmieszała się lekko. – To znaczy chodziło mi o to... – Zawahała się i zaczerpnęła tchu. – Bo przecież nie życzę jej źle i nawet nie wiesz, jaką mam nadzieję, że ona z tego wyjdzie.

Laura ściągnęła usta.

– Przypominam ci, że ma prawie sto lat. Można, a nawet trzeba spodziewać się najgorszego.

Dopiero gdy to powiedziała, zdała sobie sprawę, że zabrzmiało to nie mniej obcesowo. W dodatku tak, jakby Josephine miała już nigdy nie opuścić szpitala. Jednak z drugiej strony należało przecież się z tym liczyć.

– Dożyła i tak ładnego wieku.

Ciotka chyba nieświadomie dołożyła do tego poczucia pesymistyczną cegiełkę, używając czasu przeszłego.

Laura nagle przypomniała sobie coś jeszcze.

– Ona teraz nie może, bo cały czas jest w szpitalu, ale obiecała przysłać mi potem coś ważnego – wypowiedziała na głos tylko część sformułowanego w myślach zdania.

– Kto? – Nie zrozumiała ciotka. – Josephine?

– Jej córka. Mówiła, że wołałaby zrobić to osobiście, ale w związku z tym, że sytuacja się zmieniła, pokaże mi coś, jeszcze zanim do nich pojadę. O ile oczywiście w tej sytuacji w ogóle podróż dojdzie do skutku – dodała szybko. – Jeśli dobrze zrozumiałam, chodzi o jakieś zdjęcia.

– Czyje?

– Nie wiem. Może tej tajemniczej Sary Rosen?

– Po co ci one? Przecież to niczego nie zmieni.

Laura zastanawiała się nad czymś chwilę.

– Nie jestem pewna, czy się nie przesłyszałam. Amelie była bardzo zdenerwowana, nie spała całą noc, ale powiedziała coś takiego...

– Co? – Ciotka zerknęła na nią z zainteresowaniem. – Powtórz dokładnie – dodała z naciskiem.

– Że Sara coś tu zostawiła. W Jedwabnem. Coś ogromnie dla niej cennego... Albo raczej ważnego. Właśnie tego słowa użyła. Ważniejszego niż cokolwiek.

– Myślisz, że one chcą to teraz odzyskać?

– Tego nie powiedziała. Nie odniosłam też takiego wrażenia. Sama nie wiem... To brzmiało naprawdę dziwnie.

– Jeśli ta rzecz jest cenna, może zrobić się nieprzyjemnie. Dlatego tym bardziej nie powinnaś się w to mieszać ani podtrzymywać z nimi kontaktów.

– Nie sędzę, by... – urwała, ponieważ nagle coś przyszło jej do głowy. – A może chodzi o przedmioty ze schowka?

– Przecież tam nie było nic cennego. – Helena nadal okazywała sceptycyzm. – Bo raczej nie miała na myśli tych starych papierzysek.

– Wypytam ją o to dokładniej – zdecydowała, ale nie wybrała ponownie numeru Amelie. Zamiast tego zerknęła niepewnie na ciotkę. Pomyślała o czymś, co już wcześniej przyszło jej do głowy, ale odrzuciła pomysł jako zbyt śmiały. – A co, jeśli to nie wszystko? – spytała z pewnym ociąganiem.

Nie lubiła rzucać na nikogo bezpodstawnych oskarżeń, ale w tej sytuacji nie potrafiła zignorować dziwnego przeczucia, które nagle ją ogarnęło.

– Co masz na myśli?

– Ci ludzie... Sąsiedzi. Kiedy teraz o tym myślę... Wydaje mi się, że zachowywali się jakoś tak... nielogicznie. Lichota spodziewał się awantury z powodu dziury w ścianie, a oni nie chcieli nawet rekompensaty. A rzeczywiście wcale nie wyglądają na takich, którzy ot tak odpuszczają, kiedy ktoś im zajdzie za skórę. Tymczasem ewidentnie zależało im na szybkim załatwieniu sprawy. Byli, co prawda, mocno podenerwowani, ale raczej nie z powodu demolki w garderobie. Ledwie na to wszystko zerknęli.

– Co sugerujesz?

Laura mieszała się jeszcze bardziej pod wpływem jej spojrzenia. Przez chwilę rozważała odwrót. Może niepotrzebnie podzieliła się swoimi odczuciami? Bała się pochopnych oskarżeń. Jeśli podejrzenia okażą się niesłuszne, trudno będzie wyprostować niezręczną sytuację, do jakiej może dojść. Z drugiej jednak strony, jeśli się nie myli, może sporo zyskać. Ona... lub Amelie i Josephine. Powinna podjąć ryzyko i sprawdzić wszystko właśnie ze względu na nie.

– Sama tylko popatrz, jak to wygląda – zaczęła z ciągłym wahaniem. – Zamurowany na głucho schowek, a w środku skrzynka z makulaturą. Moim zdaniem musiało tam być coś jeszcze. Coś cenniejszego. Ważniejszego – dodała znacząco.

– A ktoś, twoim zdaniem, zatrzymał to dla siebie? – Helena zmarszczyła brwi. Widać było, że ją również ogarnęły wątpliwości. – I co zamierzasz z tym zrobić? Bo raczej nie zostawisz tak tego, prawda?

– Nie. Chyba nie mam wyjścia. Muszę z nimi jakoś delikatnie porozmawiać. – Westchnęła i podniosła się zza stołu. Postawa ciotki dodała jej otuchy i skłoniła do działania. – Najlepiej od razu.

Gdyby tylko wiedziała, jak potoczą się sprawy, wyzbyłaby się wyrzutów sumienia już na początku. Sytuacja wydawała się niezręczna i dawała solidne powody do obaw o konsekwencje, dlatego Laura odetchnęła z prawdziwą ulgą, gdy miała to za sobą. Jednak zaraz potem pojawiły się inne chmurne myśli i wątpliwości. Bo choć misja się powiodła, nie przyniosła wiele dobrego i dlatego pewnie lepiej było nie dociekać prawdy. Oszczędziłoby to kolejnych problemów i nie stworzyłoby nowego źródła niepokoju.

Nie miała żadnych dowodów na to, że Bączkowie ją oszukali, kierowały nią wyłącznie przeczucia. Dlatego przez całą drogę do Jedwabnego zastanawiała się, jak zacząć krępującą rozmowę o potencjalnym przywłaszczeniu sobie części zawartości skrzynki, by ich nie urazić, gdyby okazali się niewinni, ale jednocześnie okazać stanowczość, w przypadku gdy podejrzenia okażą się słuszne. Niestety, każdy stworzony w głowie scenariusz nie wydał jej się dostatecznie dobry, dlatego przestała planować.

Liczyła, że w odpowiednim momencie wszystko samo się ułoży i rozegra po jej myśli.

Żeby odwlec w czasie trudną rozmowę i jednocześnie sprawdzić, czy udało

się wyczytać cokolwiek nowego w odnalezionych papierach, zapukała do pana Henryka. Miała nadzieję, że natknął się na coś, co podtrzyma jej najnowsza teorię o tym, że przekazano im tylko część znaleziska. Przez długą chwilę stała przed drzwiami swojego dawnego domu, łudząc się, że gospodarz nie słyszy pukania z powodu dźwiękoszczelnych słuchawek. Sama nasłuchiwała rumoru wiertarki albo uderzeń młotka. Niestety wewnątrz panowała cisza. Obeszła dookoła dom, zajrzała do środka przez drzwi tarasowe, potem jeszcze wspięła się do kilku okien i w końcu westchnęła zrezygnowana. Wszystko wskazywało na to, że w domu nikogo nie było. Mnóstwo kartonowych pudeł i przykryte folią meble sugerowały, że remont został zakończony i trwa przeprowadzka. Istniała zatem szansa, że lada moment zjawi się ktoś z kolejną partią sprzętów do ustawienia wśród pieczołowicie odnowionych ścian starego domu.

Przysiadła na schodach i odczekała kilkanaście minut, a potem, westchnąwszy ciężko, powędrowała w stronę sąsiedniej posesji. Przystanąła na moment przy swoim samochodzie z pokusą, by wsiąść i czym prędzej odjechać, zapominając o całej sprawie. Wtedy zadźwięczały jej w głowie słowa Amelie o determinacji jej schorowanej matki w dążeniu do wyjaśnienia rodzinnych spraw, a wraz z nimi pojawiła się całkiem nowa myśl i w konsekwencji plan, który miał szansę się powieść.

Nim zadzwoniła do furtki, dostrzegła niewielki ruch firanki w jednym z okien.

Zastanawiała się, jak długo była obserwowana. Czy ktoś dostrzegł niepewność, którą Laura z pewnością miała wypisaną twarzy? To było możliwe. Niestety nie było już czasu na tego typu rozważania i związane z tym wątpliwości ani tym bardziej na odwrót. Dlatego zdecydowanie pchnęła furtkę. Zamknięta. Znów nacisnęła dzwonek i już nieco spokojniej czekała, aż ktoś odblokuje zamek. Zamiast tego otworzyły się drzwi domu i na ganku pojawiła się gospodyni.

– Słucham panią.

W jej głosie pobrzmiwała dziwna nerwowość, co dodało Laurze odwagi. Mogło oznaczać, że kobieta ma coś na sumieniu.

– Czy mogłybyśmy chwilę porozmawiać? – spytała, wskazując zamkniętą furtkę. – Pojawiły się pewne nowe okoliczności...

Bączkowa po krótkim wahaniu otworzyła furtkę kluczem wyjętym z kieszeni nylonowego fartucha. Wpuściła Laurę na teren posesji, jednak nie zaprosiła do środka. Stała na ścieżce z ramionami splecionymi na piersiach i bez słowa wpatrywała się w nieproszonego gościa z podszytym niepokojem wyczekiwaniem.

Laura przez chwilę zbierała się w sobie. Podenerwowanie kobiety sprawiło, że sama poczuła się pewniej, ale nie na tyle, by spytać wprost o to, po co tu przyszła.

– Udało nam się dotrzeć do pewnych nowych informacji – zaczęła wolno. –

W związku z tym, co zostało odnalezione dzięki państwu. Skontaktowaliśmy się z osobą, która prawdopodobnie wie na ten temat więcej. To dotyczy też przedmiotów zamurowanych w schowku...

Zrobiła krótką pauzę, udając, że szuka czegoś w torebce. Liczyła na to, że kobieta wykorzysta moment i sama zacznie mówić. O ile oczywiście miała cokolwiek do powiedzenia. Laura obserwowała ją ukradkiem przez pasmo włosów, które opadło jej na twarz. Jednocześnie szukała chusteczek higienicznych mających odegrać rolę pretekstu do przerwania rozmowy. Zastanawiała się też gorączkowo, co powie, jeśli fortel nie zadziała. Nie przygotowała niczego sensownego na taką ewentualność. Na szczęście zanim jeszcze zdążyła wyjąć chusteczki, rozerwać opakowanie i wydmuchać demonstracyjnie nos, jak to sobie zaplanowała, Bączkowa westchnęła ciężko i z wyraźną rezygnacją. Laura z kolei wstrzymała na chwilę oddech.

– Chodzi o tę kukłę tak? – odezwała się wreszcie kobieta.

– Kukłę? – Laura z wrażenia zamiast chusteczek wyjęła w końcu z torebki małą wkładkę higieniczną w charakterystycznym różowym opakowaniu.

Jej rozmówczyni przyglądała się temu chwilę zaskoczona.

– No tę lałę, co była razem z papierami w skrzyni – wyrzuciła wreszcie i zamilkła speszona.

Laura ściągnęła brwi. Zorientowawszy się, co trzyma w rękach, błyskawicznie schowała wkładkę do torebki i wyjęła chusteczki. Trochę zbyt nerwowo wyszarpnęła jedną i zacisnęła na niej spocone z wrażenia dłoń.

– W skrzyni, którą nam państwo oddali, nie było żadnej lalki. – Zawiesiła głos i jeszcze mocniej zmarszczyła czoło. Zrobiło jej się gorąco. Z trudem powstrzymała się, by nie wytrzeć sobie również czoła i dekoltu, ponieważ poczuła spływającą po skórze strużkę potu. Nie czuła się dobrze w wymyślonej dla siebie roli i choć wszystko wskazywało na to, że intuicja jej nie zawiodła, nie czuła z tego powodu żadnej satysfakcji. Wręcz przeciwnie, niezręczna sytuacja, w jakiej się znalazła, uprawiała ją w niemałe zakłopotanie.

– Mówiłam, że przez to tylko kupa wstydu będzie. – Twarz kobiety przybrała odcień głębokiej purpury. – Ale mój stary się uparł... Bo naszej wnuczce ta lalka spodobała się, jak tylko ją zobaczyła, a on jej niczego nie umie odmówić. Tłumaczył, że i tak nikt nie wie, co w tej komórce było – mówiła coraz szybciej, jakby nagle zapragnęła wyrzucić z siebie to, co jej ciążyło. – To teraz ma! Wstyd na całe miasto! A mała i tak kukłę w kącie rzuciła za kilka dni, jak i inne.

Machnęła ręką i ruszyła w stronę domu. Laura szła chwilę za nią, ale ponieważ nic nie wskazywało na to, że zostanie zaproszona do środka, zatrzymała się w połowie drogi. Na szczęście nie czekała dostatecznie długo, by zacząć się niepokoić, ponieważ sąsiadka wróciła w ciągu kilkudziesięciu sekund. W dłoniach trzymała sporą lalkę w długiej przybrudzonej sukni wyszywanej koralikami,

z włosami upiętymi w kok, z którego wysmyknęło się sporo poskręcanych kosmyków.

– Odkurzyłam ją trochę, ale do pralki bałam się wsadzać, żeby głowa się nie potłukła – powiedziała, podając Laurze lalkę, po czym znów splotła ramiona na piersiach. Na twarzy wciąż miała silne wypieki. – A na przeprosiny jajek dam. Świeżutkie, ze wsi przywiezione – dodała niemal jednym tchem.

– Nie trzeba! – Laura zamachała energicznie dłonią i uśmiechnęła się zmieszana. – Naprawdę, nie trzeba.

– To co ja innego mogę? Bo jak się ludzie w mieście dowiedzą... – Kobieta załamała ręce.

– Ale skąd mieliby się dowiedzieć? – Laura spojrzała na nią z nieudawanym zdziwieniem.

– Nie dowiedzą się?

W jej oczach pojawiła się nadzieja i jakby ulga.

– Szczerze mówiąc, liczyłam na to, że nie będzie pani rozpowiadać znajomym o schowku i skrzyni. Lepiej nie robić z tego sensacji.

– A pewnie że lepiej! – podchwyciła ochoczo. – Toteż ja nikomu o tym nic... Tylko rodzinie najbliższej. Jeszcze by kto tych papierów żydowskich był ciekaw. Gazeta jakaś albo i telewizja. A mnie taka bieda niepotrzebna. Dość mam, jak każdy tutaj. Już się człowiek na to napatrzył, aż za dużo. A co było, to było, nie ma co roztrząsać, czasu się nie cofnie. Wiadomo, że człowiek żałuje, bo tam ponoć i dzieci żydowskie były, całkiem maleńkie, w tamtej stodole, w płomieniach, ale co się stało, to się nie odstanie. Była wojna, sama pani wie, a przecież my, jak tu wszyscy żyjemy, niewinni temu, co się natenczas w świecie wyprawiało... – urwała, patrząc na Laurę wyczekująco, jakby szukała u niej potwierdzenia.

Laura mimowolnie skinęła głową, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Przypomniała sobie słowa ciotki, która trafnie odgadła powód, dla którego skrzynkę przechowywano z dala od domu, w wiejskiej oborze. Skinęła jeszcze raz, teraz już na pożegnanie. Bączkowa z wyraźną ulgą odprowadziła ją do furtki.

Zamyślona nad tym, co chwilę wcześniej usłyszała, niemal zapomniała o lalce, którą niosła przerzuconą głową w dół przez zwisającą z ramienia torebkę. Odruchowo ulokowała zabawkę w samochodzie obok siebie i dopiero gdy zaczęła przypinać ją pasem bezpieczeństwa, dotarło do niej, co właściwie robi. Jednak zamiast wybuchnąć śmiechem, zamarła z rękami wspartymi o siedzenie pasażera. Kiedy pochylając się nad lalką, zajrzała w białą biskwitową twarz, nieoczekiwanie doznała przedziwnego wrażenia.

– Jakbym już gdzieś ją widziała – wymamrotała do siebie.

Przyglądała się szklistym zielonym oczom i rozchylonym karminowym ustom. Pociągnięte spłowiałym różem policzki były lekko zapadnięte, twarz lalki zrobiła się przez to pociągła. Zupełnie inna niż u starych lał, które Laura widywała

dotąd – zwykle o okrągłych, pызatych buziach, być może dlatego, że stylizowanych na słodkie i dziecięce, i przez to na swój sposób upiornych.

Twarz tej lalki była zdecydowanie dorosła, jednak nie mniej przerażająca niż te dziecięce. Wszystkie kojarzyły się Laurze z wiktoriańskimi fotografiami *post mortem*, których bała się panicznie i których oglądanie przyprawiało ją o mdłości. Uważała, że fotografowanie ludzi po śmierci, w dodatku upozowanych, jakby nadal żyli, nie powinno mieć miejsca. Niczemu nie służyło, a zamiast tego szkodziło zarówno zmarłym, jak i żywym. Jednym i drugim odbierało należny im spokój, w sercach i umysłach pogrążonych w żałobie najbliższych pozostawiało niewłaściwy obraz utraconej osoby, zdecydowanie nie ten, który powinni zachować. Bo bez wątpienia każdy wolałby zostać zapamiętany takim, jakim był za życia. Z bijącym sercem i duszą na swoim miejscu. Tymczasem to, co przedstawiały pośmiertne podobizny, było tylko pustą powłoką, którą stanowiło pozbawione ducha ciało.

Laura wzdygnęła się. Odruchowo przyglądała lekko potargane włosy lalki i... omal nie krzyknęła. Cofnęła dłoń ze wstrętem i wytarła ją w chusteczki, zużywając niemal całą paczkę. Potem jeszcze długo pocierała nerwowo obiema rękami o własne spodnie, jakby z obawy, że nadal są brudne.

Przez całą drogę do Bujan nie spojrzała w stronę siedzenia pasażera ani razu. Ścisła mocno kierownicę z wrokiem wbitym w jezdnię, licząc niecierpliwie kolejne kilometry. Gdy dotarła do domu ciotki, wahała się krótką chwilę, zanim chwyciła ostrożnie lalkę w talii i poniosła ze sobą.

– Miałyśmy rację – oznajmiła na widok Heleny i czym prędzej posadziła bladolicę trofeum na najbliższym krześle. Otrzepała porządnie dłonie, a potem umyła je pod kuchennym kranem.

Helena tymczasem wpatrywała się w lalkę szeroko otwartymi oczami, z nożem wbitym w obrane do połowy jabłko. Laura przez moment miała wrażenie, że było to coś więcej niż zwyczajne zaskoczenie.

– Tobie też wydaje się znajoma?
– Kto? – Helena z wyraźnym trudem oderwała wzrok od lalki.
– No ona. Jej twarz. Odnoszę wrażenie, że gdzieś już ją widziałam.
– To chyba całkiem naturalne. Stare lalki są z reguły do siebie podobne.
– Tak, ale nie ta. Jest całkiem inna. Poza tym... – Mimowolnie skrzywiła się ze wstrętem. – Ma naturalne włosy.

– Ale one chyba zwykle takie właśnie mają?

Helena dotknęła ostrożnie lalki, lecz nie podniosła jej z krzesła. Kucnęła tylko obok i przyglądała się jej z uwagą, wciąż trzymając w rękach jabłko i nóż. Laura obserwowała poczynania ciotki, ale nadal z daleka. Nigdy nie lubiła tego typu kolekcjonerskich gadżetów. Lalki z porcelany, zwłaszcza te wiekowe, stylizowane na małe dziewczynki, niezmiennie ją przerażały. Nie rozumiała, jak

można było kiedykolwiek dawać je do zabawy dzieciom. O wiele lepiej sprawdzały się w roli bohaterek koszmarów niż jako dziecięce zabawki.

– Jestem prawie pewna, że już gdzieś ją widziałam – powtórzyła. – Mam całkiem niezłą pamięć do twarzy, nawet jeśli są z porcelany.

– Za to ja wprost przeciwnie – odparła Helena. Odkroiła kawałek jabłka i włożyła go sobie do ust. – Zapominam natychmiast raz widziane oblicze. No a lalki... – Wzruszyła ramionami. – Widziałam ich w życiu wiele, sama bawiłam się kiedyś podobnymi, ale jak dla mnie one wszystkie miały niemal identyczne buzie. Rzeczywiście podobne do tej.

Laura zastanawiała się chwilę nad czymś.

– Nie zachowała się żadna?

– Chodzi ci o moje lale? Żałuję, ale nie. Moje dzieciństwo, jak wiesz, przecięły takie czasy, że miałam sporo szczęścia, że sama się uchowałam. – Jak zawsze usiłowała żartować, gdy wracała do trudnych dla niej tematów i nieprzyjemnych wspomnień.

Helena nigdy nie lubiła rozczulać się nad sobą, a jeszcze bardziej nie znosiła, gdy robili to inni. Dlatego Laura tak mało wiedziała o tym, co się działo z ciotką po tym, jak została sierotą. Dorosłą już, bo dwudziestoparoletnią, ale jednak sierotą. Nikt nie wiedział, co wtedy czuła, jak sobie radziła z nagłą samotnością... Można było się tylko tego domyślać. Sytuacja, w jakiej się wówczas znalazła, musiała być dla niej wyjątkowo trudna i bolesna. Pierwszy rok żałoby spędziła we Francji, z dala od rodziny – rodzeństwa, matki Laury i babki Zofii. O tym, że nie był to dla niej dobry czas, świadczył też fakt, że prawie nigdy go nie wspominała. Wiadomo było jedynie, że pracowała za granicą jako opiekunka dwóch małych dziewczynek i zobaczyła niewiele ponad najbliższą okolicę maleńkiego francuskiego miasteczka, ponieważ nie miała okazji ani środków, by wybrać się na dłuższą wycieczkę, na przykład do Paryża.

Laura nie zabrała lalki do swojego pokoju. Przez nią mogłaby mieć problemy z zaśnięciem. Wraz z książkami Zohar wyniosła ją na strych i zostawiła w kartonowym pudle. Zanim zeszła na kolację, włączyła komputer, żeby odebrać pocztę. Jeszcze w Jedwabnem zorientowała się, że dostała wiadomość od Amelie, niestety telefon z powodu słabego zasięgu nie poradził sobie z otwarciem załączników. Dlatego spróbowała ponownie.

Tym razem otwierały się, ale bardzo wolno. Odsłaniały się stare zdjęcia, miejscami mocno zniszczone. Żeby urozmaicić sobie oczekiwanie, szperała w internecie w poszukiwaniu informacji o produkowanych przed laty lalkach. Oglądała zdjęcia na różnych blogach i aukcjach. Ciotka Helena miała rację, ich twarze były bardzo podobne. Laleczki różniły się przede wszystkim fryzurą, strojem i lepszym lub gorszym stanem, w jakim się zachowały. Żadna jednak nie przypominała tej, którą ktoś замуrował w schowku. Niemal wszystkie miały

pyzate, rumiane policzki i czasem tłusciutkie podbródki. Zgodnie ze stereotypem, jak powinny wyglądać wszystkie zdrowe i szczęśliwe dzieci, oczywiście w czasach, w których powstały ich kopie. Leciutka nadwaga świadczyła jedynie o tym, że dziecko jest zadbane, ponieważ porządnie odżywione. Laura uśmiechnęła się na tę myśl, gdy uświadomiła sobie, że taki pogląd pokutował właściwie i wtedy, gdy sama była małą dziewczynką. Wszystkie babki i matki niemal siłą wpychały swoim pociechom upichcone z ogromnym pietyzmem potrawy. Z wyjątkiem matki Laury pochłoniętej czymś znacznie ważniejszym niż pilnowanie, czy jej jedyne dziecko najada się do syta.

Zaśmiała się z goryczą. Irena Kossacka-Szubaj nie miała powodu zabiegać w ten sposób o zdrowie córki. To nie miało sensu, skoro już chorowała. I jeśli o coś zabiegała, to tylko o to, by zwiększyć jej szanse na przeżycie. Z determinacją, jednak bez nadziei, którą powinna przekazać choremu, śmiertelnie przerażonemu dziecku, wlewając w nie choć odrobinę otuchy.

Kliknęła zrzuconą na listwę stronę z pocztą i zamarła z otwartymi ustami. Poderwała się z miejsca i przez moment stała w rozkroku, niepewna, co zrobić najpierw. W końcu popędziła na strych. Wyszarpnęła z kartonu lalkę, w drodze powrotnej zabrała laptopa i zbiegła po schodach wprost do kuchni, gdzie wciąż krzątała się ciotka – w lekkich płasach, na wpół tanecznym krokiem, w rytm dla niej tylko słyszalnych dźwięków, tak jak zwykła robić, gdy targały nią emocje. Zarówno pozytywne, jak i negatywne, jednak teraz w grę wchodziły raczej te drugie. Próbowwała je pewnie w ten sposób wyciszyć albo w sobie tylko znany sposób ujarzmić. Podobno nauczyła ją tego jej matka.

Nie był to zwyczajny taniec, ale coś o wiele subtelniejszego. W pierwszej fazie wręcz niezauważalny dla kogoś, kto wcześniej się z nim nie zetknął. W kolejnej również nie przypominał tradycyjnych rytmicznych płasów, był o wiele bardziej naturalny, jakby sam stawał się tą muzyką. Czasem tylko, dziś już bardzo rzadko, Helena pozwalała sobie na więcej, wykonując coś, co nieco przypominało klasyczny taniec solo. Robiła to zwykle w ogrodzie, pod osłoną zieleni. Ruchy jej ciała stawały się dużo bardziej jawne, choć nadal niezwykle płynne i wciąż na tyle stonowane, że położona na jej głowie książka z pewnością pozostałaby na miejscu. Nadmiar spontanicznej energii był uwalniany jedynie przez wyrzucanie w górę ramion, z uniesioną ku słońcu rozpromienią jak ono twarzą. Ciotka określała ten gest „afirmacją życia”. Laura zachęcana przez nią usiłowała się tego nauczyć, jednak w jej wersji o wiele bardziej przypominało to oganianie się od insektów niż uduchowiony taniec.

Kolejne próby nie przyniosły spodziewanych efektów, podobnie jak niegdyś joga, na którą zapisała się w nadziei, że to pomoże jej wreszcie zrozumieć, o co chodzi w tańcu ciotki, dostrzegłszy między nimi pewne podobieństwo. Jedno i drugie wymagało skupienia, wczucia się w ledwie uchwytną istotę rzeczy, by

osiągnąć wyjątkowy stan i znaleźć się gdzieś na granicy świadomości i podświadomości. Laura nie potrafiła tego uzyskać. Za to w wykonaniu Heleny taniec wyglądał jak rodzaj medytacji albo nawet modlitwy. W rzadkich momentach inicjowany też dla samej przyjemności niż z rzeczywistej potrzeby wyciszenia się. Zupełnie inaczej niż w tej chwili, gdy widać było, że dyskretnymi ruchami płynącymi jakby z głębi ciała Helena usiłuje pozbyć się rosnącego w niej napięcia.

Laura, mimo że wciąż była podekscytowana nieoczekiwanym odkryciem, przyglądała się chwilę ciotce, ale nie dała po sobie poznać, że dostrzegła również jej emocje.

Helena nie od razu odkryła jej obecność. Drgnęła, gdy Laura podeszła do stołu i odsunęła na bok stojące tam naczynia. Śledziła jej ruchy, gdy ustawiała na nim laptopa, a obok sadzała lalkę.

– Patrz – oświadczyła Laura z triumfem, usiłując mimo wszystko zachować spokój.

– Zdjęcie? – Helena podeszła bliżej. – Amelie ci je przysłała? I co w związku z tym?

– Tutaj... Popatrz!

Laura potrząsnęła niecierpliwie lalką, a właściwie samą jej głową, chwytając za porcelanowy podbródek.

– Nadal nie rozumiem. – Ciotka rozłożyła bezradnie ręce.

– Przyjrzyj się dobrze! – Irytowała się Laura. – Przecież one są identyczne!

– Kto?

– No ona! – Przyciągnęła twarz lalki tak, że znalazła się na tle monitora. – Sara Rosen. Ma przecież jej twarz... – Urwała, zastanawiając się nad czymś chwilę. – I nadal wydaje mi się znajoma. Teraz to jest jeszcze bardziej niepokojące. Myślisz, że to dlatego odniosłam takie wrażenie? Bo już wcześniej gdzieś widziałam fotografię Sary?

– Niby gdzie?

– Może w twoim najstarszym albumie? Kiedyś lubiałam go przeglądać.

– Niemożliwe. Wiem, co w nim mam. Zdjęcia tej kobiety – kiwnęła ręką w stronę monitora – z całą pewnością tam nie znajdziesz.

– Pozwolisz mi jednak do niego zajrzeć? Nie chodzi o to, że nie ufam twojej pamięci, ale może coś mi się skojarzy. I przypomnę sobie wreszcie, skąd znam tę twarz.

Helena wzruszyła ramionami, co miało oznaczać „rób, co chcesz, choć to i tak bez sensu”, po czym spokojnie wróciła do swoich zajęć. Obecność Laury przestała przeszkadzać jej w osobliwych płasach, teraz robiła to nawet bardziej zawzięcie.

Laura bez słowa poszła do pokoju ciotki i wzięła z półki album w wytartej okładce. Po chwili wahania, zamiast pójść na górę, wróciła z nim do kuchni.

Usiadła przy stole. Helena zerknęła na nią przez ramię, ale nie podeszła. Kroiła warzywa, głośno stukając nożem w deskę. Laura tymczasem wolno przerzucała strony, przyglądała się każdej kolejnej fotografii. Nie знаła wszystkich znajdujących się na nich osób, ale z pewnością żadna nie przypominała Sary Rosen. Nieco dłużej zatrzymała się w miejscu, w którym brakowało jednego zdjęcia. Został po nim jedynie ślad kleju. Nie mogła sobie przypomnieć, czy wcześniej widziała tu tę lukę, właściwie była niemal pewna, że album jest szczelnie zapelniony.

Podniosła wzrok na ciotkę, która wciąż stała odwrócona tyłem. Potem obejrzała następne kartki. Nie znalazła więcej pustych miejsc. Zanim odłożyła album, z wahaniem pogładziła wewnętrzną stronę tylnej okładki, gdzie w specjalnej tekturowej kieszonce ciotka przechowywała różnego rodzaju pamiątki: stare kartki z życzeniami, wycięte z gazet ilustracje i artykuły. Laura nie wyjęła ich stamtąd, ale lekko odciągnęła brzeg kieszeni paznokciem. Pośród kolorów mignął jej ząbkowany rożek w kolorze sepii. Wysunęła go nieco. Nie pomyliła się. Między barwnymi pocztówkami tkwiło zdjęcie. Znow zerknęła na ciotkę, która wręcz ostentacyjnie nie zwracała na nią uwagi. Całkiem już zatracona w swoim dziwacznym tańcu pobrzękiwała cicho przestawianymi w tę i z powrotem naczyniami.

Laura powoli wysunęła poźółkły kartonik i zaraz potem podniosła zdumiony wzrok na Helenę, raczej z własnego wyboru wciąż nieświadomą tego, co działo się za jej plecami.

– Dlaczego to zrobiłaś, ciociu?

Staruszka znieruchomiała, zgarbiła się na moment, a potem odwróciła się gwałtownie.

– Co takiego? – Wyglądała na autentycznie zaskoczoną.

– Czy to dlatego ją przede mną ukryłaś? – Laura uniosła znaną fotografię. – Nie chciałaś, żebym w końcu przypomniała sobie, skąd znam tę twarz? I że to nie Sara Rosen wydała mi się znajoma, ale lalka, która nie wiadomo dlaczego wygląda jak ona?!

– O czym ty mówisz? – Helena wytarła ręce w fartuch i podeszła bliżej. Wyjęła zdjęcie z rąk Laury, sięgnęła po leżące na stole okulary i włożyła je na nos, a potem ze zmarszczonymi brwiami przyjrzała się również lalce tkwiącej wciąż na kuchennym blacie. – Jest całkiem jak ta na zdjęciu – stwierdziła po krótkiej chwili.

Odwróciła się do Laury i otworzyła usta, żeby jeszcze coś dodać, ale nie zdążyła.

– Przecież właśnie to mówię! – Laura przełknęła z trudem ślinę. – I bardzo chciałabym wiedzieć, dlaczego wyrwałaś i ukryłaś to zdjęcie?

– Ależ to nie ja! – Obruszyła się ciotka.

– Więc kto?

– Ty!

Helena odłożyła zdjęcie, kładąc je na okładce zamkniętego albumu, usiadła przy stole i splotła dłonie na jego blacie.

– Akurat. – Laura zająknęła się, nieco zbита z tropu. – Pamiętałabym.

– A nie pamiętasz? Na pewno? Bo gdyby rzeczywiście tak było, buzia lalki nie utkwiliby ci tak bardzo w głowie. – Ciotka przesunęła w jej kierunku zdjęcie i stuknęła w nie palcem. – Odkleiłaś je sama prawie trzydzieści lat temu, a potem nie chciałaś mi go za nic w świecie oddać. Schowałaś je gdzieś przede mną, do dziś nie mam pojęcia, dlaczego. Długo musiałam cię namawiać, żebyś mi je w końcu zwróciła.

Laura raz jeszcze przyjrzała się pośliskiej fotografii. Poczula, jak płoną jej policzki. Jak mogła o tym zapomnieć? Czy to właśnie lęk, który poczuła po raz pierwszy na widok porcelanowej lalki w objęciach nieznajomej, smutnej dziewczynki, kazał jej wyprzeć ten obrazek z pamięci?

Wtedy nie rozumiała, dlaczego tak piękna lalka budzi w niej strach, skoro inne, oglądane w zagranicznych katalogach wysyłkowych, gromadzonych namiętnie przez matkę, tak bardzo ją zachwyciły. Miały długie suknie, miniaturowe pantofelki, piękne loki i promienne uśmiechy na plastikowych buziach. Lalka ze zdjęcia również miała wspaniałą strój i fryzurę, ale się nie uśmiechała. Jej Laura nie chciała już nigdy więcej oglądać, podobnie jak smutnej dziewczynki, która ją obejmowała. To dlatego wyrwała fotografię z albumu ciotki i ukryła.

– A ty? – wyszeptała ochryple, ponieważ wspomnienia, które niespodziewanie w niej odżyły, spowodowały nagłą suchość w ustach i gardle. – Nie rozpoznałaś lalki?

– Nie skojarzyłam jej, ponieważ zapomniałam o tym zdjęciu. Inaczej wkleiłabym je w końcu na swoje miejsce. A poza tym mówiłam ci przecież, dla mnie wszystkie lalki, jak ta tutaj, są takie same. Może gdyby widać było dokładniej jej suknię, jakieś szczegóły...

– Dziewczynka mocno tuli ją do siebie, zasłania niemal całą ramionami.

Laura przyjrzała się jeszcze raz fotografii. Tym razem spokojniej. Opuściła głowę niżej również po to, by ciotka nie zauważyła rumieńców na jej policzkach. Wciąż płonęły ze wstydu i zażenowania z powodu tego, jak się zachowała, oskarżając Bogu ducha winną staruszkę, która okazała się mieć znacznie więcej zdrowego rozsądku niż ona.

– Uwielbiała tę lalkę. Tak przynajmniej mówiła.

– Kto?

Laura podniosła głowę. Okrążyła stół i usiadła bliżej ciotki tak, żeby obie mogły widzieć dziewczynkę ze zdjęcia. Około siedmioletnią, z jasnymi lokami, w falbaniastej sukience i długich sznurowanych bucikach wystających spod

plisowanego rąbka. Siedziała sztywno, jakby odrobinę wystraszona, na zbyt dużym dla niej fotelu, przygotowanym pewnie przez fotografa. Może dlatego tak mocno obejmowała i przyciskała do siebie lalkę? Dla dodania sobie otuchy?

– Moja mama. – Helena pogładziła czule postać na fotografii. – To ona jest na tym zdjęciu. Ze swoją ulubioną lalą.

– Leonia? – Laura na chwilę zapomniała o piekących policzkach. Pochyliła się nad zdjęciem. – Nie poznałam jej, bo to chyba jedyny jej portret z dzieciństwa, na którym nie jest z bratem. Wymieniła go na lalę. Czy to rzeczywiście ta sama, którą ukryto w skrzyni?

– Nie wiem. Podobno mama swoją zgubiła. Tak mi powiedziała.

– Więc to może być ta. Nie rozumiem jednak, dlaczego ma twarz Sary?

Helena nie odpowiedziała. Natomiast Laura wyjęła z kieszeni telefon.

– Co chcesz zrobić? – Ciotka wyraźnie się zaniepokoiła. – Bo jeśli zamierzasz pytać swoją matkę...

– Nie tym razem. Muszę opowiedzieć o tym Amelie. Może ona nam wyjaśni, o co tu chodzi?

Francuzka odebrała niemal natychmiast. Wydawała się bardzo przejęta.

– Laura? – Po krótkim *bonjour* nie pozwoliła jej już nic powiedzieć. – Właśnie miałam do ciebie dzwonić. Moja mama się przebudziła! Czuje się znacznie lepiej i niecierpliwie na ciebie czeka.

Tym razem podróż minęła jej szybko. Jednak nie tylko dlatego, że lot trwał znacznie krócej, ale przez pośpiech, w jakim zbierała się do drogi.

Wnuczka Amelie, Coralie, zarezerwowała bilet na samolot w trybie ekspresowym, więc Bujany Laura opuściła szybciej, niż planowała. Oczywiście przy akompaniamencie marudzenia niezadowolonej ciotki, która do końca usiłowała odwieść ją od niedorzecznego, jej zdaniem, pomysłu. W drodze do Warszawy Laura parokrotnie utknęła w korku, dlatego w mieszkaniu miała zaledwie kilka chwil na przepakowanie walizki. Błyskawiczny, ale szczegółowy ogląd wszystkich pomieszczeń uspokoił ją i upewnił, że nikt w nich nie buszował. Tym razem wszystko było na swoim miejscu, a lekki zaduch sugerował, że w ciągu ostatnich dni nie otwierano okien.

Zbiegła w pośpiechu po schodach i zapukała do sąsiadki. Niestety szczęście znów jej nie dopisało. Pani Lusi i tym razem nie było w domu. Zostawiła jej kolejną kartkę w drzwiach. Przez pęd i nieco chaotyczne przygotowania do wyjazdu wciąż nie opuszczało jej podenerwowanie. Wzrosło jeszcze, gdy okazało się, że taksówkarz czeka na nią pod niewłaściwą kamienicą, i potem, gdy już niemal z lotniska musiała wracać do domu po portmonetkę. W roztargnieniu

zostawiła ją w przedpokoju, gdy wkładała do niej kilkadziesiąt euro, które zostały jej z zimowego wyjazdu na narty w Alpy. Na odprawę zdążyła w ostatniej chwili. Zdyszana, spocona i cała w nerwach.

W końcu z ulgą opadła na miękki fotel, tak jak lubiła, przy oknie, w nadziei, że trzygodzinny lot pozwoli jej dojść do siebie – zapanować nad emocjami, uspokoić wewnętrzny dygot i przygotować się przede wszystkim mentalnie na spotkanie z tajemniczymi Francuzkami.

Zamiast tego po prostu zasnęła. Dlatego nim zebrała myśli i zastanowiła się nad planem działania, już lądowała na lotnisku w Beauvais Tillé. Zgodnie z zapowiedzią czekał tam na nią chłopak Coralie, Louis. Nie musiała go nawet wypatrywać, rozpoznał ją pierwszy – pewnie dzięki zdjęciu, które przezornie wysłała Amelie. Podszedł do niej pewnym krokiem. Okazał się uprzejmym i bardzo schludnym dwudziestoparolatkiem, trochę nazbyt poważnym jak na swój wiek, z zaczesaną gładko fryzurą, w długich, mimo gorąca, odprasowanych porządnie spodniach, kraciastej koszuli zapiętej pod samą szyję i masywnych, niezbyt modnych przeciwsłonecznych okularach w rogowej oprawie. Przywitał się krótko i przejął bagaż.

Liczyła w duchu, że dzięki niezobowiązującej pogawędce w trakcie blisko dwugodzinnej podróży do Tergnier potrenuje trochę zaniedbany ostatnio francuski i przy okazji dowie się czegoś więcej o rodzinie Amelie, może nawet o samej Josephine, jednak jej towarzysz okazał się nadzwyczaj małomówny. Lub też dyskretny, co było bardziej prawdopodobne ze względu na jego widoczną gołym okiem kindersztubę, nieczęsto spotykaną u tak młodych ludzi. Przez całą drogę grzecznie, ale bardzo zwięźle, a czasem z ręcznie wymijająco odpowiadał na pytania, objaśniał wątpliwości, uprzejmym skinieniem dziękował za każde miłe słowo, których Laura mu nie szczędziła, chcąc wkupić się w jego łaski i zachęcić do bardziej otwartej rozmowy. Deklarował też, że nie wie, jakie dokładnie plany ma wobec niej Amelie ani nie znał adresu hotelu, w którym Laura miałyby przenocować.

– Babcia Coralie czeka na panią w domu swojej matki – wyjaśnił krótko.

Zrozumiała, że nic więcej z niego nie wydobędzie, dlatego zrezygnowała z dalszego wypytywania. Planowała nawet poczytać książkę, którą znów zabrała ze sobą, ale widoki za oknem szybko ją od tego odwiodły.

Zaciekawiona obserwowała zmieniający się za szybą krajobraz, nieco odmienny od tego, który zapamiętała z wakacyjnych wojaży sprzed paru lat. Zamiast gajów oliwnych, kwitnących różowo i biało oleandrów, przy drodze rosły całkiem zwyczajne, swojsko wyglądające drzewa i krzewy. Za nimi ciągnęła się rozległa równina pokryta soczystą zielenią pól i sadów owocowych, bardzo odmienna od górzystych, na ogół wysuszonych przez słońce rejonów Prowansji. Również niewielkie miasteczka ze strzelistymi katedrami w centrum i kolorową

zabudową różniły się od tych w południowej Francji, jednak były tak samo urokliwe. W dodatku architektury nie szpeciły nowoczesne hotele w formie jednolitych brył urozmaiconych jedynie rozwiniętymi nad każdą loggią pasiastymi markizami, jakich pełno było na Lazurowym Wybrzeżu. A brak egzotyki w postaci wiotkich palm na miejskich skwerkach i w przydomowych ogródkach nie odbierał Pikardii specyficznego klimatu zachęcającego do pozostania tu dłużej niż tylko kilka dni.

Tergnier wyglądało podobnie.

Piękny ratusz z zegarem, fikuśna fontanna przed nim i kościół z imponującą wieżą, usytuowany naprzeciwko, stanowiły obowiązkowy element małomiasteczkowego, nie tylko francuskiego krajobrazu. Całości dopełniały zadbane, ukwiecone wille i parterowe domki w szeregowej zabudowie, z elewacjami tu i ówdzie ozdobionymi pnącym bluszczem. Natomiast wyludnione i senne ulice oraz okna osłonięte szczelnie drewnianymi skrzydłami okiennic lub roletami antywłamaniowymi sprawiały wrażenie, że mimo południa miasteczko nadal śpi. Nie było przesadnie upalnie, jednak ludzie chronili się pewnie przed słońcem z przyzwyczajenia i rutyny. Lub też spacerowały nie były tutaj w modzie. Pieszycy nie widać było wcale, od czasu do czasu przejechał jakiś samochód, jednak nawet na parkingu mijanego supermarketu pojazdów było stosunkowo niewiele.

Wreszcie skręcili w wąską, kameralną Rue Arthur Saily i zaparkowali przed prostym piętrowym domem z czerwonej cegły, z numerem dziesięć. Tu również domknięto niebieskie okiennice. Uchylona była jedynie furtka prowadząca na mały dziedziniec. Zanim Laura zdążyła wysiąść z samochodu, ujrzała drobną brunetkę. Od razu ją rozpoznała, Amelie również przysłała jej swoje zdjęcie. Była chyba nieco starsza od matki Laury, jednak wyglądała zdecydowanie młodziej. Być może przez delikatne rysy twarzy i brak siwych pasm we włosach.

Louis pomachał do niej, ale nie podszedł, żeby się przywitać. Podał Laurze wyjętą z bagażnika samochodu walizkę, po czym skinął głową na pożegnanie. Wszystko wskazywało na to, że nie zamierza jej towarzyszyć.

– Życzę udanego pobytu – powiedział krótko. – O ile wiem, zobaczymy się za kilka dni. Zabiorę panią na lotnisko.

Odjechał, a Laura poczuła ulgę na myśl o odpoczynku po podróży, jednak niestety już po chwili okazało się, że wcale się na to nie zanosi.

– Wspaniale, że już jesteś! – Amelie uściśnęła ją serdecznie. Niewielka śpiewność w jej głosie była przyjemna dla ucha i dość wyjątkowa, nie tylko z powodu melodyjności rodzimego języka, ale jego specyficznego tembru. – Mam nadzieję, że nie potrzebujesz wiele czasu, żeby się odświeżyć. Powinnyśmy jak najszybciej pojechać do mamy. La Fère jest niedaleko. To wielkie szczęście, że tak dobry szpital gerontologiczny znajduje się tylko siedem kilometrów stąd. Mam

nadzieję, że nie jesteś głodna? Zrobiłam, co prawda, niewielkie zakupy i przyrządziłam co nieco...

– Dziękuję, nie będę nic jadła. – Laura zdołała w końcu przerwać jej słowotok, jak się domyślała, wynikający raczej ze zdenerwowania niż wrodzonego gadulstwa. Wprawdzie miała ochotę na lekką przekąskę lub przynajmniej małą kawę, ale wyczuła, że Amelie wolałaby poczęstować ją po powrocie. – Wstąpiłabym tylko chętnie na chwilę do łazienki, a potem możemy od razu ruszać.

Przeszły przez maleńkie podwórko otoczone wysokim murem. Podpierające go szerokie, wypełnione jedynie ziemią donice sugerowały, że wcześniej pięły się tam rośliny. Teraz pewnie nikt nie miał głowy do ich pielęgnowania. Nikt też raczej nie korzystał z osłoniętej przybrudzonym, przezroczystym pleksiglasem werandy. Odwrócone do góry nogami plastikowe krzeselka założono na stół, a nieduży grill na trzech nogach pokrywała gruba warstwa kurzu.

Weszły wprost do dużej kuchni z drewnianym stołem pośrodku. Półmrok rozpraszały jedynie pojedyncze promienie światła wpadające przez szpary w okiennicach, jednak wystrój wnętrza był wystarczająco dostrzegalny, by Laurę przeszedł znajomy dreszcz.

Znajdowało się tu niewiele mebli, ale wszystkie były stare. Pod jedną ścianą stał ciężki, stylowy kredens z przeszkolonymi drzwiczkami, przy drugiej kilka szafek, parę odkrytych półek na naczynia, wiekowa kuchenka na gaz i żeliwny zlewozmywak o nietypowym kształcie, z ogromnym mosiężnym kranem. W kącie przy oknie ustawiono duży fotel i stolik z półką na czasopisma. Amelie obróciła pokrętło staroświeckiego okrągłego włącznika światła. Laura mimowolnie zadarła głowę i spojrzała na zwisającą z sufitu lampę, która jednak nie rozbłysła. Żółtawa łuna wydobyła się za to spod jednych z dwójga białych drzwi. Amelie nacisnęła klamkę, odsłaniając nieoczekiwanie strome i bardzo wąskie schody.

– Na wprost jest łazienka. Jeżeli chcesz, możesz się rozgościć w moim dawnym pokoju, tym na lewo. – Zawahała się. – To znaczy zarezerwowałam ci na wszelki wypadek miejsce w hotelu, ale skoro dom mamy teraz stoi pusty, pomyślałam, że może tutaj będzie ci wygodniej.

Laura cofnęła się odruchowo. Do tej pory nie brała tej opcji pod uwagę, ale teraz propozycja wręcz ją zmroziła. Już wiedziała, że dom Josephine był jednym z tych, w których nie była w stanie przebywać zbyt długo. Już czuła, że zaczyna jej brakować tchu, nieznośnie pulsują skronie, a ciało wydaje się zbyt obszerne dla kurczącego się dziwnie wnętrza. Nie wiedząc, jak się w tej sytuacji zachować ani co odpowiedzieć, ruszyła powoli na górę. Wtedy przyszło jej do głowy coś, co sprawiło, że na moment zapomniała o skrzypiących pod jej stopami stopniach i tonącym w mroku korytarzu, który dostrzegła, gdy na chwilę podniosła głowę i wytężyła wzrok.

– Czy to tutaj mieszkała Sara Rosen?

– Oczywiście. Moja mama urodziła się i wychowała w tym domu, ja zresztą też. I moja siostra. W dodatku dom wygląda właściwie tak samo jak wtedy, gdy należał do Sary. Mama niewiele tu zmieniła, usunęła tylko to, co się popsuło albo zwyczajnie zużyło.

Słowa Amelie sprawiły, że do coraz silniejszych duszności dołączyła trudna do opanowania wiotkość kolan. Laura ledwie była w stanie utrzymać równowagę. Zawsze w podobnych sytuacjach towarzyszył jej mocny dyskomfort, jednak tym razem to poczucie było silniejsze niż kiedykolwiek. Coraz bardziej kręciło jej się w głowie, a gardło dławiał irracjonalny lęk. Przywarła ramieniem do ściany. Słabe światło kinkietu nad jej głową nie odsłoniło na szczęście wyrazu jej twarzy ani nie ujawniło bladości cery, ponieważ Francuzka zdawała się niczego nie zauważać. Laura jednak, żeby ukryć swój stan i nie wprawiać gospodyni w zakłopotanie, na wszelki wypadek weszła kilka stopni wyżej. Niestety poczuła się przez to jeszcze gorzej. Również z powodu myśli, która pojawiła się w jej głowie. Zbyt strasznej, by się jej poddać, i jednocześnie nazbyt cennej, by ją odrzucić.

– Jeśli to nie kłopot, z przyjemnością przenocuję tutaj. – Z ogromnym trudem wykrztusiła wreszcie przez zaciskające się coraz mocniej gardło. Świadoma, że nie ma innego wyjścia. W ten sposób zyskiwała szansę, by dowiedzieć się czegoś więcej o Sarze Rosen również na własną rękę. Dokładne obejrzenie domu, który do niej należał, stwarzało ku temu najlepszą okazję.

– Nic ci nie jest?

Półmrok był dotąd sprzymierzeńcem Laury, niestety tembr głosu zdemaskował złe samopoczucie, ponieważ Amelie przyglądała jej się z niepokojem.

– Źle znoszę latanie – skłamała. – Jeszcze długo po wylądowaniu jest mi niedobrze i świat wiruje przed oczami.

– To pewnie też moja wina. Powinam była przewietrzyć dom. Brakuje tu świeżego powietrza. Zaraz uchylę okno. Może chcesz się położyć? Przygotowałam na wszelki wypadek pościelanie.

– Nie! Nie! – zaprotestowała trochę zbyt gorliwie, co wywołało zdziwienie na twarzy jej gospodyni. – Nie trzeba. Wystarczy, że opłuczę twarz zimną wodą i wyjdę na zewnątrz. Zaraz poczuję się lepiej.

Nie mogła przecież powiedzieć prawdy. Wyjaśnić, że z niewytłumaczalnego powodu nienawidzi starych domów i przebywanie w nich jest dla niej prawdziwą udręką. W dodatku teraz nie miała innego wyjścia i musiała się z tym zmierzyć, więc tłumaczenia niczego by nie zmieniły.

Samotny pobyt w domu Sary Rosen, możliwość spokojnego rozejrzenia się po jego wnętrzach mogły stać się kluczem do zrozumienia tego, co działo się od pewnego czasu wokół Laury. Lalka z twarzą Sary znaleziona w jedwabieńskim

domu dowodziła, że istniał jakiś związek między jej rodziną a Francuzkami, które z nieznanego do końca powodu ściągnęły ją do maleńkiego miasteczka w północno-wschodniej Francji. Nadal nie było właściwie wiadomo, jakie mają wobec niej zamiary i czy można im ufać. Dlatego Laura postanowiła nie wyjawiać zbyt wiele, a jednocześnie dociekać prawdy również na własną rękę. Taka możliwość właśnie się nadarzała. I nie chodziło o myszskowanie w rzeczach osobistych nieobecnej pani domu, ale o spokojny ogląd całości. Laura wierzyła, że wyeksponowane w ramach fotografie, bibeloty na półkach, książki, a nawet zwykle sprzęty codziennego użytku przechowywały mnóstwo informacji o mieszkańcach domu. Liczyła, że tutaj też tak będzie. Zwłaszcza jeśli w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat tak niewiele tu się zmieniło. I niemal wszystko wyglądało tak, jak wtedy, gdy mieszkała tu tajemnicza Sara Rosen, być może krewna prababki Eleonory.

Obmyła twarz, przypudrowała nos i posiedziała chwilę na krawędzi starej, żeliwnej wanny, żalując, że w łazience nie ma okna. Mogłaby je uchylić i pooddychać trochę świeżym powietrzem. Po plecach spłynęła jej strużka potu. Rozpięła kilka guzików bluzki, która coraz mocniej kleiła się do ciała. W końcu zdjęła ją i wyciągnęła z walizki świeżą.

Zdecydowała się zostawić swój bagaż w pokoju, który przeznaczyła dla niej Amelie. Z pewnym wahaniem nacisnęła mosiężną klamkę i uchyliła drzwi, ale zamiast wejść, zamarła w progu z dłonią przyciśniętą do ust.

Mimo starań nie zdołała do końca stłumić krzyku, który wydobył się z jej na wpół zaciśniętego gardła. Czysta koszulka w kilka sekund zrobiła się mokra od potu. Przez kolejną chwilę Laura starała się uwierzyć w to, co widzi w półmroku zalewającym pokój, jednak odnosiła wrażenie, że śni najgorszy z koszmarów. Z trudem otworzyła zaciśnięte na długą chwilę oczy, nie znalazła jednak w sobie dość odwagi, by postąpić choć krok do przodu.

Wróciła biegiem do łazienki i znów się przebrała. Wcześniej, nie bacząc już na stan poprawionego przed chwilą makijażu, obficie splukała wodą twarz i dekolt. Oparła ręce na kolanach i oddychała głęboko, dopóki nie poczuła, że jej puls zwalnia. Dopiero wtedy zeszła na dół z nadzieją, że na jej bladym z pewnością obliczu mimo wszystko maluje się jedynie zmęczenie i kiepskie samopoczucie, a nie strach. Starła się nie myśleć o tym, co zobaczyła w pokoju. Nie znalazła też w sobie dostatecznie wiele siły i odwagi, by zapytać o to Amelie. Poza tym nie bardzo wiedziała, jak miałyby to zrobić, dlatego na wszelki wypadek milczała. Skinęła jedynie głową w podziękowaniu za szklankę wody, z którą gospodyni czekała na nią u podnóża schodów.

Gdy chwilę później wsiadały do samochodu, Amelie wciąż popatrywała na Laurę z troską.

– Na pewno dasz radę? – Upewniała się. – Mam wrażenie, że słaniasz się na

nogach.

– Czuje się znacznie lepiej. Naprawdę. Nic mi nie będzie.

Teraz już nie kłamała. Poprawiło jej się, gdy tylko przeszła przez jasnoniebieską furtkę i stanęła na chodniku. Podejrzewała, że wszystko wróci, gdy tylko znów przekroczy próg starego domu. Miała jednak nadzieję, że trudne chwile pomoże jej przetrwać otwarcie okiennic, wpuszczenie dziennego światła i przewietrzenie wszystkich pomieszczeń. W drodze powrotnej zaplanowały też z Amelie zakupy, pośród których miało się znaleźć dobre czerwone wino. Idealne na poprawę samopoczucia i spokojny sen.

W drodze do szpitala przez długą chwilę milczały. Laura tylko dlatego, że nadal nie wiedziała, w jaki sposób zacząć rozmowę. To, co ułożyła sobie w głowie jeszcze w drodze, przestało być aktualne. Teraz musiała dużo ostrożniej zadawać pytania i formułować własne wypowiedzi. Powinna dowiedzieć się jak najwięcej, samej nie zdradzając wiele. Przynajmniej dopóki nie pozna całej prawdy i rzeczywistego powodu, dla którego kazano jej tu przyjechać. Już nie wierzyła, że chodziło jedynie o odnalezienie polskich korzeni.

– Przepraszam, że niczego ci nie wyjaśniam. – Amelie przerwała wreszcie ciszę, niemal bezbłędnie odgadując myśli Laury. – Ale to mama powinna z tobą porozmawiać pierwsza. Tak będzie lepiej. Obiecuję, że potem odpowiem na wszystkie twoje pytania.

– Rozumiem – zapewniła, nie do końca zgodnie z prawdą. Bo właściwie, to jedynie starała się zrozumieć. Nie tylko nietypowe zachowanie Amelie i Josephine, ale również intencje, które nimi kierowały.

W pierwszej chwili Laura pomyślała, że szpitalne łóżko w jednoosobowej sali jest puste. Drobna staruszka była ledwie widoczna w gładkiej pościeli, również dlatego, że niemal zlewała się z jej bielą. Pozbawione melaniny, ładnie ścięte na pazia włosy rozsypywały się miękko i wtapiały w tło poduszki. Podobnie jak bardzo blada twarz. Gdyby nie kilka mocniejszych akcentów kolorystycznych w postaci ciemnopopielatej oprawy zielonkawych oczu i zdecydowanego koralu warg, chora rozmyłaby się zupełnie w białej szpitalnej scenerii.

Laura początkowo wzięła te ciemniejsze tony za delikatny makijaż, jednak okazało się to tylko złudzeniem. Rozciągnięte w lekkim uśmiechu usta Josephine miały naturalny, mocny pąsowy odcień i wyraźne harmonijne kontury. Przeciwnie niż u ludzi w jej wieku, którym pozbawione koloru wargi najczęściej zapadały się do środka i traciły kształt. Również rzęsy, biorąc pod uwagę wiek kobiety, powinny być spłowiałe i wytarte, a u niej rzucały na policzki długie cienie. Regularne grafitowe brwi były lekko uniesione, jakby w podszytym ekscytacją, ale i niepewnością oczekiwaniu na to, co się za chwilę wydarzy. To samo mówiły jej oczy. Również z ich powodu Josephine tak bardzo różniła się od swoich rówieśniczek. W spojrzeniach starych ludzi zwykle można było dostrzec

rezygnację, czasem melancholię i niekiedy pustkę świadczącą o tym, że nie tylko pogodzili się z rychłym odejściem, ale wręcz zbierali się już do drogi, żegnali się z bliskimi i jedną nogą byli niemal za progiem życia. Jakby w zmęczonych ciałach pozostała już tylko bardzo niewielka część ich duszy.

Natomiast oczy Josephine były wypełnione po brzegi tym, co odbijało się w nich przez wszystkie lata życia staruszki. Nie zabrakło też miejsca na spokój. Nieśpieszne, pogodne poddawanie się temu, co nieuniknione, i co zbliżało się nieubłaganie, stawiając coraz dłuższe kroki. W spojrzeniu staruszki dominowała pozytywna łagodna bierność, bez sztucznego pośpiechu i popędzania losu. To wszystko dodawało jej obliczu zadziwiającej świeżości i blasku.

Laura pomyślała najpierw, że o takich kobietach mawia się, iż zachowały ślady dawnej urody, jednak do Josephine to stwierdzenie nie pasowało. Ona była po prostu piękna, nieustannie, przy czym owe piękno wynikało z czegoś więcej niż zwykła powierzchowność. Emanowało z jej niewątpliwie olśniewającego wnętrza, ale tylko dlatego, że wcześniej ktoś mu stworzył idealne warunki, by tam się zagnieździło i rozwinęło. Zdomowiło się w ciele Josephine na dobre i promieniowało obficie, nie zważając na coraz mniej sprzyjające warunki. Dlatego właśnie nie przysłaniały tego piękna ani gęsta pajęczyna zmarszczek oplatająca cieniutką jak pergamin skórę, ani przebarwienia na skroniach i rękach, które w żadnym wypadku nie zasługiwały na tak ohydne miano, jakim je określali lekarze. Plamy starcze nie pasowały do anielsko jasnej skóry tej staruszki. Były po prostu złotawymi smugami, które urozmaicały monotonną błądźcę cery i zachęcały do zatrzymania na chwilę wzroku na ich nieregularnych kształtach. Wydobywały mimowolny uśmiech u obserwatora i powodowały, że rodziła się w nim osobliwa tkliwość.

Laura z trudem oderwała wzrok od Josephine. Nie była w stanie wykrztusić niczego więcej ponad szkolne *bonjour madame*, a nie wypadało tak długo przyglądać się chorej, nie zaczynając rozmowy, choćby nawet na zupełnie banalny temat.

Samym tylko wzrokiem poprosiła o pomoc Amelie, która z czułością poprawiała matce poduszki i troskliwie okrywała miękkim szalem jej szczupłe ramiona. Josephine uśmiechała się do niej i głaskała po policzkach. Nagle drgnęła, jakby o czymś sobie przypomniała. Przytrzymała dłoń córki i powiedziała coś, jednak zbyt cicho, by Laura dosłyszała. Amelie skinęła głową i podała jej wyjęte z torebki zawiniątko. Pochyliła się i całując matkę w policzek, dyskretnie szepnęła jej coś do ucha, a potem od razu ruszyła do wyjścia, wcześniej gestem wskazując Laurze stojące nieopodal krzesło.

– *Asseyez-vous ici, ma chère*[1]. – Josephine potwierdziła zaproszenie.

Jej głos był bardzo słaby, ale niepozbowiony identycznej jak u Amelie, miłej dla ucha melodyjności. Być może też za sprawą języka, w którym zaczęła

rozmowę. Laura zastanawiała się, czy może w razie potrzeby, tak jak w rozmowie z Amelie i Louistem, wspomóc się trochę angielskim, ponieważ francuski, którym posługiwała się rzadko, bywał niedoskonały. Postanowiła jednak na razie o to nie pytać.

– *Enchantée de faire votre connaissance*[2] – zaczęła od niezbyt szczerego banału, co spowodowało, że zaczerwieniła się po koniuszki uszu.

Nie było tajemnicą, że od początku nie chciała tu przyjeżdżać, a prośbie uległa ze względu na zły stan zdrowia staruszki. Jednak mimo że nie było mowy o autentycznej radości ze spotkania, Laura odczuwała pewien rodzaj ekscytacji. Josephine wywarła na niej tak ogromne i pozytywne wrażenie, że gdzieś głęboko w duchu zaczynała cieszyć się, że tu przyjechała. Nawet jeśli to rzeczywiście było szaleństwo, jak przekonywała ją ciotka Helena, i nawet jeśli miała to okupić kilkudniowym pobytem w starym domu, który napawał ją niemal paraliżującym lękiem.

Gdy o tym pomyślała, przypomniała sobie, co zobaczyła w dawnym pokoju Amelie. Od tego właśnie pragnęła zacząć rozmowę, ale tak, by nie urazić staruszki, do której czuła coraz większą sympatię.

Tymczasem Josephine rozpakowała ostrożnie zawiniątko pozostawione jej przez córkę. Laura, pogrążona chwilowo we własnych rozważaniach, przyglądała się temu z umiarkowanym zainteresowaniem, przekonana, że chodzi o jakiś osobisty drobiazg przyniesiony z domu. Do momentu, w którym ujrzała zawartość pakunku.

Ze zdumienia wstrzymała na chwilę oddech.

– Wiem, co to jest. – Przysłoniła usta, ponieważ z emocji powiedziała to trochę za głośno. – Widziałam już taką, też jedną, bez pary.

– Zatem wiesz też zapewne, że nie są to zwykle rękawiczki. I że wiąże się z nimi pewna ważna obietnica...

Josephine mówiła wolno, więc Laura przestała się obawiać, że czegoś nie zrozumie. Poza tym rozmowa z Louistem i Amelie pomogła jej odświeżyć dawno nieużywany język, z czego dopiero teraz zdała sobie sprawę. Poczowała się więc nieco pewniej.

– Obietnica? – Zdziwiła się. – Słyszałam tylko, że podobne rękawiczki ofiarowywali swoim wybrankom członkowie łóż masońskich.

Ta, na którą właśnie patrzyła, była biała, jedwabna, z wyhaftowanym w okolicach nadgarstka symbolem wolnomularskim z cyrkiem i węgielnicą. Prawa, a Laura dobrze wiedziała, gdzie jest lewa. Tkwiła pomiędzy listami Lichoty pozostawionymi w samochodzie, w garażu na Rudawskiej. Rękawiczki bez wątplenia stanowiły parę. Były identyczne, z tym że jedna w fatalnym stanie, natomiast druga lśniła nieskazitelną bielą.

– Zgadza się. – Staruszka skinęła wolno głową. – Ofiarowywali je, obiecując

im w ten sposób dozgonną wierność i oddanie.

Laura otworzyła usta, żeby zapytać, w jaki sposób jedna z rękawiczek, które pradziadek Kajetan podarował prababce Eleonorze, znalazła się we Francji, gdy nagle przyszło jej coś do głowy.

– Czy ta rękawiczka należała do Sary Rosen?

Josephine znów skinęła głową.

– Została jej ofiarowana przez mężczyznę, który był jej jedyną miłością.

Laura ściągnęła brwi.

– W takim razie rękawiczka, którą ja mam, nie może stanowić pary z tą tutaj. Tamtą mój pradziadek podarował prawdopodobnie swojej ukochanej żonie. Był masonem, więc... – zająknęła się, bo przecież nie miała co do tego pewności.

– Gwarantuję, *ma chère enfant*, że mówimy o jednej parze rękawiczek.

Laura poczuła się zbita z tropu. Przebierała nerwowo palcami i ledwie powstrzymywała się przed wyjęciem rękawiczki z rąk staruszki po to, by przyjrzeć się jej dokładniej.

– Czyli według pani to nie Eleonora je otrzymała, lecz pradziadek podarował je całkiem innej kobiecie? Dlaczego? Kim była... Kim była dla niego? Czy w takim razie... – Chwyciła się za czoło, bo zaczynało jej się kręcić w głowie. – Czy to właśnie jest ta tajemnicza rzecz, której pani matka nie zabrała ze sobą, gdy opuszczała kraj? Zgubiła lewą rękawiczkę? Nie chodziło o lalkę?

Przez cały czas, gdy mówiła, staruszka zaprzeczała, potrząsając głową i obiema dłońmi. Wydawało się, że ma już przygotowaną odpowiedź, jednak w ostatniej chwili jakby zmieniła zdanie i zamarła z otwartymi ustami.

– Jaką lalkę?

Spokojnie wysłuchiwała opowieści Laury o schowku i znalezionych w nim przedmiotach. Uśmiechnęła się, znów kręcąc głową, tym razem z wyraźnym niedowierzaniem, gdy Laura pokazała jej w telefonie zdjęcia lalki.

– Nie miałam pojęcia – szeptała, przyglądając się im długą chwilę. – Naprawdę nie wiedziałam.

– Czy ona należy do kolekcji?

Staruszka z trudem oderwała wzrok od wyświetlacza telefonu i przeniosła go na Laurę. W jej oczach malowało się zdziwienie.

– O jakiej kolekcji mówisz?

– Tej w dawnym pokoju Amelie. Weszłam tam i je wszystkie zobaczyłam. Lalki! Były wszędzie! I proszę nie mówić, że przesadzam. Dobrze wiem, co widziałam. Sprawiają upiorne wrażenie.

– *Mon Dieu!* Ależ ja nie zamierzam niczemu zaprzeczać. Oczywiście, że tam są. Amelie nie wyjaśniła ci tego?

– Nie pytałam – zająknęła się. – Trochę mnie to zaskoczyło.

– Przepraszam, powinnyśmy były to przewidzieć. Wszystko przez to, że

Amelie nie pozwala mi ich wynieść na strych.

– Dlaczego? – Laura ledwie stłumiła nerwowy śmiech. – Przecież od dawna się nimi nie bawi?

– Właściwie nigdy się nimi nie bawiła. Większości z nich być może nawet nie wzięła do ręki więcej niż parę razy, po to tylko, by otrzepać je z kurzu. Wszystkie należały do jej starszej siostry. Marie Anne.

– Wspominała o niej. – Przypomniała sobie Laura. – I o tym, że w dzieciństwie dzieliły ten pokój.

– Tak. – Josephine westchnęła. – Tylko że moja starsza córka Marie Anne nie żyje. Od bardzo wielu lat. Nie wiem, dlaczego Amelie uparła się, żeby zachować te lalki, bo nigdy ich nie lubiła. Chyba nawet trochę się ich bała. Od zawsze nazywała je porcelanowymi trupkami, czym doprowadzała Marie Anne do szału. Przede wszystkim ze względu na Sarę.

– A co ona ma z tym wspólnego?

– Wszystko! Była przecież ich twórczynią. – Josephine wskazała brodą telefon, który Laura wciąż trzymała w ręku. Tę też z pewnością zrobiła sama.

– Każdej dawała swoją twarz?

– Nie, nie! – Josephine uśmiechnęła się, jednak bardziej do własnych myśli. – Raczej oblicza ich nowych właścicieli. Dzięki lalkom mogła nas utrzymać, a nawet z czasem kupić dom i urządzić sobie pracownię lalkarską. Tam, gdzie teraz jest garaż. Od zawsze byliśmy same, zdane tylko na siebie. Nigdy nie poznałam mojego ojca, nawet nie wiem, kim był. Mama nie chciała tego zdradzić, raz tylko napomknęła, że dzięki jego genom zawsze będę wyjątkowa, więc przypuszczam, że on również taki był. Może właśnie dlatego nie mogła ujawnić jego tożsamości? Bo był kimś ważnym i znanym? Faktem jest, że nie pojawił się w moim życiu nawet w opowieściach. Mama od początku wychowywała mnie sama, ale radziła sobie ze wszystkim naprawdę dobrze. Nigdy niczego mi nie brakowało.

– Nadal nie rozumiem, w jaki sposób lalka z twarzą pani matki znalazła się w Polsce, w moim domu. W dodatku w schowku – zamurowanej części korytarza. Czyżbym jednak miała rację? To właśnie lalka jest tą cenną rzeczą, którą Sara zostawiła w Jedwabnem?

– Nie chodzi ani o lalkę, ani o rękawiczki, mimo że jedno i drugie jest z tym na swój sposób związane...

– W takim razie o co? – Laura traciła cierpliwość. Miała otrzymać wyjaśnienia, tymczasem z każdą minutą wiedziała coraz mniej i czuła się coraz bardziej zagubiona. – Co takiego zostawiła w Polsce i jaki związek ma z tym moja rodzina? Bo chyba nie chodzi jedynie o rzekome pokrewieństwo, prawda? Co jest dla was aż tak cenne, że tyle lat po śmierci Sary wciąż tego poszukujecie?

– To coś właściwie nie ma ceny, a już na pewno posiada znacznie wyższą wartość niż jakaś lalka czy rękawiczki. Chodzi o miłość macierzyńską. Sara

w Jedwabnem zostawiła swoje dzieci.

Laura nie odzywała się przez chwilę, z uwagą obserwując staruszkę.

– Co się z nimi stało? – spytała, wciąż patrząc jej prosto w oczy.

– Zostały pod opieką ojca.

– Czy to ktoś z mojej rodziny? Wie pani, kim był? Jak się nazywał?

– Oczywiście. – Josephine uśmiechnęła się z wysiłkiem. Na jej blade dotąd policzki wystąpiły rumieńce, na skroniach pojawiły się kropelki potu. Laura przyglądała się jej z niepokojem, gotowa w każdej chwili wezwać pomoc. Dotknęła nawet przycisku alarmu, ale staruszka powstrzymała ją gestem. – Ojcem tych dzieci był ten sam mężczyzna, który podarował masońskie rękawiczki swojej ukochanej żonie – powiedziała, z coraz większym trudem wymawiając każde kolejne słowo. – To twój pradziadek, Kajetan Kossacki. Jednak ową żoną nie była Eleonora, ale Sara. Matka Leonii, Jakuba i moja.

[1] Usiądź tutaj, moja droga (tłum. Aleksander Kosin).

[2] Miło mi panią poznać (tłum. Aleksander Kosin).

Nie potrafiła zebrać myśli ani tym bardziej poukładać ich sobie w głowie.

Nie tylko dlatego, że zdenerwowała się tym, co stało się chwilę wcześniej, i że zapewne się do tego przyczyniła. Czuła się skołowana, nadal brakowało jej zbyt wielu elementów tajemniczej układanki, by połączyć chociaż niektóre z nich w coś logicznego. Josephine nie zdążyła przekazać jej wszystkiego, a z tego, co Laura usłyszała, nie rozumiała prawie nic.

– Powinam była to przewidzieć. Nie pozwolić jej samej...

Głos Amelie lekko się załamał. Z niepokojem zerknęła na drzwi sali, za którymi leżała jej matka. Laura, walcząc z poczuciem winy, usiadła obok, niepewna, jak ma się zachować w tak trudnej sytuacji wobec obcej sobie kobiety, ani tym bardziej co powiedzieć. Okazanie współczucia wydawało się niewystarczające. Na szczęście w korytarzu pojawił się lekarz.

– Nie ma powodu do niepokoju. Stan pani mamy się ustabilizował, proszę jedynie na przyszłość nie pozwalać jej na tak silne wzruszenia.

– Łatwo powiedzieć – mruknęła Amelie, gdy odszedł, jednak wyraźnie uspokojona już i rozluźniona. – Mama bywa uparta jak osioł.

– To ja powinam być ostrożniejsza, chociażby ze względu na jej wiek –

zaczęła Laura niepewnie.

– Ależ to nie jest twoja wina! Prawda jest taka, że to nie wasza rozmowa wytrąciła ją z równowagi, ale właśnie to, czego nie zdążyła ci przekazać.

– Chodzi o moją prababkę Eleonorę?

– Raczej o to, że Eleonora wcale nie jest twoją prababką.

– Ale to akurat mi wyznała, tylko nie do końca to do mnie dotarło. Mam rozumieć, że...

– Dokładnie tak. – Amelie westchnęła głośno. Wydawała się zrezygnowana i zmęczona. W jej głosie Laura usłyszała lekką niecierpliwość i rozdrażnienie. Francuzka uśmiechnęła się nieznacznie, chcąc pewnie zatrzeć to wrażenie. – Twoją prawdziwą, biologiczną prababką, a moją babką, jest Sara Rosen, a właściwie Kossacka. Tak się nazywała, zanim wróciła do panińskiego nazwiska, gdy tylko okazało się, że urodzi dziecko z nieprawego łoża, jak to się wówczas mawiało. Bo Kajetan Kossacki nie jest ojcem mojej mamy. Nigdy nie dowiedziałyśmy się, kim był ów człowiek, nie znamy nawet jego nazwiska, ale wiem na pewno, że pozostawione w Polsce bliźnięta, twój dziadek Jakub i jego siostra Leonia, były przyrodnim rodzeństwem mojej matki. Dzięki temu jesteśmy ze sobą całkiem blisko spokrewnione.

– I to jest ta wielka tajemnica, dla której musiałam tu przyjechać? Przyznaję, że chyba nikt w mojej rodzinie dotąd nie wiedział, iż Eleonora była drugą żoną dziadka, a dzieci, które wychowywała, zostały porzucone przez biologiczną matkę. Informacja jest doprawdy wstrząsająca, nadal jednak nie rozumiem, po co ta cała szopka? Dlaczego nie można było wyjaśnić tego przez telefon?

– Ponieważ Sara wcale nie porzuciła swoich dzieci, a powód, dla którego nie mogła ich wychowywać, jest wierzchołkiem góry lodowej, która nagle zaczęła topnieć. Nie mam pojęcia, o co dokładnie chodzi, sama niewiele rozumiem z tego, co się tu dzieje, wiem jedynie to, że jeśli ta góra w końcu się rozpadnie, stanie się coś strasznego. Dostrzegam to w zachowaniu mojej matki. Stanie się dokładnie to, co przed laty przepowiedziała również Marie Anne, choć ja jej wtedy nie wierzyłam. Teraz to się zmieniło, czuję, że miała rację, mówiąc, że kiedyś w naszej rodzinie wydarzy się coś bardzo złego, dlatego chciałam, żebyś przyjechała i pomogła mi to zrozumieć i jakoś zatrzymać.

– Dlaczego akurat ja?

– Sama nie wiem. Myślę, że tego właśnie nie zdążyła ci powiedzieć mama. W dodatku z nieznanego mi powodu postanowiła wyjawic tę tajemnicę wyłącznie tobie.

Zamilkła, a Laura nie miała odwagi pytać o więcej. Pragnęła jak najszybciej znaleźć się w swoim mieszkaniu na Rudawskiej, zakopać się w pościeli i zastanawiać się tylko nad tym, co zjeść na śniadanie i jaki program obejrzeć w telewizji. A potem zamknąć oczy i śnić o baśniowym świecie Narnii, do którego

Laura chciałyby w tej chwili trafić bardziej niż kiedykolwiek, tylko po to, by choć na chwilę zapomnieć o rzeczywistości. To, co się wokół niej działo, nie było również do końca realne, ale coraz mniej jej się podobało. Abstrakcyjny pokój pełen starych lalek należących do zmarłej dawno temu dziewczyny, jej rzekome przepowiednie i coraz dziwniejsze zachowanie Amelie... Wszystko zamiast się wyjaśnić, gmatwało się coraz bardziej. W dodatku wciąż nie było wiadomo, czy kobieta ujawni więcej informacji. Może rzeczywiście nie znała całej prawdy, choć Laura w to powątpiewała.

Amelie przez całą drogę do Tergnier milczała pogrążona we własnych myślach. Zanim opuściły szpital, weszła jeszcze na chwilę do matki, żeby się z nią pożegnać. Gdy wróciła, trzymała w dłoni białą jedwabną rękawiczkę.

– Prosiła, żeby ci ją oddać. Powiedziała, że nie należało ich rozdzielać, bo może wtedy wszystko potoczyłoby się inaczej. – Zawahała się chwilę. – Nie jestem pewna, czy dla niej i tym samym dla mnie lepiej, ale dla innych pewnie tak. Zresztą to już nie ma żadnego znaczenia. I tak nie da się zmienić przeszłości. – Uśmiechnęła się rozbajajaco. – Pojedziemy teraz na zakupy, dobrze? Nie mogę cię zostawić w domu z pustą lodówką.

Laura chciała wyznać od razu, że zmieniła zdanie. Że woli przenocować w hotelu, a rano natychmiast jechać na lotnisko. Nawet jeśli będzie musiała koczować tam przez wiele godzin, zanim złapie pierwszy samolot do Polski. Po namyśle odłożyła jednak tę rozmowę na później. Lawirowanie z zakupowym koszykiem między półkami niewielkiego marketu podziało na nią tak odprężająco, że na moment zapomniała o tym, co się zdarzyło w szpitalu. Przypomniała sobie za to, jak bardzo jest głodna.

Wreszcie zaparkowały przed domem Josephine. Laura ze zdumieniem zanotowała, że tym razem wszystkie widoczne z ulicy okiennice są otwarte.

– To sprawka Florence. Mieszka niedaleko i pomaga mojej mamie, kiedy mnie nie ma. – Amelie uprzedziła jej pytanie. – Zadzwoiłam do niej ze szpitala i poprosiłam, żeby odświeżyła trochę wnętrze. Wstyd mi, że nie pomyślałam o tym wcześniej, przepraszam za to kiepskie pierwsze wrażenie.

Laura nie miała specjalnych nadziei, że kolejne będzie lepsze. Nie znosiła przesiąkniętych starością wnętrz, ich zapachu i przytłaczającej atmosfery staroświeckich pokoi. Zawsze czuła się w nich nieswojo, jakby ci, którzy kiedyś w nich mieszkali, nie do końca się stamtąd wynieśli. Obojętnie, w jaki sposób: wyprowadzili się czy też umarli. Chociaż wizja śmierci poprzednich lokatorów napawała ją dodatkowym lękiem – irracjonalnym, bo przecież nie wierzyła w duchy, nadprzyrodzone zjawiska ani tym samym w wędrujące po śmierci dusze osób, które z jakiegoś powodu wracały do miejsc, gdzie żyły. Nie dopuszczała do siebie myśli, że jej złe samopoczucie może mieć związek z wyczuwaniem ich obecności albo aury, którą po sobie pozostawili, do czego kiedyś przekonywała ją

dawna przyjaciółka, gdy nieopatrznie zwierzyła się jej ze swojej słabości. Dla Laury było to tak samo niedorzeczne, jak wiara w zabobony. Niechęć do staroci brała się raczej ze wstrętu do brudu, który zgromadził się na nich przez lata. A ona nade wszystko ceniła higienę i sterylność. Tylko pośród ładu i nieskazitelnej czystości czuła się bezpieczna i spokojna.

Dlatego niechętnie kolejny raz przeszła przez niebieską furtkę, maleńki dziedziniec i zadaszoną werandę, dźwigając zakupy zabrane z samochodu. Niewiele widząc zza wysokiej torby, podążała za Amelie, która wolną ręką przytrzymała drzwi. Laura dopiero gdy odstawiła wszystko na stół, spokojnie rozejrzała się po jasnym już kuchennym wnętrzu.

Ku jej zaskoczeniu tym razem zrobiło na niej nieco lepsze wrażenie. Być może dzięki słonecznożółtej tapecie usianej różyczkami lub też poduchom w szydełkowych poszewkach na fotelu i krzesłach wokół owalnego stołu. Również pozostałe sprzęty nie sprawiały już tak przygnębiającego wrażenia jak wówczas, gdy spowijał je półmrok. Mimo że dopiero teraz można było ocenić, jak wiekowy musi być masywny kredens i ustawione w nim fajansowe naczynia, pewnie równie stare jak on. Laura miała cichą nadzieję, że posiłek zjedzą na innych.

Amelie tymczasem otworzyła lodówkę, ale zanim włożyła do niej kupione produkty spożywcze, wyciągnęła duży srebrny rondel.

– Ratatouille – oznajmiła z triumfem. – Moja specjalność. Ugotowałam jeszcze w domu i przywiozłam rano na wszelki wypadek. Teraz będzie jak znalazł.

Aromat podgrzewanej potrawy wywołał u Laury kolejny skurcz żołądka. Na tyle silny, że nie protestowała, gdy Amelie rozlewała warzywny gulasz do fajansowych miseczek wyjętych z kredensu. Wzdrygnęła się jedynie, patrząc na podaną jej pociemniałą ze starości, choć zdecydowanie czystą łyżkę, jednak głód przewyciężył odrazę. Zwłaszcza że danie okazało się bardzo smaczne. Już bez refleksji na temat staroci wygarnęła resztki sosu bagietką i mruknęła z zadowoleniem, sięgając po kieliszek z wybornym czerwonym winem i mały kawałek pleśniowego sera z talerzyka obok.

– Pychota. Nigdy nie jadłam czegoś podobnego.

– To tylko ratatouille. – Roześmiała się Amelie. – Nic wielkiego. W moim domu często się to jadło. Marie Anne je uwielbiała.

Zamilkła, a Laura z trudem przełknęła ostatni kęs, który miała w ustach. Pomyślała o tym, co ją czeka, jeśli nie wyzna Amelie, dlaczego nie może nocować w pokoju na górze. Żeby zyskać na czasie, rozejrzała się wokół. Jej wzrok padł na drzwi, które nadal pozostawały zamknięte. Amelie to dostrzegła, jednak zinterpretowała po swojemu.

– Pokażę ci resztę domu – powiedziała. – I przy okazji rodzinne pamiątki po mojej babce, a twojej prababce. A potem dokończymy naszą rozmowę. Obiecałam mamie, że to zrobię. – Westchnęła i odwróciła na chwilę wzrok. – Opowiem ci

wszystko, co wiem o Sarze Rosen, jej dzieciach i beznadziejnej obsesji, która ją z nimi rozdzieliła. Może wtedy jakimś cudem w przeciwieństwie do mnie uda ci się zrozumieć całą resztę. Bo mama była przekonana, że tak właśnie się stanie.

– Moim zdaniem chciała być dzięki temu bliżej męża. A przynajmniej na początku, zanim zaangażowała się w to wszystko tak mocno.

Amelie zapatrzyła się na jedno ze zdjęć stojących na kominku. Przedstawiało bardzo szczupłą kobietę o delikatnych rysach twarzy i jasnych, upiętych w kok włosach, których kosmyki tu i ówdzie wymykały się szpilkom. Stała wyprostowana, uśmiechając się leciutko, ze splecionym dłońmi, w długiej do samej ziemi, ale skromnej sukni.

– Przecież pradziadek Kajetan i tak kochał ją podobno jak wariat – zauważyła Laura mimochodem. – Tak przynajmniej słyszałam. Wcześniej sądziłam, że chodzi o Eleonorę, ale teraz rozumiem, że to nie dla niej został w Jedwabnem. Zrobił to dla Sary, mimo kiepskich dla niego perspektyw biznesowych. Dlaczego więc od niego odeszła? To było dla niej za mało? Wymagała czegoś więcej?

– Ależ to nie stało się z dnia na dzień. Wcześniej trwała przy nim tak bardzo, jak to było możliwe. O wiele za bardzo. Być może wierzyła, że dzięki temu jej miłość do niego stanie się pełniejsza. – Amelie oderwała wzrok od fotografii i przeniosła go wolno na Laurę. – Albo że tylko w ten sposób staną się małżeńską jednością. Uwierzyła, że osiągną to dopiero wtedy, gdy ona zdoła wreszcie pojąć,

jak Kajetan widzi świat. Świadczą o tym nie tylko jej wybory, ale i słowa, które często powtarzała mnie i mojej siostrze. Że najważniejsza jest umiejętność wnikania w umysły i serca tych, których kochamy najbardziej, żeby móc popatrzeć na różne rzeczy również ich oczami, zrozumieć, co czują, bo tylko wtedy ta miłość i przede wszystkim więź z ukochanym człowiekiem jest najpełniejsza. I moim zdaniem ona tak właśnie kochała Kajetana. Właściwie zaborczo. Chciała, jak to mówią, iść przez życie w jego butach, nauczyć się czuć i myśleć tak jak on. Mieć ogląd na świat z jego perspektywy i przez to lepiej go rozumieć, a dzięki temu poznać też jego pragnienia i potrzeby.

– Czyli próbowała totalnie nim zawładnąć? Właściwie nauczyć się myśleć jak mężczyzna? Tak? A może nawet wyciągać wnioski z męskiej perspektywy, oceniać rzeczywistość... – Laura również zapatrzyła się na zdjęcie swojej biologicznej prababki, o której istnieniu dotąd nie miała pojęcia. – To chyba było ryzykowne i niełatwe, zwłaszcza w tamtych czasach. Kobiety miały wtedy jasno wytyczone role w społeczeństwie, mocno okrojone, hierarchicznie. Postrzegano je jako gorsze od mężczyzn. Każdy to wie. – Pohamowała się, by nie wzruszyć ramionami. – Nie miały prawa ani zachowywać się po męsku, ani tym bardziej myśleć jak oni. Pewnie w oczach innych takie fanaberie uwłaczały kobiecości?

– To, co robiła, nie było akceptowane w żadnych czasach. Właściwie wciąż nie jest. I nie mówię wcale o jej zapędach emancypacyjnych, ale o tym, że nie da się przecież wejść do czyjejkolwiek głowy, a już zwłaszcza wtedy, gdy ta głowa należy do przeciwnej płci. – W głosie Amelie zabrzmiała lekka drwina. – Sara podjęła się czegoś niemożliwego, co nie tylko się nie powiodło, ale wpędziło ją w potężne tarapaty.

– Masz na myśli jej wyjazd do Francji? Porzucenie dzieci?

– To były tylko konsekwencje tego, co zdarzyło się wcześniej. Moja mama uważa, że Sara wcale nie porzuciła dzieci. Zmusiły ją do tego okoliczności. – Amelie znów zerknęła w stronę zdjęcia, tym razem krzywiąc się cierpko. – Tylko że ona sama sprowokowała te okoliczności. Wywołała ciąg zdarzeń, które w końcu musiały obrócić się przeciwko niej. I nie tylko niej... – Zamilkła, jakby celowo nie dopowiadając reszty.

– Przez to, jak pojmowała związek z mężczyzną?

– Raczej przez zachłanność. Chciała nie tylko być blisko niego, stać obok, ale zapragnęła wyjść z jego cienia. Posunęła się o krok za daleko. I to ją zgubiło.

Laura roześmiała się głośno.

– Chodzi ci o to, że zaczęła myśleć samodzielnie, a jednocześnie inaczej niż kobiety żyjące w jej czasach? Zauważyła wreszcie własną odrębność i nie chciała już żyć tylko życiem swojego męża? Że w końcu zmądrzała, a może nawet została emancypantką?

Nieoczekiwanie zaświtała jej w głowie całkiem nowa myśl o powodzie, dla

którego jej prawdziwa prababka wpadła w tarapaty i musiała uciekać. Że też wcześniej nie przyszło jej to do głowy! Jeśli to była prawda, nic dziwnego, że ówczesne jedwabieńskie społeczeństwo tego nie akceptowało. Z tak nowatorskimi jak na tamte czasy poglądami Sara nie miała innego wyjścia, jak szukać szczęścia poza granicami kraju.

– Uważasz, że to byłby wystarczający powód rozłąki z małymi dziećmi? Pogoń za jakąś wyjątkowo głupią emancypacyjną ideologią? – Amelie od razu podchwyciła tok myślowy Laury. W jej głosie dało się wyczuć wzburzenie. – Bo moim zdaniem coś takiego byłoby nie do pomyślenia zarówno kiedyś, jak i obecnie. – Podniosła się nagle zza stołu. – Poczekaj chwilę, pokażę ci coś.

Głuche dudnienie na drewnianych schodach zdradziło, że pobiegła na górę. Laura miała nadzieję, że nie po którąś z tych okropnych lalek lub coś jeszcze gorszego. Wolałaby uniknąć kolejnych makabrycznych niespodzianek, na przykład w postaci zimnej biskwitowej twarzy pradziadka Kajetana. Znała go jedynie ze zdjęć i wolałaby, żeby tak zostało. Tym bardziej że ten akurat przodek wywoływał w niej wyłącznie pozytywne uczucia. W przeciwieństwie do Eleonory, o której, jak właśnie zdała sobie sprawę, wiedziała niewiele ponad to, co sama wykoncypowała na podstawie podobizn w rodzinnych albumach. Kim była druga żona pradziadka Kajetana? Czy naprawdę jej panięskie nazwisko brzmiało Rosen, czy przywłaszczyła je sobie, podobnie jak dzieci, których nie urodziła, męża i być może całą tożsamość Sary, zajmując jej miejsce w rodzinie Kossackich?

Wzdrygnęła się na tę niespodziewaną myśl. Otrząsnęła się z niej szybko i żeby nie zagubić się ostatecznie w ponurych przeczuciach, w oczekiwaniu na powrót Amelie rozejrzała się ciekawie po niewielkim saloniku, do którego przeniosły się z kawą i kupionymi w markecie croissantami.

Wygląd pokoju za zamkniętymi drzwiami bardzo ją zaskoczył. Nie tylko dlatego, że pomieszczenie okazało się niemal o połowę mniejsze od przestronnej kuchni. Również nie ze względu na wystrój, bo i tu królowały stare meble, zdjęcia w ozdobnych ramkach, liczne bibeloty. Od pozostałej części domu różnił się mocnym współczesnym akcentem w postaci wielkiego, nowoczesnego telewizora na głównej ścianie oraz towarzyszącej mu szafki z laminowanej płyty, na której błyszczał markowy zestaw kina domowego. Półka z potężną kolekcją filmów sugerowała, że Josephine Berthier była ich wielką miłośniczką. W dodatku nie tylko francuskich, czego dowodziły wycięte z gazet fotosy hollywoodzkich gwiazd wielkiego ekranu – w ramach identycznych, jak te ze zdjęciami członków rodziny.

O innej pasji właścicielki domu świadczyła pokaźna liczba książek ustawionych w równiutkich szeregach na sięgającym sufitu regale. Większość sprawiała wrażenie bardzo starych. Sara miała nadzieję, że kiedy już zostanie sama, będzie mogła w spokoju je przejrzeć. Książki były jednymi z bardzo niewielu rzeczy, które nie budziły w niej grozy ani tym bardziej odrazy, nawet gdy miały

sporo lat. A te wydawały się wręcz wiekowe. Wytarte grzbiety opasłych tomisk pozwalały wierzyć, że dotykało ich wiele rąk. W tym pewnie też ręce Sary.

Chciała o to spytać Amelie, ale na jej widok zmieniła zdanie. Spowodował to stos podniszczonych broszur wydrukowanych na cienkim gazetowym papierze i wyblakłych czarno-białych ulotek, które kobieta rozsypała niedbale na stole, pomiędzy kubkami z kawą a paterą z lokalnymi rogalikami.

– Należały do Sary. Na strychu jest tego całe mnóstwo, przyniosłam tylko część. – Amelie otrzepała ręce i usiadła na swoim miejscu. – Sama zobacz, kim naprawdę była twoja prababka.

Laura rzuciła okiem na znalezisko, przekartkowała pierwszy z brzegu folder, który okazał się drukowanym informatorem z datą z początku ubiegłego wieku.

– Chciała wstąpić do masonerii? – Laura dziwiła się, sięgając po kolejne broszury, jak się okazało o podobnej tematyce. – Śladem swojego męża?

– Nie tylko chciała, ale w końcu to zrobiła. Między innymi dlatego zdecydowała się na przyjazd tutaj. Dowiedziała się, że tworzą się tu pierwsze loże mieszane. Usłyszała o Marii Deraismes. Ona i Georges Martin walczyli wówczas o prawa francuskich kobiet, również w wolnomularstwie. Udało się im w końcu stworzyć Wielką Lożę Symboliczną Mieszaną *Le Droit Humain*, zaledwie rok przed przybyciem Sary do Francji.

– A Sara oczywiście do niej wstąpiła?

– Otóż wcale nie! – Amelie znów zmarszczyła brwi. – A przynajmniej nie od razu. Już tu na miejscu dowiedziała się o innym stowarzyszeniu założonym kilka lat wcześniej. Hermetyczny Zakon Złotego Brzasku nie tylko przyjmował kobiety, ale też pełniły one w nim znaczącą rolę. Jednak nie to sprawiło, że Sara tak chętnie dołączyła do zgromadzenia. Spodobał jej się ich system inicjacyjny, który podobno opierał się na elementach religii żydowskiej. Były też pogłoski, według których zakon miał mieć swoje początki w żydowskiej loży masońskiej. Uznała to za dobry omen. Spełniła swoje marzenie o wstąpieniu w szeregi masonerii i jednocześnie pozostała wierna religii swojego ojca, którą była zafascynowana.

Laura drgnęła, słysząc te słowa. Wcześniej podejrzewała Eleonorę o kradzież tożsamości Sary, teraz przyszło jej do głowy coś zupełnie innego, o wiele bardziej oczywistego. Była wręcz zdumiona, że nie wpadła na to wcześniej. Już otwierała usta, by podzielić się swoim odkryciem i upewnić, dopytując o to Amelie, ale w ostatniej chwili zrezygnowała. Postanowiła zaczekać, aż Francuzka dociągnie swoją opowieść do końca. Pewnie wtedy zrodzi się jeszcze więcej pytań i wątpliwości, które będzie należało wyjaśnić. Tymczasem Amelie zamilkła na dłuższą chwilę, jakby próbowała odświeżyć w swoim umyśle zatarte już nieco informacje.

– Niewiele wiem o tej religii, ale wydaje mi się, że ważną rolę odgrywa w niej pewien schemat – powiedziała w końcu, ciągle zamyślona – coś jakby

drzewo, po którym należy się symbolicznie wspinać, żeby zdobyć kolejne stopnie wtajemniczenia.

– Masz namyśli kabalistyczne drzewo życia? – Laura od razu przypomniała sobie rysunek zza szafy, jednak na razie nie podzieliła się z Amelie tamtym odkryciem. Postanowiła zaczekać.

– Chyba tak. Bo na pewno chodziło o kabałę i związany z nią mistycyzm. Ezoterykę, czyli okultyzm, wiedzę tajemną połączoną z duchowym rozwojem człowieka i domniemanym postrzeganiem pozazmysłowym, odrzucaną przez naukę. Wtedy, w pierwszej połowie dwudziestego wieku, obserwowano nagły wzrost zainteresowania podobnymi rzeczami. Z pewnością pamiętasz, że były to czasy wielkich odkryć, wynalazków. Całkiem paradoksalnie to one właśnie zakwestionowały wcześniejszy spójny i realny obraz świata. Ludzie mieli prawo czuć się oszołomieni. Rozwijająca się w szaleńczym tempie nauka niosła ze sobą zbyt wiele nowego, by byli w stanie nadażyć i objąć to rozumem. Dlatego chwyтали się innych sposobów, szukali rozwiązań nurtujących ich zagadek gdzie indziej. Dużo głębiej, w niezbadanych wciąż tajemnicach ludzkiego umysłu. I właśnie tak nadszedł złoty wiek dla spirytystów i okultystów, a zjawiska paranormalne i kontakty z zaświatami stały się czymś powszechnym i właściwie normalnym. Jakkolwiek dziwnie to nie zabrzmiało. – Odchrząknęła z przekąsem. – Zjawiska nadprzyrodzone były dla ludzi tak samo niepojęte, jak działanie maszyny parowej czy silnika spalinowego. Podobnie zresztą było w Polsce. Stałym bywalcem seansów spirytystycznych był na przykład wasz noblista, Władysław Reymont.

– A Sara? – Laura mimo zainteresowania nie podjęła wątku polskich literatów i ich związków ze spirytyzmem. Uznała, że poczyta sobie o tym później. W tej chwili o wiele bardziej ciekawiło ją coś innego. – Jaka była w tym wszystkim jej rola? Uczestniczyła w podobnych seansach? A może sama została spirytystką?

– Ani jedno, ani drugie. Jej i chyba innym członkom zakonu wszelkie mistyczne praktyki i związane z tym rytuały służyły do samodoskonalenia się, wejścia na wyższy poziom egzystencjalny poprzez wspinać się po kolejnych gałęziach kabalistycznego drzewa życia, tak przynajmniej twierdziła. Pikanterii temu wszystkiemu dodawała aura tajemniczości, rzekome związki z pradawnymi arkanami wiedzy o świecie i naturze ludzkiej.

– I zapewne fakt, że kobiety mogły w tym wszystkim uczestniczyć na równi z mężczyznami – domyśliła się Laura i pokiwała głową ze zrozumieniem.

– Do czasu. – Amelie uśmiechnęła się pobłaźliwie. – Tak było na początku. Z biegiem lat jednak przestało im to wystarczać i oczywiście wtedy zaczęły się kłopoty. Okazało się, że niektóre spośród pań stały się wybitnymi okultystkami. A to nie spodobało się założycielom stowarzyszenia, czuli się pewnie zdominowani i przez to zagrożeni. Dlatego z czasem zaczęli pozbywać się z zakonu co bardziej operatywnych członkiń.

– W tym Sary? – domyśliła się Laura.

– Nie zdążyli tego zrobić, bo chcąc zachować godność, sama odeszła, jednak wydaje mi się, że miała jeszcze inny powód. W międzyczasie w zakonie pojawił się ktoś nowy. Mężczyzna. Wiem to od mamy, wypsnęło jej się kiedyś niechcący, bo pewnie świadomie nigdy by mi tego nie wyjawiała.

– Chodziło o romans?

– Nie sędzę. Babka niewiele o nim mówiła, choć ją zagadywałam wiele razy. Przestałam, gdy pewnej nocy usłyszałam, jak krzyczy. Przez sen. Wciąż powtarzała jakieś imię. Chyba Alister. Była naprawdę przerażona, nie mogłyśmy z mamą i Marie Anne jej uspokoić. Domyśliłam się, że chodziło właśnie o tamtego mężczyznę. Musiał ją bardzo skrzywdzić, a ja niepotrzebnie swoim dociekaniem rozbudziłam w niej złe wspomnienia.

– Dowiedziałaś się w końcu, co jej zrobił?

– Nie, ale z pewnością coś wystarczająco potwornego, by nawet po kilkudziesięciu latach śniła o nim koszmary i bladła na samo jego wspomnienie.

– Ale odchodząc z zakonu, uwolniła się od niego?

– Pytasz o to, czy nadal ją prześladował? Raczej nie, a przynajmniej nic mi na ten temat nie wiadomo. Wiem, że Sara od razu zaczęła szukać dla siebie nowego miejsca, przy czym nadal trwała przy swoich zainteresowaniach mistyką i okultyzmem. Wzięła nawet udział w kilku spotkaniach spirytystycznych Towarzystwa Teozoficznego utworzonego przez największą i najślynniejszą okultystkę, Helenę Bławatską, ale te okazały się dalekie od jej wyobrażeń o ezoteryce. To, co się tam wyprawiało, zdumiało ją, rozśmieszyło i wreszcie oburzyło. Przede wszystkim kiczowata otoczka. Podobno nad drzwiami mieszkania, w którym odbywało się wywoływanie duchów, wisiał wypchany nietoperz, a podczas seansu z dziury w suficie sypały się na uczestników seansu liściki rzekomo od wywołanych duchów. To było żenujące, tak mówiła moja babka, gdy prosiłam, by o tym opowiedziała. Po latach, co prawda, wróciła do Towarzystwa Teozoficznego, jednak w całkiem innym charakterze. Była jedną z kobiet współtworzących towarzystwo w Polsce. Wtedy już, rzecz jasna, w nieco innej formie niż u zarania, z inną przywódczynią i innymi celami.

– Czyli ostatecznie nie została masonką?

– Ależ oczywiście, że została. Wstąpiła w końcu do pierwszej francuskiej loży mieszanej *Le Droit Humain*, o której wspominałam ci wcześniej. Ta loża funkcjonuje zresztą do dziś, moi rodzice też do niej należeli. Oboje. A Sara właśnie dzięki *Le Droit* ponownie zainteresowała się Bławatską i jej ideologicznymi spadkobiercami. Zafascynowały ją hasła, które wówczas głosili. O braterstwie między ludźmi niezależnie od płci, rasy, narodowości i religii. Zmieniono też główne założenia i cele. Zamiast wywoływania duchów i robienia tanich efekciarskich sztuczek zajęto się badaniem sił przyrody i ludzkiego umysłu. Dzięki

ich staraniom również w Polsce umożliwiono kobietom dostęp do łóż masońskich, a niedługo potem kuzynka samego Piłsudskiego, Wanda Dynowska, założyła Polskie Towarzystwo Teozoficzne. Była też przedstawicielką Masonerii Mieszanej w Radzie Najwyższej w Paryżu. Tam właśnie poznała Sarę Rosen i zaprosiła ją do współpracy przy tworzeniu masonerii kobiecej w Polsce.

Laura zmarszczyła czoło, słuchając szczegółowej relacji Amelie, pełna uznania dla jej świetnego przygotowania merytorycznego. Zanotowała jednak w pamięci, by poczytać sobie o tym więcej, kiedy tylko zyska dostęp do sieci internetowej. Historia wydawała się wręcz niewiarygodna, a zwłaszcza to, że jej częścią miała być biologiczna prababka Laury.

– Dlaczego Sara nie wykorzystała tego momentu, by wrócić do rodziny? – spytała, nie kryjąc zafascynowania. – Z tego, co mówisz, wynika, że po prostu nie chciała. Bardziej niż mąż i dzieci pociągały ją towarzystwa okultystyczne i własna kariera, tak?

– Przepraszam, być może rzeczywiście tak to zabrzmiało, ale to dlatego, że mam swoje powody, by nie wspominać mojej babki ze szczególnym sentymentem. Poza tym nie znałam jej tak dobrze, jak chociażby moja starsza siostra... – Zamilkła na chwilę, jakby wahała się, czy mówić dalej. – Czuję się jednak w obowiązku w pewnym stopniu usprawiedliwić jej postępowanie. Każdy wie, jak trudno jest wrócić do czegoś po ponad dwudziestu latach, a co dopiero do dzieci, które nie tylko przestały być noworodkami, ale całkiem dorosły. Poza tym w przypadku Sary chodziło chyba o coś znacznie więcej. Nie znam dokładnie jej przeszłości, to znaczy tej sprzed przyjazdu do Francji, ale wiem, że w miasteczku, w którym mieszkała, wytworzyła się jakaś wroga atmosfera. Ludzie nie akceptowali jej poglądów. Żydzi potępiali za wykorzystywanie ich religii do niewłaściwych celów, a katolicy... Im chyba nie podobało się jeszcze więcej. Nie akceptowali tego, jak żyła, co myślała i czego nie wahała się głosić wszem i wobec.

– Chodziło o jej poglądy emancypacyjne?

– Myślę, że nie tylko. Mówiłam, nie znam szczegółów, mogę jedynie domyślać się, że to, co głosiła Sara, było zbyt kontrowersyjne jak na tamte czasy, niezgodne z wiarą i religią obu żyjących obok siebie nacji. Przekonywała ich do istnienia kabały chrześcijańskiej i chrześcijańskiego mistycyzmu, co odbierano jako bluźnierstwo. Zwłaszcza w połączeniu z jej zainteresowaniami okultystycznymi. To nie kojarzyło się dobrze.

– Sugerujesz, że posądzono ją o czary? Uprawianie czarnej magii?

– Moim zdaniem sama się o to prosiła. Nie tylko z powodu głoszonych poglądów, ale nietypowego zachowania. Afirmacja życia, tak to nazywała. Manifestowała ją na różne sposoby, głównie poprzez to, w co wierzyła, ale czasem też wprost. Wtedy zaczynała tańczyć. Wyglądało to naprawdę dziwnie. Zawsze uważałam to za niezbyt stosowne zachowanie nie tylko dla kogoś w jej wieku, ale

w ogóle.

Laura drgnęła nieznacznie. Nie zdążyła jednak zastanowić się dłużej nad tym, co właśnie usłyszała, ponieważ Amelie chwyciła ją niespodziewanie za ramiona i zajrzała uważnie w oczy.

– Może to zbyt wielkie słowa, ale jestem niemal pewna, że Sara po prostu obawiała się o własne życie. Dlatego musiała uciekać z Jedwabnego – powiedziała z powagą. – Właśnie za coś podobnego wygnano Żydów z Hiszpanii.

– Tylko że przecież edykt z Alhambry został wydany dobre parę wieków wcześniej! – Laura przypomniała sobie mgliście szczątki informacji z przewodnika, z którym kiedyś zwiedzała Andaluzję, dzięki czemu nie wyszła na ignorantkę, nie zrozumiawszy, do jakiego wątku historycznego nawiązuje jej rozmówczyni. – Takie porównanie nie ma sensu! Potem nastąpiły mimo wszystko dużo bardziej cywilizowane czasy. Sara u progu dwudziestego wieku mogła spokojnie stawić temu czoła, zwłaszcza przy wsparciu oddanego jej przecież, kochającego męża. Moim zdaniem nie musiała wcale wyjeżdżać z rodzinnego miasteczka.

– Początkowo taki właśnie miała plan. Była zdeterminowana bronić swoich racji przed atakami ciemnego, jak mówiła, motłochu bez względu na wszystko, ale wkrótce okazało się, że jest w ciąży.

I że nie jest już odpowiedzialna tylko za własne życie, ale i za bezpieczeństwo nienarodzonego dziecka, a właściwie dwójki dzieci, bliźniąt.

– Jednak decyzja o podróży do Francji w tym stanie też była ryzykowna. – Nie ustępowała Laura.

Miała wciąż nieodparte wrażenie, że Amelie czegoś jej nie mówi. Że w tym, co jej tak skwapliwie i rzetelnie przekazuje (przez głowę przemknęło jej nawet, że zbyt rzetelnie, co wydawało się podejrzanym), jest jakaś luka, która nie pozwala skleić wszystkiego w spójną, logiczną całość.

– Sara wcale nie podjęła takiego ryzyka – wyjaśniła spokojnie jej rozmówczyni. – Ukryła się u swojej przyjaciółki. Gdzieś niedaleko waszej miejscowości, na Podlasiu. Niejaka hrabina Plater podzielała jej feministyczne poglądy, potem zresztą też stała się członkinią loży masońskiej. Moja babka gościła u niej aż do narodzin dzieci. Miała nadzieję, że z czasem ludzie zapomną i pozwolą jej wrócić z nimi do domu, niestety okazało się to niemożliwe. W dodatku nie mogła też odesłać ich tam tylko z ojcem, a samej przeczekać najgorsze w pałacu hrabiny. Bała się, że ktoś je skrzywdzi z powodu poglądów ich matki. Uznała za czarci pomiot, czy coś w tym rodzaju. Wtedy właśnie wymyśliła całkiem nowy, jak jej się wówczas wydawało bardzo sprytny plan. Miał być tymczasowym rozwiązaniem... Może gdyby wiedziała, że jej decyzja będzie nieodwracalna, postąpiłaby inaczej?

– Oddała dzieci Eleonorze? I przy okazji w pakiecie męża?

Laura zadrżała, ponieważ teoria, która nieoczekiwanie pojawiła się jej w głowie, zaczynała zyskiwać na prawdopodobieństwie. Mimo że coraz trudniej było jej w nią uwierzyć. Ciągle odnosiła wrażenie, że Amelie, nawet jeśli mówi prawdę, to nie kompletną. W dodatku wcale nie było pewne, czy rzeczywiście jej nie zna, co sugerowała od początku. Od czasu do czasu w jej oczach pojawiała się jakby wahanie. Ważyła słowa, by nie powiedzieć za wiele. Nie kryła też niechęci do swojej babki, chociaż właściwie nie wyjawiała powodu.

– Tylko jej w pełni mogła zaufać. – Amelie pokiwała głową. – Powierzyć swoje dzieci, będąc pewną, że ich nie skrzywdzi.

– Kim była Eleonora dla Sary? – spytała Laura, mimo że właściwie to wiedziała i była jednocześnie zdumiona, że nie domyśliła się tego już na samym początku.

Amelie podniosła na nią zaskoczony wzrok.

– Myślałam, że mama zdążyła ci to powiedzieć, powinna przecież od tego zacząć rozmowę... – Westchnęła trochę nerwowo. – Bo przecież wszystko stało się właśnie przez to. Sara nie przewidziała, że własna siostra odbierze jej na zawsze nie tylko dzieci, ale i męża.

– Siostra... – Laura kiwnęła głową. Jej podejrzania okazały się słuszne. Nadal jednak mnóstwo spraw pozostawało niejasnych. Zbyt wiele, by zdecydować, jakie kolejne pytanie powinna zadać. Dlatego zamilkła na długą chwilę.

Próbowała uspokoić burzę, która rozpełtała się w jej głowie. Poukładać sobie wszystko to, czego się właśnie dowiedziała, na nowo, z uwzględnieniem tego najważniejszego przecież faktu, o którym zapomniała wspomnieć Josephine i na który sama powinna zwrócić uwagę w pierwszej kolejności. Sara i Eleonora miały to samo rodowe nazwisko z najbardziej oczywistego powodu. Odziedziczyły je po tych samych rodzicach. Jak coś takiego mogło przejść w rodzinie bez echa? Jak w ogóle udało się zachować to w tajemnicy?

– Eleonora była starszą siostrą Sary – powiedziała Amelie, nie patrząc na Laurę, tonem, jakby mówiła do siebie.

– A Kajetan? Wymienił sobie, ot tak, jedną siostrzyczkę na drugą? – Laura przypomniała sobie opowieść o wielkiej miłości jej pradziadków i... własne wątpliwości. Teraz wszystko nabierało sensu. Nic dziwnego, że na zdjęciach nie widać było szaleńczego uczucia. Takie nie istniało. A przynajmniej nie ze strony Kajetana. – Nie kochał jej, prawda? Nie kochał Eleonory, wiem to. Dlaczego zgodził się na to rozwiązanie?

Amelie wzruszyła tylko ramionami.

– Nie wiem. Może właśnie paradoksalnie z miłości? Do Sary, nie do Eleonory. Chciał w ten sposób ochronić ją i dzieci?

– To Sarze Kajetan ofiarował masonskie rękawiczki. Wcześniej sądziłam, że jako pierwszej żonie, z którą się rozwiódł, by związać się z kolejną, łamiąc tym

samym masońską obietnicę wierności. Teraz już rozumiem, jak było naprawdę, jednak nadal nie pojmuję, dlaczego Sara zabrała ze sobą tylko jedną? Nie wierzę, że drugą zgubiła. Musiały być dla niej bardzo ważne.

– Nie zgubiła. Obie należały do niej, zabrała je ze sobą w momencie opuszczenia Polski. Dopiero wiele lat później oddała jedną Eleonorze. Kiedy zrozumiała, że nie ma już dla niej powrotu do rodziny.

– Dlaczego? Przecież dzieci... Mogła z czasem zabrać je do Francji, męża pewnie też ściągnąć. Miała tu poukładane życie, dom. Utrzymywała się z produkcji lalek, poradziliby sobie. Nie wierzę, by przeszkodą miało być nieślubne dziecko, które tu urodziła. Nawet jeśli mąż nie wybaczyłby jej zdrady, nie powinna tracić kontaktu z bliźniętami, na pewno bardzo je kochała i za nimi tęskniła. Dlaczego nie zrobiła wszystkiego, by je odzyskać? Przecież na takie coś nigdy nie jest za późno...

– Chciała, jak niczego innego, ale zrezygnowała, paradoksalnie właśnie ze względu na nie. One znały tylko jedną matkę. Przede wszystkim Jakub. Podobno był bardzo związany z Eleonorą. To dlatego Sara nawet się nie starała... Nigdy mu nie wyjawiała, że jest jego prawdziwą mamą. Nawet gdy oboje z Leonią w końcu tu przyjechali.

– A więc jednak! Kiedy to było?

– Tuż przed drugą wojną. Pomogła im. Udzieliła schronienia również malutkim dzieciom Leonii.

– A mąż i siostra? – Laura przypominała sobie ostatnią rozmowę z Heleną. O tym, w jaki sposób mogli zginąć Kajetan i Eleonora. – Dlaczego im nie pomogła?

– Ależ chciała! Prosiła, by przyjechali do niej razem z dziećmi i wnukami, jak tylko pojawiły się pierwsze pogłoski o tym, że może wybuchnąć wojna, wtedy gdy jeszcze taka ucieczka była możliwa. Eleonora kategorycznie odmówiła. Być może uniosła się honorem. Nie zgadzała się też podobno na wyjazd bliźniąt, tylko że one były już wtedy dorosłe i samodzielne, więc sama rozumiesz...

– A Kajetan?

– Nie chciał zostawiać żony samej. Zapewniła szczęśliwe dzieciństwo jego dzieciom, a przynajmniej tak właśnie mu się wydawało. Czuł się w obowiązku być przy niej, opiekować się nią do końca.

I przez starą upartą wariatkę być może zginął w najbardziej okrutny i haniebny sposób. W płomieniach jedwabieńskiej stodoły, dodała Laura już w myślach, które jej samej wydały się zbyt straszne, by podzielić się nimi z Amelie.

– A Leonia? Czy przynajmniej ona w końcu dowiedziała się prawdy o swojej matce? – spytała zamiast tego.

– Tak. W dodatku znacznie wcześniej, bo jeszcze jako dziecko. Spotkały się

kilkakrotnie dzięki Kajetanowi. Potem była wojna, nie widziały się długi czas. Jednak od tysiąc dziewięćset dwudziestego roku Sara, po nawiązaniu kontaktów z Dynowską, przyjeżdżała do Polski regularnie. Z moją mamą, która podczas pierwszej podróży do waszego kraju miała zaledwie rocze. Odwiedzała z maleńką Josephine dokładnie to miejsce, w którym wiele lat wcześniej oczekiwała narodzin bliźniąt, gdzieś na Podlasiu, nie zapamiętałam nazwy, zbyt trudnej dla mnie do wymówienia. Ale znajdował się tam pałac, który dzięki staraniom hrabiny Plater, przyjaciółki Sary, z czasem stał się siedzibą polskiej loży masońskiej i Towarzystwa Teozoficznego.

– I nie próbowała wtedy odnowić kontaktów z całą rodziną? – spytała Laura niepewnie. – Pogodzić się z siostrą?

W jej głowie rodziło się coraz więcej wątpliwości. Nie rozumiała, jak to się stało, że Leonia nie wyjawiała nikomu prawdy o swojej biologicznej matce. O tym, kim była. Jaki mogła mieć powód, by trzymać to w tajemnicy nie tylko przed Heleną, ale i resztą rodziny Kossackich? O ile rzeczywiście nikt więcej o tym nie wiedział, pomyślała cierpko, bo tego przecież nie mogła być pewna.

– To nie tak. Kajetan pomógł Sarze nawiązać kontakt z córką, ale prosił, by nie mówiła o niczym Eleonorze, której podobno przyrzekł, że nie będzie utrzymywał żadnych relacji z byłą żoną. Niestety, Eleonora w jakiś sposób dowiedziała się o wszystkim i zrobiła siostrze karczemną awanturę. Leonia miała wówczas trzynaście lat.

– Może po prostu domyśliła się spisku, gdy zobaczyła u przybranej córki lalkę?

– O czym ty mówisz?

– Nie wiedziałaś? Przecież Sara podarowała Leonii lalkę, która miała jej twarz. Nie wiem kiedy, ale Leonia ma ją przy sobie na jednym ze zdjęć w albumie mojej ciotki, a mogła mieć wtedy nie więcej niż siedem lat. Znalazłam tę lalę przez przypadek w moim rodzinnym domu, niedawno.

– Pewnie dała ją córce w prezencie podczas któregoś z ich potajemnych spotkań. – Pokiwała głową Amelie. – Może w ten sposób chciała sprawić, by córka o niej nie zapomniała? Trochę to bez sensu, bo powinna przewidzieć, że przez taką lalkę wszystko się wyda. Chyba że tego właśnie chciała. Ale wówczas powinna też domyślić się, jak to się skończy, że zazdrosna Eleonora wpadnie we wściekłość... Może w jakiś sposób liczyła, że to da jej szansę na spokojną rozmowę i pogodzenie się z siostrą, sama nie wiem... – Amelie zamyśliła się. – Bo jeśli tak było, bardzo się przeliczyła. Podobno doszło do okropnej scysji. To wtedy Sara, by zażegnać konflikt, oddała siostrze jedną rękawiczkę na znak, że zrzeka się na zawsze miłości do męża, zostawiając sobie tylko wspomnienia w symbolu drugiej rękawiczki. Eleonora zażądała, by Sara już nigdy więcej nie zbliżała się do dzieci i Kajetana. Niedługo potem wybuchła wojna, ale, gdy nastały lepsze czasy, Sara wbrew

zakazom znów spotkała się z Leonią, wtedy już pełnoletnią. Postanowiła jedynie, że dla dobra swojego syna nie wyjawি mu, kto jest jego prawdziwą matką, i z tego, co wiem, dotrzymała słowa. Nawet gdy przez pewien czas przebywał z siostrą w jej domu, podawała się za dawną przyjaciółkę rodziny.

– To znaczy, że mój dziadek nigdy się nie dowiedział, czyim naprawdę był synem? – upewniła się Laura.

– Z tego, co wiem, Eleonorze udało się dopiąć swego i utrzymać to w tajemnicy.

– W dodatku tak skutecznie, że nie dowiedzieli się o tym nawet jego potomkowie.

Laura odetchnęła z ulgą. Wszystko wskazywało na to, że rodzina nie zataiła przed nią prawdy. Skoro pradziadek Jakub o niczym nie wiedział, dziadkowie również nie znali rodzinnej tajemnicy ani tym bardziej rodzice. Eleonorze za bardzo zależało, by nikt się nie dowiedział. Być może to ona zakazała Leonii wspominać komukolwiek o Sarze, swojej prawdziwej matce, i zachować to w tajemnicy nawet przed własnymi dziećmi, w tym przed Heleną.

– I to właśnie postanowiła naprawić moja mama – podsumowała Amelie, zbierając ze stołu brudne filiżanki, czym dała do zrozumienia, że dotarła wreszcie do końca zagmatwanej rodzinnej historii. – Pragnęła zrobić wszystko, żebyście w końcu poznali całą prawdę.

Chwilę potem zmarszczyła czoło i odwróciła głowę, a do Laury wróciło wcześniejsze wrażenie, że jednak nie wszystko zostało powiedziane. Przypomniała sobie jej słowa o górze lodowej, na której wierzchołku miało się znajdować coś bardzo złego i która, zgodnie z osobliwą przepowiednią Marie Anne, topniała.

Wbrew przewidywaniom Amelie Laura nie rozwikłała tej zagadki. Jeśli te dziwne słowa miały jakikolwiek sens, nadal pozostawało tajemnicą, co jest na szczycie symbolicznej góry. I co się stanie, kiedy w końcu wszystko runie.

Od zbyt długiej jak na jej cierpliwość chwili mocowała się z zamkiem w drzwiach garażowych. Wściekła przede wszystkim na siebie, ponieważ nie sprawdziła go wcześniej, zanim jeszcze się spakowała i nastawiła psychicznie na miłą wycieczkę po okolicy.

Jej perspektywa pojawiła się właściwie niespodziewanie i Laura wobec ostatnich wydarzeń początkowo nie zwracała sobie nią głowy, jednak teraz, gdy już się zdecydowała, nie miała ochoty rezygnować. Również ze względu na Amelie i jej miły gest. Zanim wyszła późnym wieczorem, położyła na kuchennym stole dwa komplety kluczy.

– Od domu, garażu i samochodu mamy. Do Polski wracasz dopiero za parę dni, a ja jutro niestety nie mogę dotrzymać ci towarzystwa. Muszę do szpitala... Nie ma sensu, żebyś siedziała tu sama. Zrób sobie wycieczkę po okolicy. Jestem bardzo ciekawa twoich wrażeń. Dokumenty auta znajdziesz w schowku.

– Twoja mama wciąż go używa? – Zdumiała się Laura. – To bezpieczne?

– Och, nie. – Francuzka roześmiała się pobłaźliwie. – Już od jakiegoś czasu nim nie jeździ.

– To znaczy odkąd dokładnie? – Zainteresowała się Laura.

Ciekawiło ją, dlaczego Josephine nie pozbyła się dotąd samochodu, z którego rzekomo nie korzystała.

– Nie pamiętam. – Amelie machnęła niecierpliwie ręką. – Od roku, może dwóch. Ale nie martw się, auto jest sprawne i zatankowane. Mama bardzo tego pilnuje. I dba o nie prawie jak o ulubione domowe zwierzątko.

Znów zaśmiała się szczerze. Laura natomiast struchlała. Nie wyobrażała sobie ponad dziewięćdziesięcioletniej staruszki za kierownicą. Nie rozumiała też, jak Amelie może tak bez troski o tym mówić.

Jej wątpliwości zostały dostrzeżone.

– Nie wyjeżdżała poza rogatki miasta. Poza tym nie znam bardziej odpowiedzialnej osoby niż moja mama – oświadczyła Amelie już poważnie. – Nie naraziłaby ani siebie, ani nikogo innego na niebezpieczeństwo. Dlatego jak tylko pogorszyło jej się zdrowie, z wielkim bólem, ale zamknęła swoje ukochane auto w garażu.

– A w dodatku chyba na amen – syknęła teraz Laura po raz kolejny, wciąż szamocząc się z zamkiem.

W końcu, zrezygnowana, poddała się i sięgnęła po stojącą na chodniku torbę. Wrzuciła do niej nieszczęsne klucze. Pozostało jej urozmaicić sobie dzień jedynie spacerem nad pobliski Canal de Saint-Quentin, by popatrzeć na pływające po nim stateczki, albo przejść się po ulicach opustoszałego miasteczka, które dzięki internetowej mapie zdążyła poznać na tyle dokładnie, by przekonać się, że nie ma w nim wiele więcej do zobaczenia. Zniechęcona zaklęła cicho. Gdy się pochylała, wypadły jej z kieszeni klucze do auta.

Podniosła je i przyjrzała się im dokładniej.

– Dwa? – Zdziwiła się.

Z pewnym ociąganiem wetknęła mniejszy do garażowego zamka i obróciła bez najmniejszego trudu. Popatrzyła na wyciągnięty z torebki drugi pęk i dopięty do niego niewielki kluczyk, którego dotąd usiłowała używać, a potem powędrowała wzrokiem w stronę wiszącej na ogrodzeniu skrzynki na listy i znów zaklęła, tym razem o wiele dosadniej, uderzając się otwartą dłonią w czoło.

– Co za bezmyślna kretynka – sarknęła, czerwieniąc się ze wstydu.

Cieszyła się, że przynajmniej nie zadzwoniła po pomoc do Amelie, bo taka myśl przemknęła jej przez głowę, i nie fatygowała jej po to tylko, by dowiedzieć się, że klucz od skrzynki na listy nie pasuje do garażowego zamka.

Z ulgą otworzyła wrota na całą szerokość i zastygła z nieelegancko rozdziawionymi ustami.

Stała tak przez całkiem długą chwilę, gapiąc się na musztardowego Citroena 2CV, niemal identycznego jak ten, którym jeździła zwariowana zakonnica Clotilde w filmie o żandarmie z Saint-Tropez z Louisem de Funèsem w roli głównej. Tylko że ten tutaj był w znacznie lepszym stanie. Wręcz lśnił czystością w blasku

słonecznych promieni wdzierających się do garażu. Był rzeczywiście bardzo zadbany. Raczej nie bez przyczyny. Prawdopodobnie wybór tej akurat marki był nieprzypadkowy i wynikał z zamiłowania właścicielki do francuskich seriali. Laura widziała w salonie ich całą kolekcję. Również tę z popularnym komikiem.

– Zakonnica zakonnica, ale ja jeszcze nie zwariowałam, żeby wsiadać za kierownicę czegoś, co jest pewnie starsze ode mnie – powiedziała do siebie stanowczo, gdy tylko odzyskała głos.

Zaciekawiona zajrzała jednak do środka. Było tam równie czysto, jak z zewnątrz, i ładnie pachniało, mimo że nigdzie nie było widać zapachowych choinek ani innych odświeżaczy powietrza. To ją zachęciło, by na próbę umościć się w skrzypiącym przyjemnie skórzanym fotelu kierowcy. Dotknęła dźwigni zmiany biegów zakończonej ozdobną, połyskującą złotem gałką. Musnęła palcami kokpit.

A potem pomyślała, że podobna okazja może się już nigdy nie powtórzyć.

– Mam niepowtarzalną szansę przejażdżki prawdziwym zabytkowym automobilem – mruknęła do siebie, choć nadal bez przekonania.

Wysiadła z samochodu i wyjrzała na ulicę. Pusto. W zasadzie odkąd wyszła z domu, nie przejechał tędy żaden samochód. Rue Arthur Saily znajdowała się na uboczu i raczej nie należała do ruchliwych arterii. Laura znów zerknęła na citroena. Tym razem z ukosa, z ciągłą nieufnością. Uśmiechnęła się krzywo. Wsiadła i umieściła kluczyk w stacyjce. Przekręciła. Podskoczyła, gdy silnik zamruczał. Głośno, ale jednocześnie całkiem swojsko. Zupełnie jak w pierwszym aucie jej rodziców, które pamiętała z dzieciństwa. To jej dodało otuchy. Zacisnęła ręce na kierownicy. Obejrzała uważnie wszystkie dźwignie i pokręta, popatrzyła na zegary. Obsługa pojazdu nie wydawała się skomplikowana. W każdym razie nie bardziej niż jej własnego, współczesnego auta.

– Raz kozie śmierć. – Wyprostowała się za kierownicą i nabrała w płuca powietrza, całkiem jakby za chwilę miała skakać do wody z wysokiej trampoliny. Być może dlatego, że tak właśnie się poczuła. Strach przed nieznanym i niewątpliwym ryzykiem, ale i ekscytację. – Jeśli nie spróbuję, już zawsze będę tego żałować, pomyślała ostatecznie.

Wycofała ostrożnie. Wysiadła tylko na chwilę, żeby zamknąć garaż, a potem od razu ruszyła. Na początku bardzo wolno. Kilkaset metrów dalej nieco śmieiej przycisnęła pedał gazu. Zrobiła małe kółeczko po osiedlowych uliczkach, potem drugie większe i już nie zatrzymując się, skręciła w kierunku Reims. Zerknęła jedynie, czy na pewno ma w torbie mapę i przewodnik po Pikardii i Szampanii, które kupiła jeszcze w łomżyńskim empiku. Były. Pomyślała, że zatrzyma się na najbliższej stacji benzynowej, żeby jeszcze raz do nich zajrzeć i ustalić marszrutę. Przy okazji sprawdzi też bak. Nie do końca ufała wskaźnikom na wiekowej desce rozdzielczej, a nie uśmiechało jej się utknąć gdzieś w okolicy bez paliwa, nawet

pośród najpiękniejszej plantacji winogron.

Wiele sobie obiecywała po tej wycieczce. Od dawna marzyła o zwiedzeniu znanej francuskiej prowincji, w której produkowano tak lubiany przez nią, szlachetny trunek. W planach miała Reims, Épernay i Châlon-sur-Marne, gdzie z winogron Chardonnay, Pinot Noir i Pinot Meunier, według tego, co podawał przewodnik, wytwarzane było najwytworniejsze i najbardziej cenione wino musujące na świecie. Zamierzała najpierw wybrać się na spacer ekskluzywną Avenue de Champagne w Épernay, dzielnicą imponujących rezydencji i pseudorenesansowych pałaców.

Poniżej nich wydrążono w wapiennych skałach kilkadziesiąt kilometrów piwnic, w których leżakowały miliony cennych butelek, przy powtórnej fermentacji potrząsanych i obracanych regularnie przez specjalne maszyny po to, by białe lub różowe wino po usunięciu ostatecznego osadu i dodaniu słodkiego likieru zyskało pożądane przez smakoszy całego świata bąbelki.

Laura miała nadzieję, że nie natknie się na wielu turystów. Niechęć do staroci opuszczała ją zwykle w tradycyjnych muzeach, jednak pod warunkiem, że nie otaczały jej w tym czasie tłumy innych zwiedzających. Dlatego łudziła się, że uniknie nieprzyjemnego tłoku i zwiedzi również te najdalsze, najbardziej mroczne zakątki piwnic, gdzie zachowały się stare kapliczki, w których modlili się mnisi i ludzie pracujący przy produkcji wina.

Spodziewała się przeżyć pozbawiony wstrętu dreszcz emocji podczas oglądania właśnie tych najstarszych butelek – spowitych grubą warstwą wiekowego kurzu. Prawdziwych, niepodrobionych przez winiarzy otwierających swoje biznesy w najbardziej obleganych turystycznie miejscach we Francji, Włoszech czy w Hiszpanii. Tam również w specjalnych gablotkach leżały kilkusetletnie wina w zakurzonych butelkach. Czasem bez metek i cen, jednak w wielu przypadkach nie dlatego, że były bezcenne, ale wprost przeciwnie. Nie miały żadnej wartości jako atrapy spreparowane dla żądnych wrażeń, niekiedy naiwnych turystów.

Miejsce, w którym się znalazła – popularna Szampania – dawało jej gwarancję oryginalności nie tylko butelek, ale i ich zawartości. Przeczuwała, że przy ekskluzywnej Avenue de Champagne nie zrobi zakupów, dlatego miała nadzieję zrealizować pragnienie posiadania oryginalnej, francuskiej butelki szampana przy którymś z winnych zielonych szlaków. Zamierzała wstąpić do jednej z małych kameralnych piwnic należących od wielu pokoleń do tych samych rodzin, gdzie większość czynności nadal wykonywano ręcznie, a finalny produkt był równie doskonały, jak w tych najsłynniejszych wytwórniach. I, co najważniejsze, można go było nabyć za nieporównanie niższą cenę. Tak przynajmniej sugerował przewodnik, do którego Laura zajrzała już podczas pierwszego postoju, gdy upewniła się wreszcie, że jej zabytkowy środek lokomocji

ma w baku dostateczną ilość już całkiem współczesnego paliwa, a przy okazji wypła dużą kawę z automatu.

Jechała niezbyt szybko i rozglądała się z ciekawością, coraz bardziej rozluźniając chwyt na skórzanej, wciąż wilgotnej od potu kierownicy. Zdenerwowanie prawie ustąpiło. Auto nie sprawiało problemów, co napawało optymizmem. Nie bała się już ewentualnego, niewątpliwie kosztownego holowania do Tergnier.

Po kilkunastu kilometrach włączyła radio. Rozbrzmiała nieznana jej, ale przyjemna dla ucha francuska melodia, więc nie zmieniała kanału. Niestety krajobraz po obu stronach drogi wciąż niespecjalnie różnił się od rodzimego. Królowały pola uprawne i trochę zapuszczone łąki, przydrożne krzewy niewiadomego gatunku i skupiska drzew liściastych, zbyt nielicznych, by zasłużyły na miano lasów. Próżno było szukać gajów oliwnych czy choćby brzoskwiniowych sadów, w jakie obfitowała południowa część Francji. Natomiast widoczne tu i ówdzie na wpół martwe palmy rosnące najczęściej w przydomowych ogródkach wobec pozostałej roślinności wyglądały nie mniej groteskowo niż ta z plastiku przy warszawskim rondzie de Gaulle'a.

Może właśnie dlatego Laura porzuciła w końcu obserwację otoczenia, skupiając się na jeździe i lekko odpływając myślami do wczorajszej rozmowy z Amelie.

Przez niemal całą noc zastanawiała się nad tym, co usłyszała od Francuzki. W dużej mierze dlatego, że nie miała nic innego do roboty, przekonana, że nie zaśnie. Nie tylko z powodu zaaferowania ostatnimi wydarzeniami. Wciąż nie czuła się dobrze w domu Josephine. Noclegu w dawnym pokoju Amelie i jej siostry nawet nie brała pod uwagę. Weszła tam jedynie po to, żeby zabrać przygotowaną pościel i rozłożyć ją na kanapie w salonie. Zmrużyła oczy, by nie patrzeć na lalki, jednak już z poduszką, prześcieradłem i pledem pod pachą nie zdołała się powstrzymać i jeden jedyny raz rzuciła okiem na pokój. Z nadzieją, że jeśli zrobi to dostatecznie szybko i pobieżnie, nie zapamięta wielu szczegółów, które potem będą ją dręczyć, powracając nieustannie. Zdążyła jednak zobaczyć większość lalek usadzonych na jednym z tapczaników, fotelu i drewnianych półkach. Mimowolnie zarejestrowała też całe umeblowanie pomieszczenia, które wywołało w niej dreszcz nie mniejszy niż jego porcelanowe lokatorki. W pokoju były dwa łóżka, dwa biurka i dwie małe toaletki ze zmatowiałymi lustrami. Do tego jedna, ale ogromna szafa i mnóstwo odkrytych półek wypełnionych książkami. Oczywiście tylko tam, gdzie nie panoszyły się lalki.

Gdy schodziła na dół, nadal nie dawało jej to spokoju.

Wiedziała, że Marie Anne zmarła w wieku lat dwudziestu. Amelie była wówczas siedemnastolatką. Tak przynajmniej wynikało z podanych przez Francuzkę dat. Natomiast w sypialni zachowano nie tylko lalki należące do jednej

z dziewcząt, ale również sprzęty i wiele innych przedmiotów, których pewnie obie używały. Laura przez moment miała ochotę wrócić na górę i sprawdzić, czy w szafie wiszą też ich dziewczęce ubrania, ale szybko zganiła się w myślach za tak nedorzeczny pomysł. Sprawa niezmienionego wystroju i umeblowania sypialni dziewczynek, z których jedna nie żyła od blisko czterdziestu pięciu lat, a druga przekroczyła sześćdziesiątkę, nie dawała jej jednak spokoju. W dodatku im dłużej o tym myślała, tym bardziej ją to intrygowało i jednocześnie przerażało.

Mimowolnie sięgnęła po jeden z albumów ze zdjęciami, który zostawiła jej Amelie. Drugi po namyśle odłożyła. Były w nim jedynie współczesne fotografie. Dzięki nim Laura dowiedziała się, że Amelie jest wdową, ma trzy zamężne już córki i gromadkę wnucząt tak liczną, że Laura nawet się nie siliła na zapamiętanie ich imion. Kojarzyła jedynie Coralie, która pracowała na lotnisku w Beauvais.

Drugi album był znacznie starszy. Również przejrzały go wspólnie wczorajszego wieczoru, ale Laura postanowiła zrobić to raz jeszcze, już sama.

Ze szczególną uwagą przeglądała się fotografiom przedstawiającym Marie Anne. Na początkowych stronach widziała poważną, chociaż kilkuletnią zaledwie dziewczynkę, a dalej nastolatkę, która nie uśmiechała się na żadnym ze zdjęć. Czasem rozchyłała jedynie usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale Laura była dziwnie pewna, że to tylko złudzenie. Na pięknej twarzy dziewczyny widniała cisza połączona z melancholią. Za to w oczach kłębiło się znacznie więcej treści, niż mogłyby wyrazić słowa, być może też dlatego pewnie niewyartykułowanej. Jakby to oczy rościły sobie całe prawo do przekazywania myśli i uczuć, jednocześnie szyfrując je tak, by były zrozumiałe tylko dla nielicznych lub... dla nikogo. Laura odnosiła wrażenie, że dziewczyna wręcz krzyczy samym tylko spojrzeniem, jednak w jakimś obcym, nieznanym nikomu języku.

Zdjęta nagłym strachem przerzuciła kilka czarnych kartek, omal nie rozrywając przy tym rozdzielającej ich delikatnej bibuły. Zatrzymała się dopiero przy portrecie Sary. Wpatrywała się w niego długo, czując przy tym delikatne mrowienie w okolicach skroni, które nie pozwalało jej na przetrucenie strony. Pochyliła się, żeby lepiej przyjrzeć się fotografii, i westchnęła. Już wiedziała, co na tak długo zatrzymało jej wzrok.

– Kamea ciotki Helenki. Ta, którą dostała od swojej matki – wyszeptwała wzruszona.

Zdjęcie nie było kolorowe, ale Laura i tak wiedziała, jakie barwy miała błyskotka wpięta w stójkę sukni Sary. Zielono-biały jadeit. Broszka była bardzo charakterystyczna nie tylko ze względu na materiał, z którego ją wykonano, ale przede wszystkim przez misterny splot zdobiącego ją owalu, z wkomponowanymi w niego zręcznie literami. ONA – ON – ONO. Tu nie były widoczne, ale Laura nie miała wątpliwości, że tam są. I że jest to ta sama broszka.

Kiedyś nie rozumiała napisu, wzięła go nawet za jakąś łacińską sentencję, na

co Helena zareagowała śmiechem. Zaraz potem ciotka wyjaśniła, że oznacza on po prostu matkę ojca i dziecko. W tak zawołowanej formie pewnie tylko dlatego, że w innej słowa nie zmieściłyby się na niedużej przecież powierzchni zdobienia.

Napis wydawał się na miejscu, skoro ciotka dostała kameę od swojej matki. Również dlatego, że Leonia, jak można było wywnioskować na podstawie zdjęcia, musiała ją otrzymać z kolei od swojej rodzicielki. Laura pomyślała nagle, że Leonii pewnie było przykro, skoro nie mogła wyjawic, od kogo ma tę pamiątkę. Z powodu chorobliwej zazdrości przybranej matki nie mogła opowiedzieć Helenie, dlaczego kamea z zielonego i białego jadeitu jest cenna i ważna, bo nie chodziło przecież tylko o szlachetność kamienia i kruszcu, z którego ją wykonano. Być może Leonia знаła też okoliczności, w jakich biżuteria trafiła w ręce Sary. Umieszczony na niej napis pozwalał wierzyć, że były szczególne.

– Czyżby Sara dostała ją od męża? – Laura zastanawiała się głośno. – Ale jeśli tak, to z pewnością zanim urodziły się ich dzieci. Bo wtedy napis brzmiałby na pewno inaczej. Ona, on i one. Dzieci. Bliźnięta, Leonia i Jakub.

Postanowiła przy najbliższej okazji zapytać Amelie o zdjęcie i kameę. Może uda się dotrzeć do prawdy o pochodzeniu biżuterii? Laura nagle bardzo zapragnęła ją poznać. Nie potrafiła wyjaśnić dlaczego. Po prostu czuła, że to ważne. Odnosiła nieodparte wrażenie, że broszka z kameą kryje w sobie coś znacznie więcej niż tylko gest męża wobec ukochanej żony czy tęsknotę matki za zbyt rzadko widywaną córką.

Żałowała, że nie spotka się już z Josephine, ale lepiej było nie narażać staruszki na kolejne pogorszenie samopoczucia. Tak ustaliły z Amelie poprzedniego wieczoru. Teraz tego żałowała. Seniorka rodu Berthier rozwiałyby pewnie tłące się wciąż w Laurze wątpliwości, nie tylko te dotyczące broszki. Amelie, choć dobrze przygotowała się do rozmowy w zastępstwie matki, nie wyjaśniła wszystkiego. Przekazała rzetelnie wiele ważnych szczegółów dotyczących historii rodziny i życia Sary, jednak tylko w formie suchych faktów. Laura nie zdołała zagłębić się należycie w opowiedzianą jej fabułę, nic też nie poczuła, choć powinna, z czego dopiero teraz zdała sobie sprawę. Nie zareagowała we właściwy sobie sposób, jak zawsze wtedy, gdy słuchała czyichkolwiek wspomnień oddalonych bardzo mocno w czasie.

Nie pojawiło się charakterystyczne dla takich momentów napięcie i swoiste łaskotanie w sercu. Ponadto wciąż nie opuszczało jej poczucie, że w usłyszanej opowieści były luki. I to nie tylko te wynikające z niewiedzy Amelie. Czy to była kwestia lojalności wobec matki, która dała wytyczne, jak powinna potoczyć się ta rozmowa? Ale z drugiej strony dziwne zachowanie Francuzki, to zagryzanie warg podczas rozmowy, skłaniało do podejrzeń, że istnieje inna, ukryta prawda albo wręcz w grę wchodzi kłamstwo. Co zatem miały do ukrycia potomkinie Sary Rosen? Czy dotyczyło to dziwnej, niewyjaśnionej dotąd przepowiedni Marie

Anne? I jeśli rzeczywiście coś przed Laurą zataiły, czy to, co zdecydowały się ujawnić, było rzeczywiście prawdą?

Mętlik w głowie spowodował, że Laura nie zauważyła nawet, w którym momencie zmienił się krajobraz za szybą samochodu. Z lekkiego rozkojarzenia wyrwał ją dopiero widok srebrnych łuków wody krzyżujących się nad wielokilometrowymi połaciami zieleności.

Z wrażenia zjechała na pobocze i czym prędzej wysiadła z samochodu. Zachwycona patrzyła na ciągnące się w długich równych rzędach pnącza winorośli uczeplone jednakowych podpór. Nad niektórymi rozpięto gęste siatki, chroniąc jej przed ptakami lub też może zbyt intensywnym słońcem albo deszczem. Z odległych już czasów licealnych, gdy wpadła na nierealny, jak się wkrótce okazało, pomysł wakacyjnego wyjazdu do słynnej Szampanii na winobranie, pamiętała, że zaczyna się ono dopiero we wrześniu. Teraz kiście winogron były jeszcze niedojrzałe i przez to z daleka prawie niewidoczne. Dopiero gdy podeszła bliżej, dostrzegła jasnozielone i całkiem spore już grona soczystych owoców. Mimo że doskonale zdawała sobie sprawę, jak bardzo muszą być cierpkie i kwaśne, wbrew własnej woli przełknęła głośno ślinę. Być może też na myśl o szampanie, który miał z nich powstać za kilkanaście miesięcy.

Zanim wsiadła do samochodu, zerknęła na mapę, żeby sprawdzić, jaki dystans dzieli ją jeszcze od Reims. Do pokonania miała tylko kilka kilometrów. Potem trzydzieści do Épernay i niecałe czterdzieści do Châlons-en-Champagne. O ile nic nie stanie jej na przeszkodzie, bez problemu zrealizuje wszystkie punkty wycieczki. Uśmiechnęła się z zadowoleniem. Na pewno zdąży, nawet z wymuszoną, ale konieczną przerwą w podróży po degustacji szampana, na którą liczyła, nawet gdy nie zdecyduje się na zakup trunku.

Właśnie ruszała, gdy w torebce rozdzwonił się jej telefon. Zatrzymała auto i spojrzała na wyświetlacz.

– Amelie? – Zdziwiła się.

– Dasz radę wpaść wieczorem do szpitala? – spytała zaraz po tym, jak upewniła się, że u Laury wszystko w porządku. – Na chwilę chociaż. Mama bardzo cię o to prosi, chciałyby się z tobą pożegnać.

– Oczywiście! – odparła, z trudem tłumiąc entuzjastyczny pisk. – Przyjadę na pewno!

Już po wyłączeniu telefonu krzyknęła z radości i wyrzuciła w górę ramiona. Zupełnie jak ciotka Helena afirmująca życie, pomyślała mimowolnie. Jednocześnie przypomniała sobie opis dziwnego tańca Sary, o którym wspominała Amelie. To była kolejna rzecz, którą Leonia przekazała swojej córce. Bo nie ulegało wątpliwości, że tańca nauczyła się od własnej matki.

– Auć! – Rozcierała knykcie, którymi uderzyła boleśnie w podsufitkę samochodu, nie przestając się do siebie uśmiechać. Tak, jak uśmiechało się do niej

tego dnia szczęście, nie licząc oczywiście incydentu z pomyłonym kluczem.

Niespodziewanie dostała szansę, by zapytać Josephine o kameę. I być może o kilka innych ważnych spraw, choć jeszcze nie wiedziała dokładnie, jakich. Nie była też pewna, jak ma się za to zabrać, by znów nie zdenerwować chorej. Miała jednak sporo czasu, żeby się do tego przygotować. I idealne ku temu warunki.

Wciągnęła w płuca potężny haust szampańskiego powietrza, niemal czując jego smak. Od nadmiaru emocji zakręciło jej się w głowie jak po prawdziwym szampanie, a w środku poczuła łaskotanie bąbelków.

Wczesnym wieczorem Laura zaparkowała przed szpitalem w La Fère.

Zbyt zamyślona, by zauważyć, że weszła do budynku drzwiami przeznaczonymi dla personelu, zgubiła się i długo szukała sali, w której leżała Josephine.

Na jednym z pustych korytarzy mignęła jej znajoma twarz. To był Louis, chłopak, który przywiózł Laurę z lotniska. Zaskoczona chciała się przywitać, ale nie zdążyła, ponieważ wyraźnie się śpieszył. Nawet jej nie zauważył. Poza tym wydawał się czymś podenerwowany, więc raczej nie był to odpowiedni moment na towarzyską pogawędkę.

Laura patrzyła za nim chwilę, zastanawiając się, czy on również zablądził, chcąc odwiedzić babkę swojej dziewczyny, skoro podobnie jak ona znalazł się w miejscu, gdzie – jak ją poinformowano – obowiązywał zakaz wstępu dla osób spoza personelu. Nie zajmowała się jednak tym zbyt długo. To nie był czas na tak nieistotne sprawy. Należało jak najszybciej spotkać się z Josephine.

Musiała też zrobić wszystko, by tym razem rozmowa przebiegła spokojniej, bez narażania słabego zdrowia staruszki. Laura zdecydowała, że opowie jej o własnej rodzinie. Przede wszystkim o ciotce Helenie, która przecież była córką

przyrodniej siostry Josephine. Właściwie powinna była zrobić to już na samym początku. Nie tylko opowiedzieć, ale zastanowić się nad zaaranżowaniem spotkania. Mimo że ciotka dość sceptycznie podeszła do pomysłu, gdy Laura wspomniała jej o tym przez telefon, zdając relację z ostatnich zdarzeń. Kolejny raz zasłoniła się wiekiem, zmęczeniem i stresem, z którymi wiązała się podróż do Francji. Być może miała rację. To oznaczałoby silne wzruszenia dla obu pań. Ciotka dotąd nie chorowała na nic poważnego, miewała jedynie drobne problemy z nadciśnieniem, dlatego jej wymówki wydawały się jedynie kokieterią. Z pewnością dobrze zniosłaby lot i pozostałe niedogodności podróży. Za to dla Josephine emocje związane z poznaniem córki przyrodniej siostry mogłyby się okazać niebezpieczne.

Nim dotarła do właściwej sali, całkiem pogubiła się również we własnych rozważaniach. Zatrzymała się z dłonią na kłamce, żeby zyskać chwilę na zastanowienie, jednak nic mądrego nie przychodziło jej do głowy.

Nie miała innego wyjścia, jak pozostawić sprawę własnemu biegowi i pozwolić Josephine pokierować rozmową, z nadzieją, że potoczy się we właściwym kierunku. Tak postanowiła. A zaraz potem omal nie runęła jak długa wprost do otwartego nieoczekiwanie pomieszczenia. Uniknęła tego, ponieważ z impetem wpadła w objęcia lekarza w błękitnym kitlu, który w ostatniej chwili uchronił ją przed upadkiem, gdy, wsparta na kłamce i zbyt zamyślona, nie zauważyła, że ktoś energicznie otwiera drzwi z drugiej strony.

– Przepraszam – bąknęła zarumieniona, dostrzegłszy wcześniej kątem oka, jak uniesiona na poduszkach Josephine zaśmiewa się cichutko, przysłaniając usta szczupłą dłonią.

Laura mimo zażenowania sytuacją ucieszyła się, że litościwy los sam przygotował jej tak korzystny grunt do rozmowy, niemal wyrywając jej spod nóg własny. Josephine długo jeszcze chichotała w rękaw koszuli, jednocześnie przepraszając Laurę za to rozbawienie.

– Wybacz, *mon chéri* – wydusiła wreszcie, ocierając łzy. – To dlatego, że rzadko miewam tu rozrywki, czasem tylko pooglądam jakiś serial komediowy w telewizji albo porozmawiam z kimś z personelu. A ten doktor, który cię pochwyił w ramiona, to największy sztywniak na oddziale. Za to ty go całkiem nieźle rozbijałaś. Ledwie utrzymał się na nogach pod naporem twojego ciała.

– O, wypraszam sobie. – Laura splotła demonstracyjnie ramiona, udając obrażoną. – Wiem, że tu i ówdzie mam nieco za dużo, ale chyba nie aż tyle, by znokautować całkiem dużego i postawnego mężczyznę!

Josephine machnęła lekceważąco ręką.

– Może on i duży, ale czy postawny? Chucherko, całkiem jak moja Amelie.

– A właśnie. – Laura nagle spoważniała. – Wspomniała, że chcesz mnie widzieć. Żeby się pożegnać. Ucieszyłam się, bo przecież ostatnim razem nie

miałyśmy okazji...

– Tak... – Josephine też przestała się śmiać. – Tak jej powiedziałam.

– To znaczy, że wcale nie masz ochoty się ze mną żegnać? – Laura usiłowała jeszcze żartować, widząc, że nastrój staruszki zmienia się zbyt radykalnie.

– To też. – Uśmiechnęła się w odpowiedzi, ale inaczej niż chwilę wcześniej. Trochę melancholijnie. – Lecz jeszcze bardziej chciałam dokończyć naszą rozmowę. Obawiałam się, że moja córka będzie temu przeciwna, musiałam więc podać bezpieczny pretekst.

– Pewnie dlatego, że już cię wyręczyła. Opowiedziała mi o Sarze. O jej zainteresowaniach okultyzmem, kontaktach z francuską masonerią i wszystkim innym.

– Jakim „wszystkim innym”? – Josephine przyglądała się jej z uwagą, a w jej oczach pojawił się niewielki niepokój.

– Mam na myśli okoliczności, w jakich Sara wyjechała z Jedwabnego. To, co zrobiła moja prababka, to znaczy... Eleonora. Chodzi o rękawiczkę. – Zawahała się na krótko, zastanawiając się, czy to jest dobry moment, by wydobyć ze staruszki dodatkowe informacje, nie robiąc jej przy tym krzywdy. – Zapomniałam ją jedynie spytać o kameę. Zrobię to jutro... – dodała w pośpiechu.

– Kameę? – Josephine zmarszczyła brwi.

Przynęta zadziałała. Laura nabrała w płuca większy zapas powietrza.

– Tę, która teraz należy do mojej ciotki, córki Leonii, a twojej przyrodniej siostry – zaczęła ostrożnie. Obserwowała staruszkę z ogromną uwagą, ale nie dostrzegła na jej twarzy niczego niepokojącego. Właściwie to nie zauważyła żadnej reakcji na wiadomość o siostrzenicy, co trochę ją zdziwiło. Z drugiej strony przecież Amelie mogła zdążyć jej o wszystkim opowiedzieć. O ciotce Helenie również. – Chodzi o broszkę z zielono-białego jadeitu z sentencją w oprawie – dodała szybko na wszelki wypadek. – Zauważyłam, że na jednym ze zdjęć Sara ma ją przypiętą do sukni. Domyśliłam się, że podarowała ją córce, to znaczy Leonii, a ona z kolei swojemu najmłodszemu dziecku, czyli mojej ciotce.

Josephine słuchała w milczeniu. Potem długo się nad czymś zastanawiała.

– Przyznam, że nie mam pojęcia, o czym mówisz – odezwała się wreszcie. – Nie kojarzę takiej broszki u mojej matki. Poproszę Amelie, żeby pokazała mi to zdjęcie, może wtedy coś sobie przypomnę.

Laura pokiwała głową i wstała, szykując się do wyjścia, ale Josephine nieoczekiwanie chwyciła ją za rękę.

– Nie możesz jeszcze iść. Przecież się nie pożegnałyśmy.

– Ale ja właśnie zamierałam... – Laura speszyła się, nie wiedząc, jak ma się zachować. Powinna ucałować staruszkę? Ucisnąć ją na pożegnanie? Nie lubiła się spoufalać z obcymi sobie ludźmi, zwłaszcza starszymi, dotyk i zbyt bliski kontakt wręcz ją krępowały, a Josephine mimo pokrewieństwa była jej zupełnie obca.

Dlatego sądziła, że zwyczajowe *au revoir* wystarczy.

– Usiądź, proszę.

Ton głosu starszej kobiety mimo uprzejmej formy zabrzmiał jak rozkaz. Laura odruchowo wykonała go. Nic nie wskazywało na to, że Josephine zamierza wymieniać z nią pożegnalne uściski, dlatego zaciekawiona oczekiwała na rozwój sytuacji.

– Amelie nie powiedziała ci wszystkiego, ponieważ nie zna całej prawdy.

– Nie rozumiem. Jakiej prawdy? Czy to znaczy, że wyjawisz mi ją teraz?

– Przykro mi, kochanie, ale nie. Jeszcze nie czas.

– Czy z tą prawdą mają coś wspólnego lalki w dawnej sypialni Amelie?

Dostrzegła okazję, by porozmawiać o tym, co męczyło ją najbardziej. Osobliwy pokój, który wyglądał, jakby jego lokatorki nigdy się z niego nie wyprowadziły, i który wciąż napawał ją lękiem.

– Nie należała tylko do niej – powiedziała spokojnie Josephine, tym razem nie patrząc Laurze w oczy. – Marie Anne...

– Wiem. – Laura ostrożnie dotknęła jej dłoni. – Amelie opowiedziała mi o siostrze.

Josephine dla odmiany gwałtownie podniosła na nią wzrok, a potem znów opuściła powieki. Laura jednak zdążyła dostrzec czający się w jej oczach niepokój.

– Tak bardzo chciałabym ochronić was przed tym, co spotkało moją Marie Anne...

– Nas? – Zdziwiła się Laura. – Kogo dokładnie masz na myśli?

– Ciebie i Amelie. Obie powinnyście się trzymać od tego wszystkiego z daleka. Teraz widzę, że niepotrzebnie cię tu ściągnęłam i naraziłam tym samym na wielkie niebezpieczeństwo.

– Dlaczego?

Laura wpatrywała się w Josephine, z trudem się powstrzymując, by nie wziąć na wszelki wypadek do rąk kabła z przyciskiem alarmowym.

Staruszka wyglądała na spokojną, ale zaczynała najwyraźniej majaczyć. Laura wiedziała, że starszym ludziom podobne rzeczy się przydarzają, choć u Josephine wyglądało to nietypowo. Kilka sekund wcześniej prezentowała całkowitą, wręcz zaskakującą jak na kogoś w jej wieku jasność umysłu. A jeszcze wcześniej tryskała humorem. Teraz wydawała się przygnębiona i jakby oderwana od rzeczywistości. Opadła na poduszki i odwróciła głowę, jednak nie tak, jakby zasłabła, ale raczej gorączkowo nad czymś się zastanawiała.

– Nie mogę ci wiele powiedzieć – odezwała się w końcu lekko łamiącym się głosem. – Naprawdę. Bardzo bym chciała, ale nie mogę.

– Jeśli tego nie zrobisz, nie będziemy wiedziały, czego lub kogo mamy się obawiać... Ja i Amelie – dodała Laura po chwili zastanowienia.

– Dowiesz się tego. Jestem o tym przekonana. W swoim czasie. A teraz

musisz mi trochę pomóc, bo przez to... – Urwała i omiotła wzrokiem szpitalną izolatkę. – Chciałabym, żebyś przywiozła mi coś z mojego domu.

– Ja?

– Amelie się nie zgodzi. Tylko ty możesz to zrobić. Proszę... – Patrzyła prawie błagalnie. – Poza tym wolałabym, żeby moja córka o tym nie wiedziała.

Laura skinęła głową. Zastanawiał ją powód, dla którego staruszka chce coś ukryć przed córką, ale nie pytała, przeczuwając, że i tak nie otrzyma odpowiedzi.

– Dobrze – odparła z pewnym wahaniem. – Nie powiem o niczym Amelie, ale pod warunkiem, że ona też tu ze mną przyjedzie. Bo jeśli znów coś ci się stanie...

Josephine potrząsnęła gwałtownie głową.

– Nie dopuszczę do tego. Muszę doprowadzić wszystko do końca. Dopiero wtedy będę mogła odejść w spokoju. Jestem na to już prawie gotowa. Została mi tylko ta jedna sprawa...

Laura otworzyła usta, żeby jakoś uprzejmie podsumować niepokojące słowa o odchodzeniu, jednak nie zdążyła, ponieważ staruszka powstrzymała ją gestem.

W zdumieniu słuchała kolejnych wskazówek dotyczących nietypowej prośby Josephine.

– Dobrze. Jeżeli to pomoże mi zrozumieć, co tu się właściwie dzieje, przywiozę ci to – oświadczyła w końcu, tym razem naprawdę szykując się do wyjścia.

Josephine wyciągnęła do niej rękę, jednak, jak się okazało, nie tylko po to, by oddać uścisk. Podała Laurze zwiniętą w rulonik karteczkę. Musiała trzymać ją przez cały ten czas w dłoniach, ponieważ papier był bardzo ciepły i lekko wilgotny od potu. Laura z pewnym wahaniem rozwinęła podany jej karteluszek.

– Veronique LeBlanc? – Zdziwiona przeczytała nieznaną jej nazwisko, pod którym widniał numer telefonu.

– Mieszka w Noyon, to niedaleko. – Staruszka uprzedziła jej kolejne pytania. – Wiem, że Amelie udostępniła ci mojego cytrusia, więc łatwo tam dotrzesz. Obiecuj, że skontaktujesz się z Veronique i spotkasz się z nią, jeśli zajdzie taka potrzeba.

– Jaka potrzeba? – Laura wciąż nie rozumiała. Znów podejrzewała, że chora majaczy. – Oczekujesz, że pojedę do tej kobiety? Po co?

– Bardziej liczę na to, że nie będziesz musiała tego robić. To ostateczność. Daję ci ten kontakt na wszelki wypadek. Gdyby coś poszło nie tak albo wywołało w tobie niepokój.

Laura w pierwszej chwili zamierzała powiedzieć, że ostatnio wszystko, co się wokół niej dzieje, wywołuje głównie jej niepokój, jednak powstrzymała się przez wzgląd na samopoczucie chorej. Nie chciała jej dodatkowo denerwować tą uwagą. Zdezorientowana wciąż wpatrywała się w karteczkę.

– Przecież przed chwilą powiedziałaś, że nic się nie stanie – wydukała wreszcie.

– Chcę wierzyć, że tak będzie, ale wolę się zabezpieczyć. Tym bardziej że tu nie chodzi tylko o mnie. Dlatego zostawiam ci ten kontakt. W razie czego Veronique ci pomoże. Tylko ona. Nikomu innemu nie możesz ufać.

– A Amelie?

– Ona wie o wszystkim dokładnie tyle, by pamiętać o zachowaniu ostrożności. Wierzę, że na razie jest bezpieczna. – Josephine opacznie zrozumiała jej pytanie. Tak naprawdę Laura zastanawiała się, czy może obdarzyć pełnym zaufaniem jej córkę. Bo co do tego miała coraz większe wątpliwości. W dodatku nie była pewna, czy może ufać również Josephine.

Czuła się kompletnie skołowana. Zastanawiała się, czy nie zadzwonić od razu do Amelie i opowiedzieć jej o wszystkim, mimo zakazu Josephine. Zerknęła znów na zmiętą kartkę i niechętnie wsunęła ją do kieszeni.

Nie zamierzała kontaktować się z nieznajomą. Postanowiła za to szczerze rozmówić się z córką Josephine. Obiecała sobie, że zrobi to zaraz po tym, jak odnajdzie tajemniczą szkatułkę z wielkim czarnym okiem, o której przywiezienie poprosiła staruszka.

W zamkniętym dotąd pokoju na piętrze panował półmrok i nieprzyjemny zapach niewietrzzonej od dawna sypialni. W nozdrza wdzierał się mdły zaduch powstały z mieszaniny woni – potu wchłoniętego przez pościel, starego gęsiego pierza i suchych roślin. Pomieszczenie swoją gnuśną atmosferą przypomniało Laurze to, w którym umierała babka Zofia. Skrzywiła się mimowolnie na tę myśl, jednak złożona pochopnie obietnica nie pozwoliła jej się wycofać. Mimo że miała wielką ochotę to zrobić.

Okiennice były szczelnie domknięte, więc nie przewidziano tu wizyty gościa. Z tego powodu Laura czuła się jak intruz, mimo że to Josephine poprosiła ją, by tu weszła. Drgnęła, gdy zaskrzypiała podłoga, z irracjonalnym poczuciem, że zostanie przez kogoś przyłapana. I wcale nie poczuła się lepiej, gdy uzmysłowiła sobie, że jest w domu sama. Nie pomagała też bliskość porcelanowych lalek w dziewczęcej sypialni po drugiej stronie korytarza. Nadal powodowały lęk. Za każdym razem, gdy Laura wdrapywała się na piętro, żeby skorzystać z jedynej w domu łazienki, starała się nie patrzeć w stronę tamtych drzwi. Teraz też tego nie zrobiła, choć mimo to tam właśnie powędrowały jej myśli.

Żeby uwolnić się od nich i przewietrzyć umysł, w pierwszej kolejności

uchyliła okna i okiennice. Do środka wpadło wystarczająco dużo światła, by wyłonić z mroku niemal wszystkie zakamarki niewielkiego wnętrza. Rozejrzała się ciekawie i odetchnęła z pewną ulgą. Tym razem oszczędzono jej niespodzianek. Było staroświecko, ale mimo wszystko, gdy zapach nieco wywietrzył, do zniesienia.

Najwięcej miejsca zajmowało szerokie łóżko z łukowatym zagłówkiem, przykryte starannie wygładzoną, choć lekko spłowiałą patchworkową narzutą i ułożonymi jedna za drugą napuszczonymi poduchami. Naprzeciwko stała trzydrzwiowa szafa z lustrem, obok dostojne tremo i niska toaletka z uprzątniętym blatem. Być może kosmetyki, pachnidła i biżuterię schowano do trzech maleńkich szuflad. Z uchwytu jednej z nich zwisał zasuszony bukietek lawendy. Wyjaśniło się źródło osobliwego zapachu, z bliska wciąż duszącego, mimo otwartego okna. Popielata warstwa kurzu i pajęczyn skutecznie zmieniała kultowy aromat w nieprzyjemną, blokującą swobodny oddech woń wyschniętego na wiór ziola.

Umeblowanie nie odbiegało wiekowo od wyposażenia pozostałej części domu. Obite wytartym kurdybanem krzesło stojące pod ścianą wydawało się nawet starsze. Mimo to Laura, ku własnemu zaskoczeniu, czuła się tu coraz lepiej. Pomijając oczywiście okoliczności, w jakich się znalazła, oraz to, że wolałaby trafić w każde inne miejsce o bardziej współczesnym charakterze. Tym razem jako tako ujarzmiła i oswoiła niechęć do staroci. Być może sprawił to kominek, który, choć nienowy, swoim tandetnym wykonaniem przypominał współczesne twory kominkopodobne, naśladujące te prawdziwe. Tak jak one był jedynie atrapą. Laura nie rozumiała, czemu właściwie miał służyć, bo znajdujące się w nim świece można było ustawić gdziekolwiek.

Chyba że powstał jedynie po to, by pełnić rolę tajnego schowka.

Przyklękła i zgodnie z instrukcją Josephine nacisnęła lekko jego tylną ściankę, która okazała się pomalowaną na biało płytą przypominającą sklejkę. Dość łatwo przesunęła się, odsłaniając niewielką wnękę, drewniany sejf. Laura zmarszczyła czoło, kompletnie zdezorientowana.

Skrytka była pusta.

Tego, że staruszka z niej zadrwiła, nie brała pod uwagę. Bardziej prawdopodobne było, że Josephine się pomyliła albo po prostu zapomniała, że przełożyła zawartość schowka gdzie indziej.

Laura rozejrzała się po pokoju. Jedynym miejscem, gdzie dałoby się ukryć, jak wynikało z opisu – sporych rozmiarów szkatułkę, była szafa na ozdobnych toczonych nóżkach.

Podniosła się z klęczek i stanęła dokładnie na wprost lustra w środkowych drzwiach. Pokręciła głową z dezaprobatą i skarciła własne odbicie. Nie powinna szperać w cudzych rzeczach osobistych, bo takie właśnie przechowuje się na ogół w sypialnianych meblach. Przez chwilę rozważała, czy nie poprosić o pomoc

Amelie, jednak pewnie i dla niej byłoby to krępujące. Poza tym Josephine wyraźnie prosiła, by Laura zajęła się tym sama. Czuła się w obowiązku spełnić jej prośbę. Przez głowę przemknęło jej jeszcze określenie „ostatnia”, które początkowo zignorowała. Zaraz potem przyznała w duchu, że właśnie taka mogła być prośba ponad dziewięćdziesięcioletniej staruszki. I chociaż to było potwornie smutne, to również prawdopodobne, że Josephine już nigdy nie wróci do swojego domu z niebieskimi okiennicami przy Rue Arthur Saille 10.

A każda ostatnia prośba, nawet jeśli wydawała się bez sensu, powinna być spełniona...

Myśląc o tym, bezwiednie oparła spocone czoło o chłodne lustro. Gdy podniosła głowę, dostrzegła tłustą plamę na szklanej, czystej wcześniej tafli. Zawstydzona spróbowała zetrzeć ją podwiniętą połą bluzki, gdy nagle dociśnięte zbyt mocno drzwi skrzyknęły ostrzegawczo i uchyliły się na kilka centymetrów.

Laura cofnęła się przestraszona, ale zaraz potem zajrzała ciekawie do wnętrza szafy. Zamiast spodziewanych ubrań zobaczyła wysoki stos pudeł. Większych i mniejszych, z tektury i malowanej sklejki. Zanim pomyślała, co robi, jednym tylko palcem i jakby od niechcenia uchyliła drzwi szerzej. Nie przez wścibstwo, usprawiedliwiała się w myślach. Nie zamierzała przecież zaglądać do pudeł. Chciała jedynie sprawdzić, czy nie ma wśród nich szkatułki, na której zależało Josephine.

Szkatułki nie znalazła, jednak dostrzegła coś, co przykuło jej uwagę na tyle skutecznie, że porzuciła przeglądanie pudeł. Na szczycie stosu leżał album, bardzo podobny do tych na dole, równie stary jak ten, w którym znajdowały się zdjęcia Sary, różnił się tylko kolorem okładki.

– Ciekawe, dlaczego schowano go akurat tutaj? – zastanawiała się Laura, zaintrygowana wystarczająco mocno, by wspiąć się na palce i sięgnąć po znalezisko.

Usiadła na skraju łóżka i położyła sobie album na kolanach. Wciąż się wahała, czy zajrzeć do środka. Nagle przyszło jej do głowy, że skoro leżał w sypialnianej szafie, zawartość mogła być zbyt osobista, by oglądał ją ktokolwiek poza właścicielką. Laura wahałaby się pewnie jeszcze długo i być może w efekcie odłożyłaby znalezisko na miejsce, gdyby nie jeden maleńki żółtawy rożek fotografii wystający spomiędzy czarnych kartek.

Powoli wysunęła zdjęcie, gotowa w każdej chwili wcisnąć je na miejsce, gdyby przedstawiało coś krępującego, również dla jej oczu.

Okazało się jednak całkiem zwyczajnie. Przedstawiało młodą, ładną kobietę i dwie małe dziewczynki siedzące jej na kolanach. Laura nieco zawiedziona już zamierzała je schować i odłożyć album na miejsce, ale tknięta nagłym przecuciem jeszcze raz przyjrzała się kobiecie.

Podeszła do okna, gdzie było jaśniej. Zdumiona wciągnęła gwałtownie

powietrze. Ugięły się pod nią nogi, więc opadła na szorstki kurdyban, którym obite było krzesło szczęśliwie stojące nieopodal, bo w przeciwnym razie osunęłyby się pewnie na podłogę. Oddychała głęboko, ale nadal kręciło się jej w głowie, w której żadną miarą nie było w stanie pomieścić się to, co właśnie odkryła.

Fotografia wypadła z jej zeszywniałych palców. Podniosła ją z podłogi i spojrzała w wielkie szare oczy kobiety. Rozpoznałaby je wszędzie. Nawet jeśli tłem dla nich była tak inna twarz. Dużo młodsza. Bez siateczki zmarszczek, z jędrnymi i chyba rumianymi policzkami otoczonymi ciemną burzą loków. Dziś już całkiem posiwiałych i zwykle starannie upiętych nad zgarbionym lekko karkiem. Jednak nadal tak samo bujnych i układających się pięknie w pukle, gdy ich właścicielka rozczesywała je drewnianą szczotką, siedząc przed małym lusterkiem ustawionym na stole w kuchni, w swoim domu w Bujanach.

Laura nie miała wątpliwości. Patrzyła na ciotkę Helenę, tylko o jakieś pół wieku młodszą niż obecnie.

– Wtedy właśnie mieszkała we Francji. – Pogłaskała bezwiednie postać na fotografii. – Była tutaj! Ale dlaczego to przede mną zataiła?

Właściwie od zawsze Laurę dziwiło, że ciotka tak niechętnie o tym opowiada. Roczny pobyt za zachodnią granicą – tak barwną i pociągającą wówczas, gdy Polska wciąż jeszcze dźwigała się z powojennych zniszczeń i wokół królowała przygnębiająca szaroburość, powinien zostawić w niej wiele pięknych i fascynujących wspomnień. Jednak jeśli nawet tak było, Helena się nimi nie dzieliła, zasłaniając się lukami w pamięci. Laura wiedziała w zasadzie niemal tylko tyle, ile usłyszała od własnych rodziców. Że Helena po śmierci swojej matki dzięki oficjalnemu zaproszeniu, a później wsparciu i pomocy dawnych znajomych Leonii, wyjechała do Francji i została tam opiekunką dwóch dziewczynek. O swoich podopiecznych ciotka napomknęła enigmatycznie może raz czy dwa.

Właściwie wymieniła jedynie imiona.

– Mania i Mela...

Laura zmarszczyła brwi.

– Mania i Mela. Marie Anne i Amelie – wyszeptała.

Nic z tego nie rozumiała. Nie umiała odgadnąć powodu, dla którego ciotka nie wyjawiała prawdy o swoim pobycie we Francji i do końca karmiła Laurę kłamstwami. Nie tylko nie przyznała się do znajomości z francuską rodziną, ale robiła wszystko, by Laura jej nie poznała, z niewiarygodną wręcz determinacją odradzając wyjazd.

– Dlaczego? – Laura kręciła głową z niedowierzaniem. – Dlaczego nikt nie powiedział mi prawdy?

Zacisnęła usta. Jeszcze raz spojrzała na zdjęcie i jęknęła ze zgrozą.

Uświadomiła sobie, że nie tylko ukochana ciotka ją oszukała. Zrobiły to również Amelie i Josephine. Żadna z nich nie zająknęła się nawet, że od dawna zna

Helene, gdy Laura opowiadała o swojej rodzinie, wymieniając również panińskie nazwisko ciotki. A tymczasem zdjęcia to potwierdzały. Być może kobiety nadal utrzymywały z nią kontakt. A jeśli tak, do czego potrzebna im była skomplikowana szopka z listem do rodziców Laury i szukaniem zaginionych przodków? Dlaczego tak bardzo nalegały na przyjazd Laury do Francji? Czy istniał w tym wszystkim jakiś inny ukryty cel?

Znów przypomniała sobie desperackie wysiłki ciotki, by nie dopuścić do wyjazdu, i nagle przyszło jej do głowy, że być może robiła to z troski o bezpieczeństwo Laury. Przeczuwała, że we Francji coś może jej grozić? Ale dlaczego nie wyjawiała po prostu całej prawdy? Wówczas pewnie wszystko potoczyłoby się inaczej.

– Ale właściwie jak? – jęknęła płacząco.

Nie miała zielonego pojęcia.

Całkiem skołowana chwyciła się za głowę. Zagryzła usta, żeby nie krzyknąć. Ogarnęła ją bezradność. Z trudem powstrzymywała łzy.

Długo krążyła po sypialni Josephine, w tę i z powrotem, żeby rozładować emocje. Otworzyła szerzej okno i zaczerpnęła kilka głębokich wdechów. Poczucie bezsilności nie minęło, ale ustało nieznośne pulsowanie w skroniach. Nie łomotało już tak mocno serce, które chwilę wcześniej chciało jej wyskoczyć z piersi. Oczy przestawały szczypać, gardło nie było już tak bardzo zaciśnięte, ale strach i niepewność przemieniły się w niepohamowaną złość. W tej chwili przede wszystkim na samą siebie. Na własną głupotę i naiwność. Powinna wcześniej wszystko dokładnie sprawdzić, zanim wplątała się w coś, co ją przerastało.

Już bez skrępowania i wyrzutów sumienia otworzyła album i przejrzała pozostałe fotografie. Wiek dziewczynek wskazywał, że wykonane zostały w zbliżonym czasie, jednak Helena znalazła się na niewielu. Za to czasem zamiast siostr Berthier, Josephine i Sary towarzyszyli jej jacyś inni ludzie, kobiety i mężczyźni w eleganckich strojach. Pośród nich Helena wyglądała skromnie, ale nic nie wskazywało na to, by traktowano ją z tego powodu jak kogoś o niższym statusie społecznym. Wręcz przeciwnie. Niektórzy z obecnych na fotografiach zerkali na nią z dziwną fascynacją w oczach, podziwem, a niekiedy z pokorą.

– Jakby była kimś szczególnym – wyszeptała Laura ze zdumieniem. – Zupełnie jak Sara. – Przypomniała sobie też słowa Amelie o wyjątkowej więzi, która łączyła jej siostrę z babką.

Coraz bardziej zdezorientowana przerzucała kartki albumu. Nieco dłużej zatrzymywała się jedynie przy fotografiach przedstawiających szczupłą i bardzo bladą dziewczynkę z ciasno zaplecionymi warkoczykami. Była zawsze poważna, niekiedy wręcz smutna. Marie Anne stanowiła absolutne przeciwieństwo Amelie zerkającej na fotografa z szelmowskim uśmiechem, a czasem nawet zalotnie. Śliczna, ciemnowłosa i świeża jak zerwana prosto z drzewa brzoskwinia. Ubrana

była tak jak jej starsza siostra, a mimo to wyglądała inaczej. Strojniej i odświętniej, gdy dopiero na szczupłej i sztywno wyprostowanej Marie Anne widać było, jak skromna jest identyczna jak u Amelie jasna sukienka z doszytą do rąbka jedną tylko falbanką i małą kokardką przy pasku.

I nie chodziło wcale o to, że starszej z sióstr brakowało urody. Obie były wyjątkowo ładnymi dziewczynkami, ale tylko wobec Amelie można było użyć określenia: urocza. Subtelna szlachetność rysów Marie Anne i spojrzenie skierowane prawie zawsze prosto w obiektyw aparatu powodowały, że trudno było oderwać wzrok od jej twarzy, z jednoczesnym poczuciem wytworzonego dystansu, jakby dziewczynka nie życzyła sobie nazbyt bliskiego kontaktu z kimkolwiek.

– Oprócz Sary i... Heleny – dodała Laura już na głos.

Najbardziej widoczne było to tam, gdzie Helena i Marie Anne pozowały same lub raczej gdy fotograf uchwytował je w momencie, gdy na chwilę zapomniały o obiektywie. Zwłaszcza wtedy, gdy patrzyły na siebie.

W ich spojrzeniu było coś niezwykłego, czego Laura nie umiała do końca nazwać. Jedyne, co przychodziło jej do głowy, to nic porozumienia, jednak miała poczucie, że chodzi o coś więcej... O coś, czego nie dało się dostrzec między Heleną a Amelie, na którą ciotka spoglądała obojętnie, czasem wręcz z chłodnym dystansem.

Być może Amelie była wtedy zbyt mała, by to dostrzec, ale mogła podświadomie wyczuwać tę dziwną niechęć opiekunki. I radzić sobie z tym, co było pewnie dla niej trudne, jeśli nie do końca zdawała sobie z tego sprawę. A tak pewnie było, zważywszy na beztroską ufność malującą się na jej twarzyczce. Może uświadomiła to sobie później? A jeśli tak, to kiedy?

Laura drgnęła, gdy usłyszała dźwięk swojej komórki. Zostawiła ją na dole.

Czym prędzej zbiegła do kuchni.

W ostatniej chwili zdążyła odebrać telefon, zerknąwszy wcześniej na wyświetlacz.

– Amelie? – odezwała się pierwsza. Nie zdołała powstrzymać drżenia głosu.

– Czy ty... Czy twoja matka... Wciąż nie mogę w to uwierzyć! – wyksztusiła i urwała, ponieważ nagle straciła pewność, czy postępuje słusznie, demaskując obie. Nie wiedziała, dlaczego zataiły prawdę, więc tym bardziej nie mogła przewidzieć ich reakcji, gdy dowiedzą się, że wyszła na jaw.

Struchlała na tę myśl. Zasłoniła usta i czekała.

– Laura... Czy to znaczy, że już wiesz?

Po zbyt długiej chwili, w trakcie której jej podenerwowanie wzrosło jeszcze bardziej, usłyszała wreszcie w słuchawce schrypnięty głos wyraźnie roztrzęsionej Francuzki.

– Wiem. Znalazłam album ze zdjęciami – wyrzuciła jednym tchem, tym razem nie zastanawiając się nad konsekwencjami. Woląla najgorszą prawdę niż

ciągłą niepewność. – Widziałam Helenę.

– Jaką Helenę?

– Przestań wreszcie udawać! – Nagromadzone emocje sprawiły, że nie pohamowała wybuchu. – Mówię o mojej ciotce. Rozpoznałam ją na zdjęciach, z tobą i twoją siostrą. Koniec tego cyrku! Masz mi natychmiast powiedzieć, o co tu, do cholery, chodzi!

– Już do ciebie jadę – odparła zdławionym głosem i rozłączyła się.

Laura zamarła z otwartymi ustami i telefonem przy uchu. A zaraz potem pomyślała, że wcale nie jest pewna, czy chce tego spotkania. Bo jeśli ktoś coś tak długo ukrywał, musiał mieć ważny powód. Dlatego poznana wreszcie prawda z pewnością pociągnie za sobą konsekwencje. Nie miała pojęcia, jakie, ale nie łudziła się, że będą miłe. Przede wszystkim dla niej.

Pierwszy raz, odkąd wyjechała ze Stanów, poczuła się tak samotna. Dałaby wszystko, by teraz był przy niej mąż. Potrzebowała jego wsparcia jak nigdy dotąd. Czuła się otumaniona i coraz bardziej przestraszona. I przede wszystkim zdradzona. Ciotka, której dotąd ufała wręcz bezgranicznie, oszukała ją. W dodatku wciąż nie było wiadomo, jak głęboko sięgały jej kłamstwa i kto jeszcze uczestniczył w mistyfikacji.

– Rodzice? – Zadrżała na tę myśl.

Bezsilność i narastający lęk odbierały jej zdolność logicznego myślenia.

Przez chwilę stała skołowana z telefonem w ręku. Zaraz potem podjęła decyzję i przystąpiła do jej realizacji. Zerknęła na walizkę, zastanawiając się, czy wystarczy jej czasu, by się spakować. A potem wyprowadzić z garażu citroena i pojechać prosto na lotnisko.

Samochód zostawi na parkingu w Beauvais Tillé, kluczyki odeśle pocztą. Najważniejsze, żeby zdążyć. Nie na samolot, bo ten odlatywał dopiero za kilkadziesiąt godzin. Musiała opuścić dom Josephine, zanim zjawi się w nim Amelie.

Odrywała mokre od potu dłonie od kierownicy tylko na chwilę, żeby wytrzeć je w spodnie. Potem chwytła ją jeszcze mocniej. Ból szczęki promieniujący aż do ucha uświadomił jej, że zaciska również zęby, jednak mimo to nie potrafiła przestać. Oczy co chwilę zachodziły jej mgłą. Wpatrzona w białą linię wyznaczającą pobocze zapominała o mruganiu, co powodowało wysuszenie spojówek i przez to uciążliwą senność. Liczyła w myślach drzewa i mijane samochody w nadziei, że w ten sposób przywoła się do porządku i ukoji nerwy. Usiłowała się skoncentrować, ale jej myśli wciąż rozbiegały się na wszystkie strony, a ona mimo usilnych prób maksymalnego skupienia kilkakrotnie omal nie zjechała prawym kołem na piaszczyste pobocze. Jazda, zwłaszcza szybka, przy tak rozstrojonych nerwach nie była bezpieczna. Dlatego Laura odetchnęła z ulgą, kiedy zaparkowała wreszcie przed szpitalem w La Fère. Dokładnie w momencie, gdy zrozumiała, że przez najbliższe parę godzin nie zdoła uspokoić ani siebie, ani roztrzęsionej i zapłakanej Amelie skulonej na siedzeniu obok.

Francuzka musiała już być w drodze, gdy do niej telefonowała, ponieważ wpadła do salonu zaledwie kilka minut po tym, jak się rozłączyła. Dokładnie w momencie, gdy Laura dociskała kolanem wieko walizki. Na widok Amelie

usiadła na bagażu z impetem, jakby chciała go w ten sposób przed nią zasłonić, a zaraz potem poderwała się na równe nogi.

– Co się stało? – wyjąkała.

Z wrażenia niemal zapomniała o powodach pośpiesznego pakowania oraz tym, że Amelie nie powinna jej przy tym zastać. Okazało się to jednak nieistotne, bo kobieta nie tylko nie zwróciła uwagi na walizkę, ale w ogóle wydawała się na wpół przytomna ze zdenerwowania.

Musiała wybiec z domu tak jak stała, ponieważ miała na sobie kuchenny fartuch i domowe pantofle. Nabierała gwałtownie powietrza, jakby chciała coś powiedzieć, ale gwałtowny szloch tłumił każde jej słowo, zanim wydobyło się z ust.

– Mama... – wykrztusiła wreszcie i rozpląkała się tym razem na dobre.

– Czy ona...? – Reszta pytania nie przeszła Laurze przez gardło.

– Żyje, ale jest bardzo źle – mówiła, urywając słowa. – Nic nie chcieli powiedzieć. Kazali przyjechać. Nam obu. Już...

– Obu?

– Bo byłeś dziś u niej. Chcą cię o coś spytać. To ważne.

– Nie zdenerwowałam jej. – Laura poczuła, jak się czerwieni. – Była spokojna, wręcz w dobrym humorze, naigrawała się z jednego lekarza... Kiedy wychodziłam, było wszystko w porządku. Co się właściwie stało?

– Nie wiem... Nic nie wiem. – Amelie popatrzyła na nią bezradnie i na pewno bez pretensji. – Ale kazali natychmiast. Pewnie dlatego, że ona może w każdej chwili... – Znów wybuchnęła płaczem.

Obracała się bezwolnie, gdy Laura w pośpiechu ściągała z niej fartuch, a potem wkładała na nogi średnio pasujące rozmiarem buty znalezione w przedpokoju. Pomogła jej wsiąść do samochodu i odebrała kluczyki, żeby samej poprowadzić.

– Czy wezwali też Louisa? – zapytała, gdy już biegły szpitalnym korytarzem. Przypomniała sobie nagle, że go tu widziała.

– Louisa? – Amelie nie zrozumiała.

– Chłopaka twojej wnuczki. Natknęłam się na niego w szpitalu, na korytarzu. Pewnie też odwiedził dziś Josephine.

– Nie, nie! – Machnęła ręką. – Jego siostra... Ona jest pielęgniarką. Może był u niej.

Laura chciała dodać, że wizyta pewnie nie należała do przyjemnych, ponieważ chłopak wydawał się zdenerwowany, ale to nie był odpowiedni moment na takie dywagacje. Podobnie jak na wracanie do tematu znalezionych zdjęć. Zdała sobie z tego sprawę jeszcze w drodze.

Na miejscu okazało się, że nie mogą zobaczyć Josephine.

– Sytuacja jest nadal trudna. – Usłyszały od lekarza. – Wciąż szukamy

przyczyny...

– Jak to? – Amelie przerwała gwałtownie. – To znaczy, że nie wiecie, co się właściwie stało?

– Wiemy, co jej jest, ale nie znamy przyczyny – odparł doktor zmęczonym głosem i wskazał drzwi swojego gabinetu. – Ale zanim do tego przejdziemy, chcę, żeby panie na coś spojrzały.

Obszedł dookoła swoje biurko i obrócił w ich stronę monitor komputera. Powiększył czarno-biały obraz z kamery umieszczonej w sali, gdzie leżała Josephine.

Staruszka drzemała spokojnie, niepodłączona do żadnej aparatury, a jedynie kroplówki, więc to było raczej nagranie, a nie bieżący podgląd. Laura obejrzała się zaskoczona na Amelie, jednak kobieta nie okazała zdziwienia. Widać znała zasady panujące w szpitalu i wiedziała o obecnych w salach kamerach.

– Proszę przyjrzeć się temu uważnie.

Lekarz stuknął palcem w ekran, na którym nagle pojawiła się jakaś postać. Raczej mężczyzny, sądząc po posturze i ruchach, ponieważ twarzy nie było widać, nawet gdy stał bokiem. Miał na głowie kaptur, a pod nim mocno nasuniętą na czoło czapkę z daszkiem.

– Kim jest ten człowiek? – Amelie z widocznym niepokojem wychyliła się, żeby przyjrzeć się mu dokładniej.

– Szczerze mówiąc, liczyłem, że może panie go rozpoznają. – Lekarz zatrzymał nagranie w momencie, gdy nieznajomy stanął przy łóżku staruszki. – Nikt z personelu go nie zapamiętał. Przejrzelismy nagrania ze wszystkich pozostałych kamer, niestety za każdym razem, gdy którąś mijał, odwracał głowę. Wydaje nam się, że musiał być nieźle zorientowany w funkcjonowaniu szpitalnego monitoringu.

– I ogólnie w zasadach, na jakich działa szpital, skoro udało mu się przejść przez kilka korytarzy i nikt go nie zauważył. Mnie od razu zwrócono uwagę, gdy znalazłam się w niewłaściwym miejscu – powiedziała Laura i urwała, ponieważ w głowie zaświtała jej pewna myśl. Nie zdążyła jednak się nią podzielić z obecnymi, bo doktor włączył dalszą część nagrania.

Mężczyzna chwilę przyglądał się śpiącej. W końcu podniósł rękę i dotknął zwisającej ze stojaka kroplówki. Lekarz ponownie zatrzymał obraz i wskazał odsłonięty nadgarstek intruza. Przez moment się w niego wpatrywał, mrużąc oczy, by dostrzec więcej.

– To jest jedyny znak szczególny, dzięki któremu moglibyśmy zidentyfikować tego człowieka. – Wskazał końcówką długopisu niewielki ciemny ślad. – Tatuaż.

– Prawie niewidoczny. – Laura zmrużyła oczy, usiłując dostrzec coś więcej.

– Próbowaliśmy powiększyć, ale niestety niewiele to dało. Przypomina

trochę rybę lub jakieś inne zwierzę morskie. Trudno jednoznacznie stwierdzić.

– Czy to on skrzywdził moją mamę? – Amelie z kolei nawet nie zadała sobie trudu, żeby przyrzec się tatuazowi. – Coś jej zrobił?

Wbiła w lekarza pełen wyczekiwania wzrok. Ten jednak zręcznie ominął jej spojrzenie, by znów skierować uwagę jej i Laury na obraz z komputera.

– Widać, że dotyka kroplówki. Tylko przez kilka sekund, ale podejrzewamy, że mógł wstrzyknąć coś do środka.

– Podejrzewacie!?! – Amelie była zbulwersowana. – Czy to znaczy, że wciąż tego nie sprawdziliście?

– Niestety, zanim zdążyliśmy obejrzeć to nagranie, opakowanie po kroplówce wylądowało wśród innych medycznych odpadów. Bardzo trudno byłoby je teraz odszukać, wręcz jest to niemożliwe, bo szybko poddajemy je utylizacji. Ale zbadaliśmy już oczywiście krew na obecność toksyn czy jakichkolwiek innych niepożądanych substancji, które mogły zostać podane dożylnie. Czekamy na wyniki. Dopiero wtedy będziemy mogli odpowiednio pomóc pani Berthier.

– A jeśli będzie już na to za późno? Przecież tu ważny jest czas! – Oczy Amelie ponownie zasły łzami.

– Robimy wszystko, co w naszej mocy – odpowiedział standardową formułką i wyszedł zza biurka, dając tym do zrozumienia, że rozmowa dobiegła końca.

– Weź mój samochód i wracaj do domu, ja zostaję – oświadczyła Amelie już na korytarzu. – Muszę, przynajmniej dopóki mi nie wyjaśnią, co się właściwie stało. A kiedy mama poczuje się lepiej, przyjadę i porozmawiamy. Nie tylko o zdjęciach, które znalazłaś, ale o wszystkim. Już dawno powinnam była to zrobić. Uważam, że jesteśmy ci to winne.

Laura już przed szpitalem uzmysłowiła sobie, że zaaferowana niespodziewanym wyznaniem Amelie zapomniała podzielić się tym, co przyszło jej do głowy, gdy lekarz wspomniał o zachowaniu tajemniczego mężczyzny, sprytnie kryjącego twarz w pobliżu kamer monitoringu. Wyjęła z torebki telefon i wybrała numer Francuzki.

– Czy Louis, chłopak Coralie, ma jakiś tatuaz? – zapytała bez ogródek.

Zerknęła na wyświetlacz, czy połączenie nie zostało przerwane ze względu na przedłużający się brak odpowiedzi.

– To nie był on. – Usłyszała wreszcie. – Nie widziałam nigdy u niego żadnego tatuazu, co oczywiście nie znaczy, że go nie ma. Wiem jednak na pewno, że to nie był on. Poznałabym Louisa. Znam go od dziecka, nie skrzywdziłby nikogo, a już na pewno nie zrobiłby nic złego mojej mamie. Nie miał powodu.

– Czy to znaczy, że ktoś inny go miał?

Znów odpowiedziało jej milczenie. A potem usłyszała sygnał przerwane połączenia.

Do Tergnier wracała z głową pełną nieuporządkowanych myśli. Bez przerwy odtwarzała w pamięci szczegóły ostatniej rozmowy z Josephine, jednak przychodziło jej to z trudem. Za dużo wydarzyło się w ostatnim czasie, zbyt wiele rzeczy, których nie rozumiała, rozpraszało jej uwagę. Dlatego nie potrafiła przypomnieć sobie nic ponad to, co wydało jej się najważniejsze. Spełnienie prośby staruszki i dostarczenie jej tajemniczej szkatułki. Najszybciej, jak się da. Tymczasem wszystko wskazywało na to, że nie dotrzyma obietnicy, bo szkatułka zniknęła.

– Dopiero wtedy poznałabym prawdę, tak zapewniała – wymamrotała do siebie. – Ale skąd mam wiedzieć, czy w ogóle chcę ją znać, jeśli wciąż nie mam pojęcia, o co tu chodzi?

Usiłowała się skupić, przypomnieć sobie i poskładać w logiczną całość wszystko, co zdarzyło się wcześniej, a jednocześnie mogło mieć związek z tym, co działo się teraz. Niestety nie była w stanie sięgnąć pamięcią zbyt daleko, ponieważ powodowało to jeszcze większy mętlik w jej głowie i potęgowało stres. A ten z kolei blokował możliwość wykonania kolejnego kroku.

Przed oczami migały jej pojedyncze obrazy będące kadrami z ostatnich kilku

godzin, podczas których emocjonalnie doświadczyła być może więcej niż w ciągu całego minionego roku. Co wcale nie oznaczało, że wcześniej jej życie było nudne i pozbawione wrażeń. Było raczej poukładane, jak skonstatowała w myślach. Miała nad nim względną kontrolę, a to dawało jej jako takie poczucie bezpieczeństwa i zapewniało upragnioną stabilizację. Pomijając strach przed chorobą.

Teraz wkroczył w nie totalny chaos, a Laura przecież najbardziej w świecie ceniła sobie ład. Na każdym polu, nie tylko panujący w czterech ścianach jej idealnego, dopieszczonego mieszkania na Rudawskiej, do którego tęskniła jak chyba jeszcze nigdy wcześniej. Jakikolwiek bałagan zawsze ją rozstrajał i powodował poczucie zagubienia. Zwłaszcza wtedy, gdy mimo najszczerzej chęci nie mogła szybko poukładać wszystkiego, odpowiednio posegregować i odłożyć na właściwe miejsca, ponieważ nie miała pojęcia, gdzie owe miejsca się znajdują. To rodziło jeszcze większą frustrację i bezradność. Odnosiła wrażenie, że zamiast zapanować wreszcie nad sytuacją, coraz bardziej traci nad nią kontrolę.

Poirytowana do granic możliwości uderzyła pięścią w skórzaną kierownicę i wyrzuciła z siebie głośno kilka siarczastych przekleństw, walcząc z pokusą, by się rozplakać.

W końcu zjechała na pobocze i ścisnęła oburącz głowę.

Wysiadła z samochodu, z rozmachem kopnęła jakiś kamień, co zamiast ulgi spowodowało ból dużego palca u nogi. Zdjęła but, żeby go rozmasować, przez co straciła równowagę i omal nie upadła. Rzuciła ze złością pantofel, ale zaraz potem przytomnie wsunęła w niego stopę, przytrzymując się przydrożnego słupka. Oparła się o rozgrzany beton pośladkami i westchnęła ciężko. Od czasów studiów nie paliła, ale teraz pożałowała, że w pobliżu nie ma stacji benzynowej, na której mogłaby kupić papierosy. A jeszcze chętniej napiłaby się po prostu wódki. Najlepiej w takiej ilości, żeby znieczuliła ją na długi czas i wyłączyła świadomość. Kolejny raz zaklęła. Kopnięty wcześniej kamień potoczył się gdzieś do rowu, poza tym nadal bolał ją palec, dlatego tym razem wyżyła się na samochodzie, trzaskając z całej siły drzwiami od strony pasażera.

Cofnęła się z lękiem, gdy obok zatrzymał się jakiś samochód. Kierowca uchylił szybę i krzyczał coś do niej po francusku. Nie rozumiała go. Dopiero po paru chwilach zorientowała się, że pyta, czy nie potrzebuje pomocy. Zaprzeczyła ruchem głowy i wymuszonym uśmiechem podziękowała za troskę. Była zbyt zdezorientowana i przestraszona, by wydusić z siebie chociaż jedno sensowne słowo.

Gdy z nieuzasadnioną ulgą patrzyła, jak odjeżdża, doznała nagłego olśnienia.

– Przecież próbowała nas przed czymś ostrzec! Nie tylko mnie, ale i Amelie. Obawiała się, że spotka nas los Marie Anne!

Naraz zdała sobie sprawę, że właściwie nie wie, jak umarła starsza siostra Amelie. Miała wtedy zaledwie dwadzieścia lat, więc o ile nie był to skutek jakiegś

choroby, mogła zginąć w tragicznych okolicznościach. Ta myśl odblokowała w Laurze kolejne... Już bez trudu przypominała sobie wszystkie słowa Josephine.

– Powiedziała, że musimy trzymać się od kogoś z daleka – wymamrotała w zastanowieniu. Nie mogło to mieć jednak związku ze śmiercią sprzed blisko pół wieku. Nawet jeśli wówczas w grę wchodziło morderstwo, sprawca dziś musiałby być staruszkiem. Więc raczej nie jego obawiała się Josephine. – Veronique LeBlanc! – Laura w kolejnym olśnieniu wsunęła dłoń do ciasnej kieszeni dzinsów.

Zwinięta w rulonik karteczka wciąż tam była. Numer telefonu kobiety, z którą Josephine poleciła się skontaktować, gdyby coś się stało. Czy to oznaczało, że czuła się zagrożona? Spodziewała się tego, co się właśnie stało? Laura rozmasowała skronie, żeby zmniejszyć ucisk, który odczuwała w tym miejscu. Zapowiadał ból głowy. Dlatego to nie był najlepszy moment na podróż do Noyon, nawet jeśli miasteczko znajdowało się blisko. Nie pokusiła się o to, by zerknąć na mapę i sprawdzić dokładnie. Zignorowała też myśl, by zatelefonować pod zapisany na karteczce numer. Pewnie dlatego, że tak naprawdę wcale nie miała ochoty tam jechać i być może szukała wymówki, by tego nie robić.

Nie wiedziała, co ją tam spotka, kim okaże się tajemnicza Veronique, o co właściwie powinna ją spytać i – co najważniejsze – wcale nie była pewna, czy chce usłyszeć, co ma do powiedzenia. Nawet przez telefon, skonstatowała z dezaprobatą. Nie wiedziała, jak bardzo może jej zaufać i czy w ogóle powinna. Jej, jak i każdej z poznanych w ostatnich dniach kobiet.

Z tego samego powodu zrezygnowała też z telefonowania do Amelie. Zapyta ją o panią LeBlanc później. Teraz należało jak najszybciej dotrzeć do Tergnier. Nie tylko z powodu nadciągającej migreny. Nagle przyszło jej do głowy, że powinna raz jeszcze przejrzeć album. Spokojnie i bez wyrzutów sumienia, skoro i tak zdradziła się, że go znalazła. Chciała znów przyjrzeć się twarzy Marie Anne. Nagle zyskała niemalże pewność, że to starsza siostra Amelie jest kluczem do rozwiązania większości zagadek. Również tych dotyczących Sary Rosen. A przede wszystkim może pomóc wyjaśnić kłamstwa ciotki Heleny, ze względu na relacje, jakie je niewątpliwie łączyły.

Zaparkowała samochód Amelie na chodniku i w pośpiechu wpadła do domu. Strząsnęła z nóg buty. Zanim jednak pobiegła do sypialni Josephine, siadła przy stole w kuchni. Nalała do szklanki ciepłej wody z dzbanka i upiła łyk. Skrzywiła się ze wstrętem. Znów pożałowała, że nie kupiła po drodze przynajmniej butelki białego wina. Z roztargnieniem potarła kciukami skronie. Zerknęła na zegarek i wyjęła z torebki telefon. Od przyjazdu do Francji tylko raz rozmawiała z mężem, tuż po przylocie. Wcześniej kontaktowała się z nim i dziewczynkami regularnie przez internet, niestety w domu Josephine nie było dostępu do sieci. Ze względu na kosztowne połączenia ustalili, że przez kilka najbliższych dni Laura będzie dzwonić do męża tylko w szczególnych wypadkach. Gdyby coś się działo.

A ponieważ ostatnio działa się wyjątkowo dużo, zdecydowanie wybrała numer, by jeszcze szybciej odrzucić połączenie.

– I co powinnam mu powiedzieć? – prychnęła. – Że nie mam pojęcia, co tu jest grane? Że nie czuję się bezpieczna? I że nie wiem, co robić? Wiać stąd jak najszybciej do Warszawy, czy zostać i próbować cokolwiek wyjaśnić? Bez względu na wszystko...

Nie miała wątpliwości, że mówiąc to swojemu mężowi, dałaby mu wystarczająco wiele powodów, by złapał najbliższy lot i zjawił się z odsieczą. A ona, mimo że o tym właśnie marzyła, nie powinna do tego dopuścić. Głównie ze względu na bezpieczeństwo dziewczynki.

Westchnęła i ruszyła w końcu na górę. Noga za nogą, prawie żałując, że schody nie prowadzą wyżej niż tylko na pierwsze piętro starego domu, a sypialnia Josephine nie znajduje się na szczycie wieży. Tak naprawdę wcale nie miała ochoty tam wracać, a jeszcze bardziej oglądać twarzy ciotki Heleny, nawet tej sprzed prawie sześćdziesięciu lat. Właściwie to zwłaszcza tej, jak skonstatowała po chwili. Przecież to dzięki młodej wersji ciotki na fotografii w starym francuskim albumie Laura uświadomiła sobie, że przez całe swoje życie była oszukiwana.

W tej chwili dałaby wiele, by dowiedzieć się, czym naprawdę była nieć porozumienia, która połączyła ją i młodszą od niej o jakieś dwadzieścia lat dziewczynkę. Jaką wspólną tajemnicę miały one, i być może Josephine? Czy w końcu dopuściły do niej Amelie? Kłębiące się w głowie Laury pytania sprawiły, że zamiast wejść do sypialni Josephine, zatrzymała się przy pokoju jej córek. Z wahaniem położyła dłoń na klamce, a potem szybko ją nacisnęła i pchnęła drzwi na tyle silnie, że otworzyły się na całą szerokość.

Niepewnie postąpiła do przodu krok, a potem drugi, aż wreszcie weszła do pograżonego w cieniu pomieszczenia.

Przekręciła włącznik światła. Wolałaby dzieńne, ale nie potrafiła się przemóc, by pójść dalej i otworzyć okiennice. Poza tym raczej nie poczułaby się dzięki temu lepiej. Atmosfera panująca w pokoju była tak dominująca, że nie zmieniłyby jej nawet najjaśniejsze słoneczne promienie. Nie zdołałyby rozproszyć mroku, który wgryzł się na stałe w każdy skrawek tego miejsca, przeniknął zasłony, meble i dywan, spowił przedmioty na półkach, a nawet zakamarki szafy, do której Laura teraz już nie miałaby odwagi zajrzeć. Przez głowę przemknęła jej myśl, że są tam kolejne lalki. Początkowo usiłowała nie patrzeć nawet na te, które miała przed sobą, ale zaraz potem uznała, że skoro zaszła już tak daleko, powinna dokładnie im się przyjrzeć. Być może któraś z nich, tak jak ta znaleziona w Jedwabnem, zawierała w sobie wskazówkę, podpowiedź do rozwiązania chociażby tylko jednej z wielu zagadek dotyczących rodziny Kossackich, Rosenów i Berthier. Laura liczyła jednak w duchu, że mimo wszystko nie będzie to twarz któregoś ze znanych jej przodków w miniaturowej, porcelanowej wersji. Tego by

już nie zniosła.

Szybki i odważny ogląd lalczynej twarzy upewnił ją, że tym razem wszystkie są jej obce. Przez głowę przemknęła myśl, że powinna porównać je ze zdjęciami w albumie. Widziała tam przecież sporo nieznanymi sobie osób, a podobieństwo do realnych ludzi było najważniejszą cechą lalek Sary. Być może z tego powodu Laura ostatecznie zrezygnowała z poszukiwania analogii. Miała nieodparte wrażenie, że w końcu jakiejś by się dopatrzyła, a myśl, że pewnie większość bohaterów tych starych fotografii może od dawna nie żyć, skutecznie zniechęcała ją do poszukiwań. Lalki z twarzami zmarłych wydawały się czymś nawet gorszym niż pośmiertne fotografie.

Z pewną odrazą zajrzała raz jeszcze w przerażające oblicza ze szklawionego biskwitu, otoczone lokami lub z czołami ukrytymi pod wymyślnymi, miniaturowymi nakryciami głowy. Najczęściej były to toczki i kapelusze z krótkimi woalkami, które rzucały na blade lica przejmujące cienie. Słowiałe sztuczne kwiaty i piórka pokryła cienka warstwa kurzu, a fantazyjnie wywinięte rondo pewnie w wyniku zmian wilgotności powietrza straciły dawny kształt. Również suknie rozpartych na tapczaniku i półkach nieruchomych dam nie wyglądały już tak wytwornie jak kiedyś. Surduty i fraki panów były pogniecione, a guziki, spinki przy mankietach koszul, monokle zwisające z kieszeni kamizelek i skórzane noski butów przestały błyszczeć. Podobnie jak bogata wielobarwna biżuteria porcelanowych pań. Stroje utraciły pierwotny fason i kolor, a niektóre musiały posmakować molom. Naderwane guziki, kieszenie i koronki, a czasem widoczne braki w garderobie lalek i doczepione współczesne ozdoby pozwalały sądzić, że bawiły się nimi inne dzieci, być może wnuki Amelie.

Laura odkleiła wreszcie wzrok od zabawek i, obracając się wokół własnej osi, uważnie obejrzała cały pokój. Zadarła nawet głowę, żeby spojrzeć na migoczący żyrandol z kryształków, przypominający współczesne lampy, modne ostatnimi czasy w aranżacjach dziewczęcych pokoików, ale wykonany ze szkła, zamiast wszechobecnego dziś akrylu.

Nie pomyślała, by spytać Amelie, która część pokoju należała do jej siostry, jednak teraz bezwiednie podeszła do biurka znajdującego się po lewej stronie okna, bliżej tapczanika, na którym siedziały lalki. Nagle poczuła, że to właśnie przy nim Marie Anne uczyła się, odrabiała lekcje, może rysowała. W zamyśleniu przeciągnęła drżącą nieco dłonią po pustym blacie.

Nagle wymacała pod kciukiem niewielką chropowatość na krawędzi. Schyliła się, żeby się temu przyjrzeć.

Ze zdziwienia aż przysiadła na wysuniętym spod biurka krześle.

ONA – ON – ONO. Krzywy nieco napis wyskrobany niewprawną dziecięcą ręką lub niezbyt precyzyjnym narzędziem przyprawił ją o kolejne dreszcze.

– Jak to możliwe? – Zdumiała się. – Przecież to nie może być przypadek!

Patrzyła na motyw z jadesitowej kamei, tej samej, którą Leonia przekazała swojej najmłodszej córce. Marie Anne mogła ją widzieć u Heleny i skopiować litery, ale w takim razie dlaczego ani Josephine, ani Amelie nie rozpoznały broszki? Albo nie przyznały się, że jest im znana? Może dlatego, że był to następny, obok zaginionej szkatułki, klucz do rozwiązania tajemnicy? Jeśli to była prawda, kolejny już trop prowadził wprost do Marie Anne.

Zrobiło się jej zbyt gorąco. Straciła ochotę na przeglądanie albumu. Czym prędzej opuściła sypialnię panien Berthier i zbiegła na dół. Wyjęła z lodówki sok i poszła do salonu, żeby tam odpocząć. Miała nadzieję schłodzić nieco emocje zimnym napojem i w miarę trzeźwo zastanowić się nad wszystkim.

Po drodze niemal potknęła się o własną walizkę. Nogą wsunęła ją pod kanapę, ale zamiast usiąść, położyła się. Odstawiła na podłogę szklaneczkę i przymknęła powieki. Poczowała niewielką ulgę i zwolnienie napięcia mięśni, jakby jej ciało samo postanowiło nagle odpocząć i zregenerować siły. Uspokoilo się serce i oddech, krew w żyłach zwolniła bieg, jakby nagle stała się gęstsza. Kotłujące się w głowie myśli i obrazy z minuty na minutę coraz bardziej zatracaly ostrość, rozmywały się. Wirowały nadal, ale bardziej leniwie. Kołysały się na granicy świadomości niczym drobinki kurzu w smudze światła, przesłanianego od czasu do czasu przez falującą na wietrze firanką.

W końcu opadły... albo zniknęły w cieniu przymkniętej okiennicy.

Niebieskiej...

Kto zostawił otwarte okno? Przez głowę bardzo leniwie przesuwala się myśl, zbyt mglista, rozmyta i poszarpana, by ją zatrzymać.

Zastąpiła ją błogość. Laura odpływała powoli, kojona ciszą. Nie zasnęła, a przynajmniej tak jej się wydawało, pogrążyła się jedynie w przyjemnym letargu.

Myśli już nie goniły, zastąpiły je żeglujące wolno i dużo wyraźniejsze od nich obrazy, zielone pola winorośli na tle błękitnego nieba, powietrze migoczące od kropelek wody, beztroska, spokój...

Nagle coś brutalnie wyrwało ją z osiągniętego błogostanu. Podskoczyła, słysząc hałas. Niewielki, ale tak nieoczekiwany, że ocknęła się natychmiast i zerwała na równe nogi. Zdziwił ją panujący w pokoju mrok. Nie sądziła, że jednak w końcu zasnęła, w dodatku na tak długo, by zdążyło się ściemnić. Przetarła wciąż zaspane oczy i wstrzymała oddech. Czula zagrożenie. W popłochu rozglądała się za czymś, czym mogłaby się obronić w razie napaści. Niczego takiego nie znalazła, było zbyt ciemno, a tymczasem odgłosy z kuchni nasilały się. Wyraźnie słyszała czyjeś kroki, a potem dźwięk otwieranych i zamykanych szafek.

Na palcach podeszła do niedomkniętych drzwi, przez które wpadała niewielka smuga światła. Delikatnie, ale błyskawicznie je zamknęła i podparła klamkę krzesłem, zyskując w ten sposób czas na ucieczkę przez okno. Nie bardzo wiedziała, co robi potem, ponieważ kluczyki od samochodu zostały w kuchni na

stole, ale nie myślała teraz o tym. Ostatecznie pobiegnie pieszo na dworzec kolejowy, który, jak się orientowała, nie był daleko. Albo poprosi o pomoc sąsiadów. Łudziła się, że mimo późnej pory ktoś jej otworzy. Nie miała wątpliwości, że w każdym innym miejscu będzie bezpieczniejsza niż w domu, gdzie znajdował się intruz, który mógł ją skrzywdzić.

Znów była na siebie zła. Być może nie znalazłaby się w obecnej sytuacji, gdyby nie zlekceważyła ostrzeżeń Josephine i od razu pojechała do Noyon, spotkać się Veronique LeBlanc, kimkolwiek była. Powinna porozmawiać o tym z Amelie. Jak mogła być tak bezmyślna? Przecież jeśli to ta sama osoba skrzywdziła staruszkę, a wcześniej zabrała ze skrytki szkatułkę – co było bardzo prawdopodobne, być może teraz tu wróciła. Laura powinna przewidzieć, że samotne przebywanie w domu Josephine nie jest wobec tego wszystkiego najlepszym pomysłem!

Omam nie krzyknęła, gdy usłyszała gwizd. Krótki, ale ostry. Zamarła z otwartymi ustami, ponieważ zdała sobie sprawę, że źródłem dźwięku jest czajnik, w którym ktoś zagotował wodę. Tkwiła jeszcze chwilę w miejscu, całkiem zdezorientowana. Wreszcie ostrożnie zajrzała do kuchni przez szczelinę w uchylonych ponownie drzwiach.

– Co ty tu robisz?! – wykrzyknęła, otwierając je już na całą szerokość.

Amelie podskoczyła i odstawiła z łoskotem czajnik na kuchenkę.

– Przepraszam, starałam się być cicho, żeby cię nie zbudzić. Chciałam tylko te zioła... – urwała, żeby dmuchnąć na palce, które pewnie przed chwilą sobie poparzyła. Wlewała akurat wodę do kubka, gdy Laura przestraszyła ją swoim krzykiem. – Nie zauważyłam, że jest już tak późno i przyjechałam od razu tutaj, bo miałyśmy przecież porozmawiać. O tym... – Kiwnęła brodą w stronę stołu, na którym leżał album pochodzący z sypialni Josephine.

– Powiedzieli, że jej stan się ustabilizował, chociaż mama nadal śpi. – Amelie z kubkiem ziołowej herbaty usiadła naprzeciwko Laury. – Badania toksykologiczne niczego nie wykazały, nadal więc nie wiadomo, co się właściwie stało... – Głos jej się załamał.

Popatrzyła bezradnie na Laurę, gdy ta odruchowo dotknęła jej rąk w uspokajającym geście. To one najbardziej zdradzały, jak była zdenerwowana. Drżały i były lodowate.

– Ale jest już lepiej, prawda?

– Nie wiem, mam wrażenie, że nie mówią mi wszystkiego. Kazali jechać do domu i wrócić rano. Siostra Louisa akurat kończyła dyżur, zaproponowała, że podrzuci mnie do Tergnier.

– Czy spytałaś ją może... – Laura zawahała się, niepewna, jak sformułować pytanie.

Nie musiała kończyć, Amelie trafnie odgadła jej zamiar.

– Mówiłam ci przecież, że to nie Louis skrzywdził moją mamę. – Potrząsnęła zdecydowanie głową. – I nie chodzi o to, że tak bardzo mu ufam. Mam swoje powody, by mieć pewność, że to nie on.

Laura zerknęła na nią podejrzliwie.

– Czyżby dlatego, że po prostu domyślasz się, kto to zrobił?

Milczała w oczekiwaniu na odpowiedź. Amelie jednak zamiast jej udzielić, najpierw uciekła gdzieś wzrokiem, a potem być może zamierzała coś powiedzieć, ale w ostatniej chwili się wycofała.

Z opróżnionym kubkiem wstała od stołu. Wyglądało to raczej jak pretekst, bo miotała się chwilę w tę i z powrotem, jakby nie wiedziała, co z nim zrobić. Początkowo odstawiła go na blat kredensu, potem przeniosła w pobliże kuchenki i dołała do niego wody z czajnika. W końcu wychlusnęła wszystko do zlewu tak energicznie, że część płynu i fusów wylądowała na podłodze. Nie zwróciła jednak na to uwagi.

Znów usiadła przy stole. Z pustym kubkiem. Westchnęła ciężko, nadal ściskając go w dłoniach.

– Nie wiem, kim są ci ludzie – powiedziała wreszcie.

– Czyli jednak? – Zaciekawiała się Laura. – Kogoś podejrzewasz? Powiedziałaś o tym lekarzom? Policji?

– Nie mogę. – Amelie odstawiła wreszcie kubek i znużonym gestem rozmasowała sobie twarz. – To jest o wiele bardziej skomplikowane. Po prostu nie rozumiesz...

– Więc mi wytłumacz. Josephine sugerowała, że coś nam grozi, tobie i mnie. Jeśli to ma jakiś związek z ostatnimi wydarzeniami, trzeba kogoś powiadomić. Sprawa jest bardzo poważna. Musisz powiedzieć policji, kim są ci ludzie!

– Ale ja naprawdę nie mam pojęcia! – wybuchnęła. – Wiem tylko, że gdzieś istnieją. A właściwie jedynie się tego domyślałam.

– A Veronique LeBlanc? Twoja mama powiedziała, że powinnam się do niej zwrócić, jeśli zdarzy się coś złego, a nawet gdy cokolwiek mnie zaniepokoi.

Amelie podniosła na nią spłoszony wzrok, a potem opuściła głowę jeszcze niżej.

Tym razem milczała, skuliwszy ramiona. Zadrżały jej plecy, jakby wstrząsnął nimi spazm płaczu. Laura zaskoczona pochyliła się i dotknęła delikatnie policzka Francuzki, okazał się jednak suchy. Również oczy, w które w końcu udało jej się zajrzeć, gdy delikatnie uniosła podbródek kobiety. Niestety nie wyczytała z nich nic ponad to, co już widziała. Lęk, niepewność i przede wszystkim bezradność. Dokładnie to samo, co czuła w tej chwili sama, z tym że Amelie towarzyszyła dodatkowo ogromna obawa o życie matki.

Laura westchnęła i z impetem oparła łokcie na stole w geście rezygnacji.

– Masz rację, rzeczywiście zupełnie nic z tego nie rozumiem.

Amelie zacisnęła powieki i również wzięła głęboki oddech.

– Początkowo sądziłam, że to tylko jakieś wygłupy, ale w końcu zrozumiałam, że chodzi o coś więcej, co wcale nie było żartem czy zabawą. Jeszcze wtedy, gdy żyła Sara. Widziałam, jak dziwnie się czasem zachowują. Ona

i mama. Te ich tańce...

Laura, słysząc to, drgnęła. Pomyślała o ciotce i jej pobycie we Francji. Wciąż nie spytała o to Amelie, jednak nie dlatego, że nie było ku temu okazji. Mogła ją zagadnąć jeszcze w szpitalu. Nie zrobiła tego, ponieważ bała się prawdy i podświadomie pragnęła odwlec jej poznanie w czasie. Zupełnie jak ktoś, kto boi się spojrzeć na tablicę z wynikami ważnego egzaminu, bo przedłużając ten moment, może mieć jeszcze nadzieję, że go zdał. Laura prawdopodobnie też ciągle żywiła podobną nadzieję. Łudziła się, że ciotka zataiła prawdę z ważnego powodu. Albo że za chwilę wszystko okaże się jedną wielką komedią pomyłek.

Zerknęła na leżący wciąż na stole album ze zdjęciami, ale szybko odwróciła od niego wzrok.

– Tańce? – spytała w końcu ostrożnie.

Amelie potrząsnęła głową.

– O ile w ogóle można je tak nazwać. Przypominały bardziej jakiś rytualne podrygi. Marie Anne też to z nimi robiła. Zachęcały i mnie, ale ja nie mogłam, nie umiałam. Dla mnie to było zbyt dziwne, niezrozumiałe. Żenujące, a nawet śmieszne. To dlatego sądziłam, że się wygłupiają, i wydawało mi się to okropnie dziecinne. Potem odkryłam, że za tym wszystkim kryje się coś więcej. Jakiś cel. Ogromnie dla nich ważny. Wspólny nie tylko dla mojej siostry, matki i babki. Że są też inni, którzy zachowują się podobnie.

– Masz na myśli członków loży masońskiej?

– Tak właśnie sądziłam na początku. Że chodzi o tajemnice masońskie czy coś w tym rodzaju. Rodzice należeli do loży, odkąd pamiętam, Marie Anne też, i to było dla mnie najzupełniej normalne, mimo że sama nigdy nie czułam potrzeby, żeby do nich dołączyć. Ale tamto... Działo się jakby obok. Tańce i wszystko inne.

– Jakie inne?

– Nie wiem. – W oczach Amelie odmalowała się autentyczna bezradność. – Próbowałam pytać, ale mnie zbywały. Przestały nawet zachęcać, żebym z nimi tańczyła. To przez te ich sekrety Marie Anne czasem bywała smutna. Wcześniej, gdy byłyśmy młodsze, nie miałyśmy przed sobą tajemnic, a przynajmniej tak mi się wydawało, dużo rozmawiałyśmy. Potem wszystko się zmieniło. Nie chciała mi zdradzić, co się dzieje. Z nią i wokół niej. Nie wiem dlaczego. Pamiętam tylko, że było mi z tego powodu przykro.

Laura zerknęła na album. Przypomniała sobie, że dokładnie to samo pomyślała, oglądając na zdjęciach małą Amelie. Że została z czegoś wykluczona. W czymś pominięta. Sądziła, że dotyczy to relacji z nianią, tymczasem wszystko wskazywało na to, że miało to większy zasięg.

Poczuła ukłucie w klatce piersiowej. Nagle zapragnęła poznać prawdę jak najszybciej. Bez znaczenia, jaka się okaże. Każda była lepsza od męczącej niepewności i hipotez, które prowadziły niemal wyłącznie do rozczarowań. Nie

umiała już znaleźć żadnego usprawiedliwienia dla kłamstw ciotki.

Pierwsza otworzyła album. Zrządem losu od razu na stronie, gdzie znajdowało się jedno ze zdjęć Heleny. Tym razem w towarzystwie Josephine. Dotknęła go lekko.

– Czy Helena, moja ciotka, też tańczyła z nimi w ten sposób?

W oczekiwaniu na odpowiedź wstrzymała oddech, jednak Amelie ku jej zaskoczeniu wzruszyła jedynie ramionami.

– Nie przypominam sobie, ale kiedy *nounou* Hélène opiekowała się mną i Marie Anne, miałam zaledwie kilka lat. Mało wtedy rozumiałam. Niewiele też pamiętam z tamtego okresu.

– I naprawdę nie wiedziałaś, że jest z wami spokrewniona? Że jest wnuczką Sary, a jej matka była przyrodnią siostrą twojej mamy?

Zaprzeczyła ruchem głowy. Wydawała się zaskoczona i jednocześnie speszona, co chyba starała się ukryć.

– Wspominam ją jak przez mgłę, nie wiem nawet za bardzo, skąd się u nas wzięła. A już na pewno nie miałam dotąd pojęcia, że była twoją ciotką. – Zmarszczyła czoło. – Ani moją cioteczną siostrą. Tak to się chyba nazywa, skoro nasze mamy były rodzonymi siostrami?

– A Josephine? – spytała Laura cicho. – Czy ona...

– Myślę, że wiedziała. – Amelie przeniosła wzrok na fotografię, gdzie Helena i Josephine uśmiechały się promiennie, przytulone do siebie policzkami. – Przyjaźniły się i na pewno po wyjeździe *nounou* długo ze sobą korespondowały. Sądziłam nawet, że to właśnie dzięki Hélène mamie udało się odszukać twoją rodzinę, chociaż nie wypytywałam jej o to.

– Wydaje mi się, że Josephine wcale nas nie szukała. Moim zdaniem od dawna znała właściwy adres i po prostu z jakiegoś powodu postanowiła w którymś momencie nawiązać z nami kontakt. W dodatku chyba bez wiedzy, a może nawet wbrew woli Heleny. Ciotka w dużym stopniu przyczyniła się do tego, że list twojej matki pozostał bez odpowiedzi, postarała się, by nie udało mi się go w całości przetłumaczyć, a teraz za wszelką cenę odradzała mi ten wyjazd.

– Dlaczego? – Amelie patrzyła na nią ze szczerym zdziwieniem.

– Właściwie miałam nadzieję, że ty mi to powiesz – odparła, przewracając machinalnie kolejne kartki albumu.

Zastanawiała się, czy może zaufać Amelie na tyle, by opowiedzieć o wszystkim. Wydawała się szczerą, w jej głosie nie słyhać było fałszu, nie było go widać też w oczach. Mimo to Laurę coś powstrzymywało przed pytaniem o tajemniczą szkatułkę Josephine. Przeczowała, że Francuzka może zareagować tak, jak na pytania o Veronique LeBlanc.

Jednak z drugiej strony, nie odradzała jej spotkania z tajemniczą kobietą, co było jeszcze dziwniejsze. Laura postanowiła, że w odpowiednim momencie

zagadnie o nią raz jeszcze. W zamyśleniu zawiesiła bezwiednie wzrok na zdjęciu ciotki, jakby w nadziei, że w wyrazie jej twarzy dostrzeże jakąkolwiek podpowiedź. Coś, co pozwoli jej więcej pojąć albo uwierzyć, że to wszystko jest tylko koszmarnym nieporozumieniem. Przecież Helena kiedyś uratowała jej życie! Gdyby nie ona, Laury nie byłoby dziś ani tutaj, ani nigdzie. Znów westchnęła głęboko, tym razem po to, by wyrównać przyspieszony oddech. Nie chciała, żeby Amelie dostrzegła jej podenerwowanie spowodowane wspomnieniem choroby.

By ukryć swój stan, pochyliła głowę nad albumem. Odwróciła kilka stron. Na dłużej zatrzymała wzrok na portrecie Sary. Podobnie jak na zdjęciu, które Amelie przesłała jej mailem, Sara miała na sobie jasną suknię z bogato wyszywanym gorsetem. Laura jednak dopiero teraz zauważyła, że misternie wyhaftowane zawijasy układają się w znany jej kształt.

– Motyl – wyszeptała. – Widziałam już podobnego. Właściwie to nawet kilka. Wszystkie miały identyczne skrzydełka. Pamiętasz? Opowiadałam ci o papierach znalezionych w schowku. Były tam motyle. I na ścianie za szafą!

Amelie zmarszczyła czoło, zastanawiając się nad czymś.

– Poczekaj – powiedziała i pobiegła na górę.

Wróciła lekko zdyszana. Na stole rozłożyła stary brązowy brulion o poszarpanych brzegach. Laura, lekko oszołomiona, dotknęła jego okładki, na której ktoś starannie narysował dużego czarnego motyla z rozpostartymi skrzydełkami.

– Dokładnie taki, jak ten z za szafy. Wydaje mi się, że wręcz identyczny!

– To dzieło Marie Anne – powiedziała Amelie. – Często rysowała motyle.

Zachęcona przez Amelie otworzyła notes. Chwilę wodziła wzrokiem po pokrytych drobnym pismem stronicach.

– Należy do mojej mamy. – Usłyszała.

Podniosła wzrok zaskoczona i zmieszana. Zrobiła ruch, jakby chciała zamknąć notatnik, ale Francuzka powstrzymała ją wymownym gestem.

– To jej pamiętnik? – Upewniła się Laura.

Właśnie to podejrzenie sprawiło, że zaniechała dalszego wertowania stron. Wydało się jej to nie na miejscu. Amelie natomiast wyraźnie się zawahała, zanim udzieliła odpowiedzi.

– Nie... Chyba nie. Bo nie są to żadne osobiste zapiski, jeśli to masz na myśli. Każdy mógł tu zajrzeć, a nawet samemu coś zanotować. Mama ciągle nas do tego zachęcała.

– Nie rozumiem. Czyli to taki rodzinny dziennik albo kalendarz? Coś w tym rodzaju? – Laura uśmiechnęła się niepewnie. – Ciekawe. Podoba mi się ten pomysł.

Amelie ku jej zaskoczeniu nie odwzajemniła uśmiechu, zamiast tego wręcz spochmurniała.

– Właściwie to przez moją siostrę... To przez nią mama założyła ten

notatnik. Tak sędę, chociaż zawsze się tego wypierała. Zrozumiałam to dopiero niedawno, bo wcześniej nie przywiązywałam do tego wagi. Mama za to jako pierwsza zauważyła, że Marie Anne była pod pewnym względem wyjątkowa. Ona... miała dar.

– Masz na myśli coś nadprzyrodzonego?

W głosie Laury zabrzmiał niezamierzony sceptycyzm. Może też dlatego Amelie skrzywiła się nieznacznie, a Laurze przypomniały się jej wcześniejsze słowa o tajemniczej przepowiedni siostry. Czyżby to nie była tylko metafora? Czy już za chwilę dowie się więcej? Zastanawiała się, jak taktownie zachęcić do tego Francuzkę, na szczęście nie było to konieczne.

– Kiedyś coś się zdarzyło. – Amelie odchrząknęła i splotła na stole dłonie, przygotowując się pewnie do dłuższej opowieści. Na to też wskazywał jej początek. – Dawno temu, miałam wtedy jakieś osiem lat, a Marie Anne jedenaście, pojechałyśmy z rodzicami na wycieczkę do Paryża. Weszliśmy do milej restauracji na obiad. Było zupełnie normalnie, mnóstwo paryżan, turystów. Jednak ledwie przyniesiono nam jedzenie, Marie Anne zaczęła nalegać, żebyśmy natychmiast stamtąd wyszli. Rodzice początkowo w ogóle nie chcieli jej słuchać, zrobili to dopiero wtedy, kiedy strasznie się rozplakała. Pamiętam, że byłam na nią wściekła, bo zamówiliśmy moje ulubione potrawy. A przez nią zostały nietknięte na stoliku. Miałam jednak nadzieję, że kiedy moja siostra się uspokoi, wrócimy i zjemy te wszystkie pyszności, jednak tak się nie stało.

– Nie uspokoiła się?

– Wprost przeciwnie. Uspokoiła się od razu, gdy tylko stamtąd wyszliśmy i oddaliliśmy się kilka kroków. Minutę potem usłyszeliśmy strzały. Wkrótce dowiedzieliśmy się, że jakiś mężczyzna zaatakował swoją żonę, ponieważ odkrył jej zdradę. Zaprosił ją do restauracji i zabił na oczach wszystkich, a potem wiele innych przypadkowych osób. Podobno strzelał na oślep, dopóki starczyło mu naboii.

– Chcesz powiedzieć, że twoja siostra to przewidziała?

– Wiem, że trudno w to uwierzyć, ale w jakiś sposób tak właśnie się stało. Tłumaczyła nam, że obserwowała go i była przekonana, że za chwilę zrobi coś strasznego. Ja też widziałam tego człowieka i jego żonę. Siedzieli tuż obok nas. Wyglądali na bardzo szczęśliwych, trzymali się za ręce, ona podawała mu coś ze swojego talerza, śmiali się. Nie wiem, dlaczego tak się zachowywał, skoro, jak dowiedzieliśmy się później, już wtedy wiedział, że nie była mu wierna i wybrał to miejsce, aby jej wszystko wyznać, a następnie ją ukarać. Może chciał się jeszcze upewnić? Dać jej złudne poczucie bezpieczeństwa albo szansę, żeby sama się przyznała? Uśpił w ten sposób czujność jej i wszystkich wokół, z wyjątkiem Marie Anne. Bo tylko ona dostrzegła w jego zachowaniu dysonans. Być może w gestach, słowach albo spojrzeniu. Przejrzała go, odkryła, że tylko udaje. I z pewnością nie

chodzi tu o nic nadprzyrodzonego, jasnowidzenie czy coś w tym stylu. Nie wierzę w takie rzeczy. Wiele lat po tym wydarzeniu próbowałam to racjonalnie wyjaśnić, dużo na ten temat czytałam, również naukowe publikacje, i w końcu natknęłam się na wyniki pewnych badań, które mogłyby wytłumaczyć zachowanie mojej siostry. Wydaje mi się, że coś było nie tak z głową Marie Anne, a dokładniej z gruczołem wydzielania wewnętrznego w pobliżu przysadki mózgowej. Mam na myśli szyszynkę.

– Nie działała jak należy?

Amelie skinęła wolno głową.

– Przejrzałam mnóstwo artykułów na ten temat, również w pismach medycznych, i doszłam do pewnych wniosków. Nie wiem, czy kiedykolwiek o tym słyszałaś, ale w szyszynce jest wytwarzany DMT, psychodelik występujący też w wielu gatunkach roślin albo u żab, wykorzystywany w obrzędach szamańskich przez Indian. U ludzi podobno metabolizuje się i nie powoduje objawów psychoaktywnych, ale może u Marie Anne było inaczej...? – Spojrzała pytająco na Laurę, jakby szukała u niej potwierdzenia swojej śmiałej hipotezy. – Czasem produkcja tego związku chemicznego zwiększa się u człowieka pod wpływem silnego stresu, a moja siostra przecież już w tamtym czasie... – Tym razem urwała, jakby zorientowała się, że powiedziała za dużo. Po chwili jednak kontynuowała: – Niektórzy uważają też, że właśnie w szyszynce, określanej przez niektórych mistycznym gruczołem, jest ulokowany tak zwany szósty zmysł. Myślę, że jeśli to prawda, moja siostra potrafiła posługiwać się nim o wiele sprawniej niż inni, właśnie dzięki wadliwie działającemu gruczołowi. Może to była jakaś skaza genetyczna, błąd w kodzie DNA? Przez to dostrzegała dużo więcej niż inni. Oczywiście intuicyjnie. Jej mózg działał trochę jak komputer. Błyskawicznie wydobywał z pamięci zgromadzone tam wcześniej obrazy, dźwięki lub nawet zapachy, analizował je i porównywał z obecnymi, a potem jeszcze szybciej wyciągał wnioski. Taka osobliwa zdolność percepcji. Pierwotny instynkt, który u niej przetrwał, chociaż wszyscy inni utracili go w drodze ewolucji. Mama była przekonana, że Marie Anne odziedziczyła swoje zdolności po babce. Ona również posiadała „trzecie oko”. Tak niektórzy nazywają tę umiejętność.

– To znaczy, że Sara zachowywała się podobnie?

Laura, słysząc o oku, drgnęła. Przypomniało jej o szkatułce, którą obiecała zanieść Josephine. Na jego wieku miało być umieszczone właśnie oko. Zastanawiała się, czy powiedzieć o tym swojej rozmówczyni. Obiecała jej matce, że tego nie zrobi, ale przecież w końcu sprawa była już nieaktualna, szkatułka zaginęła. W dodatku staruszka była nieprzytomna, więc i tak nie mogłaby jej wziąć, dodała w myślach z pewną goryczą.

– Właśnie z tego powodu babka znalazła się we Francji – odparła tymczasem Amelie. – Ujawniła się całkiem niepotrzebnie z tym swoim fatalistycznym

talentem, a ludzie wzięli ją za czarownicę. Do tego doszło jeszcze zainteresowanie mistyką żydowską i upodobania emancypacyjne. To też jej nie pomogło. Przecież właśnie za coś takiego wypędzono Żydów z Hiszpanii. – Znow nawiązała do odległej bardzo historii.

– Rozmawialiśmy już o tym. To się zdarzyło kilka wieków wcześniej – wtrąciła Laura z powątpiewaniem w głosie.

– Niestety świat pod pewnymi względami się nie zmienia. Jeśli ludzie czegoś nie są w stanie zrozumieć, usiłują to od siebie odsunąć. Albo zlikwidować. Zwłaszcza gdy czują się zagrożeni.

Laura zacisnęła szczęki. Amelie bezwiednie użyła słów ciotki Heleny, która podobnie wyjaśniała przyczyny, dla których Bączkowie ukryli skrzynię w wiejskiej oborze. Czy rzeczywiście powodem nie była jedynie chęć uniknięcia kłopotliwego zamieszania? Czy jako posiadacze starych żydowskich papierzyśk mogli czuć się zagrożeni?

Potrząsnęła głową. Wydało jej się to niedorzeczne. Bo czego właściwie mogli się obawiać? Chyba tylko zainteresowania mediów sprawą niewyjaśnionych dotąd wydarzeń z czterdziestego pierwszego roku i tego, że Jedwabne znow pojawi się na pierwszych stronach gazet i w czołówkach wiadomości.

– Nie powiesz mi chyba, że ówczesni mieszkańcy Jedwabnego przestraszyli się jednej niepozornej kobiety? – Zareagowała niezamierzoną ironią, wywołaną również tym, o czym pomyślała chwilę wcześniej. – Bo Sara do herosów chyba nie należała.

– Ale była uparta jak osioł. Zupełnie jak Marie Anne, dlatego w tej restauracji rodzice w końcu jej ustąpili. Wiedzieli, że ona nie zrezygnuje. Podobnie musiała zachowywać się Sara, usiłując namówić społeczność żydowską, żeby wynieśli się z Jedwabnego i poszukali innego miejsca do życia. Jak najdalej stamtąd.

– Próbowali ich wypędzić? – Zdumiała się Laura.

Jeżeli to była prawda, gotowa była uwierzyć, że nieznana dotąd prababka była po prostu niespełna rozumu. W takim razie być może dobrze się stało, że zniknęła z życia rodziny. Jej porzucone dzieci mogły dzięki temu wychowywać się w normalnych warunkach, pod opieką co prawda oschłej, ale prawdopodobnie zrównoważonej Eleonory.

– Ona usiłowała ich raczej ocalić – sprostowała Amelie, spychając jednocześnie, choć tylko częściowo myśli Laury z obranego toru. – Twierdziła, że jeśli tego nie zrobią, zdarzy się coś bardzo złego. Coś, co sprawi, że w Jedwabnem nie pozostanie już ani jeden Żyd.

– Chcesz powiedzieć, że miała na myśli późniejsze zdarzenia? Że przewidziała pogrom? To, że jedwabieńscy Żydzi spłoną w tej nieszczęsnej stodole? Przecież to niedorzeczne!

– Moja mama jednak w to wierzy. Podobnie jak w dar Marie Anne. W dodatku ubzduriała sobie, że te umiejętności są dziedziczne, i żeby to udowodnić, założyła ten oto zeszyt. – Dotknęła brązowej okładki. – Zapisywała w nim wszystkie tego typu historie, które zdarzyły się w naszej rodzinie, albo prosiła innych, żeby je spisywali. Nawet moje córki, a potem ich dzieci. Chodziło jej o różne szczęśliwe przypadki, które czasem zdarzają się ludziom i o których potem z przejęciem opowiadają innym. Na przykład gdy ktoś w ostatniej chwili nie wsiada do samolotu i unika w ten sposób śmierci w katastrofie albo bierze wolne z pracy akurat w dniu, w którym w budynek jego biura uderza samolot.

– I wszystkie te rodzinne cudowne zbiegi okoliczności są opisane w tym tutaj zeszycie?

– Tak. Łącznie z paryską tragedią w restauracji. – Amelie skinęła brodą w kierunku brulionu.

Laura przekartkowała go ostrożnie.

Wszystkie notatki oznaczone były podwójnymi datami. Jedna prawdopodobnie dotyczyła zdarzenia, druga momentu, w którym je opisywano. Czasem jednak było coś jeszcze. Precyzyjnie naszkicowane motylki.

– Są tylko przy zapiskach Marie Anne. Mówiłam, wciąż je rysowała, wszędzie, nie tylko tutaj. – Amelie zorientowała się, na co patrzy Laura. – Sprawdzalam, czy nie mają jakiegoś ukrytego znaczenia i okazało się, że symbolizują nadejście Nowej Ery, w której świat wydobędzie się ze starego kokonu całkiem odmieniony. Lepszy i piękniejszy, tak jak motyl jest piękniejszy od gąsienicy. Myślę, że ta teoria ma sens, jeśli chodzi o moją siostrę. Ona tkwiła właśnie w takim szczelnym kokonie, który sama sobie utkała.

– Jak właściwie umarła?

Laura od dłuższej chwili zbierała się na odwagę, by o to spytać.

– To był wypadek – odparła Amelie krótko tonem sugerującym, że nie będzie więcej wyjaśnień. – Nic nie mogliśmy zrobić – dodała jednak po chwili zastanowienia. Wyjechała na studia do Paryża. To się stało tam. Znalazła ją... – zamilkła na moment, jakby się nad czymś zastanawiała. – Pytałaś wcześniej o Veronique. Ona... Ona była najlepszą przyjaciółką Marie Anne. Zobaczyła ją pierwsza. Martwą. I pierwsza nas powiadomiła. Nie mogła już nic zrobić. My też nie mogliśmy – dorzuciła trochę nerwowo.

Laura zmieszkała się.

– Przepraszam, że cię o to pytam. Rozumiem, że te wspomnienia sprawiają ci przykrość, ale nie robiłabym tego, gdyby nie Josephine. Nie chciała, by przydarzyło nam się to, co Marie Anne, tak powiedziała. To wtedy wspomniała o Veronique, chociaż nie wyjaśniła mi, kim jest.

– Nie wiem, dlaczego tak postąpiła. To bez sensu. Może gdyby wiedziała... – zająknęła się. – Nie przyznałam się jej nigdy do tego, że byłam u Veronique kilka

miesiący po śmierci Marie Anne. Prosiłam, by opowiedziała mi dokładnie, co się działo z moją siostrą, zanim... umarła.

– Zrobiła to?

– Wprost przeciwnie. Niczego mi nie powiedziała. Starła się być taktowna, ale czułam, że przez cały czas usiłuje się mnie pozbyć. Bardzo nietypowo się zachowywała, była rozkojarzona, dziwnie rozedrgana. Pomyślałam wówczas, że nadal tak mocno przeżywa śmierć przyjaciółki, ale potem dowiedziałam się od naszych wspólnych znajomych, że działo się z nią coś poważniejszego. Podobno zrezygnowała ze studiów, wróciła do Pikardii i właściwie odcięła się od świata. Z nikim się nie widywała i chyba po prostu w końcu kompletnie zdziwaczała. Mama pewnie o tym nie wie, może nadal podejrzewa, że wtedy, gdy moja siostra umarła, Veronique nie powiedziała całej prawdy o okolicznościach jej śmierci, i wciąż liczy, że zrobi to teraz, po latach, gdy najsilniejsze emocje okrzepły. Niestety to nie będzie nigdy możliwe. Bardzo współczuję tej biednej kobiecie, ale jednocześnie wiem, że kontakt z nią jest kompletnie bez sensu. A już zupełnie nie rozumiem, po co ty miałabyś się z nią spotykać.

– Myślę, że twojej mamie chodziło o coś więcej niż poznanie okoliczności śmierci twojej siostry.

– Mówisz o tym rzekomym zagrożeniu? Mama ostatnio często mi to powtarzała, a ja już nie chciałam tego słuchać. Nie miałam siły znów jej tłumaczyć, że nie jestem taka, jak Marie Anne... – Amelie nagle posmutniała. – Nie tkwię w żadnym kokonie i nic złego się ze mną nie dzieje. Żyję, mimo że straciłam wiele lat temu ukochaną siostrę, a nie tak dawno pochowałam męża. Nie załamalam się tak jak ona wtedy, gdy po śmierci Sary zamknęła się w sobie na milion kłódek. Bo Marie Anne ogromnie przeżyła śmierć babki, nawet bardziej niż nasza mama. Były ze sobą mocno związane.

– Nie wiedziałam. To pewnie dlatego zachowała jej lalki.

– Wcale nie. – Amelie potrząsnęła głową. – Wyniosła wszystkie na strych. To ja je stamtąd przytargałam po tym, jak wyjechała na studia. I nie pytaj dlaczego. Po prostu czułam, że muszę to zrobić. Matka zawsze upierała się, że tworzenie lalek było dla Sary jedynie źródłem dochodu, ale ja jestem przekonana, że czymś znacznie więcej. Miała na ich punkcie prawdziwą obsesję, niestety nigdy nie odgadłam jej przyczyny. Myślę jednak, że poznała ją Marie Anne. Miałam nadzieję, że przez te lalki się do niej zbliżę, może nawet zastąpię jej Sarę. Wiem, że to bez sensu, ale z tego, co pamiętam, tak właśnie było. Idiotyczne, prawda?

– Podobnie jak to, że one nadal tam są.

– Co masz na myśli? – Amelie uniosła bardzo wysoko brwi.

– Wszystko. Nie wierzę, że tego nie dostrzegasz. Przecież to nie jest normalne, że pokój wciąż wygląda tak, jakbyście nadal w nim mieszkali. Ty i twoja siostra. Przecież ona nie żyje od prawie pięćdziesięciu lat, a tam wciąż stoi

jej łóżko. Biurko, toaletka! I jeszcze te okropne lalki...

Amelie wyglądała na zaskoczoną.

– Nigdy nie myślałam o tym w ten sposób – wybąkała. – Teraz, gdy o tym mówisz, rzeczywiście wydaje mi się trochę nienaturalne...

– Trochę? – sarknęła Laura. – Nienaturalne? Przecież to czysta psychodelia. Albo temat na jakiś horror z gotową scenerią. Niczego bym tam wówczas nie zmieniała. No chyba że chciałabym tam normalnie zamieszkać. Wtedy pozbyłabym się wszystkiego.

– Jak mogłabym się tego pozbyć? Przecież to całe moje dzieciństwo.

Laura posłała jej pełne politowania spojrzenie. Zmieszała się jednak, gdy tylko uświadomiła sobie, że sypialnia na piętrze to pamiątka dzieciństwa nie tylko Amelie, ale jeszcze jednej dziewczyny. Tej, która nie dostała szansy, by zdecydować, co powinno się stać z jej dawnym pokojem. Może dlatego właśnie do tej pory niczego w nim nie zmieniono?

– Wyobrażam sobie, jak tęskniłaś za siostrą. Jak było ci trudno... – Zawstydziała się, że wypowiedziała na głos coś tak oczywistego. Truizm zupełnie nieodpowiedni w tym momencie.

– Gdy Marie Anne wyjechała na studia, zostałam w tym pokoju sama – odparła Amelie cicho. – Z wszystkim podwójnym. Czułam się straszliwie samotna. Każda rzecz mi ją przypominała, ale nie pozwoliłam niczego zmieniać. Wtedy właśnie zniosłam ze strychu te nieszczęsne lalki, miałam chyba nadzieję, że stworzę w ten sposób złudzenie jej obecności. Już wtedy strasznie za nią tęskniłam... Wcześniej prawie się nie rozstawałyśmy. Nie mogłam się doczekać, kiedy też wyjadę. Miałyśmy studiować na tej samej uczelni, mieszkać razem w akademiku. Niestety, tak się nie stało. Marie Anne umarła. Chyba dlatego początkowo chciałam w ogóle zrezygnować ze studiów. Rodzice mnie od tego odwiedli. Uważali, że będzie lepiej dla mnie, jeśli wyjadę. Posłuchałam ich. Zaczęłam studia w innym mieście. W tym czasie rodziców często odwiedzały kilkuletnie kuzynki ze strony ojca. Nocowały w moim dawnym pokoju, bawiły się lalkami, więc nie było powodu pozbywać się stamtąd czegokolwiek. Potem pomieszkiwały tam moje córki, z czasem wnuki, gdy odwiedzały dziadków. Teraz co prawda one też już dorosły, ale nikt nie znalazł powodu, by tam coś zmieniać. Chociaż właściwie... – Zawahała się chwilę. – Ja już dawno przestałam lubić ten pokój.

– Wtedy gdy umarła Marie Anne?

– Chyba tak. A może nawet wcześniej. Kiedy umarła babka Sara. Tylko nie zdawałam sobie z tego sprawy.

– Ale wspominałaś, że nie byłaś z nią mocno związana.

– Nie byłam i jej śmierć nie obeszła mnie tak bardzo, jak pewnie powinna. – Umilkła jakby zawstydzona, a Laura mimowolnie znów przypomniała sobie babkę

Zofię i to, że po jej śmierci czuła się podobnie. – Jednak Marie Anne... Ją bardzo to zmieniło. Chociaż właściwie nie, nie zmieniło, tylko nasiliło to, co tkwiło w niej już wcześniej.

– Co masz na myśli?

Amelie się zasepiła.

– Trudno mi to wyjaśnić. To było właśnie to coś, trudne do zdefiniowania... Coś, co łączyło Sarę i Marie Anne. A nawet Hélène. A czego ja nie rozumiałam.

– Moją ciotkę?

– Wtedy była naszą nianią, chociaż dla Marie Anne chyba kimś znacznie więcej. Przyjaźniły się, o ile to w ogóle możliwe przy tak dużej różnicy wieku. Myślę, że ze względu na pewnego rodzaju podobieństwo. Oczywiście nie fizyczne. Ludzie nazywają to pokrewieństwem dusz.

Przetarła zmęczone oczy. Laura, widząc to, zerknęła na zegarek. Był środek nocy, dopiero teraz poczuła, jak bardzo jest zmęczona. Tymczasem już nazajutrz miała zarezerwowany lot powrotny. Musiała przygotować się do podróży, odpocząć. Amelie pomyślała pewnie o tym samym, ponieważ podniosła się z krzesła.

– Prześpię się w pokoju mamy, a rano pojedę do szpitala. Mam nadzieję, że wcześniej zjemy razem pożegnalne śniadanie. A po południu Louis... – Urwała, widząc przerażenie w oczach Laury. – No dobrze. – Westchnęła z rezygnacją. – Jeśli chcesz, możesz jechać na lotnisko sama Citroënem mamy. Kluczyki oddasz Coralie. Uprzedzę ją.

Laura nie kryła ulgi. Ani tego, że wciąż nie pozbyła się swoich podejrzeń względem Louisa. Coś jej podpowiadało, że nie powinna mu ufać.

Długo nie mogła zasnąć, mimo że rozsądek nakazywał jej jak najprędzej zamknąć oczy i dobrze wypocząć. Za kilkanaście godzin miała wsiąść za kierownicę, a potem do samolotu, tymczasem na samą myśl o tym czuła się jeszcze bardziej wyczerpana. I ku własnemu zaskoczeniu wcale nie cieszyła się z powrotu, mimo że parę godzin wcześniej tylko o tym marzyła.

Większość spraw zostało wyjaśnionych, ale wciąż tlił się w niej dziwny niepokój. Jakby coś wisiało w powietrzu, w dodatku tuż nad jej głową, i to na bardzo cienkiej linie, więc mogło zerwać się w każdej chwili. Nie potrafiła odgadnąć, co to jest, a jednocześnie coś jeszcze innego powstrzymywało ją przed uchyleniem się od potencjalnego ciosu. Powinna poczuć ulgę, że wreszcie opuszcza to miejsce, wraca do domu, tymczasem nic takiego nie następowało. Podejrzewała, że wcale nie z powodu zostawianych za sobą nierozwiązanych spraw, ale tego, co zastanie w Bujanach.

Zacisnęła powieki w nadziei, że sen wreszcie nadejdzie. I gdy już traciła nadzieję, w policzek połaskotał ją poranny promyk słońca. Spojrzała w popłochu na zegarek. Dochodziła dziewiąta. Miała wystarczająco dużo czasu, by zjeść

z Amelie śniadanie i napić się mocnej kawy. Czuła się też zaskakująco rześka, co znaczyło, że wbrew temu, co jej się wydawało, musiała całkiem szybko zasnąć. Może to, co wzięła za rozpamiętywanie ostatnich wydarzeń, było po prostu preludium i pierwszą fazą snu, który już wtedy regenerował jej organizm?

Wychyliła się z salonu, żeby sprawdzić, czy Amelie też jest już na nogach. W kuchni jednak nikogo nie było. Nic nie wskazywało też na to, by ktoś przyrządzał posiłek. Przy zlewie stał jedynie oplukany pośpiesznie wczorajszy kubek, z którego Francuzka piła zioła na uspokojenie, a czajnik był zimny. Na stole wciąż leżał notes z motylem, a obok karteczka:

Dostałam telefon ze szpitala. Mama odzyskała przytomność. Nie chciałam Cię budzić, klucze wrzuciłam do skrzynki. Ściskam Cię mocno i dziękuję za wszystko.

Uśmiechnęła się do siebie i prawie fizycznie doświadczyła, jak z serca spada jej nie kamień, a potężny głaz. Nie wyobrażała sobie, że wyjedzie, dopisując na kartce jedynie lakoniczne: *au revoir*. Dlatego w pośpiechu zjadła śniadanie i błyskawicznie zebrała swoje rzeczy. Już niemal gotowa do wyjścia zatrzymała się obok brulionu z motylem. Żałowała, że nie zdąży już przeczytać z pewnością niezwykle ciekawych rodzinnych zapisków, zwłaszcza że Amelie nie miała nic przeciwko temu. Gdy jednak o tym pomyślała, wciąż z lekkim wahaniem otworzyła notes, a potem sfotografowała telefonem strony z motylami.

La Fère nie było jej po drodze, dlatego musiała się śpieszyć, jeśli chciała zdążyć spotkać się z Amelie i Josephine. Miała nadzieję, że ucieszą się z niespodzianki. Jechała, uśmiechając się do siebie nieustannie, zadowolona z pomysłu, na który wpadła po przeczytaniu liściku.

Na szczęście o tej porze nie było dużego ruchu, więc dotarła do szpitala szybciej niż ostatnio. Tym razem nie pomyliła też wejścia, dlatego już po chwili uśmiechnięta od ucha do ucha wparowała do sali Josephine. Zatrzymała się w pół kroku zdezorientowana.

Łóżko staruszki było puste. Obok na stołku siedziała Amelie z twarzą ukrytą w dłoniach. Dopiero gdy poczuła na ramieniu dłoń Laury, podniosła na nią zapuchnięte od płaczu oczy.

– Powiedziała mi, że nie mogłaby ot tak po prostu odejść, bez pożegnania ze mną – odezwała się bezbarwnym głosem. – Przesłała mi całusa, a potem zamknęła oczy. I już ich nie otworzyła.

Déjà vu.

Znów nie mogła pozbyć się tego wrażenia. Nie tylko dlatego, że już drugi raz w ciągu kilkunastu ostatnich dni potwornie zmęczona odpływała w półsen na tylnym siedzeniu taksówki jadącej ulicą Żwirki i Wigury, z lotniska na Rudawską. Nie chodziło też o dalszą podróż, tak jak ostatnio – do Bujan, bo tym razem się nie śpieszyła. Powodem poczucia, że przeżywa filmowy Dzień Świstaka było przede wszystkim to, co znów wiozła w torebce.

Gruby pakiet listów, a wśród nich jedwabna rękawiczka, która miała połączyć się w parę z inną, pozostawioną w schowku samochodu. Tym razem Laura nie знаła zawartości starych kopert, które niemal parzyły ją w dłonie, gdy chowała je do walizki. W dodatku nie była pewna, kiedy odnajdzie w sobie dostatecznie wiele siły i odwagi, żeby do nich zajrzeć. Bała się własnej reakcji na to, co może tam znaleźć, skoro już same nazwiska nadawcy i adresata tak mocno wytrąciły ją z równowagi.

Listy wręczyła jej Amelie podczas pożegnania na szpitalnym parkingu, tuż przed odjazdem Laury, gdy ta, pełna wątpliwości, wsiadała do citroena Josephine, by udać się wreszcie w stronę Beauvais Tillé. Niepewna, czy powinna w tak

trudnej sytuacji zostawiać Amelie samą. Z drugiej strony niebawem miała się nią zaopiekować rodzina. Córki i wnuki Amelie były już w drodze. Nie uspokoiło to Laury.

Wewnętrzne rozedrganie wręcz się nasiliło, gdy mimowolnie wróciła myślami do poprzedniego wieczoru i tego, co tłukło się boleśnie po jej głowie, zanim wycieńczona tym w końcu zasnęła. Zdała sobie wreszcie sprawę, co jest powodem dręczącego ją niepokoju – ciągle poczucie dziwnego zawieszenia oraz wrażenie, że coś nie zostało dokończzone, nie do końca uświadomiona myśl, że należy coś jeszcze zrobić. Podobnie jak wtedy, gdy człowiek bez zamiaru powrotu zabiera ze sobą klucz. Albo nie zapomina adresu, pod który nie zamierza nigdy więcej pójść. Myśląc o tym, włożyła rękę do kieszeni i wyciągnęła z niej zrolowaną karteczkę, ale nawet na nią nie spojrzała. Bezwiednie tylko gniotła ją w dłoni. Jednocześnie odtwarzała w pamięci słowa Josephine, przypominała sobie niespokojny ton jej głosu i przejmujący wyraz oczu, gdy mówiła o Veronique LeBlanc.

– Nie! – zdecydowała stanowczo, zanim ruszyła z parkingu. – To nie mogło być tylko majaczenie starej chorej kobiety. Jestem tego pewna.

Już wiedziała, co powinna zrobić, by odzyskać poczucie, że wszystko zostało zakończone jak należy i ostatecznie. Dlatego prosto ze szpitala w La Fère pojechała do Noyon, żeby spotkać się z tajemniczą przyjaciółką Marie Anne. Ryzykowała spóźnieniem na samolot, ale to nie było dla niej najważniejsze. Mogła w każdej chwili przebukować bilet, zostać we Francji nawet kilka dni dłużej. Właściwie po cichu na to właśnie liczyła. Zyskałaby idealne usprawiedliwienie, przede wszystkim przed samą sobą, by odłożyć w czasie to, do czego wcale jej się nie śpieszyło – ciągle jeszcze nie była gotowa na z pewnością trudną rozmowę z ciotką. Dlatego poczuła wręcz zawód, gdy już po wszystkim o czasie znalazła się na lotnisku.

Noyon, jak się okazało, leżało po drodze, a spotkanie z Veronique LeBlanc trwało krócej, niż Laura przewidywała. W dodatku lepiej było go nie przedłużać po tym, czego dowiedziała się od nowo poznanej kobiety.

– Obawiałam się, że już się do mnie nie odezwiesz.

Takimi słowami zaskoczyła Laurę, gdy ta zadzwoniła do niej, żeby zapowiedzieć wizytę.

Nie tłumaczyły sobie niczego, nie siliły się na wyjaśnienia. Od razu umówiły się w miasteczku, w pobliżu katedry, przy Parvis Notre-Dame.

Gdy Laura dotarła na miejsce, Veronique już tam na nią czekała. Siedziała zamyślona na kamiennych schodach kościoła, obejmowała ramionami podciągnięte kolana, wspierając na nich brodę. Pierwsza rozpoznała Laurę, pomachała do niej i, nie podnosząc się, wskazała miejsce obok siebie. Potem przez długą chwilę milczała i wpatrywała się w Laurę badawczo zadziwiająco ciemnymi oczami, które

zdawały się nie mieć tęczywek na rzecz rozszerzonych do granic możliwości źrenic. Laura zerkała na kobietę niepewnie, zastanawiając się nad przyczyną wyglądu jej oczu. Może to jakaś choroba? Bo przecież nie tylko narkotyki powodują podobne objawy, pomyślała mimowolnie i wstrząsnął ją lekki dreszcz. Czowała się nieswojo. Twarde i zimne schody katedry wydały się jeszcze mniej wygodne niż wtedy, gdy na nich siadała. Mimo to tkwiła obrócona bokiem, w dość uciążliwej dla siebie pozycji, bojąc się nawet drgnąć. Przenikliwe spojrzenie niesamowitych oczu nieznanym wywoływało dziwną blokadę, nie pozwalało na jakikolwiek ruch, najmniejszą inicjatywę.

– Naprawdę martwiłam się, że już nie przyjedziesz. – Veronique odezwała się w końcu, a Laura uwolniła z płuc przetrzymywane zbyt długo powietrze. – Josephine nie wytłumaczyła ci, jakie to ważne?

– Nie... – zająknęła się. – To znaczy tak. Wspomniała o tym, ale właściwie nie podała powodu.

Wciąż skołowana przyglądała się tej osobliwej kobiecie, w niepasującej nie tylko do pogody granatowej staroświeckiej sukni z zapiętymi na guziki makietami i okrągłym kołnierzykiem przy szyi. Z jej głowy zsuwał się lekko cieniutki bladoniebieski szal, a spod niego wystawał długi blond warkocz. Bez przerwy bawiła się jego końcem, nawijała go na palec wokół srebrnego, trochę dziewczęcego pierścionka. Wyglądał na bardzo stary, więc mógł być pamiątką z młodości, raczej dość odległej. Studiowała razem z Marie Anne, zatem była starsza od Amelie, jednak jej zaskakująco gładka skóra na twarzy, szyi i dłoniach zdecydowanie temu przeczyły. Podobnie jak świeży, pszeniczny i raczej naturalny kolor włosów. Mimo niemodnego stroju kobieta wyglądała na zaledwie kilkanaście lat starszą od Laury, czyli pewnie tyle samo młodszą od swoich rówieśniczek.

– Josephine nie mogła zdradzić ci zbyt wiele. Pewnie jej zabronili.

– Kto? – Laura spojrzała na rozmówczynię nie do końca przytomnie, ocknąwszy się z chwilowego zamyślenia i mimowolnej kontemplacji jej wyglądu.

Veronique położyła palec na ustach i rozejrzała się niespokojnie. W pobliżu nie było nikogo, plac przed katedrą też był pusty, nieopodal zaparkowano tylko kilka samochodów. Na nich właśnie kobieta na dłużej zawiesiła wzrok. Laura obserwowała ją i zastanawiała się, czy Amelie miała rację, sugerując, że dawna przyjaciółka jej siostry jest nie w pełni władz umysłowych. Czy to oznaczało, że również słów Josephine nie należało traktować poważnie, skoro tego nie zauważała? Że wszystko, co mówiła, miało charakter urojeń?

– Przyjaźniła się pani z Marie Anne – odezwała się Laura znów bardziej po to, by przerwać krępującą ciszę. Nie była pewna, jak powinna się zachować w związku z niepokojącym podejrzeniem, które pojawiło się jej w głowie. Wstać i po prostu odejść? Na to miała w tej chwili największą ochotę, ale wydało jej się to zbyt nietaktowne i niezręczne. Dlatego ostatecznie została. Skarciła się jednak

w duchu za nedorzeczny pomysł, by tu przyjeżdżać. Intuicja tym razem nie tylko ją zawiodła, ale wręcz postanowiła z niej zadrwić. Być może natłok ostatnich zdarzeń zaburzył w Laurze zdolność logicznego myślenia i sprowadził na manowce jej rozsądek.

– Łączyło nas coś znacznie więcej – odparła tymczasem Veronique.

Rozpięła guzik mankietu i podwinęła rękaw sukni. Na przedramieniu miała paskudną bliznę: wiele przecinających się czerwonych zgrubień, a pomiędzy nimi ciemno zabarwiona skóra. Laura, powstrzymując odrazę, przyglądała się temu długą chwilę. Czowała, że to ważne.

– To był tatuaż? – spytała, sama zaskoczona niespodziewanym skojarzeniem. Veronique skinęła wolno głową.

– Nadal tam jest. Za późno zrozumiałam, że można się go pozbyć tylko w jeden sposób. Tak jak zrobiła to Marie Anne.

– Miała podobny? Czy coś konkretnego oznaczał? – Laura poczuła gorycz w ustach. Pytała, choć wcale nie była pewna, czy chce poznać odpowiedź. Pomyślała też o tatuażu tajemniczego mężczyzny widzianego na obrazie ze szpitalnego monitoringu, jednak nie podzieliła się tym nagłym skojarzeniem. Być może miała nadzieję, że nie będzie musiała.

– Miał mi przypominać, że nie jestem już tym samym człowiekiem, którym byłam w dniu narodzin. Wtedy, gdy jeszcze miałam wybór. W przeciwieństwie do mojej cudownej Marie Anne, która nigdy takiego nie miała. Ona już urodziła się inna i przez to wyjątkowa. Tak, jak jej babka. Obie otrzymały do wypełnienia zadanie, niestety po śmierci Sary wszystko się zmieniło, stało się trudniejsze... Razem były wystarczająco silne, by oprzeć się złu i nie dopuścić, aby jego wcielenie zyskało nad nimi przewagę. Potem pojawiły się przeszkody. One jednak tak naprawdę zaczęły wyrastać już wcześniej, gdy Sara po raz pierwszy upadła, gdy wiele lat temu pokonały ją złe siły. Podniosła się z tego szybko, choć na jej duszy pozostało nieusuwalne piętno składające się z blizn po odniesionych ranach. Niestety, spadkobiercy idei zła wykorzystali jej chwilową słabość. Dostrzegli szansę na to, by w końcu wygrać, jednak sprytnie przesunęli realizację swojego chytrego planu na lepszy dla nich czas, uspili czujność Sary. Gdy już nie mogła im przeszkodzić, postanowili sami przesądzić o losie jej następczyni, do której wcześniej czuli równie wielki respekt i której tak samo się obawiali. I w końcu to zrobili. A Marie Anne nie znalazła w sobie dość siły, by się im przeciwstawić.

Laura patrzyła na Francuzkę rozszerzonymi oczami, absolutnie nic nie rozumiejąc. Chęć ucieczki stała się jeszcze silniejsza. Najchętniej od razu pobiegłaby do samochodu i ruszyła czym prędzej na lotnisko. Z trudem się przed tym powstrzymywała. Słowa Veronique przeraziły ją, mimo że przecież nie wierzyła w ani jedno z nich. Świadczyły wyłącznie o problemach psychicznych kobiety – prawdopodobnie manii prześladowczej.

Zbierała się w sobie, by zakończyć wreszcie to spotkanie, gdy nieoczekiwanie wydobyła z pamięci coś, co niepokojąco pasowało do scenariusza, który przed chwilą usłyszała. Laura powolutku odtwarzała w głowie opowieść Amelie o mężczyźnie, który skrzywdził jej babkę, wywołując u niej nieodwracalną traumę, tak silną, że towarzyszyła jej nawet na łożu śmierci. Piętno na duszy, Laura bezwiednie powtórzyła w myślach słowa Veronique. Czyżby tkwiło w nich ziarno prawdy? A jeśli tak, czy ta pokręcona i wciąż niezrozumiała historia mogła rzeczywiście łączyć się z tajemniczą śmiercią Marie Anne, co na swój sposób sugerowała Veronique?

– Chodzi o Alistera? – spytała Laura ostrożnie. – To przez niego Sara odeszła z mistycznego towarzystwa, do którego przez pewien czas należała, prawda? Co właściwie jej zrobił?

Veronique nie odpowiedziała, za to znów rozejrzała się niespokojnie.

– Nigdy nie przestał ją dręczyć? – Nie ustępowała Laura.

– Miał na imię Aleister – sprostowała kobieta trochę nerwowo. – Albo Therion, bo to imię jest dla niego właściwsze. A dręczył ją nawet po śmierci. I wcale nie jej, ale jego własnej, rękami spadkobierców jego chorej idei. Pragnęli za wszelką cenę pozbawić Marie Anne tego, co niegdyś rozpoczęła jej babka, a co ona miała po niej przejąć. Zgodnie z jej ostatnią wolą. Niestety ci, którzy wcześniej byli wierni im obu, poszli za tamtymi jak bezwolne owce, omamieni nedorzecznymi mrzonkami. Marie Anne im się oparła, choć zapłaciła za to najwyższą cenę. – Veronique zwiesiła smutno głowę. – Mnie za to nie udało się od tego odciąć ostatecznie, mimo prób. – Dotknęła lekko przedramienia z opuszczonym już rękawem sukni. – Nie dołączyłam co prawda do tych, którzy poszli za spadkobiercami Theriona, ale to niewiele zmieniło, bo ich siła powoli nas unicestwia. Została nas zaledwie garstka wierzących w zachowanie chociaż części tego, co stworzyła Sara i co usiłowała ocalić Marie Anne, choć właściwie nie wiadomo, komu można do końca zaufać, kto nadal jest z nami, a kto tylko stwarza takie pozory, bo dawno temu dołączył do tamtych. Ciągłe próbujemy ratować to, co jeszcze zostało. Dotąd udało nam się na szczęście zachować najważniejsze, choć niektórzy tracą nadzieję i odchodzą. W jedyny możliwy sposób.

– Przez śmierć? – wyszeptała Laura. – Tak jak Marie Anne i... – Nabrała tchu. – Josephine? Czy właśnie dlatego umarła? Czy to znaczy, że coś grozi Amelie albo...

– Nie, nie! – Veronique zaprzeczyła gwałtownie. – Josephine zrobiła wszystko, żeby ochronić młodszą córkę, być może przez to właśnie na koniec pobłądziła. Chciała dobrze, ale pogubiła się i wykonała kilka niepotrzebnych kroków. Amelie nie musi niczego wybierać, zawsze była tylko sobą. Dlatego nie ma powodów do obaw. Natomiast ty...

– Chcesz powiedzieć, że coś mi grozi?

– Nie – odparła stanowczo. – Jesteś na razie bezpieczna, jednak możesz nieświadomie spowodować, że ktoś inny ucierpi. Dlatego powinnaś stąd jak najszybciej wyjechać. Zająć się swoimi sprawami, zapomnieć. Wbrew temu, co ci będą wmawiać inni.

– Kto? Kim są ci tajemniczy „inni”? Jak ich rozpoznam? Kim właściwie była Sara Rosen i czym się zajmowała? Co usiłowała ocalić Marie Anne? Kim są jej spadkobiercy? Kim ty jesteś?

– Nie mogę zdradzić niczego więcej dla twojego dobra. Ale obiecuję, że niedługo sama wszystko zrozumiesz, jestem o tym przekonana. Musisz jedynie uważnie wsłuchiwać się w siebie, nie w to, co ci mówią inni – powtórzyła i wykonała ruch, jakby zamierzała wstać.

Wyciągnęła rękę. Laura sądziła, że na pożegnanie, ale Veronique położyła jej coś na dłoni, po czym stuliła ją gwałtownie i zamknęła we własnych. Przytrzymała mocno. Laura przestraszyła się tego gestu, ale nie miała odwagi się wyrwać. Czują, że w skórę wbija jej się twardy przedmiot o ostrych krawędziach.

– Weź to, proszę – powiedziała Veronique i uwolniła wreszcie dłonie Laury.

Obie przez chwilę patrzyły na małego zielonego motylka zawieszzonego na nieco topornym, poczerńiałym łańcuszku. Figurka była zrobiona z identycznego materiału jak te sprzedawane często na stoiskach z pamiątkami, a mimo to nie przypominała żadnej z nich. Zielonkawe podobizny małego Buddy wyglądały jak odlane z wosku, a słonie z uniesionymi radośnie trąbami przywoływały na myśl żelowe dinozaury wykluwające się z tekturowych jajek. Motyl był od nich o wiele piękniejszy. Wykonany wyjątkowo misternie, wyglądał niemal jak żywy. Zupełnie jakby ktoś za pomocą czarodziejskiej różdżki zatrzymał czas między kolejnymi uderzeniami skrzydełek rozpiętych na sieci delikatnych żyłek i zmienił pięknego owada w rzadki minerał.

– Jadeit – wyszeptała Laura.

– Święty kamień mistyków. – Veronique pokiwała głową. – To potężny amulet. Chroni przed złymi duchami i pozwala czerpać wiedzę z poprzednich wcieleń. Otwiera umysł, dzięki czemu widzi się jaśniej.

– Skoro ma tak silne właściwości ochronne, dlaczego sama go nie zatrzymasz, Veronique? – Laura bezwiednie zrezygnowała z formy grzecznościowej i zwróciła się do kobiety po imieniu. – Przecież widzę, że czegoś się obawiasz, jesteś niespokojna.

– Nie mogę tego zrobić. Nigdy do mnie nie należał... – Zawahała się.

– To naszyjnik Marie Anne? – Laura wpadła jej w słowo, tknięta nagłym przecuciem. Przypomniała sobie rysowane przez dziewczynę motyle.

– Nie, choć powinna go mieć przy sobie wówczas, gdy... Może wtedy ochroniłby ją. Żyłaby.

– Ale sama przecież powiedziałaś, że mnie nic nie grozi! Po co więc mi go

dajesz?

– Nie grozi, ponieważ ten motyl będzie cię chronił. Dlatego powinnaś koniecznie go przyjąć. A ja tym samym spełnię obietnicę daną Josephine.

– Dlatego namawiała mnie na spotkanie z tobą? – Laura nie posiadała się ze zdumienia. – Z powodu tego wisiora?

– Nie. Obiecałam jej dopilnować, żebyś była bezpieczna.

– Przy pomocy magicznego amuletu? Przecież to tylko zabobony! Z pewnością sama w nie nie wierzysz. Poza tym wolałabym, żebyś mi po prostu powiedziała, kim są ludzie, których mam unikać. Chcę wiedzieć, czy to oni przyczynili się do śmierci Josephine. I czy mnie albo mojej rodzinie...

– Jedź już, nie powinnaś tu dłużej zostawać. – Nie pozwoliła jej dokończyć.

Musnęła ramię Laury, bardzo lekko, z miną, jakby ją parzyło, a potem odeszła w pośpiechu. Laura w pierwszym odruchu chciała ją dogonić, zwrócić wisior, jednak zamiast tego ruszyła pędem do samochodu.

Obawiała się, że popełniła błąd, przyjeżdżając do Noyon. Słowa dziwnej kobiety jeszcze bardziej namieszały jej w głowie. Kim był tajemniczy Aleister, który skrzywdził Sarę? Kogo obawiała się Veronique i Josephine? Czy chodziło o nieznaną sektę, która potrafiła tak bardzo zdominować umysł człowieka, że jedyną możliwością uwolnienia się od niej była śmierć? Otworzyła dłoń, którą dotąd zaciskała bezwiednie, i popatrzyła na jadeitowego motyla, a potem rozejrzała się wokół. Nie wierzyła w moc amuletów i talizmanów ani tym bardziej w złe, czy nawet dobre duchy. Dlatego nie zamierzała popadać w paranoję, ulegać wykreowanej przez nowo poznaną Francuzkę apoteozie strachu ani innym niewłaściwym emocjom.

Zamiast tego powzięła postanowienie, że jak najszybciej dowie się, o co w tym wszystkim chodzi.

Schowała błyskotkę do torebki i nie wyjmowała jej stamtąd przez całą drogę powrotną. Usiłowała też nie myśleć o tym, co powiedziała jej Veronique, a co okazało się trudne. Podobnie jak uwolnienie się od dręczących pytań czy wyrzucenie z pamięci usłyszanych słów. I wszystkiego, co wydarzyło się wcześniej.

– Jesteśmy na miejscu, proszę pani.

Jej rozważania przerwał donośny komunikat taksówkarza. Laura, rozmyślając, przymknęła powieki, więc pewnie sądził, że zasnęła, i dlatego podniósł głos.

Energicznie oderwała plecy od wygodnego oparcia, pochwyciła torebkę, która niepostrzeżenie zsunęła się na podłogę, i zapłaciła za przejazd. Tym razem bez napiwku, bo suma okazała się okrągła. Wsiadła nie przy swojej kamienicy, ale obok sklepu spożywczego, by tym razem zrobić zakupy. Nie była głodna, w dodatku niebawem wyjeżdżała i zapasy mogły się przeterminować, ale bardzo

chciała się pozbyć irytującego poczucia déjà vu. Usiłowała w ten dziwaczny nieco sposób nie dopuścić do tego, by dzień powrotu z Francji stał się kopią tego, w którym wracała z USA. Nastrój miała wciąż podobny i na razie niewiele było w stanie go zmienić, nawet największe opakowanie ulubionych karmelowych czekoladek, o czym przekonała się, gdy włożyła pierwszą do ust. Zamiast spodziewanej przyjemności, poczuła przejmujący ból odzwyczajonych od słodczy ślinianek. Sięgnęła po kolejną w irracjonalnej nadziei, że się powtórzy, bo całkiem dobrze pasował do jej obecnego samopoczucia. Nie było aż tak kiepskie jak wówczas, gdy wracała z odwiedzin u matki, ale czuła się przygnębiona i sfrustrowana. Nie tylko z powodu spotkania z Veronique, które, zamiast pomóc cokolwiek zrozumieć, wywołało prawdziwą konsternację. Laurze było też smutno z powodu śmierci Josephine. Nie poznała jej zbyt dobrze, nawet na tyle, by móc jej zaufać, a mimo to ku własnemu zaskoczeniu zdążyła polubić. Niestety odkryła to zbyt późno, by zdążyć jej o tym powiedzieć...

Samopoczucie Laury poprawiło się nieco, gdy skręciła w ulicę Rudawską. Jeszcze bardziej gdy weszła wreszcie do swojej kamienicy i wdrapywała się po schodach z walizką oraz torbą pełną zakupów, czując łaskotanie w żołądku na wspomnienie gołąbków, które czekały na nią w domu poprzednim razem.

Teraz nie liczyła na podobne niespodzianki, ponieważ nie uprzedziła pani Lusi o powrocie. Miała też nadzieję, że nie czekają na nią inne atrakcje, których z kolei wolałaby sobie oszczędzić. Ostatnia myśl sprawiła, że zawahała się krótko, po czym przestąpiła próg mieszkania. W przedpokoju przez kilkanaście sekund nasłuchiwała, zanim przeszła dalej. Ściągnęła buty i, stąpając na palcach, obeszła szybko całe mieszkanie, potem kolejny raz, już wolniej, przyglądając się uważnie wnętrzem. Zajrzała do szafek i pod meble. Schyliła się i dokładnie oceniła grubość kurzu na podłodze i sprzętach, żeby sprawdzić, czy ktoś czegoś nie przesunął.

W końcu westchnęła z prawdziwą ulgą, otarłszy pot z czoła. Nie znalazła najmniejszych nawet powodów do niepokoju. Tym razem w mieszkaniu nikt nie grasował. Podlane kwiatki świadczyły jedynie o niedawnej obecności pani Lusi. Laura miała nadzieję, że tym razem uda się zastać sąsiadkę w domu. Chciała jej wreszcie wręczyć tamte perfumy i kolorową satynową apaszkę kupioną na podparyskim lotnisku. Podobną Laura miała dla ciotki Heleny.

Na pohybel déjà vu w pierwszej kolejności nastawiła ekspres do kawy. Zaraz potem włączyła laptopa. Nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie porozmawia z mężem i córkami. Bardzo się za nimi stęskniła i przede wszystkim to chciała im powiedzieć. A w drugiej kolejności opisać swój krótki pobyt we Francji tak, by nie ujawniać wszystkiego. Nie widziała powodu, dla którego miałyby niepokoić rodzinę, zdając szczegółową relację z wydarzeń ostatnich dni. To mogłoby wpłynąć na ich decyzję o wcześniejszym powrocie, tymczasem ona wolała najpierw sama wyjaśnić rodzinne tajemnice. Przez moment tylko wahała się, czy

nie opowiedzieć o nich mamie i tacie, jednak z tego pomysłu też zrezygnowała. Nie chciała ich denerwować, choć w głębi ducha wiedziała o innym jeszcze powodzie takiej decyzji. Przewidywała reakcję matki. Jej na pewno nie udałoby się powstrzymać przed natychmiastowym przylotem do Polski. A to nikomu nie wyszłoby na dobre.

Laura podświadomie odwlekała też wyjazd do Bujan i spotkanie z ciotką. Bała się tego, co od niej usłyszy. A dopóki z nią nie porozmawia, może jeszcze mieć nadzieję, że wszystko jakoś się ułoży. Mimo że już nie będzie takie, jak dawniej, bo co do tego nie miała złudzeń.

Tak jak się spodziewała, rozmowa z bliźniaczkami poprawiła jej nastrój i podniosła na duchu. Z czułym uśmiechem słuchała ich paplaniny i zapomniła na chwilę o wszystkim innym. Dopiero zagadnięta przez Michała o pobyt we Francji, zdała mu relację z wycieczki po Szampanii. Opowiedziała o dalekich francuskich kuzynkach i nagłą śmiercią jednej z nich usprawiedliwiła powód swojego przygnębienia, którego nie udało jej się ukryć przed mężem. W ostatniej chwili ugryzła się w język, gdy poprosił, by w jego imieniu uściskała Helenę. Nie mogła mu przecież powiedzieć, dlaczego na razie nie ma na to ochoty. Ani w jego, ani we własnym imieniu. Przynajmniej dopóki nie wyjaśnią się kłamstwa, które padły z jej ust.

Dopiero wtedy Laura miała zamiar zajrzeć do listów podarowanych jej przez Amelie. Uznała, że tak będzie najlepiej. Domyślała się, że mogą zawierać sporą część prawdy o przeszłości Heleny i motywach jej matactw. A Laura wolała dowiedzieć się tego najpierw od ciotki, dać jej szansę na wytłumaczenie się, wyjaśnienie wszystkiego. Ze względu na przeszłość i również przyszłość.

I nie chodziło wyłącznie o to, co Helena kiedyś dla niej zrobiła, ale o bliskość, która zawsze między nimi istniała, a która zrodziła się, jeszcze zanim Helena ocaliła jej życie. O tym Laura nie mogła i nie chciała zapomnieć. Nigdy. Nie wyobrażała sobie utraty tej bliskości, dlatego wciąż miała nadzieję ją ocalić... albo przynajmniej jej fragment. Łudziła się, że ciotka nie okryje tego jeszcze jedną warstwą kłamstw, które zdemaskuje treść jej własnych listów słanych przez lata do Josephine. Bo kolejne oszustwa byłyby jeszcze trudniejsze do wybaczenia.

Koperty zostały oplątane zwykłą gumką recepturką, zapewne przez Josephine. Laura zdejmowała ją z pewnym wahaniem i irracjonalną myślą, że powinna to być wstążeczka. W ten właśnie sposób przechowywano stare listy we wszystkich znanych jej książkach i filmach. Być może Josephine akurat tych nie widziała, a może celowo zabezpieczyła korespondencję w tak mało elegancki i trochę prymitywny sposób. Adekwatnie do jej zawartości. Przypuszczalnie tam znajdował się powód zerwania jej kontaktów z Heleną. Według Amelie kobiety niegdyś się przyjaźniły i regularnie do siebie pisywały, ale potem nagle coś się zmieniło... Straciły ze sobą kontakt. Mimo to listy musiały być dla Josephine

ważne i cenne, skoro nie pozbyła się ich przez tyle lat, w dodatku zabrała ze sobą do szpitala i ukryła pod poduszką.

Amelie, ku zaskoczeniu Laury, nie znała ich treści.

– Obiecałam mojej mamie – powiedziała, przekazując je Laurze – że do nich nie zajrzę. Że oddam je tobie albo wszystkie zniszczę.

– Co mam z nimi zrobić? – Laura patrzyła niepewnie na gruby plik o różnych odcieniach bieli, szarości i błękitu.

– Nie wiem. – Amelie wzruszyła ramionami. – I chyba nie chcę wiedzieć. Zrób z tym, co zechcesz. Ja nie zamierzam mieć z nimi nic wspólnego.

– Z nimi? – podchwyciła Laura. Czowała, że Francuzce nie chodzi tylko o listy. – Masz na myśli...

– Tak! – Przerwała jej niecierpliwie. – Kimkolwiek są ci ludzie, życzę im jak najgorzej. Odebrali spokój mojej mamie. Nie pozwoliła, by zrobili to również mnie, moim córkom i ich dzieciom, ale nie zdołała ochronić Marie Anne... – Zawahała się, a potem westchnęła ciężko. – Wiem, że gdybym poznała treść tych listów, zniszczyłoby to nie tylko moje życie, ale i wszystkich moich bliskich. Moja mama zrozumiała to zbyt późno, by ocalić moją siostrę. Uratowała mnie i chyba do końca życia miała nadzieję zrobić więcej, zapewnić bezpieczeństwo komuś jeszcze.

– Komu?

– Nie wiem. – Znow wzruszyła ramionami, a potem objęła się nimi w obronnym geście. – Mam jednak nadzieję, że dowiesz się tego z listów. Skoro mama postanowiła oddać je tobie, wierzyła, że może uda ci się to, czego ona nie zdołała bądź nie zdążyła dokonać.

– Ale co dokładnie? Jak mam cokolwiek zrobić, jeśli nie wiem, o co właściwie chodzi? I dlaczego akurat ja miałabym się tym zająć?

– Widocznie jest w tym jakiś cel. A mama go widziała, niestety, najwyraźniej nie zdołała ci go należycie przekazać.

Lub zjawił się ktoś, kto to uniemożliwił, pomyślała wówczas Laura, jednak nie wypowiedziała tego na głos. Ani tego, że nie ma ochoty zajmować się czymś, o czym nie miała właściwie pojęcia. To nie był odpowiedni moment. Amelie trwała w żałobie, nie należało dokładać jej trosk. Dla niej sytuacja była wystarczająco trudna. Dopiero co straciła matkę, a okoliczności jej śmierci wciąż były niejasne, w dodatku wiele wskazywało na to, że pozostaną niewyjaśnione. Jeśli ktoś rzeczywiście przyczynił się do śmierci staruszki, zrobił to wyjątkowo sprytnie i nie zostawił po sobie śladów.

Słowa Amelie długo pobrzmiwały w głowie Laury, ale dość późno dotarło do niej ich sedno. Powinny wzbudzić w niej większą czujność i chwilowo odsunąć na drugi plan zamartwianie się o relacje z ciotką. Josephine nie chciała, by córka poznała treść listów dla jej bezpieczeństwa. Dlatego zataiła przed nią tak wiele, również to, kim naprawdę była Veronique. Czy to oznaczało, że bezpieczeństwo

Laury nikogo nie obchodziło? Albo czy powinna dać wiarę zapewnieniom LeBlanc, że nic jej nie grozi? A jeśli to miało jedynie uspić jej czujność? Może z tego właśnie powodu powinna jak najszybciej pozbyć się listów, w ogóle ich nie czytając? Jednak z drugiej strony, co by to zmieniło, skoro już je przyjęła? Skąd ktokolwiek miałby wiedzieć, że dotąd do nich nie zajrzała i tym samym nie poznała ich zawartości? Nie zauważyła, by ktoś ją śledził. Jednak z drugiej strony, nie zwracała specjalnie uwagi na otoczenie, zbyt mocno pogrążona w rozpamiętywaniu ostatnich wydarzeń.

Zakłęła głośno, poirytowana własnym brakiem wyobraźni i niefrasobliwością.

Z lękiem obejrzała się za siebie, zupełnie jakby się spodziewała ataku. Na drżących ze zdenerwowania i uginających się przy każdym kroku nogach podszła do okna. Ulica była pusta. Rzuciła się prawie biegiem w stronę drzwi. Nie pamiętała, czy zamknęła je na klucz, i omal nie runęła na podłogę, potknąwszy się o próg. Przytrzymała się w ostatniej chwili blatu komody, strącając z niej przy okazji dekoracyjne świece, które, upadając, rozłupały się na małe woskowe kawałki. Pochyliła się, by je pozbierać. Jednocześnie usłyszała pukanie do drzwi.

Zdezorientowana wypuściła z rąk odłamki i zerknęła na domofon. W kamienicy mieściło się tylko kilka mieszkań. Sąsiedzi bardzo dbali o bezpieczeństwo i nie wpuszczali nikogo obcego na klatkę schodową. Żadnych roznosicieli ulotek, akwizytorów ani nawet panów z gazowni. Jak więc ktoś znalazł się pod drzwiami jej mieszkania? Chwyciła się za czoło. Być może dokładnie tak samo, jak ostatnim razem, gdy zgubił w jej salonie amarantowy koralik!

Wysypała wszystko z torebki, żeby znaleźć telefon. W popłochu usiłowała wyłuskać z pamięci numer, na który powinna zadzwonić. Gdy w końcu zdołała trzęsącymi się coraz bardziej dłońmi wybrać go na klawiaturze, zza drzwi dobiegł ją znajomy, kobiecy głos.

– Pani Lauro, tutaj Luscia z dołu! Sąsiadka powiedziała mi, że pani wróciła. Nie chciałabym przeszkadzać, ale może zesłaby pani do mnie na obiad? Akurat mam gorący.

Odrzuciła wybrane już połączenie, wciskając wszystkie guziki naraz, i błyskawicznie doskoczyła do drzwi. Otworzyła je, nadal rozdygotana, co sąsiadka musiała zauważyć, ponieważ przyglądała się jej zdezorientowana i zaniepokojona.

– Przepraszam, zdrzemnęłam się i chyba coś mi się przyśniło – zmyśliła Laura na oczekaniu. Trudno byłoby jej w inny sposób racjonalnie wytłumaczyć swój stan. – Przez chwilę nie wiedziałam, co się dzieje i gdzie jestem. Za często ostatnio zmieniam miejsca pobytu.

Uśmiechnęła się rozbrajająco, co wcale nie sprawiło, że sąsiadka się uspokoiła.

– No tak. Pani chce sobie odpocząć po podróży, a ja tu się dobijam jak

nienormalna – spieszyła się. – Przepraszam.

– Nie, nie, pani Lusi, nic się nie stało! – Laura gestem zaprosiła ją do środka. – I tak miałam do pani zejść.

Zgarnęła rozsypaną po całym korytarzu zawartość torebki i razem ze świecowymi okruchami zamiotła w kąt, tłumacząc się mętnie z bałaganu. Prezent, który w końcu wręczyła sąsiadce, sprawił, że kobieta wyglądała na jeszcze bardziej zażenowaną.

– Ależ nie trzeba było, po co taki koszt.

Zarumieniła się, ale ciekawie zajrzała do torebki. Z zachwytem w oczach pogładziła kolorową satynę, by już po chwili przykładając ją sobie do dekoltu raz z jednej, raz z drugiej strony, zerkając ponad ramieniem Laury w wiszące za nią lustro. Perfumami spryskała ostrożnie nadgarstek, nadmiar wtarła w apaszkę. W końcu rozanielona ucałowała w oba policzki Laurę, która ją komplementowała z szerokim uśmiechem.

– Pani Lusi, jest pani skarbem. Największym naszym dobrem sąsiedzkim. – Umizgiwała się, chcąc ostatecznie zażegnać wcześniejsze złe wrażenie. – I nikt nie robi tak pysznych gołąbków ani szarlotki. To był niezmiernie miły gest!

– Ano właśnie. – Kobieta uniosła palec. – Co prawda dziś u mnie nie gołąbki, a tylko barszczyk i krokieciki, ale i tak zapraszam. Pani pewnie głodna po podróży.

– Kupiłam coś po drodze i już zjadłam – skłamała kolejny raz.

Trochę wbrew sobie, bo menu brzmiało kusząco. Ale nie byłaby dziś najlepszym towarzyszem rozmowy. Znała panią Lusię na tyle dobrze, by wiedzieć, że nie pozwoli jej od siebie wyjść bez uprzedniego przekazania ostatnich ploteczek i nowinek.

Kobieta wyglądała na zawiedzioną.

– Ach, zapomniałam... – zagadnęła już na odchodne. – Parę dni temu przyszedł ten od spisywania liczników, ale nie wpuściłam, bo nie ustalałyśmy nic przecież.

– W porządku – odpowiedziała Laura. – I nikogo innego nie było? – dodała jeszcze mimochodem.

Reakcja sąsiadki zbiła ją z tropu. Lusia zmieszała się i opuściła głowę.

– No z obcych, to nie – wybąkała wreszcie.

– To znaczy, że ktoś inny, nie obcy pojawił się tutaj pod naszą nieobecność, tak?

Kobieta milczała chwilę, przygryzając wargi.

– Bo to taka głupia sytuacja – wykrztusiła. – Obiecałam, że nic nie powiem, ale jak tu nie mówić?

– Komu pani obiecała? – spytała łagodnie Laura.

– Heli.

Laura przyglądała się jej chwilę, nie rozumiejąc.

– Mojej cioci? – spytała w końcu zdumiona. – A co ona ma do tego?

– Bo była tutaj. Jeszcze przed pani powrotem z Ameryki. Przyjechała i weszła sama, ma przecież klucze. Gdy przyszłam sprawdzić, kto tu się kręci, tłumaczyła, że musi załatwić jakąś pilną sprawę w Warszawie i chciałyby tylko przenocować. Ale zaklinała mnie, żeby nic pani o tym nie mówić, bo to popsułoby jakąś niespodziankę. Mnie ten pomysł od początku się nie podobał, bo w tym czasie to ja byłam odpowiedzialna za mieszkanie i gdyby coś się stało... Ale z drugiej strony to przecież krewna i w dodatku moja dobra znajoma.

– Dlatego w końcu uległa pani jej prośbie?

– Dopiero jak mi przyrzekła, że sama pani o tym powie. Ale, jak widać, nie dotrzymała obietnicy.

– Pewnie zapomniała. – Laura odruchowo usprawiedliwiła ciotkę, chociaż wątpiła, by Helena zamierzała kiedykolwiek wywiązać się z danego Lusi słowa. Zwłaszcza że dotąd tego nie zrobiła. A dla Laury to był kolejny dowód na jej niełojalność.

Pożegnała się z sąsiadką i pobiegła jeszcze raz przejrzeć wszystkie zakamarki domu. Miała nadzieję dowiedzieć się, czego szukała ciotka, bo co do tego nie miała wątpliwości ze względu na pozostawione ślady. Pomyślała też o amarantowym paciorku znalezionym pod fotelem i zanotowała w pamięci, by przyjrzeć się biżuterii ciotki. Helena prócz pamiątkowej broszki po matce nie miała jej zbyt wiele, pewnie więc uda się bez większego trudu sprawdzić, czy czegoś brakuje albo czy coś zostało uszkodzone. Jeśli Laura znajdzie cokolwiek pasującego do koralika, zyska namacalny dowód na to, że ciotka nie tylko kłamie, ale dodatkowo snuje za jej plecami intrygę.

Wtedy Laura pokaże ciotce i koralik, i listy od Josephine.

Klucz był ukryty pod doniczką z pelargonią.

Długo się wahała, zanim wzięła go do ręki. Potem, zamiast użyć, schowała do kieszeni. Zeszła do ogrodu i przysiadła na drewnianej huśtawce. Wsparła łokcie na kolanach, a pięści wbiła w podbródek. Zapatrzyła się w kuchenne okno znajdujące się dokładnie naprzeciwko. Było uchylone, mimo że zanosilo się na deszcz, a to oznaczało, że gospodyni wyszła tylko na chwilę. Dlatego Laura postanowiła poczekać.

W każdej innej sytuacji weszłaby po prostu do środka, zaparzyła sobie herbaty i spokojnie wyglądała powrotu ciotki. Zawsze tak robiła, gdy nie zastała jej w domu, jednak tym razem coś ją przed tym powstrzymało. Nie skorzystała z pozostawionego z pewnością dla niej klucza ani nie odłożyła go na miejsce. Teraz znów obracała w palcach, ale z poczuciem, że ją parzy. Żałowała, że zajrzała pod doniczkę. Nie powinna była tego robić. Nawet gdy okazało się, że Helena nie zabrała ze sobą telefonu. Przez uchylone okno słychać było jego dzwonek, kiedy Laura wybierała numer. Gdyby nie klucz pod doniczką i zamknięte od zewnątrz drzwi pomyślałaby, że ciotka jest w domu i nie odbiera, ponieważ stało się coś złego. Odrzucenie takiej wersji zdarzeń przyniosło Laurze ulgę. Czowała

rozgoryczenie z powodu kłamstw ciotki, ale myśl, że coś złego mogłoby ją spotkać, wręcz ją przerażała.

Po kilkudziesięciu minutach pełnych wahania i rozterek, Laura po raz kolejny wspięła się na ganek. Z huśtawki zgoniły ją ciężkie krople deszczu, które błyskawicznie wsiąkły w jej cienką koszulkę i przykleiły wilgotną tkaninę do pleców. Skuliła się w obronie przed nagłym chłodem, który przeniknął jej ciało, niepewna, czy z powodu mokrego ubrania, czy też przez coś zupełnie innego. Objęła się ramionami, powstrzymując dreszcze, i zacisnęła zęby, co nie zapobiegło drzeniu brody. Z powodu zimna, ale i płaczu, na który zaczęło jej się zbierać, mimo że wydawało jej się to głupie. Na razie nie miała powodu do wylewania łez, chyba że z litości nad sobą i beznadziejną sytuacją, w jakiej się znalazła.

Podejrzewała, że spowodowało to wszystko naraz: deszcz, zimno i przede wszystkim samotność. Zwłaszcza to ostatnie, w pełnym tego słowa znaczeniu – potęgowanym świadomością, że mąż i córki są daleko, a ciotka, mimo że bliżej, staje się odległa w sposób symboliczny. W dodatku poczucie to wzrastało z każdą chwilą, rodziły się kolejne wątpliwości, a to nie pozwalało się uspokoić. Laura łudziła się jeszcze, że ten dziwny stan minie, kiedy wreszcie wszystko sobie z Heleną wyjaśnią, z jednoczesną świadomością, że już nic nie będzie takie, jak wcześniej.

Już na ganku pożałowała, że nie schroniła się w samochodzie. Przed deszczem, zimnem i wstydem z powodu swojego absurdalnego zachowania. Tam byłoby łatwiej ochłonać. Teraz już było na to za późno. Nie tylko dlatego, że przez uginające się kolana, ogólne rozdygotanie i jednoczesną sztywność mięśni nie była w stanie zrobić nawet kroku. Czuła, że powinna zostać tu, gdzie jest.

Deszcz zaczął coraz mocniej i wąski daszek werandy wcale już przed nim nie chronił. Wokół rozlewały się wielkie kałuże wody rozpryskiwanej przez coraz silniejsze strugi deszczu. Wiatr porwał gdzieś wycieraczkę i połamał łodygi fuksji w drewnianej skrzynce przytwierdzonej do balustrady, a teraz tarł mokre włosy Laury. Wokół wirowały liście i drobne gałązki, smagały ją w twarz i odsłonięte ramiona.

Przywarła plecami do drzwi, starając się ukryć w ich wnęce. Z lękiem patrzyła w niebo, które właśnie przecięła długa, rozgałęziona błyskawica przypominająca sznury lśniących pereł. Laura liczyła bezgłośnie sekundy do odgłosu uderzającego pioruna. Robiła tak w dzieciństwie po to, by sprawdzić, jak daleko jest burza. Nauczył ją tego ojciec, gdy ze strachu przed jej pomrukami chowała się w szafie i kulila przerażona, dopóki nie ucichła. Mówił, że nie wypada bać się burzy, gdy jest się taką dużą i mądrą dziewczynką. Starła się wtedy zapanować nad obehwładniającym ją lękiem, pokazać tacie, jaka jest dzielna, ale nie potrafiła.

To samo działo się z nią i teraz.

– Jeden... dwa... Trzy kilometry. Cztery... pięć... sześć... – szeptała po kolejnym już błysku. Zupełnie jak kiedyś, wspólnie z ojcem. – Jeden, dwa... – Oburącz chwyciła się za głowę, gdy tym razem huk rozległ się szybciej.

– Nie bój się... – Usłyszała we własnej głowie głos ciotki Helenki. Brzmiał dokładnie jak wtedy, gdy otwierała drzwi starej szafy i kuciała obok, wyciągając ramiona do zdrętwiałej ze strachu Laury. – Jesteś bezpieczna.

Tylko tam bała się nieco mniej, wciśnięta pomiędzy płaszcz ojca a pachnące naftaliną futro matki, w które lubiła się wtulać, choć łaskotało ją w nos. Za każdym razem gdy matka, ignorując pobłażliwe uśmiešky ojca, zapalała w oknie gromnicę. Na wyraźne życzenie babki Zofii, która wierzyła, że to odegna burzę i ochroni dom przed jej skutkami. Potem Irena wołała córkę na wspólne odmawianie modlitw do świętego Antoniego z Padwy, świętego Floriana i świętej Agaty, ale Laura od wsparcia tyłu patronów wołała swoją szafę. I towarzystwo ciotki Helenki, która nie wyciągała jej siłą ze środka jak ojciec, ale też nie pozwalała tkwić w ciemnawych czeluściach samotnie.

– Chodź, pokażę ci, jak oswoić burzę – mówiła i wyciągała ręce do przestraszonych dziewczynki.

– Nie da się tego zrobić – pouczała ją Laura. – Ona jest zbyt potężna. I zła.

– Ależ oczywiście, że się da. Nauczymy ją tańczyć, wtedy się wyciszy i spotulnieje.

– Nie umiem.

– Pokażę ci, to łatwe. – Helena zachęcała ją łagodnie. – Zapomnisz o strachu, gdy tylko zatańczymy razem. My i burza. Zobaczysz.

– Nie chcę – odpowiadała. – Tu jest mi dobrze.

Widziała, jak ciocia tańczy, i była pewna, że nigdy nie uda się jej zatańczyć tak samo. Wstydziła się nawet próbować. Wołała po prostu patrzeć na roztańczoną Helenę i wyobrażać ją sobie na wzór leśnej rusalki pogrążonej w fascynujących płasach. To było równie przyjemne jak myśl, że mogłaby zatańczyć sama.

– W porządku. – Ciotka przysiadła na skraju mebla i łaskotała ją w stopy. – Możemy tu zostać. Jeśli się trochę przesuniesz, zmieścimy się obie.

– Nie mogę, tam dalej jest już Narnia – odpowiadała i znacząco kładła palec na ustach.

– Zabierzesz mnie tam kiedyś? – pytała ciotka, na co Laura uśmiechała się tajemniczo i wdzięcznym ruchem odrzucała do tyłu swoje piękne, długie do pasa włosy, z miną królowej, która się waha.

– Och, może w końcu to się zdarzy – mówiła wreszcie, starając się, by w jej głosie pobrzmiwała życzliwa królewska łaskawość.

Ciotka kiwała wtedy głową z udawanym zrozumieniem i składała jej prawdziwie dworski ukłon.

– Na pewno się zdarzy, moja cudowna dziewczynko – powtarzała za każdym

razem. – Przyjdzie kiedyś taki czas, że otworzą się przed tobą drzwi Narnii i każde inne. Musisz tylko odważyć się przez nie przejść. A wtedy wszystko będzie możliwe. Zostaniesz królową całkiem nowego świata, o wiele lepszego niż ten obecny.

– Chciałabym, żeby to się stało już teraz – odpowiadała Laura, mimo że nie do końca rozumiała, co ciocia Helenka ma na myśli, mówiąc o wielu drzwiach i nowym świecie. Ona przecież marzyła tylko o Królestwie Narnii. Najwspanialszym ze wszystkich. – Mogłabym zabrać tam ciebie, mamę i tatę – dodawała.

Nigdy nie wymieniła babci Zofii. Czuła, że ją też powinna uwzględnić, ale nie potrafiła. Nie chciała widzieć w swoim świecie chorych i smutnych ludzi. Wtedy nie byłby doskonały, a ona tylko tego pragnęła. Idealnego świata dla siebie i swoich najbliższych. Czy go w końcu znalazła? Dotychczas sądziła, że tak. Stworzyła go sobie sama w mieszkaniu na Rudawskiej i we własnym sercu. Dla siebie, męża i córek. Nowy lepszy świat, ten, który obiecywała jej ciotka. Nie było w nim co prawda rodziców, zbyt oddalonych, by nazwać ich jego częścią, ale z pewnością należała do niego Helena. Właściwie od początku. Czy miała w nim pozostać? Na to pytanie Laura nie umiała odpowiedzieć, a jeszcze bardziej nie chciała.

Zamarła sparaliżowana strachem, słysząc kolejny grom. Teraz jeszcze bliżej, prawie tuż obok. Przerazona przytuliła się mocniej do drzwi i przyciągnęła do siebie torebkę, w której miała listy Josephine. W drugiej ręce wciąż ścisnęła klucz. Rozwarła palce i przyjrzała się mu z wahaniem. Kolejne uderzenie pioruna niemal tuż przy jej uchu sprawiło, że mimo drżących ze strachu i zimna dłoni błyskawicznie wetknęła go do zamka, przekręciła i pchnęła z impetem drzwi. Z ulgą zatrząsnęła je ze sobą, a potem od razu pobiegła do swojego pokoju na piętrze. Instynktownie i bez zastanowienia, jakby to tam właśnie znajdował się upragniony azyl, w którym miała szansę poczuć się wreszcie bezpieczna.

Zatrzymała się w progu zaskoczona. Patrzyła na zaścielone łóżko i swoją płócienną koszulę do spania. Czysta, wyprasowana i równo złożona czekała na poduszce. Pokój był wyraźnie przygotowany na przyjazd Laury, świadczyły o tym również przyniesione z ogrodu świeże kwiaty w wazonie na biurku, dzbanek z wodą mineralną i czysta szklanka.

Obok leżał też album ze zdjęciami. Ten sam, który Laura oglądała przed wyjazdem do Francji. Z pewnością wtedy został na dole, więc ciotka musiała go tu przynieść.

– Po co? – mruknęła Laura do siebie, ale mimo to podniosła go z biurka.

Przysiadła na brzegu łóżka, ostrożnie, by nie wygnieść pościeli. Chwilę ważyła album w rękach niezdecydowana, w końcu przerzuciła kilka kartek. Od niechcienia, prawie nie patrząc. Z umiarkowanym zainteresowaniem zerknęła

jedynie na stronicę, która wcześniej była pusta. Zdjęcie Leonii z lalką wróciło na swoje miejsce. Laura przyglądała się mu chwilę, czując, jak narasta w niej irracjonalny niepokój. Pomyślała, że to przez lalkę, która nieodmiennie napawała ją lękiem i powodowała wstręt. Niemal poczuła pod palcami pukle jej włosów, usłyszała ich suchy trzask. Wzdrygnęła się z obrzydzeniem. Czym prędzej przewróciła kolejne i kolejne strony albumu, aż do końca, ledwie omiatając wzrokiem fotografie. Dopiero ostatnie zdjęcie sprawiło, że zatrzymała się przy nim na dłużej. Było tu nowe, ale dla Laury znajome. Widziała je jednak w całkiem innym albumie.

Tym, który znalazła w sypialni Josephine.

Laura ze ściśniętym gardłem patrzyła na młodziutką Helenę i towarzyszące jej dwie śliczne dziewczynki.

– Mania i Mela – szepnęła bezwiednie. – Marie Anne i Amelie.

Zdjęcie znalazło się tu nie bez powodu. Nie miała co do tego złudzeń. Ciotka dawała jej wyraźny znak, że jest gotowa, by wreszcie wyznać prawdę. Wyjaśnić, co skłoniło ją do jej zatajenia, i opowiedzieć, co zdarzyło się we Francji wiele lat przed narodzinami Laury. I co najważniejsze, wyjawić powód, dla którego tak długo trzymała wszystko w ukryciu.

– Dlaczego tego nie zrobiła, zanim tam pojechałam? Na co liczyła? Przecież musiała wiedzieć, że niebawem sprawa się wyda. Może miała jeszcze nadzieję, że jednak jakimś cudem tak się nie stanie? – Zastanawiała się Laura, znów zawiesiwszy wzrok na ostatnim zdjęciu. – Ale jeśli wkleiła je tutaj, domyśliła się, że prawda wyszła na jaw. Albo ktoś jej o tym doniósł, pomyślała, wzdrygając się na myśl o tajemniczych uczestnikach jeszcze bardziej tajemniczej mistyfikacji, o których wspominały Amelie i Veronique.

Odłożyła album na szafkę nocną. Chwilę krążyła po pokoju, trzymając się za rozpalone policzki.

– Czy to możliwe, że ciotka już wie o tym, co stało się we Francji? – Wypowiedziała na głos najważniejsze w tej chwili pytanie. – A jeśli tak, to skąd? Czyżby Amelie...?

Przypomniała sobie rozmowę z panią Lusią. To sprawiło, że zbiegła na dół, od razu do sypialni Heleny. Stała przed starą masywną komodą, gdzie ciotka trzymała biżuterię, chusty, szale, letnie kapelusze i różne inne drobiazgi, którymi Laura lubiła się bawić, gdy była małą dziewczynką. Nie musiała wówczas pytać o pozwolenie. Otrzymała je od ciotki bezterminowo i mogła przeglądać zakamarki starego mebla do woli. Czy to pozwolenie obowiązywało również dziś?

Laura nie miała dotąd powodu, by się nad tym zastanawiać, ani też potrzeby, by szperać w rzeczach ciotki. Z zabawy błyskotkami i guzikami wyrosła dawno temu, a przybory do szycia, których czasem używała, stały na wierzchu w specjalnym przyborniku, tuż obok kasetki z biżuterią. W tej z kolei Laura nawet

bez otwierania wiedziała, co znajdzie. Kilka sznurów koralii z drewnianych i szklanych paciorków, bransoletkę z cieniutkiego srebrnego łańcuszka i parę kolorowych broszek, które Helena nosiła najczęściej. Trzymała je w osobnej przegródce, oprócz tej z kameą, którą odkładała do osobnego wyściełanego welurem pudełeczka i chowała do górnej szuflady.

Laura z trudem wysuwała z kieszeni wciąż mokrych dżinsów amarantowy koralik. Zamknęła oczy i spróbowała odtworzyć w pamięci całą zawartość szkatułki, szukając pośród niej czegoś o podobnym kolorze i kształcie. W końcu zrezygnowała. Na niektóre sznury nanizane były tak różnorakie paciorki, że nie sposób było wszystkich spamiętać. Kiedyś, gdy wyobrażała sobie, że jest królową Narnii, lubiła owijać sobie nimi przeguby rąk i obserwować, jak łączą się kolory, przez ich wielorakość za każdym niemal razem w innym porządku, zupełnie jak w kalejdoskopie.

Ostrożnie uchyliła szkatułkę. Przez moment przyglądała się jej zawartości ze zmarszczonym czołem. Nie zauważyła, by cokolwiek z biżuterii było uszkodzone, ale z pewnością czegoś brakowało. Niektóre przegródki były puste.

– Nie ma większości koralii – zdziwiła się głośno i dla pewności wyłożyła wszystko na blat komody, żeby obejrzeć dokładniej. Szybko zorientowała się, że wśród tych, które zostały, nie ma pasujących do znalezionej paciorka.

Z wahaniem zerknęła na szuflady. Musiała tam zajrzeć, nawet jeśli czuła się przez to niezręcznie. By odwlec to w czasie, zerknęła jakby od niechcienia do kuferka z przyborami do szycia i otworzyła ze zdumienia usta. Na wierzchu leżała szpulka srebrnych nici. Identycznych jak ta przy znalezionym koraliku.

Po otrząśnięciu się z niewielkiego szoku zdecydowanie otworzyła pierwszą szufladę, ale jedynie wzrokiem prześlizgnęła się po jej zawartości. Potem zajrzała do zamszowego pudełka, w którym tak, jak przewidywała, znajdowała się broszka z kameą. Zanim zamknęła zamszowe wieczko, przyjrzała się jeszcze ukrytym w oprawie literom.

– ONA – ON – ONO – przeczytała na głos i myślami powędrowała do pokoju na piętrze domu przy Rue Arthur Saily, gdzie na biurku wyryto identyczne słowa.

Kolejna rzecz, którą należało wyjaśnić...

Otworzyła niższą szufladę pełną kolorowych chust. To przypomniało jej o upominku, który został w bagażniku samochodu, delikatnej apasce kupionej w butik na francuskim lotnisku. Kolejnym z wielu prezentów, które Laura podarowała dotąd Helenie przy różnych okazjach. Ciotka bardzo lubiła szale i kolekcjonowała je namiętnie. Podobnie jak koronkowe kapelusze ze sznurka lub słomy, które dawniej dekorowała żywymi kwiatami zerwanymi w ogrodzie lub na łące. Laura uśmiechnęła się mimowolnie, dotykając jednego ze swoich ulubionych, białego z ogromnym falującym rondem. Czasem go sobie pożyczła. Z trudem

stłumiła odruch, by znów go przymierzyć. Powstrzymała ją jedynie myśl, że powinna jak najszybciej opuścić pokój. Krople deszczu przestały już tak mocno bębnić o szyby, a to znaczyło, że ciotka, jeśli schroniła się gdzieś przed burzą, lada moment mogła wrócić do domu.

Wygładziła szybkim ruchem apaszki zmierzwione lekko po tym, jak w końcu pod nie zajrzała, żeby sprawdzić, czy nie ma wśród nich brakujących koralików, i złożyła w równy stos wszystkie kapelusze. Dosunęła szuflady, ale zakłęła cicho pod nosem przy najniższej, ponieważ zaklinowała się w połowie. Nie dała się przesunąć nawet o milimetr. Laura schyliła się, usiłując dojrzeć, co ją blokuje, niestety uniemożliwił jej to ciągły poburzowy półmrok, który panował w pokoju. Wsunęła ramię pod komodę i wymacała kanciasty kształt. Szuflada zapierała się o niego i dlatego nie chciała się zamknąć. Zupełnie jakby ktoś wsunął pod komodę przedmiot, który nie do końca się pod nią mieścił, bo był minimalnie wyższy niż jej nóżki.

Laura wstała z kolan i uniosła z wysiłkiem mebel, dopychając jednocześnie stopą szufladę, która tym razem domknęła się z głośnym trzaskiem. Laura obejrzała się niespokojnie na drzwi. Po namyśle jednak znów się pochyliła i zerknęła pod komodę. Dostrzegła zarys ciemnego kanciastego przedmiotu. Spróbowała go wydobyć, jednak bezskutecznie. Rozejrzała się bezradnie, gdy jej wzrok padł na półkę z książkami. Sięgnęła po dwie leżące najbliżej i podłożyła pod przednie nóżki komody. Tym razem już bez trudu przesunęła w bok tajemniczy przedmiot. Nie wydobyła go jednak, zdjęta nagłym niepokojem i irracjonalnym przeświadczeniem, że coś jest nie tak. Znów zerknęła za siebie ze strachem. Nie działo się nic niepokojącego, wokół panowała cisza charakterystyczna dla tej, która występuje zwykle przed nawałnicą, a nie po burzy.

Laura pochwyciła kilka nerwowych oddechów i po raz kolejny wsunęła rękę w czeluść. Po bardzo krótkim wahaniu wydobyła stamtąd sporą drewnianą skrzynkę z pociemniałego na obrzeżach drewna. Spojrzała na jej wieko.

– Oko Horusa – wyszeptała bezwiednie. – Josephine... Skąd to...?

Zakryła usta, żeby stłumić krzyk. Zdumienia, ale i przerażenia, ponieważ dokładnie w momencie, w którym pomyślała o Josephine i jej zaginionej w niewyjaśnionych okolicznościach szkatule, poczuła na ramionach zimny ciężki dotyk. Usiłowała poderwać się na nogi i wywinąć z nagłego uścisku, ale okazało się to zbędne, ponieważ w tym samym momencie została wyswobodzona.

Wciąż siedząc na podłodze, patrzyła na zastygłą nad nią w kompletnym bezruchu ciotkę Helenę. Strach, który jeszcze chwilę wcześniej zawiązał Laurze gardło, przepadł, a na jego miejscu pojawiły się zażenowanie, wstyd, a ostatecznie złość.

Opuściła wzrok, przenosząc go na wieczko znalezionej chwilę wcześniej pudełka, a potem znów podniosła spojrzenie na ciotkę. Nie musiała pytać o to, co

właśnie odkryła pod komodą, bo to już wiedziała. Miała przed sobą szkatułkę z wielkim czarnym okiem, którą opisała jej Josephine, a która, zgodnie z jej wskazówkami, powinna się znajdować w schowku za atrapą kominka w Tergnier.

– Skąd to masz? – spytała Laura zimno. Przełknęła z trudem ślinę i spojrzała prosto w chłodne szare oczy ciotki. – Skąd masz szkatułkę Josephine?

Poczucie déjà vu powróciło, w dodatku silniejsze i nawet bardziej dojmujące niż wcześniej.

Od zbyt długiej chwili siedziały przy kuchennym stole naprzeciwko siebie. Milczały. Dokładnie tak samo, jak tuż przed podróżą Laury do Francji, ale tym razem w ciszy, jakby każda czekała na to, co powie druga, i że odezwie się pierwsza.

Pomiędzy nimi znów leżał album ze zdjęciami. To on stał się powodem sprzeczki z ciotką wówczas, gdy Laura znalazła zdjęcie Leonii z lalką. Dziś w powietrzu wisiało coś znacznie poważniejszego niż kłótnia. Wszystko za sprawą niepozornej drewnianej szkatułki wydobytej spod komody w sypialni, poczerńiałej ze starości, miejscami lekko zbutwiałej i... nadal zamkniętej. Laura wciąż nie wiedziała, gdzie znajduje się klucz, ale o wiele ważniejsze było dla niej to, co zostało obnażone dzięki niespodziewanemu znalezisku. Kolejne kłamstwa Heleny.

Powinna zadać wreszcie pytanie, które od dawna miała ułożone w głowie, ale wciąż bała się odpowiedzi, którą mogła usłyszeć. Gdy w końcu zebrała się w sobie, Helena pchnęła lekko w jej stronę kubek z kawą, którą zaparzyła, zanim usiadła. Laura odsunęła go od siebie, trochę zbyt gwałtownie, wychlapując kilka

dużych brązowych kropel na stół i własne ręce.

– Nie chcę. Nie lubię kardamonu – oświadczyła sucho.

Ciotka uniosła jedynie brwi, ale nic nie powiedziała. Sięgnęła po kubek i wylała jego zawartość do zlewu. Potem znów usiadła i upiła kilka łyków ze swojego.

– Wiem, skąd ją masz. – Laura wskazała brodą szkatułkę. – Ale nie mam pojęcia, jak do ciebie trafiła. Powiesz mi?

Nie otrzymała odpowiedzi.

– Czy to ma coś wspólnego z twoim wyjazdem do Warszawy? – spytała znów.

Ciotka podniosła na nią zdziwiony wzrok, na co Laura uśmiechnęła się smutno.

– Zdradzisz mi, co robiłaś w moim mieszkaniu?

Helena tym razem wyraźnie się zmieszała.

– Przepraszam. Powinnam była wyznać ci to już dawno temu.

– Jednak tego nie zrobiłaś.

– Wstydziłam się. – Nabrała szybko powietrza. – Bo przydarzyła mi się dość niezręczna sytuacja. Zgodziłam się na pewne spotkanie. Z mężczyzną. To było głupie i niepotrzebne. W dodatku spóźniłam się na autobus, musiałam gdzieś przemocować, a wiesz, jak nie lubię hoteli... Przepraszam – powtórzyła.

Laura obserwowała ją uważnie, chcąc wy badać, czy kłamie. Nie było najmniejszych wątpliwości, że tak. I chyba dlatego nie dopytywała o więcej. Nie pokazała amarantowego koralika, który wciśnięty do tylnej kieszeni spodni uwierał ją w pośladek. Przewidywała kolejne, równie idiotyczne matactwa. Dlatego machnęła tylko ręką na znak, że przyjęła do wiadomości pokrętnie tłumaczenie, a potem znów wskazała szkatułkę.

– Jak znalazła się tutaj, skoro jeszcze niedawno była w domu Josephine?

Ciotka nadal milczała, kryjąc część twarzy za przechylonym kubkiem, jakby usiłowała zyskać na czasie. Laura pomyślała, że być może szuka w głowie nowego, dostatecznie wiarygodnego kłamstwa. Mimowolnie dotknęła torebki przewieszanej przez oparcie krzesła. Listy od Josephine były ostatnią deską ratunku i być może jedynym sposobem na wydobycie z Heleny prawdy. Na razie porzuciła pomysł, by jej o tym powiedzieć. Wciąż nie znała ich treści, mogły zawierać cokolwiek. Poza tym ciotka mimo wszystko zasługiwała na szansę, by dobrowolnie przyznać się do wszystkiego.

– Nie mogę zdradzić, skąd ją mam – odezwała się nieoczekiwanie. – A przynajmniej jeszcze nie teraz.

– Czy dlatego, że kogoś kryjesz? Nie wierzę, że pojechałaś za mną do Tergnier, ktoś musiał ci ją tutaj dostarczyć. – Laura urwała na moment. Przełknęła głośno ślinę. W końcu przechyliła się przez stół i zajrzała ciotce prosto w oczy. –

Czy to ta sama osoba, która jest odpowiedzialna za to, co... stało się z Josephine?

Helena poruszyła się niespokojnie, ale nie od razu odpowiedziała. Znów podniosła do ust pusty już kubek, po czym odstawiła go z roztargnieniem. Laura zdążyła zauważyć, jak zadrżały jej usta.

– Była przyrodnią siostrą mojej matki i moją przyjaciółką. Jak możesz w ogóle... – Na moment ukryła twarz w dłoniach. – Nie pozwoliłabym jej skrzywdzić. Nigdy – dodała już nieco spokojniej.

– Ale odebrałaś jej tę szkatułkę! Rozumiem, że nie sama, nietrudno jest komuś coś takiego zlecić. Dlaczego to zrobiłaś?

– Dla jej własnego dobra.

– Dobra? – Laura nie posiadała się ze zdumienia. – Przecież Josephine umarła! Co może być w tym dobrego?

– Czasem śmierć jest najlepszym rozwiązaniem.

– Czyli...? – Laura poczuła w żołądku bolesny skurcz. Nie była pewna, czy chce słuchać dalej. Niczego już nie była pewna. Samo posądzanie ciotki o kłamstwo przychodziło jej z trudem. A to, że Helena mogła przyczynić się do czyjejs śmierci, wręcz nie mieściło się jej w głowie. – Czy ty...? – Nie była w stanie wydusić z siebie więcej.

– Ależ nie! – Ciotka potrząsnęła energicznie głową i nerwowo potarła skronie. – To ona sama... Sama dokonała wyboru.

– Moim zdaniem to niemożliwe – powiedziała cicho Laura. – Była zdeterminowana, żeby to, co sobie zaplanowała, doprowadzić do końca. Pragnęła poukładać wszystkie swoje sprawy. Ciągłe powtarzała, że tylko wtedy będzie mogła odejść w spokoju. Poza tym chciała mnie jeszcze raz widzieć, żeby dokończyć naszą rozmowę, prosiła, żebym jej to przyniosła.

Wyciągnęła rękę, żeby dotknąć szkatuły, cofnęła ją jednak w ostatniej chwili.

– Ale zrozumiała w samą porę, że nie powinna... Że popełniłaby błąd – wyszeptała Helena ledwie słyszalnie.

– Dlaczego? – Laura wciąż nie spuszczała z niej wzroku.

– Powiedziałam już. To nie był właściwy czas.

– A teraz? Czy teraz jest już ten właściwy? Mogę wreszcie otworzyć to głupie pudełko i przekonać się, co w nim jest? I dowiedzieć się wreszcie, o co w tym wszystkim chodzi?

Mówiąc to, wyciągnęła obie ręce, ale Helena ją uprzedziła. Zagarnęła szkatułę i przycisnęła do piersi.

– Potrzebny jest klucz – wyszeptała jeszcze ciszej. – Bez niego nie da się nic zrobić, uwierz mi.

– Przecież to tylko zbutwiałe pudło. Wystarczy czymś podważyć albo po prostu uderzyć...

– Nie. – Helena jeszcze mocniej przytuliła szkatułkę. – Musi być klucz – powtórzyła z uporem i teraz już głośno. – Inaczej...

– Inaczej co? Uwolnimy złośliwego dzina czy coś równie okropnego? Jak z puszki Pandory? – Laura usiłowała żartować. Mimowolnie próbowała rozładować napięcie i coraz cięższą atmosferę. – Rozpęta się burza i spadną na nasze głowy dyscyplinarne gromy? – Zaśmiała się trochę nerwowo.

– Stanie się coś znacznie gorszego. – Helena niestety nie podjęła żartu.

Śmiertelna powaga na jej twarzy sprawiła, że i Laura przestała się uśmiechać. W dodatku gdy znów zajrzała w oczy Heleny, poczuła przejmujący dreszcz. Dlatego wstała na chwilę, żeby otrząsnąć się z dziwnego wrażenia, ale od razu oparła ręce o poręcz krzesła, ponieważ zakręciło się jej w głowie. Tym razem na twarzy Heleny dostrzegła niemal wyłącznie troskę. Laura pożałowała, że odmówiła przyjęcia kawy. Teraz z chęcią by się jej napiła, nawet z nie ulubianymi dodatkami. Z trudem radziła sobie z suchością w ustach, a parzenie sobie kawy albo herbaty w takim momencie wydawało się nie na miejscu. Ostatecznie naląła do kubka wody z kranu, wypila łąpczywie. Dołała sobie na zapas, po czym wróciła do stołu.

Ciotka obserwowała wszystko bez słowa, wodząc jedynie za nią wzrokiem.

– Powiedz, proszę, ciociu – zaczęła Laura łagodnie, walcząc z niespodziewanym drżeniem w głosie. – Cóż za straszne plagi i dopusty Boże ukryto w tym nieszczęsnym pudełku, że nie można go otworzyć?

Splotła ręce na stole i zastygła w oczekiwaniu.

– Nie powiedziałam, że nie można, tylko że musi być klucz – odparła Helena. – Bez klucza nie wolno.

– Wiesz, gdzie jest?

– I tak, i nie.

– Nie rozumiem.

– To trudne.

Laura westchnęła. Nie zadała kolejnego pytania. Zamiast tego otworzyła ostatnią stronę albumu i wskazała znajdującą się tam fotografię.

– Dlaczego nie powiedziałaś, że doskonale wiesz, kim jest Josephine Berthier, gdy odradzałaś mi wyjazd do Francji? – odezwała się po chwili, nie zdolawszy powstrzymać wyrzutów, które zabrzmiały w jej głosie. – Przecież oszczędziłoby to wszystkim wielu kłopotów. Może nawet wcale bym tam nie pojechała.

– Pojechałabyś, i to jeszcze szybciej, wiesz o tym równie dobrze jak ja. – Helena machnęła ręką. – Dlatego musiałam chociaż spróbować cię zatrzymać. Dla twojego dobra. I jej zresztą też.

– Mówisz o Josephine? – Laura poczuła chłód na policzkach. – Ale chyba nie próbujesz mi wmówić, że... Że to, co się stało, to moja wina.

Przypomniały jej się słowa Veronique. Że powinna jak najszybciej wyjechać z Francji, bo przez nią komuś może stać się krzywda. Tłumaczyła sobie, że to bzdura, nadal tak uważała, a mimo to czuła nasilający się ucisk w gardle.

Tymczasem Helena milczała, jakby się nad czymś zastanawiała.

– Nie. To nie jest twoja wina – powiedziała w końcu i znów zamilkła.

Rozmowa stawała się coraz dziwniejsza. Z jednej strony Laura pragnęła ją jak najszybciej zakończyć, z drugiej nie mogła się na to zdobyć. Nie potrafiła też zdefiniować uczuć, jakie żywiła w tej chwili do ciotki. Żal? Zawód? Bo na pewno nie niechęć. Bez względu na wszystko nie potrafiłaby jej odtrącić. Nawet na krótko. Słowa „na zawsze” nie mieściły się jej w głowie i wręcz napawały przerażeniem.

– Dlaczego nie opowiedziałas mi o Amelie i Marie Anne? – Znów wskazała zdjęcie. – Dlaczego tyle przede mną ukryłaś?

– Jeśli ci powiem, nie da się niczego cofnąć.

– A nie wydaje ci się, że jest już trochę za późno na podobne refleksje? Bo chyba zdarzyło się zbyt wiele, by zostawić wszystko tak, jak jest, nieprawdaż?

Helena kiwała głową, jakby godząc się ze słowami Laury.

– Masz rację. – Potwierdziła to wrażenie. – To się już dzieje i chyba nie da się zatrzymać. Powinnam była przyjąć to do wiadomości, jeszcze zanim tam pojechałaś, posłuchać rady mądrzejszych ode mnie. Teraz dopiero widzę, że popełniłam błąd. Ale to wszystko dlatego, że bardzo się bałam. – Zacisnęła na chwilę powieki. – Bałam się, że to się powtórzy. Tak jak wtedy, gdy Marie Anne...

Zamilkła, a spod wciąż zaciśniętych powiek potoczyło się kilka łez. Otarła je szybko.

Laura poczuła się nieswojo. Całą sobą pragnęła przytulić ciotkę albo przynajmniej pogłaskać po dłoni, którą ta położyła na stole, dotykając ledwie czubkami palców rozłożonego albumu, ale czuła, że nie powinna. Jeszcze nie teraz. Schowała własne ręce pod stół i zacisnęła w pięści.

– Co przydarzyło się Marie Anne? Jak umarła? – spytała, by natychmiast poczuć znów, że wcale nie chce wiedzieć. Nie umiała wyjaśnić tego dziwnego wrażenia. Było irracjonalne, a jednocześnie realne i silne.

– Wybrała dla siebie drogę, którą uznała za najwłaściwszą – odparła Helena wolno. – Tak jak Josephine.

– Podobnie mówiła Veronique LeBlanc, ale ona nie wspomniała, że... – Urwała, ponieważ nagle zrozumiała. Veronique wyraźnie powiedziała, że Marie Anne wybrała taką właśnie drogę ucieczki.

Laura przechwyciła zdziwione spojrzenie Heleny, prawdopodobnie wywołane wypowiedzianym na głos nazwiskiem. A to oznaczało, że nie wiedziała o spotkaniu w Noyon. Z jakiegoś powodu jednak nie dopytywała o nie. Może zamierzała zrobić to później? Laura uparcie przyglądała się ciotce w nadziei, że

zaprzeczy podejrzeniom, ale z jej mimiki niewiele można było wyczytać. Twarz miała nieruchomą, się wzrok skierowany gdzieś w bok. Laura natomiast odtworzyła w pamięci słowa Amelie. O wypadku i o tym, że nic nie można było zrobić, bo jej siostra była zbyt uparta. Dopiero teraz zrozumiała ich sens. Po plecach spłynęła jej zimna strużka potu. Już nie miała wątpliwości. Wiedziała, co się stało z Marie Anne.

– Tylko że przecież Josephine nie popełniła samobójstwa, jestem o tym przekonana – wykrztusiła i dopiero wtedy zdała sobie sprawę z wagi wypowiedzianych słów.

Bezwiednie opuściła wzrok na fotografię w albumie, z której patrzyła na nią dziewczynka o poważnych i smutnych oczach. Kłębiło się w nich zbyt dużo emocji, by dało się je wszystkie wyłowić i nazwać.

– Biedna Marie Anne nie udźwignęła ciężaru prawdy – wyszeptała Helena.

– Jakiej prawdy? Powiedz mi wreszcie!

Dotąd napotykała niemal wyłącznie kłamstwa, przez które coraz trudniej było uwierzyć w jakąkolwiek prawdę, a jeszcze bardziej ją rozpoznać. Czowała się tym znużona i sfrustrowana.

– Tej, której nigdy nie powinna poznać – odparła Helena. – Dokonała niewłaściwego wyboru. Dokładnie tak, jak ty, chciała wiedzieć za dużo, za szybko. I to ją zgubiło.

– Czego się dowiedziała? Powiedz mi, błagam!

– Odkryła, czyja krew płynie w żyłach jej matki. A tym samym jej własnej.

– Mówisz o ojcu Josephine?

Helena skinęła głową. Laura patrzyła na nią z niedowierzaniem.

– Mylisz się! – zaprzeczyła gwałtownie. – Veronique powiedziała, że nie udźwignęła odpowiedzialności za coś, co ją przerastało. Chodziło o jakieś zadanie do wykonania, coś, czego nie zdążyła zrobić Sara. Nie wspominała o żadnym przodku. Dobrym czy też złym. Poza tym jak bardzo nieludzki musiałby być ten mężczyzna, żeby aż tak wpłynąć na własną wnuczkę, doprowadzić ją do samobójstwa? To niedorzeczne.

– Masz rację, nie mógłby tego zrobić, będąc człowiekiem. I to właśnie zabiło Marie Anne. Świadomość, że ona i jej siostra są wnuczkami bestii. Diabła w ludzkiej skórze.

Nieustannie wpatrywała się w zaparowane lustro. Obserwowała w sinawej mgle, jak kropelki wody kapią z jej mokrych kosmyków, brody i nosa, moczą bluzkę. Pochyliła się i ochlapała twarz mocniej, znów nie oszczędzając włosów, które przylepiały się do policzków i czoła. Nie sięgnęła po ręcznik. Oparła dłonie o krawędź umywalki i patrzyła, jak z grzywki skapuje woda. Ze zdziwieniem zauważyła, że trzęsą jej się ręce. Nie panowała też nad drzeniem kolan. Opadła na podłogę i włożyła między nie głowę. Spróbowała wyrównać oddech, ale zamiast tego poczuła mdłości. I łzy cisnące się do oczu. Walcząc z ogarniającym ją poczuciem bezradności, wierzgnęła nogą, przewracając stojący nieopodal koszyk z ziołami i płatkami kwiatów, które ciotka wrzucała sobie do kąpieli. Patrzyła, jak po podłodze rozsypuje się kolorowy susz. Nie podeptała go tylko dlatego, że zabrakło jej sił, by wstać.

Nie wysłuchiwała wszystkiego. Mimo że sama o to zabiegała. Pożałowała swojej determinacji w dążeniu do wyjaśnienia wszystkiego do końca już po pierwszych słowach ciotki. Otrzymała w końcu prawdę, po którą tu przyjechała, a teraz dałaby wiele, by cofnąć czas i nigdy jej nie poznać.

Początkowo Laura parsknęła po prostu śmiechem. Teoria ciotki

o potomkiniach Szatana przypominała motyw z tandetnego horroru – stary, zużyty i wyjątkowo głupi. Usiłowała nawet obrócić to w żart, niestety bez powodzenia. Naszła ją nawet błyskotliwa myśl, że jeśli tylko Helena nie zwariowała, głosząc te wszystkie nedorzecznosci, usiłuje poddać Laurę jakiejś próbie. Nie spodobało się jej to, ale podjęła tę dziwną grę, dopóki nie zrozumiała, że to wcale nie jest idiotyczna zabawa. Ciotka nie żartowała ani w nic nie pogrywała. A Szatan, o którym nadal rozprawiała, nie był jedynie alegorią zła, które się wydarzyło wiele lat temu, ale przeczącą zdrowemu rozsądkowi postacią z krwi i kości.

Aleister. Imię, które po raz pierwszy padło z ust Veronique LeBlanc. To je wspominała Amelie, gdy opowiadała o traumie, z jaką mierzyła się jej babka nawet na łożu śmierci. Aleister, tak musiała krzyczeć, nie Alister, jak zapamiętała jej wnuczka. Nie było co do tego wątpliwości. Zbyt wiele słów Heleny zgadzało się z opowieścią Amelie, chociaż przynajmniej jedna z nich nie podejrzewała, co naprawdę było powodem cierpienia Sary. Czym rzeczywiście był ślad, który wyrzył w jej psychice tak głębokie i bolesne rany, że nie zabiły się do końca jej dni.

– Więc to był prawdziwy powód, dla którego odeszła z tamtego okultystycznego zakonu? Bo cierpiała, patrząc na człowieka, który tak potwornie ją skrzywdził? – Słowo „gwałt” wciąż nie przechodziło jej przez gardło.

Helena skinęła jedynie głową. Laura bezwiednie osłoniła własny brzuch w opiekuńczym, ale i obronnym geście, całkiem jak wtedy, gdy nosiła w nim swój największy skarb. Córki, które chroniła przed wszelkimi niebezpieczeństwami świata od momentu, gdy wynik testu ciążowego zapowiedział, a efekt badania USG potwierdził, że się na nim pojawia.

– Wiedziała, że urodzi dziecko, które już zawsze będzie jej o tym przypominać. – Laura skuliła się, jakby spodziewała się ciosu. – To potworne! Czy Amelie...?

– Nigdy nie poznała prawdy – odparła ciotka z przekonaniem. – Marie Anne wyjawiała ją tylko matce, jednak Josephine nie chciała jej słuchać. Uważała, że to tylko rojenia Sary, która przed śmiercią nie była już w pełni władz umysłowych, skoro powiedziała coś tak koszmarnego.

– Masz na myśli to, że nie powinna była wyznawać osiemnastoletniej wnuczce, że ją... – Laura przełknęła ślinę. – Że jej matka przyszła na świat w wyniku gwałtu?

– Nie wiem, nie mnie to oceniać. Zwłaszcza że to była tylko część prawdy. Sara przeżyła coś jeszcze gorszego niż gwałt. – Helena zamilkła na moment, jakby zreflektowała się, że powiedziała za dużo.

– Co może być gorszego od gwałtu? – Laura nie wierzyła własnym uszom.

– Nie chcesz tego wiedzieć. – W głosie ciotki pobrzmiwało zmęczenie. – Marie Anne też nie chciała. Ale nie powstrzymywała Sary, gdy to w końcu do niej dotarło, i pozwoliła jej mówić. Może przeczuwała, jakie to dla niej ważne? Czuła,

że jej babka już nie może dłużej tłumić w sobie tego, co przez tyle lat zatruwało ją od środka, w przeciwnym razie nie zdoła odejść w spokoju. Nie zamierzała jednak krzywdzić ukochanej wnuczki, dlatego ostatecznie nie wyznała wszystkiego. Niestety, nie doceniła jej inteligencji. Marie Anne sama domyśliła się reszty.

Laura, słuchając tego, wciąż kręciła głową z niedowierzaniem.

– Czyli Josephine w pewnym sensie miała rację? To były tylko domysły młodej i pewnie nieco przewrażliwionej dziewczyny z wybujałą wyobraźnią? A prawda mogła być zupełnie inna?

– Prawda jest zawsze tylko jedna. Tu też nie ma innej – odparła Helena, powstrzymując irytację. – Josephine zbyt późno zrozumiała, jak bardzo się pomyliła.

– Bo Marie Anne przez to targnęła się na swoje życie? – Laura wciąż nie dowierzała. – A Josephine poczuła się winna śmierci córki, ponieważ jej nie wysłuchała? Nie pomogła i nie była przy niej w trudnej dla niej chwili? Przecież to... To... – Laurze zabrakło tchu. – Pozwoliłaś, by ta biedna kobieta uwierzyła, że jest odpowiedzialna za śmierć własnego dziecka?

– Nie musiałam. Sama to zrozumiała. Marie Anne nie umiała sobie sama z tym poradzić. Dzieląc się poznaną prawdą, w jakiś sposób błagała matkę o pomoc w oswojeniu się z tym, czego się dowiedziała, usiłowała ją przekonać, że to wszystko nie zrodziło się jedynie w jej wyobraźni, ale czasem łatwiej jest odrzucić to, w co zbyt trudno uwierzyć, niż przyjąć do wiadomości. – Westchnęła z goryczą. – A można było wszystkiemu zapobiec, gdyby tylko ktoś wysłuchał Marie Anne do końca.

– Nie wiesz tego. Ani tego, co tak naprawdę działo się w głowie tej biednej dziewczyny, że zdecydowała się na tak desperacki krok. – Mimowolnie przypomniała sobie opowieści Amelie o nadzwyczajnych umiejętnościach siostry i związanych z tym domysłach, ale nie nawiązała do tego, uznawszy, że to nie jest najlepszy moment. – Ciebie też przy niej wówczas nie było. – Wbrew sobie wysunęła irracjonalne oskarżenie, które ciotka zignorowała albo nie dała po sobie poznać, że ją dotknęło.

– Masz rację – odparła spokojnie. – Tego się nie wie, zwłaszcza gdy ktoś odchodzi tak bezszelestnie, jak moja Marie Anne. Nie zostawiła nawet listu. Żadnego wyjaśnienia czy pożegnania. Po prostu połknęła tabletki i zasnęła. Bez bólu. Zadała go jedynie tym, którzy zostali...

Laura znów popatrzyła na fotografię w albumie, który nadal leżał pomiędzy nimi na stole. Przypomniała sobie, o czym pomyślała, gdy zobaczyła to zdjęcie po raz pierwszy. Że między Heleną a starszą siostrą Berthier było coś szczególnego, z czego na pewno została wykluczona młodsza.

– Gdy umiera dziecko, nikt nie cierpi bardziej niż matka – powiedziała, patrząc prosto w oczy ciotki.

Helena natychmiast opuściła wzrok, broniąc się przed tym spojrzeniem.

– Jeszcze nie tak dawno mówiłaś coś całkiem przeciwnego – odparła, wciąż uciekając spojrzeniem. – Usprawiedliwiasz Josephine, a nie uwierzyłaś w cierpienie własnej matki, wtedy gdy ty...

– To było coś zupełnie innego! Poza tym nie rozumiem, jak możesz... Właśnie ty, ciociu... – Laura gwałtownie zasłoniła uszy.

Z trudem powstrzymała się przed ucieczką i zapanowała nad płaczem. Musiała być silna. Dużo silniejsza niż wtedy, gdy naprawdę wierzyła, że matkę nie obchodzi jej strach. Teraz rozumiała, że było inaczej. Niektórzy nie potrafią otworzyć się na cierpienie innych, gdy sami są pogrążeni w bólu. Tak, jak jej matka, która zamknęła się w sobie ze wszystkim, co wówczas przeżywała. W dodatku tak szczelnie, że Laura nie miała innego wyjścia, jak zostać na zewnątrz i radzić sobie z własnymi emocjami w pojedynkę. Bez matki i ojca, bo on z kolei okazał się zbyt słaby, by patrzeć na nieszczęście własnego dziecka, i wołał po prostu odwrócić głowę. Dziś Laura wiedziała, jak było naprawdę, niestety nadal nie rozumiała, dlaczego nie zachowali się tak, jak z pewnością postąpiłaby ona, gdyby któreś z jej córek przydarzyło się coś równie potwornego.

– Nie powinnaś mnie oceniać – szepnęła, gdy ciotka wreszcie podniosła na nią wzrok. Pomyślała o przeszczepie szpiku kostnego, który ją uzdrowił, i o tym, że Helena jako jedyna w rodzinie mogła być dawcą. Nagle pożałowała, że zgodność antygenów nie gwarantuje porozumienia między nimi w każdym innym aspekcie, może wtedy byłoby im łatwiej. – Nawet ocalenie mi życia nie daje ci aż takiego prawa – dodała z gorczycą.

– Przepraszam, ja... – Na twarzy Heleny malował się żal. – Nie wiem, dlaczego to powiedziałam.

– Może dlatego, że nigdy nie zrozumiesz, co czuje matka wobec własnego dziecka. Dlatego też tak łatwo przychodzi ci oskarżanie Josephine.

Zemściła się w sposób najokrutniejszy z możliwych. Helena nie poznała smaku macierzyństwa, chociaż bardzo tego pragnęła, ponieważ tak ułożyło jej się życie. Nigdy o tym nie rozmawiały, ale Laura nie miała wątpliwości, że uderzyła w najczulszą strunę. Potwierdziły to łzy, które potoczyły się po policzkach kobiety. Wytarte pośpiesznie, pozostawiły mokry ślad na pomarszczonej dłoni. Milczała, podobnie jak Laura. W odwecie za kłamstwa zraniła ciotkę tak mocno, jak to tylko było możliwe, a mimo to nie poczuła ulgi. Zamiast niej ogarnęło ją potężne poczucie winy. Kolejne słowa mogły być już tylko przeprosinami. Lecz ona nie była w tej chwili na nie gotowa. Wciąż miała w sobie zbyt dużo żalu. Dlatego zamilkła, przełykając jedynie łzy.

– Josephine bardzo przeżyła śmierć Marie Anne, ale nie mogła sobie pozwolić na żałobę, jakiej w rzeczywistości potrzebowała. Musiała przecież zadbać o Amelie. – Helena odezwała się po bardzo długiej chwili, której pewnie

potrzebowała, by odzyskać równowagę. – Nie wyobrażała sobie, że mogłaby stracić również drugą córkę. Dlatego postanowiła, że nie popełni znów błędu i nie dopuści do kolejnej tragedii. Nigdy nie wyjawiała Amelie, czego dowiedziała się od Marie Anne. Chroniła ją przed prawdą, którą chyba też sama w końcu wyparła ze świadomości. Jakby się bała, że jej nie udźwignie, tak jak jej starsza córka. A potem postanowiła znaleźć kogoś, kto zdejmie jej w końcu z ramion ten okropny ciężar. Opowiedziała mi o wszystkim, przerzuciła balast na moje barki. To samo chciała zrobić z tobą. Nie mogłam do tego dopuścić.

– Nie chciałaś, żebym się dowiedziała, że twoja babka miała nieślubne dziecko, które poczęło się w wyniku gwałtu? – Laura nie posiadała się ze zdumienia. – Naprawdę bałaś się, że jeśli się o tym dowiem, coś sobie z tego powodu zrobię?

– Nic nie rozumiesz. Tłumaczyłam ci przecież, chodzi o coś znacznie poważniejszego.

– A o co? O to, że ojcem Josephine, o której istnieniu jeszcze do niedawna nie miałam pojęcia, jest jakiś tam Aleister, o którym z kolei wiem tylko tyle, że miał paskudny charakter?

Helena spojrzała na nią nie mniej zdziwiona.

– Wcale nie powiedziałam, że to on był ojcem Josephine.

Laura zamarła z otwartymi ustami. Jeśli jeszcze chwilę wcześniej wydawało jej się, że nie wszystko rozumie, teraz zyskała pewność, że nie rozumie już nic. Poczula się tym potwornie znużona i zniechęcona. Rozmowa zatoczyła koło. Tyle że wtedy Laura była zła na Helenę, a teraz zaczynała się o nią bać.

Nie zauważyła dotąd u ciotki żadnych symptomów sugerujących problemy umysłowe, jednak ze względu na wiek nie można było tego wykluczyć. W dodatku u kogoś tak sprawnego fizycznie łatwo to przeoczyć. Laura nerwowo szukała w pamięci jakichkolwiek przesłanek, że z głową Heleny już wcześniej działo się coś niedobrego, jednak nie mogła sobie niczego takiego przypomnieć. Ale faktem było, że ostatnimi czasy nieczęsto ją widywała. Ta myśl kolejny raz ją zawstydziła i wywołała wyrzuty sumienia. Również ze względu na oskarżenia, którymi właśnie zarzuciła ciotkę. Być może powinna wcześniej poszukać przyczyn jej dziwnego zachowania w rozwijającej się podstępnie chorobie. I zamiast czynić staruszce wyrzuty, nakłonić ją do wykonania niezbędnych badań.

Wbrew wszystkiemu odczuła pewną ulgę. Jakby choroba była mniejszym złem niż kłamstwa, o które posądzała ciotkę. To z kolei sprawiło, że po raz kolejny tego wieczoru poczuła się podle.

– Ależ oczywiście, że powiedziałaś – zaczęła ostrożnie, wbrew ciągłemu zdenerwowaniu, siłąc się na łagodny ton. – Przed chwilą. Dałaś mi wyraźnie do zrozumienia, że ten człowiek potwornie skrzywdził Sarę, zgwałcił ją.

– Nieprawda. – Helena energicznie potrzasnęła głową. – Wyjawiałam ci, że

ojcem Josephine była Bestia. Antychryst.

– Powiedz mi, ciociu, kiedy ostatnio robiłaś sobie jakieś badania? Nie chodzi mi wyłącznie o krew czy ciśnienie, ale przede wszystkim testy neuropsychologiczne dla osób w twoim wieku – spytała, zanim ugryzła się w język, świadoma, że powinna rozegrać to inaczej. O wiele delikatniej.

Wyciągnęła ponad stołem obie ręce, chcąc położyć je na spoczywających na nim nieruchomo dłoniach ciotki, ale nie zdążyła. Poczowała mocny uścisk na własnych nadgarstkach i szarpnięcie tak silne, że prawie krzyknęła z bólu, gdy twarda krawędź blatu wbiła się jej w brzuch.

– Sam Szatan zapłodnił Sarę, ale dlatego, że ktoś mu stworzył do tego sposobność i dał narzędzie. – Helena mówiła wolno i wyraźnie. Patrzyła Laurze prosto w oczy i cedziła jakby z osobna każde z wypowiedzianych słów, łapiąc płytki oddech po każdym. – A uczynił to Aleister Crowley!

Laura szarpała się nerwowo, lecz ciotka trzymała ją niespodziewanie mocno. Wciąż mówiła, teraz już nieprzerwanie, niczym w transie, dziwnym, monotonnym głosem. Zupełnie jakby bała się, że kiedy przestanie, nawet tylko po to, by porządnie zaczerpnąć tchu, nie zdoła już dokończyć tego, co zaczęła.

Laura była coraz bardziej przerażona i dezorientowana. Przestała się szamotać, mimo bólu już nie tylko brzucha, ale i nadgarstków, w które ciotka wbijała paznokcie. Zrozumiała, że nie ma innego wyjścia. Musi jej wysłuchać do końca nie tylko dla siebie, ale przede wszystkim dla niej. Była jej to winna. Tylko tak mogła zrozumieć, co się z nią działo. Co naprawdę zdarzyło się przed laty i być może trwało, choć tylko w głowie schorowanej staruszki.

– Thelema. – Helena na chwilę tylko przeniosła spojrzenie na szkatułę z okiem Horusa. – To w niej wszystko zostało spisane, chociaż nie tak, jak powinno. Całkiem nie tak. A wszystko przez niego.

– Przez kogo? Crowleya? – wyjąkała Laura.

Ciotka wydawała się jej nie słyszeć. Wyrzucała z siebie słowa, które sprawiały, że Laura straciła chęć zadawania kolejnych pytań. A jeszcze bardziej słuchania odpowiedzi. Nawet tych, o które prosiła wcześniej. Obserwowała ciotkę z rosnącym przerażeniem i poczuciem, że dzieje się z nią coś bardzo złego. Gorszego niż potencjalna choroba objawiająca się pomieszaniem zmysłów. Coś, co odświeżyło w niej jakieś stare rany.

Nie wszystko, co działo się wokół, do siebie pasowało, a czasem wprost przeciwnie, pasowało za bardzo i przez to budziło jeszcze większy lęk. W głowie Laury pobrzmiwały słowa Amelie i Josephine. Te o znakach i przepowiedniach. Czyhającym złu i niebezpieczeństwie. Czy tego właśnie bała się Helena? A to, jak się zachowywała, nie było oznaką szaleństwa, ale strachu przed czymś zbyt trudnym do pojęcia, by Laura mogła objąć to rozumem, a nie tylko poczuć? Co sprawiło, że ten strach przetrwał tak długo i zamiast z czasem osłabnąć czy choćby

spowszednieć, rósł w siłę, przenosząc się na kolejne pokolenia? W dodatku dotykał tylko kobiety, dodała w myślach bezwiednie, nim zdała sobie z tego sprawę.

Kto był za to wszystko odpowiedzialny?

– Odarł ją nie tylko z czci i godności, bo to pewnie by z czasem przeboleła. Była silna. Lecz nie na tyle, by mu się przeciwstawić, gdy odebrał jej całą resztę, dla niej najcenniejszą. – Helena, mówiąc to, poluzowała odrobinę uścisk na nadgarstkach Laury, ale po chwili złapała ją jeszcze silniej. – Skradł jej myśli i duszę. Uznał za własne, by spisać je podstępnie w swojej Księdze prawa, Thelemie, a potem ogłosić, że podyktował mu ją sam demon. Aiwassa, posłaniec wieszczący Równonoc Bogów, nadejście Nowej Ery, w której ludzie mieli wzbić się na duchowe wyżyny. Wstąpić w Erę Horusa. Siebie nazwał prorokiem, podczas gdy to ona pierwsza ogłosiła to ludziom, którzy jej uwierzyli. Sara. – W bezbarwnym głosie Heleny wybrzmiał nagle żal. – Pokazała im drogę i sama nią poszła, a on wciąż ją z niej spychał, choć się przed tym broniła. Pragnął podążać tą drogą sam, lecz wszystko poplątał. Wszystko! Na szczęście udało się odnaleźć na nowo ścieżki, które wytyczyła Sara. Również dzięki Marie Anne i pozostałym, którzy do niej dołączyli, by jej pomóc. Teraz wystarczy tylko się ich trzymać i nie ustąpić tym, którzy usiłują pokrzyżować plany, a wszystko będzie jak trzeba. Nadejdzie Era Horusa i zmieni się Uniwersum. Będzie tak, jak miało być od początku, lepiej dla świata i ludzi. Naprzemiennie i przez to sprawiedliwie. Bo tylko wtedy świat ma sens i można nad nim utrzymać kontrolę. A to pozwala zrozumieć, co wydarzy się potem, zanim jeszcze to nastąpi. Tego właśnie chcą ci, którzy uwierzyli Sarze Rosen.

– Ale do czego to wszystko ma prowadzić? Kim są ci tajemniczy ludzie? Czy Sara stanęła na czele jakiegoś nowego towarzystwa okultystycznego? Sekty? – dopytywała Laura, lecz tak jak się spodziewała, została zignorowana.

Helena nadal zdawała się nie dostrzegać tego, co dzieje się wokół niej. Zupełnie jakby zamknęła się w odizolowanej od świata bańce, w której miejsca starczyło jedynie dla niej i tego, co tkwiło w jej wnętrzu. Myśli, które w końcu postanowiła z siebie wyrzucić bez dbania o to, czy ktokolwiek zdąży je pochwycić i poskładać w logiczną całość. Jakby nagle ją przytłoczyły i zapragnęła się od nich uwolnić. Od wszystkich, bez jakiegokolwiek selekcji. Pewnie ze strachu, że gdyby nad niektórymi zatrzymała się dłużej, nie umiałyby się ich pozbyć. Jak wtedy, gdy człowiek robi generalne porządki. Obojętnie jakie, w życiu, czy tylko własnej szafie. Wystarczy chwila zadumy nad wybranym fragmentem rzeczywistości, nieaktualnym kalendarzem z ważnymi kiedyś zapiskami czy dawno nienoszoną, niemodną już sukienką, by zamiast rozstać się z tym definitywnie, odłożyć na bok. Albo na wyższą półkę z nadzieją, że kiedyś się do tego wróci, choć to prawie nigdy nie następuje.

Helena nie poświęcała żadnej z wyrzuconych myśli nawet chwili refleksji.

Pozbywała się ich kompulsywnie i bez zastanowienia, chaotycznie i przez to trudno było z nich cokolwiek zrozumieć.

Cykliczność dziejów, naprzemiennność, prorocstwo... Te słowa powtarzała najczęściej. Ery i eony, które trwały po to, by ustąpić miejsca kolejnym. Epoka Matki – Izydy, czas matriarchatu, gdy rządziły prawa natury, bierność, niewiedza i uzależnienie, została z czasem wyparta przez patriarchalną Epokę Ojca – Ozyrysa, podczas której królował chaos i nieracjonalność wynikające z chciwości i nienasycenia, skutkując niepotrzebnymi światu wojnami. Po nich miała nadejść ta najważniejsza – Epoka Horusa – Dziecka, łącząca w jedno obie poprzednie epoki i kładąca tym samym kres rywalizacji. Po to, by nastał porządek, a płeć stała się dla człowieka drugorzędna. By nie wyznaczała mu miejsca w świecie ani nie stanowiła o jego tożsamości, ale stopiła się z nim w jedność. Tylko w ten sposób można było przywrócić ład i harmonię na świecie: przez kształtowanie tożsamości według swojej woli i rozumu, zamiast płci.

To właśnie miała przynieść Era Dziecka. A dopilnować tego mieli tajemniczy następcy i kontynuatorzy dzieła Sary, kimkolwiek byli i co naprawdę zamierzali.

– Crowley zawarł to w swojej Thelemie, ale wszystko poplątał, bo pojął opacznie. Powołał się na znaki od demona, choć nie od niego je dostał. To Sara wiedziała pierwsza. Ona odgadła czas nadejścia Ery Horusa. Postanowiła należycie przygotować na to świat i ludzi. Crowley rzekomo też tego pragnął, lecz zgubiły go zachłanność i pośpiech, dlatego już na początku wszystko zepsuł.

Helena spojrzała na Laurę dużo bardziej przytomnie. Tym razem wydawała się wręcz oczekiwać jej reakcji. Być może dlatego Laura pozostawała bierna. Zmrużyła jedynie oczy bardziej po to, by ciotka nie dostrzegła w nich tego, co wołała przed nią ukryć. Strachu i dezorientacji.

– Na wszystko musi przyjść odpowiedni czas – powiedziała Helena, znów odwracając wzrok. – I Sara to wiedziała. Podobnie jak to, że nic nie przychodzi łatwo i żeby zmienić świat, należy zacząć od siebie. – Ku zaskoczeniu Laury zupełnie gładko przeszła do wygłaszania starych, wytartych i przez to nudnych frazesów.

– W jaki sposób? Czy zostawiła wskazówki?

Spytała tylko po to, żeby sprawdzić, czy ciotka ocknęła się wreszcie z dziwnego transu, w jaki wpadła na bardzo długą chwilę, i czy reaguje na to, co się wokół niej dzieje. Wydawało się, że tak. Zmieniła ton i uwolniła wreszcie ręce Laury. Ta na wszelki wypadek od razu schowała je pod stół. Dyskretnie rozcierała bolące i odrętwiałe nadgarstki. Helena zdawała się tego nie zauważać. Uśmiechnęła się z nagłym zadowoleniem.

– Na każdy szczyt prowadzą schody, które trzeba pokonywać cierpliwie – mówiła, jednak znów jakby bardziej do siebie. – Kolejne stopnie, powoli, jeden po

drugim, by bez niepotrzebnej zadyszki osiągnąć najwyższy poziom. Doskonałość w pełnym znaczeniu tego słowa. Malkuth, królestwo rozumu, woli i serca. Upragnione spełnienie.

– Kabała. – Przypomniała sobie Laura, co spowodowało, że się ożywiła. Przed oczami stanął jej obrazek ze ściany za szafą i znów usłyszała w głowie słowa Amelie o okultystycznych zainteresowaniach Sary.

Helena skinęła głową, dając tym samym czytelny znak, że teraz usłyszała.

– Kabała uczy pokonywać własne ograniczenia. Po to, by wejść w stan najwyższej świadomości. Wtedy człowiek przestaje być niewolnikiem swojego ciała. Dzięki cudownemu drzewu życia odkrywa własną naturę i znajduje klucz do nowych wymiarów, które właściwie pokierują jego dalszym życiem. Pozwolą wejść na najlepszą z możliwych dróg.

– Kabalistyczne drzewo życia. To ono przyciągnęło Sarę do Hermetycznego Zakonu Złotego Brzasku, w którym poznała Crowleya – podchwyciła Laura. – Oboje musieli więc zdobywać kolejne stopnie wtajemniczenia w ten właśnie sposób.

Helena początkowo przytakiwała, jednak po ostatnim zdaniu zaprzeczyła ruchem dłoni.

– Nie. Tylko Sara. Tylko ona pokonywała je po kolei, bo każdy był dla niej tak samo ważny. Dla Crowleya liczył się tylko cel – objaśniła stanowczo. – Nie pojął prawdziwej idei drzewa, nie dostrzegł, że ono jest właściwą mapą Wszechświata i człowieka. Nie da się przejść życia na skróty, a tylko po wytyczonych ścieżkach, żeby nie zabłądzić. Tak jak nie da się z błogiego dzieciństwa przeskoczyć od razu w dorosłość i ominąć trudny okres dojrzewania. Każdy etap tej żmudnej drogi jest ważny, bo pogłębia wiedzę o sobie i świecie, przybliża do doskonałości. – Helena uśmiechnęła się lekko. – Należy poznać wszystkie kolejne sefiry drzewa życia. Na początku jest Kether, która zawiera wszystko, co było, jest i będzie, by człowiek zrozumiał samego siebie. Chokmah daje impuls działania. Binah rodzi czułość i uczy bliskości, a Chesed nadaje kształt rzeczom i wprowadza porządek. Konstruuje i buduje, daje człowiekowi moc czynienia wszystkiego, czego zapragnie – wymieniała niemal jednym tchem. – Geburah uczy sprawiedliwości i karze za uchybienia. Tifereth z kolei pilnuje harmonii między wszystkimi sefirami. Daje czas na zadawanie pytań i wysłuchiwanie odpowiedzi. Netzach to zwycięstwo mądrości płynącej z doświadczenia. Hod wywyższa najważniejsze zdolności umysłu po to, by rozum i logika nie zabiły wnikliwości i wyobraźni, za co, jak wiesz, bywa odpowiedzialne wykształcenie i wychowanie. Jesod jest początkiem samoświadomości, gdzie zacierają się granice pomiędzy światem wewnętrznym i zewnętrznym. Po to, by dostąpić wreszcie Malkuth. – Westchnęła z wyraźną ulgą. – Inaczej się nie da. Każda z sefir drzewa życia jest tak samo ważna i żadnej nie można pominąć. To

wymaga cierpliwości i odwagi. A Crowleyowi tego zabrakło. – W jej głosie znów zabrzmiała złość. Tak było za każdym razem, gdy wymieniała znienawidzone przez siebie nazwisko. – Dlatego wymyślił sposób, jak je ominąć, i odebrać Sarze wszystko, gdy była już niemal u celu, gotowa wyjść z ciemnego kokonu i rozpostrzeć cudowne motyle skrzydła.

Laura, słysząc te słowa, znów przypomniała sobie rysunek ze ściany za szafą. Drzewo życia zwieńczone motylem tam, gdzie powinna być Malkuth. Motyl stawał się symbolem nowego życia. Ale w którym właściwie momencie Sara zbliżyła się do upragnionej przez siebie doskonałości? Czy swoje nowe życie rozpoczęła właśnie we Francji? Po tym, jak opuściła męża i dzieci, oddając je dobrowolnie siostrze? I czy to oznaczało, że wcześniej czuła się jedynie tkwiącą w kokonie poczwarką?

Zamknęła na chwilę oczy. Pod jej powiekami przesuwaly się kolejne obrazy. Motyle na kartkach znalezionych w zamurowanym schowku i te narysowane ręką Marie Anne. A do tego słowa Amelie, która wierzyła, że jej siostra tkwiła w podobnym kokonie. We własnym, niezrozumiałym dla innych świecie. Czy rysunki sugerowały, że usiłowała się stamtąd uwolnić? Czy podążała tą samą drogą, co Sara, by stać się w końcu motylem? Tego właśnie chciała dla siebie?

– Były ważne – podsumowała już na głos ostatnią swoją myśl. – Motyle. Prawda? Miały szczególne znaczenie.

– Jak poczwarka przemienia się w motyla, tak ludzkość przechodzi z dawnej epoki do nowej ery, dla niej lepszej – odparła Helena. – Motyle symbolizują przemianę. Są piękne i lekkie jak ludzka dusza i tak jak ona delikatne. Nietrudno je zdeptać i zniszczyć. I Crowley o tym wiedział. Wykorzystał do tego swoją moc.

– O jakiej mocy mówisz? – spytała Laura ostrożnie. – Powiedz mi wreszcie, proszę, co on jej zrobił? Ten Crowley. Co dokładnie zrobił Sarze? Muszę to wiedzieć!

Nie wierzyła w tajemne siły, przepowiednie i diabelskie cyrografy, a mimo to była coraz bardziej przerażona. Nie miała pojęcia, co usłyszy w odpowiedzi, ale tkwiło w niej irracjonalne przekonanie, że już za chwilę jej światopogląd zostanie pokruszony i wymieszany jak w betoniarce z bliżej nieokreślonym „czymś”, co znajdowało się w niej wcześniej, a następnie zbudowany od początku. Albo wraz z tym, czego się właśnie o nim dowiedziała, zmiksowany na gładko niby blenderem i wlany do nowych foremek. Nie przypuszczała tylko, jak bardzo dziwne i jednocześnie przerażające powstaną z tego kształty.

Helena popatrywała na nią ponuro i zaciskała nerwowo usta. Zanim je w końcu otworzyła, długo się zastanawiała, jakby rozważając wszystkie za i przeciw. Wreszcie zaczęła mówić. Początkowo spokojnie, prawie bez emocji, choć widać było, że one w niej tkwią, mocno trzymane na wodzy. Chwilę później zaczęła je uwalniać, najpierw pojedynczo, jedynie przy pomocy drobnych gestów,

zmiany barwy głosu. Potem pozwoliła im na więcej, w końcu straciła nad nimi kontrolę. Podobnie jak nad tym, co wylewało się z jej ust.

Laura zasłoniła uszy. Nie chciała już słuchać, lecz ciotka wciąż mówiła. Wbrew błaganiom, by przestała. Laura z trudem powstrzymywała się przed uciszeniem jej siłą. Ostatnie zdanie usłyszała już przez drzwi łazienki. Uciekła, o parę chwil za późno.

Niechciane słowa zapadły w pamięć. Już na zawsze.

Przekręciła zamek i wyszarpnęła z kieszeni telefon, który wyślizgnął się jej z rozdygotanych rąk. Schyliła się, by go podnieść, pełna ulgi, że przetrwał upadek. To dało jej kilka dodatkowych sekund na zastanowienie się nad tym, co właśnie chciała zrobić.

Nie mogła przecież zadzwonić do męża, ponieważ w żaden sposób nie był w stanie jej pomóc. Przelykała łzy, przeglądając chaotycznie listę kontaktów. Kolejne osoby, do których mogłaby się zwrócić o pomoc, były równie daleko. Pierwszy raz od dawna poczuła żal, że nie ma obok siebie matki w chwili, gdy tak bardzo jej potrzebowała, ani ojca, który odsunął się od niej znacznie wcześniej, może nawet jeszcze przed jej chorobą.

Nagle zrozumiała, jak bardzo dotąd się oszukiwała, wmawiając sobie, że za nimi nie tęskni. W głębi duszy zawsze wiedziała, że to nieprawda. A złość, którą kierowała w ich stronę, była jedynie zemstą za tkwiące w niej poczucie, że została odtrącona. Nawet jeśli było ono tylko wyimaginowane.

Spojrzała na jeden z ostatnich kontaktów w spisie.

Veronique LeBlanc.

Od razu wybrała numer, zastanawiając się gorączkowo, co powiedzieć, o co zapytać?

– Laura? – Usłyszała, zanim zdążyła się odezwać.

– Opowiedz mi o Helenie. Jaką odgrywa w tym wszystkim rolę? Czy jest jedną z was? Kim jesteście? Kim są wszyscy pozostali? – Wyrzucała z siebie z prędkością karabinu maszynowego.

– Myślę, że już znasz odpowiedzi na wszystkie te pytania. Teraz musisz wsłuchać się w siebie. – Veronique mówiła spokojnym, łagodnym głosem. – Sama będziesz wiedziała, co z tym zrobić. W swoim czasie.

– A co z tymi, których bała się Josephine? Których bałaś się i ty, gdy tak nerwowo rozglądałaś się wtedy, w Noyon?

– Nie dysponują aż taką siłą, by nam zaszkodzić. To są ci nieliczni omamieni, którzy poszli za Crowleyem, uznając go za przewodnika. Ale nigdy nie dotrą do końca drogi, jestem tego pewna. Jest ktoś, kto do tego nie dopuści.

– Kto?

– Mówiłam, dowiesz się tego w swoim czasie. Bądź cierpliwa.

Laura nie zdążyła zadać kolejnego pytania, ponieważ LeBlanc się rozłączyła.

Z rezygnacją odłożyła telefon na umywalkę, ale zaraz znów go podniosła. Otworzyła okno przeglądarki internetowej. Wciąż trzęsącymi się dłońmi wpisała nazwisko człowieka, o którym mówiła Helena. Z nadzieją, że wszystko to okaże się bzdurą i że już za chwilę będzie mogła to udowodnić.

Aleister Crowley, mistyk i okultysta, Hermetyczny Zakon Złotego Brzasku, błyskawiczna kariera... – Ze zgrozą wodziła wzrokiem po hasłach, jakie jej się wyświetliły. Wyłonił się z nich fanatyczny bluźnierca, który wierzył, że umie zapanować nad żywiołami i duchami, a demonów szukał w ludzkich umysłach po to, by je uwolnić... – Laura bezwiednie wstrzymała oddech. Otworzyła kolejny link. Przeszukiwała tekst, wychwytyjąc z niego tylko te treści, które już знаła. Z ust swojej ciotki i wcześniej Veronique. – Rok tysiąc dziewięćset czwarty, Księga prawa, Thelema, bóle porodowe nowego eonu i kres starego. Samozwańcza apokaliptyczna Bestia, The Master Therion ogłosił Równonoc Bogów i nadejście nowej epoki Horusa, rodzącej się w cierpieniach. W Erze Horusa miała zniknąć dominacja, upaść matriarchat i patriarchat po to, by każdy przejął odpowiedzialność za własne życie. Kobiety miały odnaleźć w sobie mężczyznę, a mężczyźni kobiety. Ciało miało się stać jedynie powłoką dla czegoś znacznie ważniejszego. „Dla najwyższej duchowej pracy trzeba odpowiednio wybrać ofiarę, która zawiera największą i najczystsza moc”[3]. Tak Crowley stworzył przestrzeń rytualną dla magii seksualnej, by nadać jej wymiar duchowy. Przeczytała te słowa parokrotnie, rozważając ich sens. Wciąż nie rozumiała tego, co spotkało Sarę.

Czy idiotyczna wiara w umiejętność wyzwiania z każdej żywej istoty potężnej energii magicznej mogła rzeczywiście zostać przekuta w czyn? Nagle przypomniała sobie gwiazdy Dawida, które towarzyszyły motylom na kartkach znalezionych w schowku za szafą. I słowa Lichoty, te o połączeniu pierwotnych sił, męskiej i żeńskiej, symbolizowanych przez trójkąty tworzące gwiazdę. Magiczny akt seksualny wyzwalaający najpotężniejszą energię.

– Rytuał, przemoc i wiele wykrzywionych twarzy, to naznaczyło jej cierpienie – powtórzyła ostatnie słowa, które usłyszała od ciotki.

Zbiorowy gwałt, tajemny rytuał Szafirowej Gwiazdy, heksagramy przywołujące moce męskich i żeńskich pierwiastków połączone w coś jeszcze potężniejszego. I Sara uwikłana w te wszystkie potworności tylko dlatego, że pragnęła uczynić świat lepszym, za co gorzko płaciła nie tylko ona, ale i jej potomkinie. Laura wciąż nie pojmowała, jaka była prawdziwa, ostateczna rola jej prababki. Helena tego nie wyjaśniła. Mimo że większość informacji zgadzała się z tymi z internetu, wciąż nie było wiadomo, jak wiele jest w nich prawdy. I czy nie były jedynie urojeniami starej kobiety pogrążonej w przedśmiertelnej malignie. W końcu Sara nie powiedziała niczego wprost. To Marie Anne domyśliła się reszty. Laura westchnęła po raz kolejny. Zakręciła wodę i znów spojrzała w lustro nad umywalką. Zdażyło znów całe zaparować, więc jej twarz była niewyraźna

i zmazana, a ona dałaby wiele, by to samo stało się z tym, co wciąż siedziało jej w głowie. Rozmyło się i rozplynęło w niepamięci. Bez konieczności dalszego roztrząsania.

Nie zauważyła, kiedy ustało szuranie pod drzwiami. Bo gdy tylko Laura wybiegła z kuchni, Helena od razu podążyła za nią. Stała pod zamkniętą łazienką przez długą chwilę, coś jeszcze mówiła, ale Laura zasłoniła uszy i odkręciła wodę, żeby nie słyszeć. Być może dlatego Helena w końcu zamilkła, za to z pewnością długo nasłuchiwała. Pewnie z obawy o to, co może się stać. A przecież Laura nie była taka, jak Marie Anne, choć z perspektywy dopiero co usłyszanych informacji właściwie nie dziwiła się już temu, co zrobiła dziewczyna. Niewielu umiałoby żyć normalnie ze świadomością, że ich matka przyszła na świat w wyniku rytualnego, zbiorowego gwałtu w imię niezrozumiałej, ale z pewnością potwornej idei. Pomyślała o Josephine i poczuła wręcz fizyczny ból. Tylko tyle. Więcej nie potrafiła sobie wyobrazić.

Tym razem wytarła twarz, lecz zamiast ręcznikiem, który wisiał obok, połą własnej bluzki. Podeszła na palcach do drzwi i przystawiła ucho. Niczego podejrzanego nie usłyszała. Wyrzała przez okno. Jej samochód wciąż stał przed bramą. Wystarczyło przemknąć przez ogród, wsiąść i odjechać. Gdyby tylko miała przy sobie kluczyki! Niestety, zostały w torebce.

– Moja torebka – wyszeptała przejęta nagłą trwogą. – Listy Josephine!

Bezmyślnie zostawiła je w kuchni. Ogarnął ją strach, że może już ich nie odzyskać. Zastanawiała się, czy ciotka zdobyłaby się na przeszukanie jej rzeczy. Laura wcześniej nie posądziłaby jej o to, teraz już jednak nie była niczego pewna. Zwłaszcza że sama nie powstrzymała się przed przeszukaniem komody w jej sypialni.

Powoli uchyliła drzwi, gotowa w razie czego znów je zatrzaskać.

W kuchni nie dostrzegła żadnego ruchu. Sypialnia była zamknięta, a torebka wisiała na swoim miejscu. Laura dopadła jej błyskawicznie, by już po chwili odetchnąć z ulgą. Postanowiła, że przeczyta listy już w domu. Odjedzie tym razem bez pożegnania z ciotką. Wszystko wskazywało na to, że poszła do ogrodu, żeby również ochłonać, z oparcia krzesła zniknęła jej chustka, którą zwykle okrywała ramiona dla ochrony zarówno przed słońcem, jak i chłodem. Laura, chcąc się upewnić, czy ma rację, wyrzała przez okno i... już tam została, nie mogąc oderwać wzroku od sceny, którą zobaczyła.

Helena stała wyprostowana pod rozłożystą jabłonią, z ramionami uniesionymi nad głową i splecionymi ciasno palcami. Wydawała się nieruchoma, ale Laura bez trudu dostrzegła delikatne kołysanie bioder, falowanie ramion, rozpuszczonych teraz włosów i wielkiej kolorowej chusty. Jak skrzydła motyla, pomyślała bezwiednie. Delikatne wibracje ciała, a nawet powietrza wokół, zastępowały muzykę. Lub też nią się stawały, bo ciotka wydawała się coś słyszeć.

Jak zawsze, gdy odprawiała swój skomplikowany taniec. Miała zamknięte oczy, a na twarzy wypisane skupienie i niewątpliwą przyjemność. Wyglądała przy tym na spokojną i odprężoną.

Laura odwróciła w końcu wzrok. Nie powinna podglądać ciotki w tak intymnym dla niej momencie, ale za każdym razem, gdy widziała ją w tańcu, nie potrafiła się temu oprzeć. Sprawiało jej to dziwną przyjemność, mimo zażenowania, które jej wówczas towarzyszyło. Być może przez to prawie nigdy nie odważała się ujawnić swojej obecności, choć czasem wydawało jej się, że ciotka czuje na sobie spojrzenie Laury i wcale jej to nie przeszkadza.

Teraz staruszka nie mogła jej widzieć, wciąż miała zamknięte oczy, a mimo to Laura odeszła od okna. Ścisnęła mocniej torebkę i ruszyła do drzwi. Zatrzymała ją jednak myśl o zagadkowej szkatule. Nadal nie poznała jej tajemnicy. Domyślała się jedynie, że znajdujące się na jej wieku oko Horusa ma związek z zawartością. Pamiętała, że tak jak nie Racheli miało chronić przed złym spojrzeniem. Albo pomagać tym, którzy czuli się stłamszeni i przygniecenii przez życie, pragnęli spojrzeć na nie z innej perspektywy, w sobie odnaleźć upragnione szczęście. Wyjść z kokonu, dodała bezwiednie, przeobrazić się w szczęśliwego motyla.

Szkatułka zniknęła ze stołu. Ciotka na pewno ukryła ją, gdy Laura była w łazience. Być może z obawy, że zostanie otwarta wbrew jej woli. Miała rację, Laura teraz pewnie nie zawahałaby się przed tym.

Powiodła na wszelki wypadek wzrokiem po kuchennych blatach i nagle zbladła.

Nie zauważyła lalki, gdy rozmawiała z Heleną. Być może wcale jej tam wtedy nie było, podobnie jak broszki z jadem, którą teraz lalka miała przypiętą do sukienki. Zresztą kamea z pewnością znajdowała w komodzie, gdy Laura tam zaglądała.

Podeszła bliżej i przyjrzała się lalce.

Haft na gorsecie jej sukni układał się w kształt rozpostartych szeroko skrzydeł motyla, dokładnie tak, jak na sukni Sary. Wcześniej nie zwróciła na to uwagi. Tak jak nie przyjrzała się dostatecznie dokładnie motylom z zapisków znalezionych w schowku za szafą. Nagle zapragnęła odzyskać znalezisko. Miała nadzieję, że Lichota jeszcze się go nie pozbył i że udało mu się coś odczytać.

Powinna zrobić to jeszcze raz. Tym razem naprawdę ostatni. Odwiedzić dom w Jedwabnem.

– Muszę to doprowadzić do końca – wyszeptwała, wciąż przyglądając się lalce. – Wyjaśnić wszystko, a może wtedy uda mi się wreszcie poskładać to w całość i zrozumieć.

Zanim opuściła kuchnię, wyjrzała jeszcze raz przez okno. Ciotka wciąż tkwiła w tej samej pozycji. Z rękami splecionym nad głową i twarzą wzniesioną ku niebu. Teraz była jednak bardziej roztańczona, jej ruchy stały się wyraźniejsze.

Nagle opuściła wolno ramiona, po czym znów wyrzuciła je do góry. Potem jeszcze raz, i kolejny, bardzo energicznie. Afirmacja życia, skwitowała Laura w myślach.

To, co się wydarzyło w kuchni, musiało ją wiele kosztować, skoro potrzebowała aż tyle czasu, by dojść do siebie. Do tego właśnie służył jej taniec. Poskramiał i porządkował emocje, eliminował te zbędne.

Laura natomiast musiała uporać się ze swoimi. Dlatego nagle zmieniła zdanie i nie uciekła z domu ciotki. Na wciąż drżących nogach wspięła się do swojego pokoju na poddaszu.

[3] Aleister Crowley, *Magija w teorii i praktyce*, tłum. Marek Uniejski, rozdz. XII. *O ofierze krwi i sprawach pokrewnych*, Wydawnictwo „KOS”, Katowice 2003, s. 107.

Usiadła przy swoim starym biurku i położyła na nim listy wyjęte z torebki. Rozplątała recepturkę, ułożyła wszystkie koperty w równym rzędzie. Na prawie każdej widniały te same adresy. W lewym górnym rogu: Helena Moja, Bujany, ulica Polna 14, w prawym dolnym: Josephine Berthier, Tergnier, Rue Arthur Saily 10. Tylko na tych najstarszych pojawiło się panięskie nazwisko ciotki: Albrecht.

Przez długą chwilę zastanawiała się, od czego zacząć. Listy były ułożone chronologicznie, ale najbardziej kusiły te najnowsze, mimo że i tak pisane przed blisko dwudziestoma laty. W końcu sięgnęła po najstarszy. Wysłany w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym dziewiątym roku, niedługo po tym, jak Helena wróciła ze swojego rocznego pobytu we Francji. Dziesięć lat przed samobójczą śmiercią Marie Anne.

Laura rozprostowała złożony na czworo papier listowy – staroświecki, elegancko zdobiony na rogach. Przez chwilę miała wrażenie, że wciąż pachnie perfumami ciotki. Od kiedy pamiętała, Helena używała zawsze tych samych, o ciężkiej i lekko duszącej, pudrowej nucie. Bez trudu rozpoznała też jej kształtne, lekko pochyle pismo. List był w języku francuskim, ale napisany bardzo sprawnie i prawie bez błędów. Kolejne kłamstwo, pomyślała Laura bezwiednie. Gdy

poprosiła ciotkę o pomoc w tłumaczeniu listu od Josephine, ciotka zasłaniała się brakiem dostatecznych umiejętności.

Początkowo ich treść była całkiem zwyczajna, miejscami wręcz nużąca. Helena więcej pytała i komentowała to, co opisywała jej pewnie Josephine, niż mówiła o sobie. Przewinęło się kilka mało istotnych spraw z ówczesnej codzienności obu kobiet, przytaczanych niekiedy jakby na siłę, ale nadal tych dotyczących Heleny było znacznie mniej. Zamiast tego ciotka wypytywała o to, co się działo w Tergnier, często też swoje słowa kierowała bezpośrednio do córek Josephine, przede wszystkim Marie Anne. Dopominała się odpowiedzi, być może dziewczynki do listów matki dołączały swoje, wskazywały też na to podziękowania Heleny.

Z czasem korespondencja stała się bardziej osobista. Zwłaszcza wtedy, gdy Helena poznała swojego przyszłego męża. Starsza o jedenaście lat Josephine przyjęła rolę powierniczki jej panięńskich sekretów. Ciotka zwierzała się *pour cuisine française* z nowych, nieznanych jej wcześniej przeżyć i towarzyszących im emocji, ogromnie żałowała, że Josephine nie zatańczy na jej weselu. Laura drgnęła, czytając zdanie o tańcu. Mimowolnie zastanowiła się, który taniec Helena miała na myśli, ten tradycyjny, czy własny, znany również Josephine. Nie znalazła tej informacji w liście, jednak dalej pojawiły się słowa, które sugerowały, że mogło chodzić o coś więcej niż tradycyjne weselne płąsy.

On tańczy, wiesz? Nie tak jak my, ale jest w tym pewne podobieństwo. Zaskoczyło mnie to! A nie powinno, bo przecież Jeremiasz jest Chasydem jak Eliasz Rosen, twój dziadek, a mój pradziad. To właśnie on nauczył Sarę czerpać radość z tańca. Afirmację życia. Bo taniec chasydzki odbywa się tak samo nieskrępowanie jak nasz, i chociaż z melodią, uwolniony od jej kanonu. Na początku spokojny i nawet jakby smutny, za to potem – dopiero nabiera życia! Wiruje każda cząstka tancerza, a stopy zdają się unosić w powietrzu. Moc ucieka na zewnątrz cała, prawie eksploduje, zamiast wnikać jak najgłębiej do środka, jak podczas naszego tańca. I to jest właśnie ta różnica.

Próbowałam mojemu Jeremiaszowi o niej opowiedzieć. Chyba zrozumiał, ale odparł, że w tańcu otacza go tyle dobrej energii, iż starczy jej dla niego i wszystkich wokół, dlatego nie musi zatrzymywać jej tylko dla siebie i chować głęboko w środku na zapas. Powiedział też, że umie sam chronić się przed złem. Nie gromadzi go w sobie, więc i nie ma czego z siebie wyrzucać.

Długo potem o tym myślałam. Jak mu się to udaje, że jego ciało i dusza nie nasiąkają nigdy trucizną, której tyle wokół? Czy sądzisz, że nasz taniec jest przejawem egoizmu? Przez to, że odrzucamy zło, nie troszcząc się dalej o to, do kogo może przylgnąć? A potem całą radość i dobro, które płyną z tańca, gromadzimy w sobie, zamiast się nią dzielić? Ale jakże podzielić się

z najukochańszym nawet człowiekiem tym, co jest tak bardzo moje? Jak można obnażyć się tak do końca i nie zachować niczego dla siebie? To tak, jakby przestało się istnieć. Stajesz się kimś obcym, a w tobie zamiast ciebie jest ktoś inny.

Laura czytała ten fragment parokrotnie. Wróciła myślami do tego, co widziała chwilę wcześniej w ogrodzie. Ciotka tańczyła z reguły po to, by wyciszyć emocje, bez względu na ich rodzaj. Czy były dobre, czy też skrajnie złe. Laurze nigdy jednak nie przyszło do głowy, że taniec jest sposobem na ich pozbywanie się z siebie. I że zastąpione zostają jakąś dziwną mocą, gromadzoną na zapas.

Nagle przypomniała sobie Crowleya i jego sposoby na okradanie upatrzonych ofiar z ich energii. Czy właśnie takiej energii potrzebował? Tej wytańczonej i zgromadzonej w niecodzienny i wciąż niezrozumiały dla Laury sposób – przez Sarę i pozostałe kobiety, które ten taniec od niej przejęły – Josephine, Marie Anne i prawdopodobnie Leonie, która przekazała tę umiejętność swojej córce? A jeśli przez tę właśnie energię, czymkolwiek była, Crowley skrzywdził Sarę, to czy podobne niebezpieczeństwo czyhało na jej córki i wnuczki? Z rąk tajemniczych ludzi, którzy chcieli odebrać kontynuatorom ideologii głoszonej przez Sarę to, co zgodnie ze słowami Heleny od początku uważali za swoje?

Nękana paranoicznymi wizjami, których coraz więcej kłębiło się w jej głowie, poskładała troskliwie list i wsunęła do koperty z postanowieniem, że wróci do niego później, gdy będzie w innym nastroju. Teraz należało zająć się kolejnymi. Nie pozostało na to zbyt wiele czasu, ciotka lada moment mogła wrócić do domu i szukać Laury.

Szybko przebiegła wzrokiem kilka następnych zapisanych drobno kartek, lecz nie znalazła tam nic, co zainteresowałoby ją równie mocno. Odłożyła je na bok i wzięła do ręki kolejną kopertę. Zadrżała jej ręka, gdy dostrzegła datę widniejącą na stemplu: grudzień tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego roku. List został napisany zaledwie miesiąc po śmierci Marie Anne.

Mimo zbliżających się wówczas świąt nie spodziewała się znaleźć tam kolorowej kartki bożonarodzeniowej ani nawet życzeń. Przeczucia okazały się słuszne. Nie było świątecznych akcentów i zbyt wiele treści, jedynie kilka zdań przepelnionych smutkiem i goryczą. I ostatnie – najważniejsze: *Mogłaś ją uratować*. Bezlitosne oskarżenie pogrążonej w bólu matki, do którego Helena nie chciała przyznać się w rozmowie.

Następny list został wysłany po ponad roku, jednak złość i żal Heleny nie tylko nie osłabły, ale wręcz przybrały na sile. Już wprost oskarżała Josephine o doprowadzenie do śmierci Marie Anne. To było niezrozumiałe i przerażające. Najbardziej dlatego, że nie pasowało do zawsze czulej, wyrozumiałej i pełnej ciepła cioci Helenki, jaką Laura знаła od dziecka.

– Która z twoich twarzy jest prawdziwa? – wyszeptała bezwiednie, wpatrując się w rozłożone na biurku koperty.

Wreszcie sięgnęła po te ostatnie, wysłane w latach osiemdziesiątych.

Zamazane czarnym atramentem pojedyncze słowa przypomniały jej coś, czego nie wzięła wcześniej pod uwagę i na co nie natknęła się we wcześniejszych listach. Pamiętała jak przez mgłę, że identyczne ślady znajdowały się w listach z Ameryki przysyłanych w tamtych latach przez przebywających za oceanem kuzynów jej ojca.

– Cenzura – mruknęła, trochę zaskoczona. – Ciekawe, z jakiego powodu?

Nie była pewna, czy ktoś znalazł motyw, by sprawdzać listy wysyłane przez ciotkę, czy też traktowano tak wówczas całą zagraniczną korespondencję.

Trochę ją to zmartwiło. Zdała sobie sprawę, że prócz tych zamazanych umknie jej wiele innych nieprzekazanych nigdy treści, spraw, których Helena pewnie nie odważyła się poruszać na piśmie z obawy, że listy wówczas w ogóle nie dotrą do adresatki. Laura miała jednak nadzieję, że uda się wyczytać cokolwiek między słowami. Że ciotka zmyślnie wplotła między mało istotne dla cenzora informacje coś, co pomoże zrozumieć jej obecne zachowanie.

Przedostatni list czytała wolno, lecz nie dlatego, że czekał już tylko jeden, którego treści, ze względu na datę na stemplu, trochę się domyślała. Usiłowała uwierzyć w to, co widzi na papierze, a co wciąż nie mieściło się jej w głowie. Wśród wielu zawołowanych znaczeniowo słów dało się odczytać jedno, choć nie użyto go wprost ani razu. Szantaż. Początkowo nie rozumiała, co było jego powodem, lecz gdy to odkryła, oburzenie odebrało jej oddech.

– Teraz już wiem, dlaczego Josephine nic mi nie powiedziała. Nie mogła. Bała się o siebie i swoją córkę. Chciała umrzeć spokojna o jej los i bezpieczeństwo – powtarzała w kółko, jakby przekonując samą siebie do tego, co całkiem jasno wyłaniało się z treści listu i co w zasadzie Laura sama mogła wcześniej wywnioskować na podstawie zachowania ciotki.

Musisz milczeć, wtedy i ja zamilknę. Od takich słów się zaczynał. Potem padały kolejne: *To może dotknąć i innych, w tym Twoją młodszą córkę. Pomyśl o tym, zanim znów wypowiesz niewłaściwe słowo. Wszystko musi zostać tak, jak postanowiła Sara. Zrozum, że ja pragnę dla nich jedynie tego, czego Ty pragniesz dla swojej Amelie. I że obie zdążamy do tego samego celu, choć każda z nas inną drogą.*

Przez chwilę zastanawiała się, o kim, prócz Amelie, pisze Helena, kogo usiłuje chronić. Czy chodzi o rodzinę? Dziadków, rodziców Laury i nią samą? To byłby dowód na to, że o niczym nie wiedzieli. Kolejnych spodziewała się w ostatnim liście.

Tym razem otwierała go w ogromnym pośpiechu. Uśmiechnęła się pod nosem, ponieważ trafnie odgadła jego treść. Zawierał już jawne ostrzeżenie dla

Josephine po tym, jak ośmieliła się wysłać list do rodziców Laury, ten, który Laura przy jej rzekomej pomocy usiłowała przetłumaczyć. Helena kategorycznie zakazała Francuzce dalszych kontaktów z polską rodziną, pewnie też dlatego nigdy nie nadeszły następne listy.

To była jedyna dobra wiadomość tego wieczoru. Rodzice bez wątpienia byli wobec Laury uczciwi. Niczego nie zataili, ponieważ sami nie znali prawdy. Niestety nadal nie było wiadomo, dlaczego zrobiła to ciotka. Z jakiego powodu chroniła tajemnice dotyczące przeszłości z tak ogromną determinacją? Czy to, co wyjawiała dziś Laurze, mogło aż tak bardzo zmienić życie całej rodziny? Trudno było w to uwierzyć. Rodzicami z pewnością by to wstrząsnęło, ale raczej na tym by się skończyło. Po pierwszym szoku zapomnieliby i przestali się tym zajmować.

A może właśnie dlatego nie powinni się o niczym dowiedzieć? Ponieważ ta wiedza była z jakiegoś powodu niebezpieczna, a oni, podchodząc do niej tak beztrasko, naraziliby się na to niebezpieczeństwo? I z tego powodu lepiej dla nich było, by o niczym nie wiedzieli?

Przypomniała sobie słowa Josephine, te o niebezpieczeństwie czyhającym na Laurę i Amelie. Sięgnęła po dwa ostatnie listy i przeczytała je raz jeszcze, tym razem uważniej. Ze słów Heleny z całą pewnością wycierał strach o to, co może się zdarzyć, jeśli prawda wyjdzie na jaw. W dodatku Josephine ostatecznie posłuchała Heleny i nie wyznała Laurze całej prawdy. Co zatem sprawiło, że w końcu zaczęła się wycofywać z danego słowa? Czy tylko przecucie nadchodzącej śmierci? Nie zdradziła wiele, ale z pewnością zamierzała przekazać Laurze znacznie więcej, niż życzyłaby sobie Helena. Nie zdążyła, ponieważ ktoś temu zapobiegł. Listy obciążały ciotkę, potwierdzało to też jej obecne zachowanie, jednak nie wszystko się zgadzało.

Skoro obie z Josephine wyczuwały zagrożenie, jego źródło było gdzie indziej.

– Oni – szepnęła Laura, tym razem wspominając słowa Amelie. Również to, o czym mówiła Helena, potwierdzało, że prócz kontynuatorów ideologii Sary Rosen był ktoś jeszcze, i że to jego, lub raczej ich, należało się obawiać.

Pomyślała o swoim mężu oraz córkach i przeszedł ją nieprzyjemny dreszcz. Pierwszy raz poczuła zadowolenie i ulgę, że nie ma ich w pobliżu. Miała nadzieję, że są bezpieczni. Ostatnio rzadziej się z nimi kontaktowała. Nie z powodu braku czasu. Obawiała się, że w końcu się zorientują, że coś jest nie tak. Rozpoznają to w jej twarzy i głosie, a tego nie chciała. Wierzyła, że tam, gdzie teraz są, nic im nie grozi. Że są bezpieczni. Jej córki, mąż i rodzice.

Przecież nie wiedzą o niczym, pocieszała się w myślach. Nie znają prawdy o Sarze, Josephine i tych wszystkich dziwnych rzeczach, o których mówiła ciotka. A tylko to może dać im gwarancję bezpieczeństwa. O ile w ogóle taka istniała.

– I o ile istnieje jakiegokolwiek realne, niewyimaginowane zagrożenie –

dorzuciła już głośno, bardziej po to, by dodać sobie otuchy.

Z dołu dobiegł ją gwizd czajnika. Odruchowo pociągnęła nosem, sprawdzając, czy w powietrzu unosi się zapach kardamonu. Nic nie poczuła. Błyskawicznie pozbiierała listy i schowała do torebki, którą przewiesiła sobie przez ramię. Wtedy wymacała w niej coś, o czym zupełnie zapomniała. Pociągnęła za srebrny łańcuszek i podniosła do oczu kołyszącego się na nim zielonego motyla z jadeitu. Obserwowała go przez chwilę, a potem ze złością wcisnęła na samo dno najgłębszej przegródki.

– Pora, by wreszcie to zakończyć – oświadczyła, choć w jej głosie wcale nie zabrzmiała pewność, a jedynie niezbyt stanowcza determinacja.

Na stole znów stały dwa identyczne kubki. Tym razem jeden z kardamonowo-mleczną kawą, drugi ze zwykłą czarną herbatą. Bez cytryny ani listków świeżej melisy, które spoczywały na spodku obok w towarzystwie dwóch kostek cukru. Widać ciotka obawiała się, że jeśli jak zawsze wrzuci je do środka, wywoła to u Laury reakcję taką jak na kawę z kardamonem. Podobna zapobiegliwość mogła sugerować jej dobrą wolę, ale i coś całkiem przeciwnego. Zawołowaną ironię poprzez przesadną demonstrację życzliwości.

Laura usiadła i bez słowa sięgnęła po kubek. Wrzuciła do niego cytrynę, melisę i cały cukier. Trochę z przekory, ponieważ herbatę, tak jak i kawę, pijała zwykle gorzką. Uznała, że będzie to najodpowiedniejsza reakcja na zachowanie ciotki, bez względu na to, co miało oznaczać. Upiła kilka łyków, krzywiąc się jedynie nieznacznie, bo herbata okazała się o wiele za słodka. Helena przyglądała się jej w milczeniu. Laura natychmiast spuściła wzrok, by nie napotkać jej spojrzenia. Nie wiedziała, od czego zacząć, i nadal zastanawiała się, czy wyłożyć wszystkie karty na stół i pokazać jej listy.

– Nie zdążyła podjąć decyzji, ponieważ ciotka odezwała się pierwsza.

– Przepraszam – szepnęła i wyciągnęła rękę, żeby dotknąć ramienia Laury,

ale musnęła je tylko końcami palców. – To nie tak miało być.

– A jak? – spytała sucho Laura, choć starała się brzmieć ugodowo. Jej również zależało na spokojnej rozmowie i załagodzeniu konfliktu. Pomimo tego, czego dowiedziała się z listów. Uznała, że na razie nie ma prawa oceniać ciotki, powinna najpierw wysłuchać, co ma jeszcze do powiedzenia.

– Inaczej. Zupełnie inaczej. – Westchnęła. – Przez lata układałam sobie wszystko w głowie, planowałam, jak mam ci to powiedzieć, i gdyby nie Josephine...

– Nie zrzucisz całej winy na nią. Nie uda ci się to.

Laura wsunęła rękę do torebki z poczuciem, że nadszedł moment, by pokazać ciotce listy. Trwała w pogotowiu i oczekiwaniu na to, co się wydarzy.

– Ależ wcale nie zamierzam – odparła ciotka żarliwie. – I nie tylko dlatego, że zmarłych należy pozostawić w spokoju. Wiedziałam, że w końcu będziesz musiała poznać prawdę, ale potrzebowałam czasu, żeby ciebie i również siebie do tego przygotować. Tymczasem zostałam zaskoczona i właściwie przyciśnięta do muru, a przyczyniła się do tego głównie Josephine, czemu z pewnością nie zaprzeczysz. Źle się stało, bo to na pewno nie miało tak wyglądać – powtórzyła.

– Czy to znaczy, że wyjawiaś mi już całą? Tę swoją prawdę, czymkolwiek ona jest? Bo jeśli tak, rzeczywiście niezbyt dobrze ci to wyszło. Wciąż niewiele z tego wszystkiego rozumiem.

Nie wspomniała o niedawnej rozmowie z Veronique i jej zapewnieniach, że niebawem to się zmieni, choć bardzo ją korciło. Postanowiła tym razem zostawić sprawy swojemu biegowi, niczego nie przyspieszać, i to jeszcze zanim okazało się, że ciotka myśli podobnie. Powodem były przede wszystkim targające Laurą sprzeczne uczucia. Z jednej strony pragnęła jak najszybciej wszystko wyjaśnić, z drugiej nie była pewna, czy w ogóle tego chce.

Nie to jednak było najgorsze. Przeczuwała, że poznanie prawdy nie zamknie tematu, ale jeszcze bardziej go skomplikuje. A Laura wbrew własnej woli utknie w środku cudzego bałaganu, który będzie musiała posprzątać. Za cenę świętego spokoju, nie tylko własnego.

– Niewiele rozumiesz, ponieważ jeszcze nie skończyłam – odparła Helena po namyśle. – Nie powiedziałam ci wszystkiego.

– Myślisz, że kiedy to zrobisz, zrozumiem i uwierzę w prorocтва, nadprzyrodzone moce, magiczne szkatułki i kontakty z tajemnymi stowarzyszeniami? – sarknęła mimo woli. – Cóż... Trudno mi uwierzyć nawet w to, że ty wierzysz w podobne bajki. Dotąd mocno stąpałaś po ziemi, a przynajmniej tak mi się wydawało.

Celowo nie wspomniała o tańcu. To nie byłoby w porządku wobec ciotki, wiedziała, ile on dla niej znaczy. Tym bardziej że akurat w tej pasji Laura nie widziała niczego złego, a nawet ją podziwiała i trochę zazdrościła Helenie

umiejętności. Poza tym wypowiedziane na głos wątpliwości odrobinę ją uspokoiły. Nie sięgała już do torebki, ale i nie odwiesiła jej na oparcie krzesła, jak wcześniej. Położyła ją sobie na kolanach, ujawnienie posiadania listów zostawiając na później.

– Ależ tu nie ma żadnej magii! – zaprotestowała tymczasem Helena, unosząc obie dłonie w poddańczym geście. – Ani tym bardziej niczego nadprzyrodzonego. Chodzi o coś znacznie więcej. Pewien dar...

– Ten, który posiadała Marie Anne? Tak? Chodzi ci o jej rzekomą zdolność jasnowidzenia?

– Nie. O coś zupełnie innego. Nie tak prozaicznego i trywialnego, jak zwykle wizjonerstwo.

– Chyba wiem, co chcesz mi powiedzieć. Amelie już to wyjaśniała. Jej siostra miała ponadprzeciętne zdolności umysłowe. Wyjątkowo dobrze rozwinięty zmysł postrzegania i umiejętność błyskawicznego kojarzenia faktów.

– Tak, ale to nie wszystko. Jest coś jeszcze, co nie dotyczy wyłącznie Marie Anne.

– Chodzi ci o to, że Sara też posiadała tę umiejętność? I może także inni członkowie rodziny? Marie Anne... – Ostatnie wypowiedziała już bardziej twierdząco niż w charakterze pytania.

Pomyślała o zeszycie z motylem i zapiskach, o które prosiła swoich bliskich Josephine. Nagle przyszło jej do głowy, że taki właśnie był cel. Córka Sary usiłowała sprawdzić, kto jeszcze w rodzinie prócz Marie Anne odziedziczył dziwny talent. Ale po co to robiła? Co chciała dzięki temu osiągnąć, do czego wykorzystać?

– Sara i Marie Anne zdawały sobie sprawę z własnej wyjątkowości. W przeciwieństwie do... – Helena potwierdziła jej przypuszczenia, ale urwała, jakby zastanawiała się nad właściwym doborem słów, by tym razem rozmowa nie potoczyła się w złym kierunku.

Laura czekała cierpliwie. Znów z dłonią wsuniętą do torebki, w nieustannej gotowości do użycia atutu zyskanego dzięki Josephine. Listy mogły się okazać przydatne, gdy tylko pojawi się podejrzenie, że Helena mija się z prawdą i usiłuje wyprzeć się swoich knowań. A Laura nie zamierzała pozwalać jej na kolejne kłamstwa ani tym bardziej udawać, że w nie wierzy.

– Kogo masz na myśli? – spytała w końcu podejrzliwie. – Josephine?

– Nie, ona wbrew oczekiwaniom wszystkich wcale nie odziedziczyła daru, podobnie jak Amelie. Miałam raczej na myśli... – Znów się zawahała. – Moja mama uważała, że nie tylko jej biologiczna matka była wyjątkowa pod pewnym względem, ale również ta przybrana.

– Zaraz. – Laura zmarszczyła czoło, ponieważ nie od razu pojęła, co ma na myśli Helena. – Chyba nie powiesz mi, że Eleonora Kossacka...?

– Właśnie tak. Eleonora była dokładnie taka, jak jej siostra, i to okazało się

jej największym przekleństwem. Nie cierpiała tego w sobie i za to właśnie znienawidziła swoją siostrę. Dlatego wszystko jej odebrała. Żeby ją zniszczyć – ten dar nie tyle w niej, co razem z nią.

– Myślałam, że po prostu zakochała się w Kajetanie i z powodu miłości zrobiła te wszystkie okropne rzeczy. Tak uważała Josephine.

– Bo zapewne go kochała, po swojemu. Podobnie jak dzieci Sary. Była dla nich dobra, zwłaszcza dla Jakuba. Dla Leonii trochę mniej, kiedy się zorientowała, że przybrana córka kontaktuje się ze swoją biologiczną matką.

– Amelie mi o tym wspominała. Że Sara odwiedzała regularnie Polskę.

– Tak. Przyjeżdżała do Mężenina.

– Ty też tam bywałeś! – Przypomniała sobie Laura. – Opowiadałeś mi o Korczaku, że miałeś okazję go poznać!

Nie mogła w to uwierzyć. Gdyby tylko Amelie potrafiła wymówić zbyt trudną dla niej nazwę miejscowości, Laura od razu skojarzyłaby ją z opowieściami ciotki. O mężeńskim pałacu, do którego jeździła na wakacje z matką jeszcze jako dziecko. Poznała tam nie tylko Janusza Korczaka, ale wiele innych znanych osób, Janinę Broniewską – pisarkę i żonę Władysława, popularnych aktorów teatralnych i filmowych. Każdego lata zjeżdżało się tam też mnóstwo innych dzieci. Helena nieraz wspominała tamten wspinały czas. Wycieczki, rozmowy i niezwykłą atmosferę towarzyszącą opowieściom Korczaka, których z zapartym tchem słuchała o zmierzchu, przy ognisku rozpalanym nad Bugiem.

Nagle Laura uzmysłowiła sobie, że przecież Sara zabierała tam też małą Josephine. Wiele wskazywało więc na to, że ona i Helena poznały się, gdy były jeszcze dziećmi. Nie zdążyła jednak o to spytać.

– Spotkałam tam mnóstwo cudownych osób. – Helena z nostalgią wypisaną na twarzy przytaknęła jej myślom. – Korczaka i innych członków Towarzystwa Teozoficznego. W tym jego współzałożycielkę, Wandę Dynowską, spowinowaconą z samym Piłsudskim. Zresztą dzięki wsparciu jego drugiej żony, Aleksandry Piłsudskiej, zdobyto fundusze na zakup siedziby w Mężeninie. – W głosie Heleny zabrzmiała duma.

– Amelie mi o tym opowiadała. Że Sara też należała do tego towarzystwa. I tego drugiego, które zawiązało się we Francji.

– *Le Droit Humain* – domyśliła się Helena. – Sara pomagała przy tworzeniu tego pierwszego w Polsce. Spotkała się z Dynowską, gdy ta była w Paryżu. Razem nawiązały kontakt z Annie Besant, następczynią Heleny Bławatskiej, wielkiej okultystki i założycielki Towarzystwa Teozoficznego. Sama bywała w Mężeninie regularnie od tysiąc dziewięćset dwudziestego pierwszego roku, w którym powstało Polskie Towarzystwo Teozoficzne, aż do momentu, gdy z nakazu Hitlera ogłoszono likwidację wszystkich organizacji masońskich, w tym oczywiście *Le Droit Humain*. Po wojnie Sara już nie odwiedzała kraju – dodała z żalem.

– Ale wcześniej przyjeżdżała tu z małą Josephine, prawda? – Laura w końcu zadała pytanie, które chodziło jej po głowie.

– Tak. Była już nastolatką, gdy miałam okazję ją w końcu poznać.

– Poznałaś też Sarę...

Laura wciąż nie mogła wyjść ze zdumienia, że to Mężenin był tym trudnym do wymówienia dla Francuzki polskim miastem, do którego Sara jeździła z córką na wypoczynek. Gryzła się, że nie skojarzyła faktów. Podpowiedziałyby wówczas Amelie nazwę miejscowości i zorientowała się, że ciotka bywała tam w podobnym czasie.

– Nigdy nie zapomnę tamtego dnia, gdy zobaczyłam ją po raz pierwszy... – Usłyszała tymczasem głos Heleny. – Byłam bardzo szczęśliwa i podekscytowana. Miałam wtedy tylko kilka lat, to było tuż przed wybuchem wojny, ale mimo to bardzo dobrze ją zapamiętałam. Może dlatego, że moja mama okazała się do niej podobna? Drobną i delikatną, a mimo to taką silną. Potem, gdy po wielu latach spotkałam ją znów we Francji, nie zauważyłam w niej żadnych zmian. Była tako samo uśmiechnięta i dobra, ale jednocześnie stanowcza i silna.

– Jednak nie dość silna, by przeciwstawić się siostrze, gdy ta zabroniła jej spotkań z córką. – Laura nie powstrzymała się przed drobną negacją.

Helena niechętnie skinęła głową.

– To się stało dlatego, że Eleonora umiała patrzeć i wyciągać wnioski. Szybko się zorientowała, jak się sprawy mają.

– To wszystko przez nią, prawda? – domyśliła się Laura i zerknęła tam, gdzie siedziała lalka. Ciotka również spojrzała w tę samą stronę, a potem wstała i ją przyniosła. Posadziła obok, na krześle. Laura cofnęła się odruchowo, powstrzymując mdłości, gdy żółtawe włosy lalki dotknęły krawędzi stołu. – Wyobrażam sobie, jak Eleonora bała się o przybraną córkę. – Nagle poczuła, że powinna stanąć w obronie kobiety, którą mimo wszystko gdzieś w głębi duszy nadal uważała za swoją prababkę. – Sama wspominałaś, że siostra Sary chciała dla dzieci jak najlepiej, a tymczasem przez kontakty z matką mogły, podobnie jak ona, napisać sobie biedy i skończyć na wygnaniu. Może starała się je chronić. Przede wszystkim przybraną córkę, gdy zorientowała się, że traci nad nią kontrolę.

– Po części pewnie tak było. – Helena przyciągnęła lalkę bliżej siebie. – Kiedy zobaczyła ją u Leonii, od razu domyśliła się, że dzieje się coś niedobrego. Sara wcześniej nigdy się z nią nie rozstawała, Eleonora musiała ją u niej widzieć, nie wiem kiedy, może wtedy, gdy Sara pierwszy raz zaryzykowała i mimo grożącego jej nadal niebezpieczeństwa przyjechała do Jedwabnego. Tylko po to, żeby zobaczyć swoje dzieci, miały wtedy po trzy latka.

– Nie rozumiem. – Laura patrzyła na ciotkę zdumiona. Zdążyła się już przekonać, że jej biologiczna prababka była dość ekscentryczna, ale nie sądziła, że aż tak. – Nie rozstawała się z lalką mającą jej twarz? Dlaczego? Przecież to chore!

Tym razem ciotka obrzuciła ją zdziwionym spojrzeniem, ale już po chwili roześmiała się szczerze.

– Ale mnie przecież nie chodzi o lalę. To rzeczywiście byłoby głupie. Miałam na myśli to! – Szybkim ruchem odpięła od sukni lalki kameę i podała ją Laurze. – Ta broszka miała dla Sary szczególne znaczenie, dlatego podarowała ją pierworodnej córce. Na trzynaste urodziny. Wtedy Eleonora domyśliła się, że kontaktują się ze sobą.

– A lalka? Skąd się w takim razie wzięła?

– Sara przywiozła ją dzieciom dużo wcześniej, chyba właśnie wtedy, gdy widziała je po raz pierwszy od wyjazdu z kraju.

– Może sądziła, że dzięki temu rozpoznają jej twarz, gdy w końcu wróci... – zasugerowała Laura.

Ciotka zastanawiała się chwilę.

– Jest w tym jakiś sens – odparła w końcu.

– Czyli wtedy jeszcze wierzyła, że wróci?

– Nie wiem. – Zamyśliła się znów. – Pewnie tak.

– W którym momencie zrozumiała, że to się nigdy nie uda? Josephine opowiadała mi o masońskich rękawiczkach, które mąż podarował jej jako swojej jedynej miłości. I o tym, że Sara zawarła z siostrą pakt, symbolicznie odstępując jej jedną z nich. Obiecała, że nie zbliży się więcej ani do Kajetana, ani do dzieci. Ale, jak widać, nie dotrzymała obietnicy. Nadal spotykała się z Leonią.

– To nie tak. Leonia miała trzynaście lat, gdy Sara podarowała jej broszkę. Widziały się wówczas po raz ostatni przed wybuchem pierwszej wojny. To Leonia, gdy stała się już dorosła, uznała, że jej ta obietnica nie obowiązuje. Wiedziała, że Sara nadal bywa w Mężeninie. Pojechała tam, a resztę już znasz. Nie wiem, czy Eleonora o tym wiedziała, ale przypuszczam, że tak. Nie dawała tego po sobie poznać, bo i nic już nie mogła zrobić, żeby zapobiec tym spotkaniom. Leonia była pełnoletnia, sama podejmowała decyzje.

– Nadal nie rozumiem, po co były te wszystkie zabiegi! Obietnice, zakazy! Przecież po tylu latach powrót Sary do rodzinnego domu był prawie niemożliwy. Miejsce obok Kajetana przysługiwało Eleonorze, choćby tylko przez zasiedzenie. – Zaśmiała się trochę nerwowo z własnego, niezbyt stosownego żartu. – Jakub też znał tylko ją jako matkę i z tego, co mi wiadomo, do końca tak zostało. A jeśli jego siostra wolała tę biologiczną, i tak było za późno, by coś z tym zrobić. To, co wyprawiała Eleonora, wydaje się beznadziejnie głupie i dziecinne. Jak można było robić tyle szumu o jakąś broszkę?

– Nie chodziło tylko o biżuterię. Ona stała się jedynie zapalnikiem tego, co zdarzyło się później. Poza tym Eleonora doskonale wiedziała, że to nie jest zwykła broszka.

– Chodzi ci o ten napis? – Laura podniosła błyskotkę. – ONA – ON – ONO

– przeczytała na głos. – Domyślam się, że była prezentem od Kajetana, może nawet ślubnym, jako symbol ich przyszłej rodziny, skoro, jak wiemy, lubował się w podobnych gestach. Napis oznaczał matkę, ojca i dziecko, na narodziny którego miał zapewne nadzieję.

Helena energicznie potrząsnęła głową.

– Nie, nie! To nie tak! Nie mam pojęcia, skąd Sara miała tę broszkę, nigdy tego nie wyjawiała, ale z pewnością nie od męża. A to... – Zawahała się. – Rzeczywiście oznacza matkę, ojca i dziecko, ale nie w taki sposób, jak myślisz. – Znów zrobiła przerwę, zagryzając usta tak mocno, że Laura miała wrażenie, iż za chwilę popłynie z nich krew. – Pamiętasz, co mówiłam ci wcześniej o zmieniających się erach?

Laura skinęła głową. Pamiętała, mimo że wciąż niewiele z tego rozumiała. Tylko tyle, że miało to związek z tajemniczą szkatułką, na której wieku widniało oko Horusa. Czyżby to dotyczyło niezwykłej intuicji Sary i Marie Anne oraz ich rzekomej umiejętności ponadmysłowego postrzegania? Przecież Lichota wspominał, że takie oko według pewnych wierzeń miało poprawiać jasnowidzenie, twórcze myślenie i kreatywność. Stanowiło też symbol władzy i wszechwiedzy. W pierwszej chwili chciała nawet dopytać o to Helenę, ale ostatecznie uznała, że to zły moment. Rozmowa miała tym razem toczyć się sama. Bez wytyczania kierunku, niepotrzebnych spięć i nerwowych zwrotów akcji. Należało spokojnie doprowadzić ją do końca, a potem zająć się wreszcie zwykłymi, codziennymi sprawami.

Helena dotknęła broszki, wskazując poszczególne elementy epigrafu.

– ONA – ON – ONO – powtórzyła. – Matka, ojciec i dziecko. Izyda, Ozyrys i Horus.

– Czy to, co jest wyryte na biurku, w pokoju Marie Anne, też...? – Nim zdążyła dokończyć zdanie, ciotka przytaknęła.

– Wyskrobała napis, kiedy opowiedziałam jej o wszystkim. Miał jej przypominać o tym, co jest w jej życiu najważniejsze, o roli, jaką ma do spełnienia.

By w końcu wpędzić ją w depresję i spowodować przedwczesny koniec tego życia, skwitowała Laura już tylko w myślach. Nie była w stanie pojąć, jak ciotka mogła być tak nieodpowiedzialna, by mieszać w głowie ośmioletniej dziewczynce, opowiadając jej podobne bzdury. Zatrzymała jednak tę uwagę dla siebie.

– Czy właśnie to symbolizuje kamea? Ową naprzemienność dziejów i nadchodzącą nową erę? – spytała zamiast tego.

Usiłowała zachować spokój, ale coś znów blokowało jej gardło. Upiła łyk herbaty. Zimna nie była już tak wstrętą. Dopiła duszkiem całą.

– Nie tylko to – odparła Helena, ostrożnie cedząc słowa. Zauważyła reakcję Laury i przyglądała jej się z trwogą. – Musisz wiedzieć, że jadeit jest kamieniem szczególnym. Pomaga osiągnąć spokój, daje mądrość, przeciwdziała czarom i złym

duchom. – Udała, że nie widzi, jak Laura przy ostatnich jej słowa wykrzywia twarz. Przymknęła oczy i złożyła dłonie, przyciskając je do siebie. – Niektórzy uważają go za święty kamień mistyków, bo pozwala czerpać siłę i wiedzę z poprzednich wcieleń.

– Niektórzy, czyli kto dokładnie? – Laura patrzyła na nią spod zmrużonych powiek. Bała się, że ciotka dojrzy w jej oczach to, co w tej chwili musiała ukryć. Podszyte ironią niedowierzanie.

– Ci, którzy to potrafią. I nieustannie czerpią z niego tę wiedzę – odparła nieco wymijająco.

– Naprawdę wierzysz, że mogłaś żyć kiedyś w innym ciele? – Wbrew sobie zaśmiała się z lekką drwiną.

– Nie jest ważne, w co ja wierzę.

– Właściwie nie musisz odpowiadać. To oczywiste, że wierzysz,nosisz przecież tę broszkę – podsumowała Laura. – Tak jak Sara, prawda? – Mówiąc to, sięgnęła do torebki i dotknęła jadeitowego motyla, jednak w ostatniej chwili coś powstrzymało ją przed pokazaniem go ciotce. – Skoro ta błyskotka należała do niej... – Urwała, ponieważ nagle przez głowę przemknęła jej krótka, jednak straszna myśl, że Marie Anne właśnie dlatego odebrała sobie życie. Uwierzyła, że odrodzi się w nowym, lepszym według niej wcieleniu. Wydobędzie się z kokonu i w ten sposób dostanie w końcu upragnione motyle skrzydła. Dla własnego dobra Laura odrzuciła jednak przecucie. Przynajmniej na razie, bo gdyby tego nie zrobiła, nie byłaby w stanie dokończyć tej rozmowy. – To niedorzeczne. I zbyt straszne – skwitowała na głos to, co miała w głowie. – Albo śmieszne, zależy jak na to spojrzeć – dodała jeszcze, by ostatecznie przegnać wcześniejszą czarną wizję.

– Możesz sobie drwić z gilgul... – zaczęła Helena wolno.

– Gilgul? – Laura zaśmiała się już całkiem szczerze, słysząc zabawnie brzmiące, nieznanne jej słowo. Jednocześnie dostrzegła na twarzy Heleny cień zawodu. – A cóż to takiego? Tajemne zaklęcie na przepędzanie duchów?

– Sądziłam, że wiesz. – Helena zachowała powagę i zignorowała jej zachowanie. – Naprawdę nigdy o tym nie słyszałaś? Gilgul neszamot, mistyczna doktryna żydowska metempsychozy, inaczej reinkarnacji albo wędrówki dusz. Nawet słynna Wanda Dynowska uważała, że właśnie reinkarnacja jest jedynym logicznym wyjaśnieniem wszelkich zagadek życia. Również nierówności społecznych, umysłowych i moralnych. Często to powtarzała.

– Chodzi ci z grubsza o to, że przez ileś pokoleń ta sama dusza zasiedla kolejne ciała, tak?

– Według Zoharu jedynie trzy.

– Ach, więc to pewnie dlatego Sara studiowała tę całą Księgę blasku. – Laura dotknęła czoła. Tomy Zoharu znalezione w schowku za szafą wciąż leżały na strychu domu ciotki. Zapomniała o nich przez ostatnie wydarzenia. Nie miała

jednak już ochoty zajmować się woluminami. Zostawi je po prostu tam, gdzie są.

– Według gilgul każda dusza dąży do doskonałości, a jeśli nie uda się jej to, otrzymuje kolejną szansę w innym ciele – ciągnęła tymczasem Helena. – Tak to działa. Zdarza się też, że następne wcielenia mogą kontynuować zadania rozpoczęte przez te poprzednie, rozciągając je nawet na kilka pokoleń. Pamiętasz kabalistyczne drzewo życia? To ono wyznacza tym duszom ścieżki. Dzięki niemu się nie gubią i wiedzą, co robić, gdy wstępują na coraz wyższe sefiry. Aż osiągną Malkuth.

– I przeobrażą się w motyle – podsumowała Laura. – Nie uważasz, że to jednak trochę niesprawiedliwe? Wcześniejsze wcielenia też sobie zapracowały na kolorowe skrzydełka, siedząc jedynie w kokonie. Co to dla nich za nagroda, którą zgarnie ktoś inny, niby ich dusza, ale w zupełnie innym ciele? Nie dziwię się już, że ten cały Crowley tak bardzo się śpieszył z wdrapywaniem się po drzewie życia i przeskakiwał jego gałęzie. Po prostu nie chciał, by ktoś inny zgarnął to, na co on sobie zapracował. Pragnął jeszcze za swojego życia osiągnąć Malkuth, cokolwiek to jest.

Nie mogła uwierzyć, że w ogóle ciągnie tę abstrakcyjną rozmowę. Była ona tak absurdalna, że trudno jej było zachować spokój. Z całej siły powstrzymywała się, by nie wybuchnąć śmiechem, a drwiny stały się reakcją obronną.

– Ten kokon to tylko zmieniające się ciało. Dusza pozostaje ta sama. Przechodzi przez kolejne stopnie drzewa życia i coraz to nowsze wcielenia z tą samą misją.

Helena raczej celowo nie skomentowała jej uwagi o Crowleyu, skrzywiła się tylko lekko.

– Czy to znaczy, że w naszej rodzinie ktoś otrzyma lub też już otrzymał to samo zadanie? Misję? – spytała Laura już nieco poważniej, choć nadal bez przekonania. – Ma dotrzeć do celu, który upatrzył sobie jeden z naszych przodków?

Rozmowa stała się mniej zabawna, bo zbliżała się do niezbyt bezpiecznej krawędzi. Świadczyły o tym również coraz dłuższe momenty, w których ciotka milczała, i coraz bardziej niespokojny wyraz jej twarzy. Być może pytanie Laury padło zbyt wcześnie i należało przygotować pod nie bezpieczniejszy grunt. Przede wszystkim dla siebie, co Laura zanotowała w myślach, żeby w razie czego nie osunął się niespodziewanie spod nóg, jeśli dyskusja zacznie przypominać tę sprzed paru godzin, i doprowadzi do tego, że Laura po raz drugi zamknie się łazience.

Znów pomyślała o oku Horusa. Podobno umiało dojrzeć prawdziwą naturę człowieka i było oknem, przez które dusza zmarłego ogląda świat. Tak twierdził Henryk Lichota. I że właśnie w ten sposób dokonuje się reinkarnacja. Zmroziła ją ta myśl. Każda z interpretacji symbolu idealnie pasowała do tego, co właśnie usiłowała jej przekazać Helena. Oko Horusa wydawało się elementem łączącym

wszystkie fragmenty łamigłówek, a szkatułka znajdowała się teraz w rękach ciotki. Czyżby więc to ona była kontynuatorką owej niezrozumiałej misji? Laura aż bała się spytać...

– Jaka w tym wszystkim była rola Sary? – zagadnęła nerwowo, jakby z obawy, że zbyt szybko dowie się więcej, niż jest gotowa przyjąć.

– Sara ratowała zagubione dusze – odparła ciotka bez zastanowienia i Laura natychmiast pożałowała pytania. Było już jednak za późno.

– Jak? – zagadnęła ostrożnie.

Helena bez słowa podniosła lalkę. Przesunęła palcem po ozdobie na sukni. W większości z zielonych koralików.

– Mówiłam ci. Jadeity mają szczególną moc.

– Przyszła je do jej sukienki?

Dopiero teraz to zauważyła. Jednocześnie przypomniała sobie lalki w pokoju Amelie i Marie Anne. Zdała sobie sprawę, że wszystkie posiadały dodatki z ozdobnych kamieni. W formie różnych haftów, biżuterii czy nawet guzików. Bardzo podobnych do tych na sukni lalki znalezionej w Jedwabnem. Właściwie niemal identycznych. Dlatego było możliwe, że część z nich to różnobarwne minerały, w tym jadeity. Mimowolnie pomyślała o koraliku, który znalazła w swoim mieszkaniu. Ten z pewnością był szklany.

– Dlaczego to robiła? Dlaczego Sara ozdobiła jadeitami lalki? – spytała.

– Ponieważ jadeit pomaga душom w ich wędrówce.

– Chcesz powiedzieć, że wierzyła, iż te lalki mają dusze? – Laura otworzyła szeroko oczy ze zdumienia.

– Oczywiście, że lalki nie posiadają dusz. – Helena oburzyła się lekko. – One były jedynie naczyniami.

– Co zatem w nich przechowywano? – Laura nadal nie rozumiała.

– Dusze. Ale nie lalek, tylko ludzi, którzy opuścili swoje ciała zbyt wcześnie, zanim kolejne wcielenie przygotowało się na ich przyjęcie. Lalki stanowiły dla nich chwilowy azyl. Jadeit miał pomóc im odnaleźć drogę. Podobnie jak ich naturalnie wyglądające oblicza.

– Amelie mówiła, że Sara robiła lalki z twarzami ludzi, którzy je od niej kupowali – wyszeptała Laura zdrętwiałymi nagle wargami. Nadal nie dowierzała temu, co słyszy.

– Tak było. Kupowali je po to, by mieć naczynia na swoje dusze. Na wszelki wypadek, czy też raczej w razie nagłego wypadku i przedwczesnej śmierci. To było wówczas bardzo powszechne i chyba nawet modne.

– Po to, by ich dusze miały się gdzie podziać, zanim znajdą dla siebie jakieś przyjemne, nowe ciało?! – Laura nie posiadała się ze zdumienia.

– Mniej więcej. W dużym skrócie tak właśnie można to określić.

– A co z kolekcją lalek, które są nadal w domu Josephine? Czy w nich

wciąż... – Laura poczuła, że się dusi. Chwyciła się gwałtownie za gardło.

– Ależ skądże! Są z pewnością puste, jak wszystkie inne zwykłe lalki. Niektóre po prostu wracały do Sary, gdy nie były już potrzebne albo gdy bliscy osób, które zmarły, chciały się upewnić, że dusza znalazła już dla siebie nowe miejsce. Sara potrafiła to wyczuć, ufali jej.

Helena uśmiechnęła się lekko, a Laura odzyskała wreszcie oddech i zaczerpnęła gwałtownie tchu, jakby właśnie wynurzyła się na powierzchnię wody, nadal jednak wzburzonej i przez to niebezpiecznej.

– Przecież to jakiś koszmar! – wykrzyknęła. – Jeszcze gorszy niż kupowanie sobie za życia strojów pogrzebowych, trumien albo stawianie pomników! Straszne!

– Tego bym się akurat nie czepiała – odparła ciotka spokojnie. – Wiesz dobrze, że u nas to nic nadzwyczajnego. Odkąd pamiętam, w moich stronach kobiety w pewnym wieku kompletowały sobie pośmiertną garderobę, żeby potem nie pogrzebano ich w czymś, co by im się nie spodobało. Ja na przykład...

– Przestań! – Laura gwałtownie zasłoniła uszy. – Nie chcę tego słuchać! To jest okropne!

– Wcale nie. Uważam, to za bardzo rozsądne rozwiązanie – oznajmiła Helena pogodnie i wdzięcznym gestem poprawiła fryzurę. Uśmiechnęła się rozbijając.

Absurdalne zachowanie ciotki powinno ją zdenerwować jeszcze bardziej, jednak stało się coś wręcz przeciwnego. Konsekwentny spokój Heleny spowodowany pewnie długim tańcem wśród zieleni ogrodu zaczął niespodziewanie udzielać się Laurze. Oderwała dłonie od uszu i znów wzięła kilka głębokich wdechów. Ciotka tymczasem podsunęła jej szklankę z wodą. Tym razem sama dodała trochę cytryny i dużą garść roztartej w dłoniach melisy. Pewnie liczyła na jej uspokajające działanie.

– A to? – Laura otarła brodę, mokrą przez zbyt zachłanne zaspokajanie pragnienia, i skinęła w stronę lalki. – To też miało być naczynie na duszę... Sary? Skąd wiedziała, że nie będzie miała gdzie się podziać po śmierci?

– Nie myślała o tym. Ona... Ona miała nadzieję zostać tam na zawsze.

– Gdzie! W lalce?

– Tak. Obok Leonii. Żeby być przy niej, chociaż w ten sposób.

Helena nagle posmutniała.

– Chciała się zabić, żeby jej dusza mogła zadomowić się w zabawce córki? – Laura prawie krzyknęła. To, co sugerowała Helena, nie mieściło jej się w głowie.

– Myślę, że tak. Początkowo nie widziała innego sposobu, by się zbliżyć do dzieci. Niestety, kiedy Eleonora odkryła jej plan, postanowiła do tego nie dopuścić. To się stało wtedy, gdy zobaczyła kameę. Myślę, że właśnie dlatego wraz z innymi rzeczami siostry, jej starymi zapiskami, zamurowała lalkę. Żeby Leonia nigdy już nie mogła jej zobaczyć ani dotknąć.

– Naprawdę uwierzyła w te wszystkie bzdury? Że dusza jej siostry zamieszka kiedyś w tej lalce? To niemożliwe! Nie ona! Była racjonalistką. Mam na to dowód! Amelie powiedziała mi, że Eleonora została w Jedwabnem, ponieważ nie uwierzyła w ostrzeżenia Sary. I dlatego razem z mężem zginęła w tym nieszczęsnym pogromie. I nie mów mi, proszę, że o tym nie wiedziałas.

– Wiedziałam. – Helena westchnęła ciężko. – Moja mama do końca życia nie pogodziła się z tą tragedią. Może byłoby jej łatwiej, gdyby stało się tak, jak mówisz. Gdyby po prostu zagnano ją do tej stodoły z innymi, gdyby naprawdę nie można było temu zapobiec.

– Przecież było można... Gdyby tylko zaufała siostrze...

– Ależ ona nie spłonęła w tej stodole dlatego, że nie uwierzyła w przepowiednię, przez którą blisko pół wieku wcześniej Sarę wypędzono z rodzinnego miasteczka i z powodu której przeklęli ją zarówno katolicy, jak i Żydzi. Eleonora spłonęła żywcem, ponieważ święcie wierzyła w to proroctwo.

– Jak to?

– Tłumaczyłam ci. Miała identyczny dar, jak jej siostra, tylko że w przeciwieństwie do niej nigdy go nie zaakceptowała. W dodatku całkiem znienawidziła tę część siebie, która nie pozwalała jej wieść spokojnego, mieszczańskiego życia, bo wciąż odbierała spokój. To ją stłamsiło do tego stopnia, że nie miała siły dłużej tak żyć. Wcale nie musiała iść do tej stodoły, nie była Żydówką. A jej ojciec, Elias Rosen, już wówczas nie żył.

– Chcesz powiedzieć, że sama zdecydowała o swoim losie? Za siebie i za męża?

– Tylko za siebie. Dziadek Kajetan poszedł tam za nią dobrowolnie.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Można jedynie snuć domysły.

– Pewnie uznał, że tylko tak uda się przerwać to szaleństwo. Przecież te wszystkie wizje, proroctwa i przecucia do niczego dobrego nie doprowadziły.

– A notes z motylem? Widziałas go?

– Tak – przytaknęła niechętnie. – I znam historię o tym, jak Marie Anne dzięki swojemu przecuciu uratowała całą rodzinę od śmierci z rąk szaleńca. Myślę jednak, że to był przypadek, nie żadna wizja. Zbieg okoliczności, impuls...

– Są jeszcze inne dowody.

– Co do których można wyciągnąć podobne wnioski. Wszystkie historie opisane w notesie to nic szczególnego. Sama mogłabym przytoczyć kilka podobnych, ty na pewno też.

– Tak, ja też... – Zawahała się chwilę. – Tylko że mnie chodzi o coś znacznie większego, dużo poważniejszy dowód. – Helena przełknęła głośno ślinę.

– Erę Horusa, która ma niebawem nadejść? To ona ma być dowodem, tak? Trzeba tylko poczekać, aż...

– Nie! – Helena uniosła dłoń. – Rozejrzyj się tylko – powiedziała prawie szeptem. – Nie trzeba wcale czekać. Era Dziecka już nadeszła. Płeć ludzka przestała mieć znaczenie, a jednocześnie znaczy więcej niż kiedykolwiek wcześniej. To wszystko już się dzieje! Kobiety odnajdują w sobie pierwiastek męski, a mężczyźni – kobiecy. Jeszcze inni nie chcą być ani jednymi, ani drugimi... Dla pozostałych płeć przestaje być istotna, w tym również ich własna. Żyją poza jej świadomością i dokonują wyborów poza nią. Sama widzisz. – Położyła obie dłonie na starej drewnianej szkatułce. – Ona właśnie się zaczęła. Epoka Dziecka. Era Horusa. Jednak nie wszystko zmierza ku dobremu, niektórzy pobłądzili i przez złe wskazówki zeszli na manowce. Dlatego trzeba przeszkodzić tym, którzy świadomie plączą ścieżki, i jak najszybciej je wyprostować. Należy dopilnować, by wszystko poszło we właściwym kierunku, a potem wyeliminować tych, którzy usiłują bruździć w tym, by świat stał się lepszy i wszyscy byli szczęśliwsi, mieli odwagę wyjść ze swoich kokonów, w których dotąd tkwili, i przybrać nową, lepszą postać. Tak, jak pragnęła tego Sara, a nie jak chciał on, Aleister Crowley. Bo jego wizja świata, a przede wszystkim droga, którą wytyczył przyszłym pokoleniom, może doprowadzić tylko do jednego. Niechybnej zguby.

Miarowe tykanie ściennego zegara potęgowało nerwowość atmosfery. Ciotka Helena, która posadziła sobie teraz na kolanach lalkę i delikatnymi ruchami układała jej trzeszczące przy każdym dotyku sianowate włosy, wydawała się spokojna, ale to były tylko pozory. Od czasu do czasu brała głęboki wdech i wypuszczała powietrze nienaturalnie wolno, usiłując zapanować nad drżeniem klatki piersiowej. Układanie fryzury lalce miało jej zapewne pomóc w uspokojeniu drżenia rąk. Niestety, oba zabiegi nie przyniosły oczekiwanego efektu. W dodatku sprawiały, że również Laura poczuła się jeszcze gorzej.

– I co dalej? Co, jeżeli uwierzę w tę nieszczęsną przepowiednię o Horusie? Czy wydarzy się coś jeszcze? Jakiś nagły zwrot akcji, kulminacja? Wykluje się motyl? – dopytywała nerwowo. – A jeśli tak, jaka jest w tym wszystkim twoja rola?

Przy ostatnich słowach bezwiednie uchwyciła się kurczowo krawędzi krzesła. Jakby obawiała się, że nie odnajdzie w sobie dostatecznie wiele siły, żeby tym razem zostać. Znów wbrew sobie zadawała pytania, na które nie chciała poznać odpowiedzi. Ta myśl sprawiła, że poruszyła się niespokojnie, przez co torebka zsunęła się jej z kolan. Z przerażeniem patrzyła, jak wysypują się z niej

listy. Pozbierała je szybko i po krótkim wahaniu położyła wszystkie na stole.

– Mam je od Josephine – wyjaśniła usprawiedliwiającym tonem. Niepotrzebnie czuła się winna. – Wiem, że zmuszałaś ją do milczenia. Nie pozwoliłaś, by wyjawiała mnie i moim rodzicom, jak było naprawdę. Groziłaś, że zdradzisz jej córce wszystkie skrywane przed nią tajemnice.

– Wyjaśniłam ci to. Ona chroniła Amelie, a ja ciebie. – Helena z pewną obojętnością spojrzała na listy. – Uważałam, że jest za wcześnie na wyjawienie wszystkiego. Josephine tego nie rozumiała, zamierzała otworzyć szkatułkę z okiem Horusa. Myślała, że dzięki temu uwolni siebie i innych od wyznaczonych zadań.

– Czy chcesz powiedzieć, że was zdradziła? Przeszła na stronę wroga? Dołączyła do... – Laura zawahała się, szukając odpowiednich słów. – Do tamtych?

– Ależ skąd! – zaperzyła się Helena. – Nienawidziła Crowleya, tak jak my. Tylko że podobnie jak wcześniej Veronique nie chciała być już jedną z wybranych, przestało jej zależeć na doprowadzeniu do końca tego, co zaczęła Sara, a może po prostu poczuła się zmęczona. Chciała wręcz to przerwać i pozostawić własnemu losowi, a tym samym wszystko zaprzepaścić. Nie rozumiała, że bez naszej pomocy nic nie będzie takie, jak powinno. Zniszczyłaby też to, co już udało nam się osiągnąć. Należało temu zapobiec i na tym właśnie polegała moja rola, o którą pytasz. – Powstrzymała gestem Laurę, ponieważ domyśliła się, co dziewczyna chce powiedzieć. – I nie, nie skrzywdziłam Josephine. Ani ja, ani nikt inny.

– Veronique powiedziała, że jedyną drogą ucieczki jest śmierć.

– Josephine mimo to usiłowała znaleźć inne wyjście.

– A może odkryła coś, o czym nie wiesz? I dlatego postanowiła się wycofać.

– Może... – odparła Helena i spochmurniała. Nawet jeśli znała prawdziwą przyczynę zachowania Josephine, nie zamierzała jej ujawnić.

– Co jest w szkatułce? Dotyczy przepowiedni o Nowej Erze? Jest na niej oko Horusa, więc...

– Nie mam pojęcia, co jest w środku, i na razie to się nie zmieni. Zostanie otwarta w odpowiednim czasie. – Helena wydawała się nieugięta.

– Ale skoro Era Horusa właśnie nadeszła, może to jest ten moment? Może wewnątrz znajduje się wskazówka, co począć z tym dalej? – kusila, przeczuwając, że Helena i tak ją przejrzy. Domyśli się, że Laura nie wierzy w nic, co dotąd usłyszała, a jest jedynie ciekawa finału tej nieprawdopodobnej historii, mimo że nadal nie pozbyła się towarzyszącego jej od początku dziwnego niepokoju.

– Spodziewam się znaleźć tam coś znacznie więcej niż tylko wskazówki. – Na twarzy ciotki odmalowało się znużenie.

– Tym bardziej powinnyśmy to sprawdzić. – Laura brnęła dalej. Zbyt zdeterminowana, by teraz ustąpić. Musiała za wszelką cenę dowiedzieć się, o co w tym wszystkim chodzi, a czuła, że jest już bardzo blisko.

– Nie można. Jeszcze nie teraz.

– Więc kiedy? – Nie ustępowała, świadoma, że ciotkę męczy jej natarczywość.

– Myślę, że dowiesz się o tym pierwsza. – Helena nadal odpowiadała spokojnie, mimo że lekko drżały jej dłonie.

– Powiesz mi?

– Nie. To raczej ty mi to powiesz.

– Nie rozumiem.

Laura zmarszczyła czoło. Zastanawiała się, skąd ciotka tyle wie o modnym obecnie temacie społeczno-kulturowej tożsamości płci. W ideologii gender, potępianej przez wielu i obwinianej za upadek najważniejszych, bo tradycyjnych wartości, dostrzega przyszłość świata. W dodatku wydaje się pogodzona z nadchodzącymi zmianami i wręcz zdeterminowana, by proces, który się rozpoczął, nie został przerwany. Wydawało się wręcz, że odnajduje w tym swoją osobistą misję, przy hipotetycznym wsparciu paru innych, bliżej nieznanym osób o równie nietypowych poglądach. W dodatku ledwie garstki, co wynikało ze słów Veronique. Czyżby naprawdę wierzyła, że są w stanie zmienić świat, w dodatku walcząc jednocześnie z wyimaginowanym wrogiem, spadkobiercami satanisty? Czy żeby do tego dojść, Helena musiała zrewidować cały swój światopogląd? Jak w takim razie wyglądało jej wcześniejsze postrzeganie świata, zanim wpadła na to, co właśnie zamierzała? Laura ze zdumieniem skonstatowała, że właściwie nie wie. Nigdy nie prowadziły ze sobą rozmów na podobne tematy. Na ogół dominowały w nich zwykłe sprawy codzienne, przeczytane książki, czasem film, który wspólnie obejrzały.

Może właśnie dlatego coraz mniej podobała się jej obecna rozmowa.

– W końcu to wszystko zrozumiesz. – Ciotka pokiwała głową. – Obiecuję. Na to też potrzeba czasu. A kiedy to się stanie, zrobisz to, co do ciebie należy.

Laura znów pomyślała o Veronique. Jak to możliwe, że Helena niemal dokładnie powtarzała jej słowa? Czy to oznaczało, że, wbrew wcześniejszym wnioskom, kontaktowały się ze sobą? Knuły coś razem przeciwko niej?

– Czyli i mnie przydzielono jakąś rolę? – zapytała trochę nerwowo. – A może jestem czymś wcieleniem? Na przykład Sary? – Mimowolnie przeniosła wzrok na lalkę i wzdrygnęła się ze wstrętem. – Sprawdźmy to. Zajrzyjmy do środka kukły, przekonamy się, czy jest pusta – drwiła, zdając sobie sprawę, że to kolejna reakcja obronna.

– Nie da się śledzić wędrówki dusz. A przynajmniej ja nie znam nikogo, kto by to potrafił.

– Uważasz, że moja dusza należała do kogoś szczególnego?

– Tego nie powiedziałam.

– Skąd więc pomysł, że mam do wykonania jakieś zadanie?

Laura nadal zaciskała ręce na siedzisku krzesła, kołysząc się nerwowo

w przód i w tył. W głowie czuła znajome łomotanie. Zdmuchnęła z czoła zabłąkany kosmyk, odrzuciła do tyłu włosy i spojrzała na ciotkę z wyczekiwaniem w oczach.

Helena długo nie odpowiadała. Laura zauważyła, że patrzy na listy, które wciąż leżały na stole. Zastanawiała się, czy ciotka zachowała te, które otrzymała od Josephine, albo czy korespondowała również z Marie Anne. Listy nieżyjącej dziewczyny mogłyby być o wiele bardziej interesujące ze względu na tajemniczą więź, jaka łączyła ją z Heleną.

– Czy mam zastąpić Marie Anne? – Zaryzykowała kolejne pytanie.

– Ona miała swoją własną rolę. I od początku rozumiała swój dar. W przeciwieństwie do ciebie...

– Co masz na myśli? – Zdziwiła się Laura. – Chodzi ci o tę niezwykłą intuicję, którą posiadała Marie Anne? Uważasz, że ja też ją mam? Bo jeśli tak, muszę cię rozczarować. Prawda jest taka, że nie mam nawet śladowych zdolności tego rodzaju. Bo gdyby tak było, przewidziałabym skutki całej tej historii i nie wplątałabym się w to wszystko.

Nerwowo zatoczyła ramieniem krąg.

– Ależ oczywiście, że masz identyczny dar! To dlatego tak się uparłaś, żeby tam pojechać. Potrafiłaś odczytać znaki, w przeciwieństwie do mnie... Omal wszystkiego nie zaprzepaściłam. Teraz to rozumiem. Wiem, że sprawy musiały się potoczyć właśnie tak.

– Przestań, nie posiadam żadnego daru! – Laura coraz bardziej traciła cierpliwość. – Nie mam nawet owej legendarnej kobiecej intuicji, o której tyle się mówi.

– Nie masz. Tę posiada niemal każda kobieta, mężczyźni zresztą też. Ty potrafisz znacznie więcej. Zastanów się tylko, dlaczego tak bardzo nie znosisz domu w Jedwabnem?

– Bo źle mi się kojarzy – odparła ponuro. – Nie wiem, jak w ogóle możesz o to pytać.

– A twoje marzenia? Te o Narnii? Nie wzięły się znikąd. Podświadomie wyczuwałaś, co kryje się za szafą. Czułaś obecność lalki.

– Oczywiście... Domyślałam się istnienia królowej Sary uwięzionej w porcelanowej laleczce i zamurowanej podstępnie przez złą siostrę! – Znów nie powstrzymała się przed ironią.

– Dobrze wiesz, że to właśnie ona była królową, o której tyle opowiadałaś. Przypomnij sobie tylko!

– Nie muszę. Świetnie to pamiętam. Wymyśliłam sobie drzwi do Narnii, bo pragnęłam uciec. Dobrze wiesz, od czego. Wciąż od tego uciekam. Od tego cholernego domu i wszystkiego, co mnie w nim spotkało. Za to właśnie go tak nie lubię.

– Nieprawda. Tak to sobie wytłumaczyłaś, bo nie byłaś gotowa na

prawdziwe wyjaśnienie tego, co od początku w tobie tkwiło. Bo przecież odczuwasz niechęć i do innych starych domów. Właściwie niemal do wszystkiego, co stare.

– Bo jest brudne. Pozbawione świeżości i przez to ohydne. – Wzdrygnęła się na samo wspomnienie starzyzny, z którą kiedykolwiek miała do czynienia.

– Można umyć.

– Niemożliwe. To tak, jakby kazać komuś jeść zupę z wyszorowanego porządnie nocnika. Nie da się bez wstrętu.

– To nie jest dobre porównanie. – Helena wykrzywiła twarz.

– Najlepsze z możliwych. Z tego właśnie powodu nie znoszę staroci. Przez wiekowy brud, który w nie wrósł na amen. Jak fekalia w nocnik.

– Wmówiłaś to sobie. Wcale nie chodzi o zwykły brud, bo ten można doczyścić i rzeczy będą wyglądały jak nowe. Jest jednak coś, czego z nich nie zmyjesz ani nie wytrawisz nawet najsilniejszym środkiem chemicznym. Właśnie to ci tak przeszkadza.

– Oczywiście. Wiekowy smrodek – prychnęła, marszcząc nos. – Cokolwiek nie zrobisz, i tak zostanie.

– A twoje mieszkanie? Co z nim?

– Jego to nie dotyczy. Stanowi wyjątek.

– Dlaczego?

– Nie wiem. – Wzruszyła ramionami. – Jest inne. Po prostu od początku świetnie się w nim czułam i tyle. Nie potrafię tego wyjaśnić.

– W moim domu też czujesz się dobrze, mimo że pamięta powojenne czasy, prawda?

Przytaknęła niechętnie.

– Bo mam stąd same dobre wspomnienia – mruknęła.

– Moim zdaniem nie chodzi wcale o twoje wspomnienia, lecz te, które zastygły nie tylko w ścianach budynków, ale i w przedmiotach, których dotykali ich dawni właściciele. Energia osób, które odeszły, może być dobra lub zła. A w moim domu jest tylko dobra, bo ja i Jeremiasz byliśmy tutaj bardzo szczęśliwi.

Jej samej przyszło coś podobnego do głowy jeszcze w domu Josephine. Wtedy również nie spodobało jej się to. Sugestia, że zmarli nie odchodzą do końca, że w rzeczach, które po sobie zostawiają, można wyczuć ich obecność, była nedorzeczna. Nie wierzyła w nią, a mimo to podobna myśl napawała ją przerażeniem.

– Chodzi ci o mityczną aurę? Kolorowy obłok, którym otoczeni są ludzie, ci dobrzy i ci źli? Że to coś niby po nich zostaje, kiedy umierają?

– Niektórzy tak to nazywają, dla mnie to po prostu energia. Nie wszyscy zauważają jej istnienie, nie każdy umie ją wyczuć. A ty, drogie dziecko, potrafisz, i to jak nikt inny, tylko nie do końca zdajesz sobie z tego sprawę.

– Nie. – Pokręciła energicznie głową. – Nie! Nie! Nie! Nie będę tego słuchać! – Poderwała się z miejsca. – Przepraszam, próbowałam, naprawdę, ale nie mogę.

– Poczekaj! – Ciotka przytrzymała ją za ramię. – Nie musisz się niczego obawiać. Nic się nie zmieni w twoim życiu, a nawet stanie się łatwiejsze dzięki temu, co już wiesz. A kiedy wreszcie uda mi się przekonać innych, że to ty zasługujesz, by kontynuować tradycję, szkatuła zostanie wreszcie otwarta i...

– Nie! – Wyszarpnęła się. – Nie chcę! Niczego już nie chcę z wyjątkiem świętego spokoju!

Mimo złości, która nagle ją ogarnęła, a może właśnie dlatego, nie wybiegła od razu. Usiadła z powrotem na krześle i pociągnęła nosem. Zamierzała sięgnąć po chusteczkę higieniczną, ale wcześniej jej wzrok padł na leżące wciąż na stole listy.

Nerwowym gestem zgarnęła je i wetknęła do torebki. Jakby w odwecie za to, co się chwilę wcześniej wydarzyło, czego wbrew swojej woli musiała słuchać. Ciotka uśmiechnęła się lekko, ale nie zareagowała. To jeszcze bardziej zirytowało Laurę. Zamiast wyczyścić nos, podarła na strzępki wyszarpniętą z opakowania chusteczkę. Czowała się bezsilna. Potrzebowała czegoś większego, na czym mogłaby skuteczniej wyładować złość. Żałowała, że ciotka ukryła gdzieś szkatułę z okiem Horusa. Mogłaby teraz po prostu rozłupać ją o podłogę i w ten sposób zakończyć wszystko raz na zawsze. A ciotce zostałyby jedynie drzazgi i rozbita w drobny mak nadzieja na dopełnienie się głupiej przepowiedni, w którą tak naiwnie wierzyła. Może wówczas w końcu by się opamiętała.

Przypomniała sobie o lalce. Odwróciła się w jej stronę. Przez chwilę miała wrażenie, że w szklanych oczach kukły pojawiła się drwina, a czerwone porcelanowe usta wykrzywiły się w złośliwym uśmiechu. Niewiele myśląc, wyciągnęła ręce i podniosła ją wysoko, ponad swoją głowę. Zza rąbka sukni, który uderzył ją w twarz, zobaczyła przerażone spojrzenie ciotki. Laura odwzajemniła je z satysfakcją. To, co ujrzała w oczach Heleny, sprawiło, że poczuła niespodziewaną ulgę. Wróciło budujące poczucie, że panuje nad sytuacją. I to jej wystarczyło. Odłożyła lalkę na miejsce i wytarła dłonie w spodnie. Przewiesiła przez ramię torebkę.

– Pójdę do siebie na górę – oświadczyła, jak gdyby nigdy nic. – Muszę trochę odpocząć. Chyba na razie mam dość.

Szła wolno po schodach, czując, jak ulatują z niej resztki gniewu. Zastąpiło go zmęczenie. Myślała już tylko o tym, żeby się położyć.

Zawahała się chwilę, patrząc na nieskazitelnie gładką biel łóżka i koszulę nocną na poduszce. Zdjęła ją stamtąd ostrożnie, a potem, zrzuciwszy jedynie buty, z ulgą zanurzyła się w chłodnej pościeli. Ze zdziwieniem zauważyła, że wciąż przyciska do siebie torebkę. Od razu odłożyła ją na bok. Już nie musiała bać się o listy. Okazały się dużo mniej warte, niż oczekiwała, mimo że nie umiała

powiedzieć, czego właściwie spodziewała się po ich treści.

Zamknęła oczy w nadziei na sen. Poczwała błogość. Powolotku traciła kontrolę nad swoimi myślami, co przynosiło jej ulgę. Pod powiekami pojawiły się pierwsze przedsenne wizje, które na ogół sprawiają, że człowiek łatwiej i szybciej odpływa w objęcia Morfeusza, lub też całkiem na odwrót. Nie można z ich powodu zasnąć, a zamiast tego zastyga się w połowie drogi: między jawą a snem.

Laura znów ujrzała tonący w mroku pokój pełen starych lalek o poważnych, porcelanowych twarzach. Otworzyła i potarła nerwowo oczy, lecz obraz nie zniknął. Został w jej głowie. Bardzo wyraźny, z detalami w postaci szklanych i jadeitowych paciorków na miniaturowych strojach. Wsunęła rękę do kieszeni, by wyjąć stamtąd jeszcze jeden. Uniosła go wysoko. Obserwowała chwilę, jak przenika go ostatni słaby promień zachodzącego właśnie słońca, który wpadał do pokoju, by odbić się od ściany tuż nad głową Laury. Teraz stał się różowy i ułożył się płasko na pościeli. Zniknął, gdy Laura zamknęła koralik w dłoni. W tym samym momencie wróciły lalki. Znów widziała je zaskakująco wyraźnie. I czuła się dokładnie tak, jak wtedy, gdy pierwszy raz weszła do sypialni sióstr Berthier. Osaczona i przerażona.

– Przecież to bzdura. One na pewno były puste – powiedziała bezwiednie i zakryła rogiem kołdry usta. Zdała sobie sprawę, jak to zabrzmiało. Jakby uwierzyła, że wcześniej były naczyniami na czyjeś dusze. Dlaczego lalki nadal pozostawały w tym pokoju? Przecież ci wszyscy ludzie z ich twarzami pewnie od dawna nie żyli. Dlaczego Sara je zatrzymała? Czy na pewno tylko dlatego, że chciała się upewnić, iż wszystkie dusze znalazły dla siebie nowe miejsce?

Wróciła myślami do lalki, która została na dole, i znów poczuła mdłości. Dotąd sądziła, że to przez włosy – naturalne, ale od dawna martwe. Teraz straciła tę pewność. To nie była zwykła niechęć, jak do wielu innych staroci, z którymi miała dotąd do czynienia. Teraz to rozumiała. Powrócił niepokój, jednak już bez odczuwanej wcześniej złości, gdy ciotka wmawiała jej posiadanie tajemniczego daru przeczuwania.

Podciągnęła się na łokciu i rozejrzała po pokoju. Biurko, meblościanka, fotel, dywan, a nawet zasłony i firanki, wszystko było pewnie starsze od niej, a mimo to przebywanie wśród tych rzeczy dawało jej ukojenie. Od zawsze. I nie miało to żadnego związku z głupimi przeczuciami.

Znów opadła na poduszkę i wyjęła z kieszeni telefon. Tym razem nie zamierzała dzwonić do męża. To nie była odpowiednia pora, na pewno spał, poza tym już niebawem razem z dziewczynkami miał wrócić wreszcie do domu. Powtórzyła to sobie w myślach parokrotnie, czując, jak dzięki temu poprawia jej się nastrój. Otworzyła w telefonie galerię, żeby popatrzeć na przechowywane tam zdjęcia córek. Nagle spochmurniała. Na wyświetlaczu pokazały się te wykonane ostatnio. Pośpieszne, nieuważne zapiski, i motyle, dla odmiany narysowane bardzo

starannie, z dbałością o każdy najmniejszy szczegół. Łącznie z tym na okładce.

Wszystkie notatki, podobnie jak te, które zdążyła przeczytać jeszcze we Francji, były w większości bardzo zwyczajnie. Opisane historie nie wywołałyby zdziwienia na niczyjej twarzy. Całkiem jak sytuacja, gdy człowiek mimo bezchmurnego nieba bierze z domu parasol, przeczuwając deszcz, i okazuje się, że miał rację. Albo gdy podczas jazdy samochodem zdejmuje nogę z gazu tuż przed zakrętem, za którym ustawił się policyjny radiowóz. Marie Anne również dzięki tego rodzaju intuicji, albo najzwyczajszego w świecie szczęścia, unikała mniejszych lub większych wpadek. W notatniku wspominała o całkiem prozaicznych, codziennych czynnościach i sytuacjach, w których jej się poszczęściło. Żadna z nich nie była takiej miary, jak wydarzenie w paryskiej restauracji. Marie Anne nikogo więcej nie ocaliła, czasem jedynie pomogła komuś, a najczęściej sobie.

Laura odłożyła telefon na szafkę obok. Znów zamknęła oczy, usiłując przywołać tym razem pozytywne obrazy. Całkiem bezwiednie sięgnęła po te, które nieodmiennie działały na nią kojąco.

– Moja prawdziwa Narnia. – Uśmiechnęła się do siebie. – Kiedyś w końcu ją znajdę. I wszystko będzie wyglądać inaczej. Po mojemu.

Nagle zrozumiała, że tu, gdzie jest, nie ma już czego szukać, bo jej idealny świat, jedyne, w którym czuła się bezpieczna i szczęśliwa, znajduje się gdzie indziej. Tylko tam mogła odzyskać spokój. Poderwała się na tę myśl, ale po chwili znieruchomiała. Po tym, co się właśnie wydarzyło, nie mogła tak po prostu wyjechać. Nie opadły jeszcze wszystkie emocje, a ciotka mogłaby niewłaściwie zinterpretować zachowanie Laury, pomyśleć, że uciekła, podczas gdy tym razem było inaczej. Nie uciekała, pragnęła jedynie jak najszybciej znaleźć się w swoim domu.

Zastanawiała się gorączkowo, jak wybrnąć z tak trudnej sytuacji. Wówczas przypomniała sobie o czymś, co mogło jej pomóc. Sięgnęła do torebki i wyjęła z niej apaszkę kupioną specjalnie dla Heleny. Położyła ją na łóżku... Miała nadzieję, że ten gest zastąpi pożegnanie, na które w tej chwili nie miała siły, i rozwieje błędne podejrzenia ciotki, uspokoi ją.

A potem od razu ruszyła na dół, prosto do samochodu.

Sięgnęła po kolejne ciastko. Maślano-kajmakowe, swoje ulubione.

Pani Lusia była kulinarną czarodziejką, w dodatku z genialną intuicją. Laura skrzywiła się lekko na słowo, którego mimowolnie użyła w myślach, ale nie znalazła lepszego. Sąsiadka z reguły wpadała do niej z jednym ze swoich przynoszących rozkosz podniebieniu specjałów w idealnych momentach. Takich, jak chociażby dzisiaj, gdy Laura niechętnie i całkiem wbrew sobie zwlokła się wreszcie z łóżka, żeby przygotować dom na przyjazd męża i córek. Cieszyła się jak szalona, że wreszcie ich zobaczy, ale tylko w środku. Czuła się zbyt zmęczona, by przełożyć tę wewnętrzną radość na energię potrzebną do zrobienia zakupów i domowych porządków. Powinna zadbać też o siebie, bo ostatnio nie wyglądała najlepiej, i zaplanować coś wyjątkowego do jedzenia już dla całej rodziny.

Taki miała plan, tymczasem wygrzebała się jedynie z pościeli, wyszła z sypialni i utknęła w salonie przy włączonym laptopie. W piżamie, boso i z mocnym postanowieniem, że zaraz potem wejdzie do wanny pełnej gorącej wody i piany z pachnących kul do kąpieli. Zamierzała długo relaksować się wśród musujących bąbelków, umyć i ułożyć zaniedbane włosy, potem wetrzeć w ciało jakiś wonny balsam, położyć na twarz maseczkę, a może nawet pomalować

paznokcie. Niestety, znalazła w sobie tylko tyle siły, by zaparzyć kawę i wrócić z nią do komputera. Słodka przekąska od pani Lusi zastąpiła śniadanie.

Od razu po powrocie z Bujan, mimo późnej pory zapisała na kartce hasła do wyszukania, które po drodze skrzętnie notowała w pamięci, żeby do rana któreś jej nie umknęło. Oko Horusa, gilgul, Towarzystwo Teozoficzne, *Le Droit Humain*. A oprócz nich nazwiska: Wanda Dynowska, Helena Bławatska, Annie Besant. Teraz dopisała tańce chasydzkie i od nich zaczęła poszukiwania.

Długo nie była w stanie oderwać wzroku od monitora. Wpatrywała się w niego jak zaczarowana i z każdym kolejnym oglądanym nagraniem coraz bardziej przekonywała się, jak trafny był opis Heleny. Zrozumiała istotę uchwyconego przez nią podobieństwa do jej własnego tańca, mimo że zgodnie z tym, co napisała w liście do Josephine, na pierwszy rzut oka było widać przede wszystkim różnice.

Taniec chasydzki wydawał się bardziej dynamiczny, ale tylko pozornie, bo ten Heleny miał w sobie znacznie więcej energii, tyle że nie dla każdego widocznej. Laura zamknęła oczy i chwilę go sobie wyobrażała. Najpierw w wykonaniu Heleny, a potem własnym. Tak, jak robiła to czasem w dzieciństwie.

W końcu, sama nie wiedząc kiedy, wstała zza komputera, wolno uniosła ramiona i wyobraziła sobie dźwięki.

Na początku niewiele, tylko spokojny szelest, bez niepotrzebnych zaburzeń rytmu. Napięła wszystkie mięśnie, ale zamiast wykonać pierwszy ruch, tylko go sobie wyobraziła. Jedynie we własnym umyśle rozkołysała biodra, potem barki, ugięła kolana, jedno, i drugie, na przemian. Jej ciało zaczynało delikatnie wibrować, a przynajmniej ona odniosła takie wrażenie. Rozleniwione tkanki wpadły w nieśmiałe drgania, jak dawno nieużywane i niestrojone struny skrzypiec. Nasilił się szum w uszach. Stał się inny, już nie tak monotony, jak na początku, ale nadal podobny do tego, który słyszy się po przyłożeniu do ucha morskiej muszli.

Nagle poczuła przyjemną miarowość dźwięku. Rytm. Z każdą chwilą stawał się bardziej melodyjny. Układała z niego w myślach nowe akordy, dopasowując je do wewnętrznych drgań: ruchu bioder, ramion i stóp, które zdawały się teraz unosić nad ziemią jak stopy tańczących Chasydów, mimo że ani na moment nie oderwały się od podłogi. Nie wykonały najmniejszego ruchu ponad ten urojony, a mimo to aż piekły i drętwiały z bólu i zmęczenia.

Zapagnęła zrobić piruet. Tylko w myślach, taki jaki powstaje w głowie po wypiciu paru kieliszków mocnego wina, ale wtedy zawirowało jej wszystko przed otwartymi zbyt nagle oczami i straciła równowagę. Chwyliła się krawędzi biurka, żeby nie upaść, a potem zdyszana opadła na fotel.

– Następnym razem pójdzie mi lepiej – sapnęła, zanim jeszcze do niej dotarło, co właściwie się stało.

Gdy tylko zdała sobie z tego sprawę, oblała ją fala gorąca.

Nie rozumiała, dlaczego to zrobiła, ani skąd wziął się impuls, który to „coś” w niej wyzwolił. Zupełnie, jakby to tkwiło w niej od zawsze, ale dopiero teraz postanowiło się uzewnętrznić, a potem znów zapadło w najgłębsze zakamarki podświadomości, zasnęło. Zastanawiała się, na jak długo. Bo wszystko, dziwny taniec i nieznane wcześniej doznania, wydarzyło się jakby poza nią, a nawet wbrew, dlatego nie była pewna, czy kiedykolwiek się powtórzy.

Miała nadzieję, że tak.

Nigdy nie odnalazła w sobie dostatecznie wiele odwagi, by naśladować Helenę, wbrew jej zachętom. Dziś zrobiła to sama, a właściwie zdecydowało o tym jej oddzielone na chwilę od umysłu ciało, które samowolnie ruszyło w dziwne, fascynujące, wciąż niepojęte dla niej płasy i podjęło uśpiony w niej rytm. Poza jej świadomością i wolą.

Laura nie miała pojęcia, co wywołało ten stan. Uznała go za reakcję na stres spowodowany długą, odrealnioną i pozbawioną większego sensu rozmową z ciotką. To było najlepsze usprawiedliwienie dla wszystkich nietypowych zachowań. Długotrwałe napięcie. W dodatku taniec, ku jej zdumieniu, musiał je częściowo rozładować, bo czuła się znacznie spokojniejsza i odprężona. Odzyskała też większość sił witalnych.

Upiła energicznie solidny łyk kawy i zagryzła ciastkiem. Zdmuchnęła z klawiatury okruchy i w trzech osobnych oknach przeglądarki wpisała zanotowane na kartce nazwiska. Skupiła się na tym, co je ze sobą łączyło, czyli na intrygującym Towarzystwie Teozoficznym utworzonym w tysiąc osiemset siedemdziesiątym piątym roku przez Helenę Pietrowną Bławatską wspólnie z Henrym S. Olcottem. Miało badać drzemające w człowieku nieznane moce i stworzyć nowe Uniwersum – bez podziału na rasy, wyznania, płeć, przekonania czy kolor skóry.

Przejrzała pozostałe artykuły tylko po to, żeby wyczytać z nich to, co już wiedziała od Amelie i co potwierdziła Helena. Również na temat *Le Droit Humain* i spotkań w Mężeninie. Nie znalazła nic, co by ją zaskoczyło lub w jakimkolwiek stopniu pomogło zrozumieć, w co wplątała się ciotka. Laura nadal nie wiedziała tego, co interesowało ją najbardziej. Kim byli tajemniczy „pozostali”, o których z taką estymą mówiła Helena, i – co najważniejsze – kim byli ci „inni”, których tak bardzo obawiały się Veronique, Josephine, Amelie, a nawet ciotka? Nieznaną sektą? Tajnym stowarzyszeniem? To nadal pozostawało tajemnicą, o ile nie było jedynie urojeniami wszystkich tych kobiet. Brak konkretów, na podstawie których dałoby się zidentyfikować jednych i drugich przy pomocy internetu nasuwał przypuszczenie, że również zagrożenie jest wyimaginowane.

Laura ziewnęła lekko, przeciągnęła się i zerknęła do notatek. Wpisała kolejne hasło. O gilgul i wędrowce dusz znalazła na polskojęzycznych stronach niewiele więcej, niż objaśniła Helena. W przeciwieństwie do oka Horusa.

Zastanawiała się, czy nie pominąć szukania informacji na jego temat i w końcu zmienić wymiętą piżamę na ubranie. Zerknęła na zegarek. Zbliżało się już południe. Wahala się jeszcze chwilę, w końcu wpisała hasło trochę od niechcienia, bardziej dlatego, że wciąż miała na talerzyku ciastka, a w kubku kawę – dobry pretekst do odsunięcia w czasie doprowadzenia się do porządku i przedłużenia porannego lenistwa. Po chwilowym odzyskaniu wigoru znów dopadło ją rozleniwienie, ale teraz już zdecydowanie błogie, przypominające niedzielne poranki, gdy z beztronską przyjemnością i bez pośpiechu, w piżamie i szlafroku zjada się śniadanie. To skojarzenie sprawiło, że poczuła się usprawiedliwiona. Włożyła do ust kolejne ciastko, a wolną ręką nacisnęła „enter”.

Skrzywiła się, widząc pierwsze wyniki. Teozofia, New Age, żydowscy kabaliści, masoneria oraz wiele innych ideologii, religii, stowarzyszeń i szkół wiedzy tajemnej znalazło w oku Horusa dostatecznie duży potencjał, by wykorzystać je na własny użytek i dostosować wielorakie znaczenia do własnych filozofii. Reinkarnacja, jasnowidzenie, ochrona przed złem, zależnie od potrzeb. Laura wszystko to już wiedziała. Teraz tym bardziej nie spodziewała się znaleźć niczego nowego.

Zanim zamknęła ostatnie okno przeglądarki, zerknęła jeszcze na przykładową grafikę. Przez chwilę wpatrywała się ze zmarszczonym czołem na pierwszą z kolei. Oko Horusa, identyczne jak to na szkatule, zamieszczone obok przekroju ludzkiego mózgu. Z wrażenia otworzyła usta, a nadgryzione ciastko odłożyła na talerzyk. Powiększyła obraz i przyjrzała mu się dokładnie.

Podobieństwo było zdumiewające. Autor artykułu sugerował, że wygląd tego mitycznego symbolu nie pochodzi od kształtu zwyczajnego oka, ale od czegoś, co określane jest przez niektórych „trzecim okiem”. Nie bez powodu, ponieważ znajdowało się między dwiema półkulami, dokładnie pośrodku czoła. To właśnie było widać na schemacie przedstawiającym szyszynkę – gruczoł produkujący melatoninę – hormon odpowiedzialny między innymi za ludzkie sny, serotoninę niezbędną dla dobrego samopoczucia oraz dimetylotryptaminę – Laura aż westchnęła, przypomniawszy sobie, czego dowiedziała się o szyszynce od Amelie – tajemniczy związek chemiczny DMT umożliwiający człowiekowi należyte pojmowanie rzeczywistości i jednocześnie silny psychodelik obecny w magicznych napojach amazońskich szamanów. W Polsce absolutnie zabroniony, a mimo to wytwarzany codziennie przez każdego człowieka. Właśnie w szyszynce, zwanej przez niektórych mistycznym gruczołem.

To wszystko, w połączeniu z hipotezą Francuzki dotyczącą niezwykłych zdolności jej starszej siostry oraz zdobytymi przez nią informacjami o wyjątkowym działaniu zagadkowego gruczołu wydzielania wewnętrznego, podsunęły Laurze całkiem nowy trop. Kompletnie szalony, ale na tyle według niej realny, że ze zdwojoną energią podążyła jego śladem.

Dziwiła się, że nie wpadła na to wcześniej. Rozważała demencję u Josephine i ciotki Heleny, potem przypuszczalną depresję Marie Anne, ale nie wzięła pod uwagę tego, co potrafi wpływać nie tylko na stan umysłowy, ale i zachowanie człowieka. Substancje psychoaktywne. Nie podejrzewała co prawda Heleny o korzystanie z nielegalnych używek, ale nie mogła wykluczyć, że miała do nich dostęp Marie Anne lub nawet Sara. Laura z większą niż dotąd podejrzliwością pomyślała o nienaturalnie powiększonych żrenicach Veronique LeBlanc oraz jej dziwnej nerwowości i manii prześladowczej.

Nie mogła przecież wykluczyć, że był to wpływ narkotyku, również ze względu na nietypowe zachowanie kobiety i to, o czym mówiła. Być może siostra, babka, a nawet matka Amelie zażywały niezidentyfikowany specyfik powodujący zmiany w ich psychice. To było prawdopodobne, jednak Laura brała pod uwagę jeszcze coś innego.

Amelie wierzyła, że ponadprzeciętnie rozwinięta intuicja jej siostry to zasługa właśnie szyszynki. Również autor internetowego artykułu przekonywał, że to tam jest ulokowany szósty zmysł, którym Marie Anne posługiwała się znacznie sprawniej niż inni. Laura nie była pewna, czy powinna ślepo wierzyć w informacje zamieszczane na internetowych witrynach, zwykle bywała wobec nich sceptyczna, jednak tym razem pozwoliła sobie na kredyt zaufania wobec nieznanego badacza. Tym bardziej że podobne wiadomości znalazła na innych stronach.

Wszystko idealnie pasowało do jej śmiałej hipotezy.

– Hormony – wymamrotała do siebie. – To musiały być hormony. Coś z nimi było nie tak. Może gruczoł w mózgu produkował ich za dużo albo za mało i stąd te anomalie w zachowaniu.

Nie znała się na medycynie ani funkcjonowaniu ludzkiego mózgu, swoje wnioski oparła jedynie na przesłankach znalezionych w sieci. Zaczynała wierzyć, że z szyszynką Marie Anne mogło być coś nie tak. Gdyby przyjąć, że nie wytwarzała prawidłowo hormonu odpowiedzialnego za postrzeganie intuicyjne i wrażliwość, być może zaburzona była też ilość DMT. A to z kolei spowodowało stany psychodeliczne. Depresję, urojenia, skłonności samobójcze. Wystarczyło zaprowadzić dziewczynę do dobrego psychiatry, podać odpowiednie leki, a wszystko potoczyłoby się inaczej.

Marie Anne być może nie popełniłaby wówczas samobójstwa!

Laura oderwała wzrok od komputera. Zastanawiała się, jak duże jest prawdopodobieństwo, że jej laicka diagnoza jest trafna i pierwszy lepszy specjalista nie uznałby jej za kompletny idiotyzm. Bo czy rozwiązanie mogło być aż tak proste? Defekt w budowie mózgu Sary, który przekazała swoim córkom, a potem wnuczkom nie tylko wtedy, kiedy podzieliła się z nimi swoją traumą, ale również w genach.

– Takie coś może być dziedziczne. – Wypowiedziała na głos to, co przyszło

jej do głowy znacznie wcześniej, ale czego dotąd nie dopuszczała do świadomości.

Zachowanie Marie Anne, a nawet ciotki Heleny, nie pozwalało jednak wykluczyć takiej możliwości.

Nerwowo przeglądała kolejne witryny w poszukiwaniu w miarę wiarygodnych informacji dla potwierdzenia swojej śmiałej hipotezy. Odkryła przy okazji z niemałym zdumieniem, że postrzegania intuicyjnego można się nauczyć. Uaktywnić znajdującą się w mózgu siedzibę duchowej wiedzy, inspiracji i oświecenia poprzez osiągnięcie wyższego stanu duchowego. By potem już swobodnie korzystać z hojnego źródła intuicyjnej świadomości, przekraczać granice czasu i przestrzeni, i dzięki temu uruchomić nowe zdolności psychiczne oraz przypomnieć sobie swoje wcześniejsze życia w wielu czasach i ciałach, a nawet posiąść zdolność telepatii. Wreszcie stworzyć centrum własnej kreatywności, świątynię dla energii, która otwiera mózg i wtlacza w ciało człowieka mądrość i oświecenie. To wszystko głosiły artykuły na stronach poświęconych pozazmysłowemu postrzeganiu.

– Energia – wyszeptała Laura, oblizując spierzchnięte usta. – Otwarcie się na stan nowej świadomości, wejście na wyższy poziom duchowy...

Wreszcie zrozumiała! Tak właśnie działał taniec! Nie tylko uaktywniał szyszynkę, ale gromadził w niej energię potrzebną do tego, żeby widzieć i czuć znacznie więcej niż inni. I otworzyć się na resztę świata, żeby lepiej go rozumieć. Do tego służył!

Mimowolnie dotknęła własnego czoła. Znowu zrobiło jej się gorąco. Pomyślała o zeszytce z motylem na okładce. Dopiero teraz pojęła, dlaczego Josephine nakazywała najbliższemu opisywanie w nim trudnych do wyjaśnienia zdarzeń. Nie tylko po to, by dowiedzieć się, kto w rodzinie odziedziczył i posiadał dar uaktywniania drzemiącej w nim nadzwyczajnej intuicji. Laura odgadła w końcu rzeczywisty cel jej postępowania. Josephine wcale nie zależało na znalezieniu kogoś ze zdolnościami jej starszej córki. Ona łudziła się, że w swojej rodzinie nikogo takiego więcej nie odnajdzie.

Laura też miała taką nadzieję. Że wbrew temu, co mówiła ciotka, nie będzie musiała się z tym mierzyć. Ze strasznym dziedzictwem, którego nie chciała, a którym być może została obarczona – dotknięta psychicznym defektem, z którego istnienia dotąd nie zdawała sobie sprawy. Wciąż nie dopuszczała do siebie takiego prawdopodobieństwa, jednak ciotka wydawała się o tym przekonana, mimo że postrzegala to w kategoriach wyróżnienia.

– To byłoby znacznie gorsze niż zmutowany gen odpowiedzialny za nowotwór – wyszeptała ze zgrozą. – Prawdziwe przekleństwo... – Kręciła głową z niedowierzaniem. Zatrzasnęła pokrywę laptopa i poderwała się na równe nogi. – Nie chcę! – wrzasnęła na całe gardło, chwytając się za głowę. – Nie chcę tego i już!

Pobiegła do sypialni i wysunęła jedną z szuflad komody tak energicznie, że

cała zawartość wysypała się na podłogę. Spośród stosu papierów i skoroszytów wydobyła grubą tekturową teczkę, a z niej szarą kopertę. Obejrzała pod światło wyjętą stamtąd kliszę z wynikiem własnej tomografii komputerowej sprzed kilkunastu lat, gdy nękana częstymi bólami głowy ubzdurała sobie, że ma przerzuty do mózgu. Powiedziano jej wówczas, że jest zdrowa. Dziś miała co do tego wątpliwości, jednak objawów choroby, którą właśnie u siebie zdiagnozowała, z całą pewnością nie można było wypatrzyć na takim wyniku badań. Potrzebna była raczej diagnoza od psychiatry.

– Wariuję przez to wszystko – wyszeptła, a zaraz potem przyszło jej do głowy, że również mówienie do siebie, co jej się często zdarzało, zwłaszcza ostatnio, mogło być tego objawem. Podobnie jak pomysł obejrzenia własnej szyszynki na obrazie z tomografii komputerowej.

Zawstydzona swoim nieracjonalnym zachowaniem schowała zdjęcie do koperty. Uprzątnęła resztę bałaganu. Zanim odłożyła na miejsce teczkę, przytrzymała ją dłużej, patrząc na duży, zamaszty napis zrobiony wiele lat temu czerwonym flamastrem. Przygnębiający anagram: RAK – KARa. Tak właśnie o tym myślała i tak zatytułowała dokumentację choroby, którą przeszła w dzieciństwie, jak i wszystkie włożone tam później wyniki badań kontrolnych. Również te, które zrobiła swoim córkom, do czego nie przyznała się ciotce, gdy o tym rozmawiały. Nie rozminęła się jednak z prawdą tak do końca, ponieważ nie znała ich treści.

Nigdy nie odważyła się ich odczytać.

Pod wpływem nagłego impulsu rozwiązała bawełnianą tasiemkę, a potem znów zajrzała do teczki. Wsunęła rękę na sam spód i... zamarła.

Już wiedziała, czego szukała ciotka w jej mieszkaniu. Zrozumiała też, że z pewnością to znalazła. Drżącymi rękami wysunęła z teczki jeszcze jedną kopertę. Wcześniej nierównomiernie wypukłą od tkwiącej w niej zawartości, teraz pustą.

Zniknął, a jeszcze niedawno tam był. Włożyła go tu ćwierć wieku temu, ponieważ nie miała serca wyrzucić. Mimo że początkowo tak właśnie chciała zrobić. Wyrzucić albo spalić martwy dziecięcy warkocz, który obcięła jej matka tuż przed pierwszą chemioterapią.

Jeszcze jedno déjà vu.

Znów na własne życzenie.

Nie mogła inaczej. Musiała wrócić. Miała nadzieję namówić Helenę na specjalistyczne badania, a potem jej pomóc, może nawet skłonić do wyprowadzki z Bujan.

Z tą właśnie myślą już bez wahania wyjęła klucz spod doniczki z pelargonią i otworzyła drzwi. Tym razem nieobecność ciotki jej nie zaskoczyła. To była pora jej samotnych spacerów. Nie lubiła upałów, dlatego wychodziła z domu popołudniami, gdy słońce nie było już tak wysoko, a cienie stawały się dłuższe i skuteczniej chroniły przed gorącem. Szła wtedy do lasu. Niekiedy po to, żeby tańczyć. Zwykle wolała robić to blisko natury, rzadziej w czterech ścianach domu, a ostatnio coraz częściej w cieniu leśnych drzew, zamiast w ogrodzie, który nie był już tak intymny, od kiedy zza płotu zniknęła łąka. Wcześniej ciszę i spokój rozpraszały jedynie ptaki i owady, teraz robili to grillujący wieczorami sąsiedzi, a szczelny żywopłot z żywotników i cyprysów nie mógł skutecznie oddzielić ich świata od dotychczasowego azylu ciotki, pełnego starych owocowych drzew, koniczyny i rumianków, tak bardzo niepasujących do formowanych cisów,

szczepionych modrzewi i perfekcyjnie skoszonego trawnika.

Laura zerknęła jeszcze raz w stronę drogi wiodącej do lasu, ale nikogo tam nie dostrzegła. Telefon ciotki też nie odpowiadał. Dlatego zdecydowanie pchnęła drzwi i weszła do środka.

Zaskoczył ją bałagan. Na stole i kuchennych blatach zalegały naczynia, różności wyjęte z szafek i podarte stare czasopisma. Być może ciotka używała ich jako rozpałki, bo pod piecem poniewierały się drewniane szczapy i małe bryłki węgla. Drzwiczki były nadal uchylone, ale ogień wydawał się wygaszony. Laura, nieco tym zdziwiona, odciągnęła do połowy szyber i zamknęła popielnik, ponieważ wewnątrz tlił się wciąż niewielki żar. Na wszelki wypadek przesunęła garnek pozostawiony na blasze. Podniosła pokrywkę – okazał się pusty, ale nadal ciepły. To był dowód, że ciotka wyszła z domu stosunkowo niedawno, w dodatku w wielkim pośpiechu, skoro zostawiła wszystko w takim nieładzie.

Laura westchnęła z dezaprobatą i odłożyła pokrywkę z łoskotem. Jednocześnie usłyszała inny, nieznany dźwięk. Obejrzała się przestraszona, zanim zrozumiała, że dochodzi z zewnątrz. Sąsiedzi korzystali z ładnej pogody, spędzając czas w ogrodzie. Z odgłosów wynikało, że grają znów w piłkę, odbijając ją od blaszanych drzwi garażowych. Mimo zamkniętych okien słychać było też nawoływania i śmiech dzieci.

Pokręciła się jeszcze chwilę po kuchni w nadziei, że znajdzie powód, dla którego ciotka nie zadbała dziś o porządek. Helena, w przeciwieństwie do Laury nigdy nie była przesadnie pedantyczna, jednak nieczęsto zdarzało się jej aż tak nabałaganić. Być może nie miała już tyle sił, co dawniej i nie panowała nad rozprzestrzeniającym się rozgardiaszem. Laura obiecała sobie, że bez względu na wszystko, pomyśli o tym, jak jej pomóc, nawet jeśli będzie się opierała. I nakłoni do wykonania wszystkich badań, również psychiatrycznych. Teraz jednak mogła tylko uprzątnąć z grubsza porozrzucane rzeczy i odłożyć je na miejsce.

Zajął jej to kilkanaście minut. Potem od razu skierowała swoje kroki do sypialni, z przeczuciem, że tam zostanie podobny nieład, ale mimo to zamarła w progu z otwartymi ze zdumienia ustami.

Chaos, który tam panował, był nieporównywalny z tym kuchennym. Z otwartych szuflad i szafek wystawały bezładnie rzeczy ciotki. Część wałała się na podłodze, jakby ktoś usiłował przenieść większe sterty ubrań i pogubił niektóre – pojedyncze skarpetki, rozciągnięte na całą swoją długość spodnie i rozpinane swetry z wywróconymi na lewą stronę rękawami. Laura, gdy tylko nieco ochłonęła z szoku, sprawdziła w pierwszej kolejności szufladę komody, w której ciotka trzymała kameę. Tak, jak się spodziewała, zamszowego pudełka nie było, podobnie jak pozostałej srebrnej i złotej biżuterii. Dostrzegła jedynie sznur drewnianych koralików, kilka apaszek i mały stos kapeluszy. Pozostałe szuflady były opróżnione całkowicie.

Laura wciągnęła gwałtownie powietrze. Drżącymi dłońmi wyjęła z kieszeni telefon, żeby zgłosić włamanie i zaginięcie ciotki, gdy jej wzrok padł na otwartą szeroko szafę i rząd pustych wieszaków. Brakowało też obu walizek. Kompletnie zdezorientowana wpatrywała się w opustoszałe półki.

Docierało do niej, chociaż bardzo powoli, że Helena dokądś wyjechała. W dodatku w ogromnym pośpiechu. Zabrała ze sobą większość swoich ubrań i rzeczy osobistych, co mogło oznaczać, że na długo. Pierwszy raz od bardzo wielu lat. Wcześniej odmawiała nawet wyjazdu do sanatorium.

– Ale dokąd? – Laura nie posiadała się ze zdumienia. – I dlaczego zostawiła pod doniczką klucz?

Było na to tylko jedno wytłumaczenie. Helena przeczuwała, że Laura tu wróci. Być może liczyła, że przemyśli sobie wszystko i wreszcie spełni jej nedorzeczne prośby. Pójdzie śladami prababki Sary czy też raczej jej wędrującej po śmierci duszy, o ile ta rzeczywiście nie utknęła w lalce, o czym Laura pomyślała nie bez złośliwości, a potem dopilnuje, by wypełniło się jej proroctwo o nadejściu Nowej Ery. Odziedziczy jej obłąd...

Żałowała, że nie może od razu opowiedzieć ciotce, do jakich doszła wniosków. Już bez ogródek, bo dotąd zamierzała zrobić to z wyczuciem, by jej nie urazić. Jeszcze bardziej pragnęła ją zapytać o to, co zrobiła z warkoczem. Laurę przerażała myśl, że mógł posłużyć do rytualnych obrzędów lub czegoś równie ohydneho, co być może w przekonaniu ciotki miało zmusić Laurę do poddania się jej szaleńczym planom. Rozejrzała się jeszcze raz w nadziei, że dostrzeże gdzieś włosy zaplecione wiele lat temu i obcięte rękami matki. Zajrzała pod komodę. Ze zdumieniem zobaczyła tam znajomy ciemny kanciasty przedmiot.

– Nie zabrała jej ze sobą ani nie ukryła w nowym miejscu – wyszeptała skonsternowana.

W identyczny jak poprzednio sposób wysunęła skrzynkę i przez chwilę wpatrywała się w duże czarne oko umieszczone na jej wieku. Dotknęła krawędzi i cofnęła natychmiast rękę.

Szkatułka była otwarta!

Niestety... pusta.

Zamek nie został uszkodzony, ale i nie tkwił w nim klucz. Laura przysiadła na łóżku kompletnie skołowana. Nic do siebie nie pasowało. Dlaczego ciotka otworzyła szkatułę, skoro wcześniej tak mocno się przed tym bronila? Chyba że zrobił to ktoś inny...

I skoro spodziewała się Laury, chowając pod doniczką klucz, dlaczego zostawiła w domu tak potworny bałagan? To się przecież nigdy wcześniej nie zdarzyło, ciotka zawsze z wręcz przesadną starannością przygotowywała dom na przyjazd swojej ulubienicy, znając jej zamiłowanie do porządku. Musiała więc wiedzieć, że jego obecny wygląd z pewnością wytrąci ją z równowagi. Zatem

dla czego do tego doprowadziła? O ile rzeczywiście to ona była za to odpowiedzialna...

– Co tu się, do diabła, stało? – wyszeptała, czując, jak wzbiera w niej strach.

Znów pomyślała o powiadomieniu policji, ale szybko porzuciła pomysł. Nigdzie nie było śladów włamania, w domu panował chaos, ale brak rzeczy osobistych i walizek wyraźnie sugerował, że gospodyni wyjechała. Pozornie nie działo się nic niepokojącego, a mimo to Laura coraz mocniej drżała od środka.

Niewiele myśląc, pobiegła na górę. Wobec całej sytuacji nie wiedziała, czego może się tam spodziewać i nie zastanawiała się nad tym, a mimo to poczuła niemalże zaskoczenie, zastawszy w swoim pokoju idealny porządek. Łóżko było zaścielone, obok przygotowana koszula do spania. Na szafce nocnej leżał list...

Nie od razu go podniosła. Z obawy. Mimo że właściwie nie wiedziała, przed czym. Długo wpatrywała się w równe pismo, którym ciotka wykaligrafowała jej imię. Nie pasowało do bałaganu na dole ani pośpiechu, w jakim najwyraźniej opuszczała dom. Laura przyglądała mu się z niepokojem, zanim w końcu rozdarła kopertę. Nie zajrzała jednak do środka. Zamiast tego wyjęła z kieszeni telefon i wybrała numer Amelie. Pomyślała, że już dawno powinna porozmawiać z nią o tajemniczej szkatułce, która zniknęła ze schowka w domu Josephine, i zamierzała zrobić to właśnie teraz.

Odniosła dziwne wrażenie, że Francuzka czekała na tę rozmowę. Bez większych emocji wysłuchiwała relacji Laury, zadając przy tym niewiele pytań. Nie wydawała się też zaskoczona informacją, że szkatułka odnalazła się w Polsce.

– Domyśliłam się, że ją zabrali – wyjaśniła jak gdyby nigdy nic. – Pamiętasz, jak poprosiłam Florence, sąsiadkę mamy, żeby w dniu twojego przyjazdu przewietrzyła dom przed naszym powrotem ze szpitala? Powiedziała, że ktoś wtedy przyszedł. Jakiś długowłosa mężczyzna i ładna ruda kobieta. Chyba małżeństwo. Znała ich, mimo że nie pamiętała imion, bo bywali u mamy wcześniej. Dlatego wpuściła gości na chwilę do środka. Pytali o zdrowie mamy, martwili się o nią. Zanim wyszli, kobieta skorzystała z łazienki. Mężczyzna w tym czasie był już na zewnątrz, ale ona miała dość czasu, żeby wejść do sypialni, zabrać szkatułkę i podać mu ją przez okno. Dokładnie pod sypialnią znajduje się daszek werandy, na który da się wspiąć. Musieli to wykorzystać, bo kiedy zeszła na dół, nie miała skrzynki przy sobie. Florence z pewnością by to zauważyła.

– Wiedziałaś, że tam jest, prawda? Ukryta w kominku. – Laura bardziej stwierdziła, niż spytała.

Amelie nie od razu odpowiedziała. Długo milczała i gdyby nie to, że Laura słyszała jej oddech, uznałaby, że połączenie zostało zerwane.

– Tak. Od bardzo dawna – odparła w końcu i westchnęła.

– Wiesz, co w niej było? – Laura zaryzykowała kolejne pytanie, mimo że nie spodziewała się odpowiedzi. Ku jej zaskoczeniu padła, w dodatku tym razem

natychmiast.

– Tak.

I znów cisza.

Laura mimowolnie wstrzymała oddech. Czekając chwilę, jednak tym razem nie znalazła w sobie dostatecznie wiele cierpliwości i odchrząknęła znacząco. Amelie jednak nie zareagowała.

– Co w niej było? – Już nie kryła emocji. Przez to podniosła nieco głos i umilkła przestraszona, że w ten sposób spłoszy swoją rozmówczynię.

– Nic. – Usłyszała, zanim zdążyła zastanowić się nad kolejnym pytaniem.

Odpowiedź ją zdumiała. Tym razem to jej na moment odebrało mowę.

– Jak to... Nic? – wydukała w końcu.

– Po prostu. Szkatułka była pusta.

– Skąd wzięłaś klucz?

– To akurat było tak banalne, że aż głupie. Zamek wydał mi się całkiem zwyczajny, spróbowałam otworzyć go kluczem od szafy. Pasował idealnie.

– Czy Josephine... Czy twoja mama o tym wiedziała?

– Nie wiem. Nigdy nie przyznałam się, że tam zajrzałam. Ale... – W głosie Amelie dało się wyczuć wahanie. – Raczej nie wiedziała. Podobnie jak tego, że przez tyle lat przechowywała puste pudełko. Pielęgnowała i chroniła jedynie jakąś kretyńską ideę. Ułudę i bzdurne mrzonki babki Sary, potem jej własne, a w końcu Marie Anne.

– Dlaczego jej o tym nie powiedziałaś? – Laura wstała i zaczęła nerwowo krążyć po pokoju. Bezskutecznie usiłowała zebrać myśli.

– Bo to niczego by nie zmieniło.

Amelie nadal wydawała się spokojna, jednak Laura wyczuwała w tym pewną sztuczność.

– Myślę, że wprost przeciwnie. Zmieniłoby, i to bardzo wiele – odparła bez wahania.

– Nawet jeśli masz rację, teraz jest już za późno, by się tego dowiedzieć – podsumowała Amelie, a Laurze zrobiło się przykro i ogarnął ją wstyd. Na krótką chwilę zapomniała o tym, co z pewnością musiała nadal przeżywać kobieta, która niedawno straciła matkę. Przyszło jej też do głowy, że dziwny, nienaturalny ton głosu Amelie mógł być efektem leków uspokajających. Wiedziała przecież, że lekarz jej takie przepisał. Była przy tym.

– Przepraszam – wyszeptała skruszona, nie wiedząc, co mogłaby jeszcze dodać.

Odpowiedziało jej długie westchnienie. A potem znów cisza.

– To nie przyniosłoby niczego dobrego – odezwała się wreszcie Amelie, dokładnie w momencie, gdy Laura znów przestraszyła się, że połączenie zostało zerwane. – Wszystko skończyłoby się tak samo.

– Tak samo, jak co? – Nie rozumiała. – Czy to znaczy, że w końcu jej jednak powiedziałaś?

– Nie jej. Ale Marie Anne. Pokazałam jej tę szkatułkę, bo chciałam, żeby wreszcie przestała się tak dziwnie zachowywać. Zapomniała o tych idiotycznych przepowiedniach, prorocत्वach i tajnych misjach. Myślałam, że jeśli zyska dowód, uwierzy, że to wszystko jest tylko projekcją chorego umysłu naszej biednej babki, wreszcie mnie posłucha. Uwolni się od tego wszystkiego. I tak też się stało, zaledwie miesiąc później. Uwolniła się...

Ostatnie słowa zniekształcił szloch.

– To przecież nie była twoja wina – wyszeptała Laura przez zaciśnięte gardło. A potem długą chwilę słuchała łkania Amelie. Mimo że było to dla niej wyjątkowo trudne, nie miała odwagi się rozłączyć ani pożegnać w takiej chwili.

Nie umiała sobie nawet wyobrazić życia z tak ogromnym poczuciem winy, jakie musiała nosić w sobie Amelie. Laura nie znajdowała w sobie słów pocieszenia. Po głowie kołatała się jej tylko jedna myśl: że Amelie miała prawo się winić, a każdy na jej miejscu czułby to samo.

– Przepraszam. – Usłyszała wreszcie. – Przepraszam, że się rozkleiłam. Nie powinnam.

– Wiem, że nie jest ci łatwo. – Laura tylko tyle zdołała z siebie wydusić, i od razu zawstydziła się z powodu użytego bezmyślnie frazesu.

– Podobnie jak tobie – odparła niespodziewanie Amelie. – Jednak ja i Marie Anne przynajmniej uwolniłyśmy się od tego wszystkiego, każda na swój sposób. Ona uciekła tam, gdzie nikt jej już nie dosięgnie, a ja... Pozbyłam się definitywnie tych cholernych lalek – wyznała nagle i zamilkła na moment, jakby czekając na reakcję Laury. – I w ogóle wszystkiego z tamtego pokoju, nie zostało już nic – dokończyła z ulgą, słysząc pomruk aprobaty. – Żałuję tylko, że nie zrobiłam tego wcześniej, może wówczas zniknęłyby też złe wspomnienia, bo to stamtąd nieustannie wyciekały. Przez ten pokój zatrzymały się w czasie, zamiast odchodzić w niepamięć. Nie walczyłam z nimi, bo dopóki mi tego nie uświadomiłaś, chyba nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo mi doskwierają, zresztą nie tylko mnie... Dlatego gdzieś w głębi duszy cieszę się, że moja mama jest już tak daleko od swoich największych lęków, ale martwi mnie, że ty masz jeszcze to wszystko przed sobą. Musisz jednak sobie z tym jakoś poradzić! Uciec od tego jak najdalej. Rozumiesz? Musisz! – Przez chwilę oczekiwała prawdopodobnie na odpowiedź. Zaskoczona Laura skinęła jedynie głową, zapominając, że to nie wystarczy. – Wyzwól się od nich za wszelką cenę, pamiętaj! Dla własnego dobra – dodała szybko i się rozłączyła.

Laura siedziała jeszcze chwilę w bezruchu. Dopiero po pewnym czasie zorientowała się, że trzyma w rękach list. Musiała wziąć go odruchowo do ręki, gdy odkładała telefon.

Powoli otworzyła kopertę. Ze środka wyjęła złożoną na pół kartkę i broszkę. Kameę z zielonego i białego jadeitu. Odłożyła ją na bok bez zdziwienia, zupełnie jakby się spodziewała, że tam będzie. Powoli rozprostowała papier, wydarty chyba w pośpiechu ze starego kalendarza. Treść i rozchwiane lekko litery, tak różne od tych starannie wykaligrafowanych na kopercie, również wskazywały na pośpiech. To nasuwało przypuszczenie, że kopertę z broszką ciotka przygotowała wcześniej. List musiała wsunąć do środka w ostatniej chwili. Dlaczego tak się śpieszyła? Laura zastanawiała się gorączkowo, prześlizgując się wzrokiem po kolejnych zanotowanych przez Helenę słowach. Co tu się właściwie stało? Powtórzyła w duchu, zanim zaczęła czytać.

To da się jeszcze ocalić. Wystarczy jedynie naprawić dawne błędy i wreszcie przegnać stare demony. A wtedy wszystko będzie tak, jak powinno.

Czytała to wielokrotnie, za każdym razem rozumiejąc coraz mniej.

Czuła się bezradna i osaczona przez nadmiar dziejących się wokół niej zdarzeń. Znowu doskwierało jej to, że nie ma do kogo zwrócić się o pomoc lub choćby tylko radę. Perspektywa powrotu męża i córeczek tym razem nie poprawiła jej nastroju. Była przekonana, że jeśli do tego czasu czegoś nie zrobi, z pewnością oszaleje. W dodatku powrót do Warszawy w tym momencie nie wchodził w grę. Była zbyt roztrzęsiona.

Nagle pomyślała o domu w Jedwabnem i jego nowym właścicielu. Jeśli ktoś mógł jej teraz pomóc, to chyba tylko Henryk Lichota. Znał część prawdy dotyczącą powiązań rodziny Kossackich z mistyką żydowską, wciąż nie wiadomo jednak było, do jakich wniosków doszedł już sam na podstawie pozostawionych mu notatek ze skrytki. Może odkrył coś nowego? Laura zastanawiała się, jak wiele może mu wyjawic, by nie narazić się na kłopoty lub zwykłą śmieszność ani nie pogrążyć własnej ciotki, o której mężczyzna mógłby pomyśleć, że jest niespełna rozumu. Postanowiła przemyśleć to po drodze. Nie było innego wyjścia. Musiała kolejny raz odwiedzić swój dawny dom. Liczyła, że tym razem definitywnie po raz ostatni.

Już na miejscu ogarnęły ją inne wątpliwości. Jak wytłumaczy Lichocie tak nagle najście? Wcześniej usiłowała się do niego dodzwonić, ale nie odbierał. To wywołało jeszcze większe obiekcje. Dlatego wciąż nie wysiadała z samochodu. Potrzebowała wiarygodnego powodu nagłych odwiedzin.

Nagle pomyślała o rękawiczkach. Mogłaby pokazać mu obie, a nawet opowiedzieć związaną z nimi historię, tym razem prawdziwą. Zachwycona pomysłem energicznie otworzyła schowek, w którym po powrocie z Ameryki zostawiła listy od Lichoty. Kilka zsunęło się na podłogę. Schyliła się, żeby je podnieść. Zgarnęła przy okazji poźółkłe papierowe strzępki, które musiały się wysypać z któregoś. Już zamierzała wetknąć je po prostu do pierwszej lepszej koperty, gdy na jednym z nich dostrzegła zapisane imię.

– Leonia – szepnęła zdumiona.

Błyskawicznie wysypała na siedzenie całą zawartość wszystkich listów. Przez chwilę przeglądała pachnące kurzem szpargały, dopóki nie znalazła jeszcze kilku podobnych skrawków. Wszystkie były pokryte lekko wyblakłym i raczej kobiecym pismem. Znalazła więcej czytelnych, choć wyrwanych z kontekstu słów.

– *Tęsknię, spotkamy się, będę...* – czytała pośpiesznie. – *Córeczko moja najukochańsza...* – Zdumiona wpatrywała się tępo w niespodziewane znalezisko. – Leonia, córeczka – powtórzyła bezwiednie.

Pomyślała o Sarze, ale przed oczami stanęła jej Eleonora. Nietrudno było się domyślić, co się stało. Laura oczyma wyobraźni ujrzała, jak żona Kajetana z zaciętą miną rwie na kawałeczki list, który jej przybrana córka otrzymała od biologicznej matki. Rozsypane w złości strzępki papieru, niedokładnie uprzątnięte, skryły się w zakamarkach domu tak skutecznie, że odnaleziono je dopiero po latach, podczas generalnego remontu.

Laura w zamyśleniu przeglądała pozostałą zawartość kopert. Dziwiła się sobie, że nie zrobiła tego wcześniej, nie przyjrzała się wszystkiemu uważniej. Dopiero teraz dostrzegła, że na biletach wybite są daty. Niektóre ją zaskoczyły.

– Paryż tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego ósmego – dziwiła się. – Wtedy ciotka była we Francji. Jak to możliwe, że zachowały się przez tyle lat? I co robiły w moim domu?

O tym też opowie Henrykowi Lichocie. Zgromadziła wystarczająco dużo powodów, by bez wyrzutów sumienia zapukać do drzwi jedwabieńskiego domu. Już nie czuła się skrępowana, nawet tym, że prócz mężczyzny zastanie też być może również jego rodzinę

Jej pewność siebie nieco osłabła, gdy przez długą chwilę nikt nie otwierał drzwi. Nowi mieszkańcy wydawali się już całkiem dobrze zdomowieni, na werandzie leżały czyjeś osobiste rzeczy: koc, książka, okulary. Obecność takich przedmiotów mogła oznaczać, że gospodarze wyszli tylko na chwilę lub – co było bardziej prawdopodobne – nie słyszą pukania.

Zakołatała jeszcze raz, tym razem mocniej. Po kolejnej chwili oczekiwania ostrożnie nacisnęła klamkę. Drzwi ustąpiły. Nie weszła do środka, wsunęła jedynie głowę.

– Dzień doobry! – wykrzyknęła i znów nabrała tchu. – Dzień... – Urwała, słysząc całkiem blisko stukot psich pazurów. – Izis?

Z ciemnego przedpokoju Laura wyłowiła parę czarnych oczu. Izis przysiadła nieopodal i przypatrywała się jej czujnie i w bezruchu, z przechyloną lekko głową. Dokładnie tak, jak za pierwszym razem, gdy spotkały się po raz pierwszy.

– Gdzie jest twój pan? – spytała Laura łagodnie, kucnąwszy w otwartych drzwiach.

– Musiał wyjechać na pewien czas. – Poderwała się, słysząc czyjś głos tuż nad swoją głową. – Najmocniej przepraszam, nie chciałem pani przestraszyć – kontynuował mężczyzna, który musiał nadejść od strony ogrodu, gdy otwierała drzwi. – Byliśmy za domem, nie zauważyliśmy, że mamy gościa.

Miał melodyjny akcent. Francuski, pomyślała Laura ze zdziwieniem, lekko tym skonsternowana w związku z ostatnimi wydarzeniami. Mówił przy tym świetnie po polsku, więc albo był Polakiem, który od wielu lat mieszkał we Francji, lub też Francuzem od dawna żyjącym w Polsce. Trudno było to jednoznacznie stwierdzić.

– Jean Dunois – przedstawił się. – A to moja żona Madeleine. – Wskazał sympatyczną, uśmiechniętą kobietę w kolorowej chusteczce na głowie i dżinsowych ogrodniczkach, która wdrapywała się właśnie po schodach.

– Magda – sprostowała ze śmiechem i wyciągnęła do niej rękę. Uniosła brwi, gdy Laura się przedstawiła. – Ach, to ty! Mieszkałaś kiedyś w tym domu, prawda? Tata mi o tobie opowiadał. Bardzo się cieszę, że mogę cię wreszcie poznać. Jean też, prawda, Jean? – Szturchnęła męża w bok.

Mężczyzna przytaknął skwapliwie, a potem uśmiechnął się przepaszająco i zniknął za drzwiami.

Laura domyśliła się, że ma przed sobą córkę pana Henryka i jej świeżo poślubionego męża. Oboje mieli na palcach błyszczące obrączki, więc uroczystość, o której wspominał mężczyzna, już się odbyła.

– Mnie również jest bardzo miło – odparła trochę onieśmielona. – Przyszłam, bo, szczerze mówiąc, miałam nadzieję spotkać twojego ojca. Wracam do Warszawy i chciałam się pożegnać. – Wymyśliła naprędce. Uznała, że wzmianka o masońskich rękawiczkach czy też odkrytym za szafą schowku nie jest dobrym pomysłem. Nie miała przecież pojęcia, do jakiego stopnia młodzi zostali we wszystko wtajemniczeni. Pan Henryk dał się poznać jako ogromnie dyskretny człowiek, więc mógł im wiele o tym nie opowiadać.

– Tata wyjechał – oznajmiła to, czego Laura już się dowiedziała od jej męża. Pomyśleliśmy, że zasłużył sobie na wakacje. Napracował się tutaj bardzo. Jesteśmy mu za to ogromnie wdzięczni. Prawda, Jean? – Znow zwróciła się do męża, który wyłonił się z domu.

Potrzebował zaledwie kilku minut, żeby przynieść stamtąd tacę i trzy filiżanki z kawą.

– Akurat się zaparzyła. Zapraszam. – Z ujmującym uśmiechem wskazał Laurze najbliższy fotel.

– Nie chciałabym przeszkadzać – wyjąkała speszona, ale mimo to usiadła.

Mężczyzna podał jej jedną z filiżanek. Zdziwiła się, że nie tę, która stała bliżej, wyglądały jednakowo, w każdej była kawa z odrobiną mleka. Pociągnęła lekko nosem i odkryła, dlaczego. Do pozostałych dodano kardamonu. Uśmiechnęła

się nieznacznie. Zerknęła na mężczyznę, który akurat podnosił do ust swoją filiżankę, i już chciała wspomnieć o swojej ciotce i jej wyjątkowym upodobaniu do tej wschodniej przyprawy o charakterystycznym mocnym aromacie, ale zamiast tego omal nie poparzyła się własnym napojem, jej wzrok padł bowiem na nadgarstek mężczyzny. Zauważył to, bo natychmiast zsunął mankiet koszuli i zapiął guzik. Magda również to dostrzegła. Nie skomentowała, ale rzuciła mężowi surowe spojrzenie.

Przez chwilę panowała niezręczna cisza.

– To ja już chyba pójdę – powiedziała w końcu Laura nienaturalnie ochryple. Odstawiła filiżankę i poderwała się tak gwałtownie, że, potrącając spodek, omal nie wylała na siebie jej zawartości.

– Proszę, zostań. – Magda przytrzymała ją za ramię, teraz już bez uśmiechu, mimo że nadal spokojnie. W jej głosie wciąż pobrzmiewała życzliwość. – Porozmawiamy. Na pewno masz nam dużo do opowiedzenia... o tym domu. – Zatoczyła ramieniem krąg.

– Wprost przeciwnie – odparła Laura, uwalniając jakby od niechcienia ramię z jej uchwytu. – Powinnam już wracać. Najwyższy czas. Do... Do widzenia – powiedziała, schodząc już ze schodów.

Ku furtce zmierzała normalnym, choć dość sprężystym krokiem, mimo że miała wielką ochotę pobiec ile sił w nogach. Dyskretnie obejrzała się przez ramię. Nikt za nią nie szedł. Odetchnęła z ulgą, ale dopiero gdy wsiadła do samochodu i zablokowała wszystkie zamki. Chwyciła się za pulsujące skronie.

– Co tu się, do cholery, dzieje? – wyszeptła, czując, jak drżą jej usta i broda.

Czy Lichota naprawdę wyjechał? Pomyślała o Izis i o tym, co kiedyś powiedział. Że nigdy się nie rozstają, ponieważ oboje bardzo źle to znoszą. Pojechaliby na wakacje bez ukochanej suki? To było mało prawdopodobne. A jeśli nie, to co się z nim stało?

– Muszę to sprawdzić. Gdzieś zgłosić. – Położyła dłoń na klamce, ale nie wysiadła. Powinna od razu się zorientować, że coś jest nie tak. Kiedy przyszła, Izis była w domu. Dlaczego nie w ogrodzie? Poza tym mimo rozstania z opiekunem nie wyglądała na przygnębioną. Zachowywała się identycznie jak wcześniej.

Laura znów przyłożyła ręce do czoła, potarła twarz. Poczła zapach kawy, której kilka kropel wylała sobie na dłoń.

Nagle ją olśniło.

– Kardamon! – Prawie krzyknęła. – Kardamon i ciotka. Listy Sary, bilety... – powtarzała jak obłąkana. – Posłał je rodzicom, ponieważ doskonale wiedział, że gdyby wysłał je do mnie, od razu bym to ukróciła, być może nawet ich nie przeglądając. I musiał wiedzieć, że matka prędzej czy później przekaże mi je, a ja nie będę umiała jej się sprzeciwić. On nie znalazł tych starych papierzyk pod podłogą. – Pokiwała pewnie głową. – Dostał je od Heleny, podobnie jak wszystkie

potrzebne mu informacje! To... – Zachłysnęła się ostatnią myślą. – To ona zaparzyła kawę! Była gorąca i nie pochodziła z ekspresu. Ten Francuz nie byłby w stanie przygotować jej tak szybko! Nie mógł też wiedzieć, że nie cierpię kardamonu. Inaczej spytałby chociaż, podobnie jak o cukier!

Wyskoczyła z samochodu i, nie zastanawiając się nad konsekwencjami, pobiegła tam znów. Jean i Magda wciąż siedzieli na werandzie i popijali kawę. Izis z nimi nie było.

Starogrecka Izis. Izyda – Matka, patronka epoki bierności, niewiedzy i uzależnienia. W uszach zadźwięczały jej niedawne słowa Heleny.

Imię psa nie mogło być jedynie przypadkiem.

– Czy oni tu są? – krzyknęła. – Henryk i moja ciotka. Są w domu, prawda?

Magda zerknęła ukradkiem na męża. Jean jednak się nie odezwał. Odgarnął z czoła opadające mu na twarz włosy, które wcześniej miał zaczesane gładko do tyłu. Dopiero teraz widać było, że sięgają mu prawie do ramion. Laura poczuła kolejne ukłucie w klatce piersiowej z poczuciem, że przeoczyła coś ważnego. Znów popatrzyła na tatuaż, który wysunął się zza rękawa. Oko Horusa. Teraz już była pewna. Mężczyzna, którego widziała na nagraniu ze szpitalnego monitoringu, wcale nie miał na nadgarstku wizerunku ryby, jak sugerował lekarz. To było oko Horusa. Dokładnie takie, jak to wytatuowane na skórze tego mężczyzny. Zadrżała na tę myśl. Nie miała pewności, że to ten sam człowiek, ale i nie mogła tego wykluczyć.

Kolejny raz obejrzała się za siebie z lękiem i wielką ochotą na ucieczkę. Mimo to została. Musiała się dowiedzieć, co się stało z ciotką Heleną. Co wydarzyło się w jej domu?

– Jeśli tu są, chcę z nimi porozmawiać – powtórzyła. – To ważne.

– Ale niemożliwe – odezwała się wreszcie Magda. – Mają do zrobienia coś znacznie ważniejszego.

Teraz wydawała się lekko podenerwowana. Zsunęła z głowy chusteczkę i otarła nią z czoła pot. Rdzawe kosmyki zalśniły w promieniach słońca, które nagle zajrzało na werandę. Laura patrzyła na to zdumiona, nie dowierzając. Rude włosy! Nie zauważyła ich wcześniej, ale i tak nie mogła sobie darować, że nie wpadła od razu na coś tak oczywistego już w chwili, gdy dowiedziała się o francuskim pochodzeniu męża Madeleine!

– Szkatułka! – Zakryła na chwilę dłońmi usta. – To wy ją zabraliście z domu Josephine!

W jej pamięci odstoniła się wreszcie luka powstała pewnie pod wpływem stresu i Laura przypomniała sobie niedawne słowa Amelie o tajemniczej parze, która pojawiła się w domu jej matki. Długowłosa mężczyzna i ładna kobieta. Ruda! To bez wątplenia byli oni. Jak ich zmusić, by się przyznali? Nie tylko do kradzieży szkatułki, ale również do tego, że skrzywdzili Josephine? Pozbyli się jej elegancko

i dyskretnie, w jedwabnych rękawiczkach, pomyślała z goryczą. Pod pozorem wyższego dobra. Tak tłumaczyła również swoje postępowanie ciotka Helena.

– To już teraz nieważne – odparła Magda i westchnęła.

– Dlaczego? Ponieważ skrzynka była pusta? – Laura zaśmiała się drwiąco. – I wszystko okazało się tylko iluzją?

– Wcale nie była pusta – odezwał się niespodziewanie Jean. – Przynajmniej dopóki siostra Marie Anne nie ukradła zawartości, a potem perfidnie jej nie oszukała. Na szczęście już niedługo wszystko wróci na swoje miejsce i będzie tak, jak trzeba. Dopilnujemy tego.

Chciał jeszcze coś dodać, ale żona go powstrzymała.

– Poczekaj – powiedziała nieoczekiwanie do Laury, która rozglądała się bezradnie, myśląc tylko o tym, żeby uciec stąd jak najdalej. – Chcę ci coś dać.

– Nie! – Potrząsnęła gwałtownie głową. – Niczego od was nie przyjmę! – wykrzyknęła.

Tym razem pobiegła. Gdy tylko wsiadła do samochodu, ponownie zablokowała wszystkie drzwi, wyciągnęła telefon i w pośpiechu wybrała numer. Niestety, zamiast sygnału usłyszała głos automatycznej sekretarki.

– Amelie! – krzyczała rozpaczliwie, zanim rozległ się sygnał, po którym mogła nagrać wiadomość. – Amelie! Proszę cię, wysłuchaj mnie. Wiem, że szkatułka nie była pusta... Błagam, posłuchaj mnie uważnie! Oni też już wiedzą, ludzie, którzy ją zabrali z domu Josephine. Będą chcieli odzyskać to, co w niej było. Boję się, że coś ci grozi... – Urwała, ponieważ dostrzegła, jak w stronę samochodu biegnie córka Lichoty z pakunkiem w rękach, omotanym czymś kolorowym. Gdy się zbliżyła, Laura ze zdziwieniem rozpoznała apaszkę, którą kupiła Helenie na lotnisku. Może właśnie dlatego uchyliła na kilkanaście centymetrów szybę. Bez słowa przyjęła zawiniątko. Wyglądało trochę jak niemowlę w beciku. To skojarzenie wywołało u Laury dreszcz.

– Prosiła, żeby ci to dać. Chciała to zrobić sama, ale wygląda na to, że już nie będzie okazji – powiedziała Magda i odeszła w pośpiechu, jakby obawiała się dodatkowych pytań.

Laura położyła podłużny tobołek na siedzeniu pasażera. Ostrożnie odchyłała kolejne rogi chustki. Kiedy zobaczyła skrawek sukienki, wstrzymała oddech. Domyśliła się, co za chwilę zobaczy, i wykrzywiła twarz w ironicznym uśmiechu. Gdy tylko odwinęła całość, zrozumiała, jak bardzo się pomyliła.

To nie była lalka ze schowka za szafą.

Laura gwałtownie przycisnęła pięść do ust. Całkiem odrętwiała, nie czując bólu, coraz mocniej wbijała zęby we własne knykcie. Z przerażeniem wpatrywała się w długi jasny warkocz i białą sukienkę ozdobioną koralikami z zielonego jadeitu i amarantowego szkła. Przyszyto je srebrną nicią tak, by przybrały kształt motyla.

Położyła ręce na rozpostartych skrzydełkach. Dotknęła ostrożnie twarzy lalki, a potem własnej. Wreszcie musnęła tylko końcami palców warkocz wystający spod jasnego kawałka materiału.

– Nie ma wianka – wyszeptwała i szybko cofnęła dłoń. Również dlatego, że z rozciętej zębami skóry sączyła się krew i plamiła suknię lalki. Ciemne amarantowe krople psuły regularny kształt wspaniałego owada. Laura zaśmiała się nerwowo na ten widok. – Nie ma już warkocza – wyszeptwała. – Ani białej sukienki. A zamiast wianka ze stokrotek będzie tylko zwykła chustka.

Z odrętwienia wyrwał ją dzwonek telefonu. Odebrała i przez chwilę wyłącznie słuchała. Zasłoniła usta, by stłumić świst swojego wciąż przyspieszonego oddechu. Po kilku zaledwie minutach nie było to już potrzebne. Z każdym kolejnym słowem Amelie puls Laury zwalniał, aż wreszcie stał się prawie normalny. Udzielił się jej zadziwiający spokój Francuzki i ton głosu brzmiący zupełnie inaczej niż podczas ostatniej rozmowy. Laura zastanawiała się, co wywołało w niej tak nagłą zmianę, skoro wcześniej nie sprawiły tego nawet zażywane leki.

– Powiedziałam wtedy Marie Anne, że skrzynka była pusta – mówiła Amelie. – Myślałam, że tak będzie lepiej dla niej, dla nas wszystkich. Kiedy odebrała sobie życie, byłam pewna, że to przeze mnie, dlatego też chciałam się zabić. I pewnie bym to zrobiła, gdyby nie Veronique. Dzięki niej wiem, że to nie ja zawiniłam... Nie ja. Marie Anne od początku wiedziała, że skłamałam. Rozumiała mnie i wcale nie potępiła za to, co zrobiłam. Czekwała tylko na właściwy moment, żeby pomówić o tym ze mną i jednocześnie odzyskać to, co zabrałam ze skrzynki, ale nie zdążyła... Chyba zabrakło jej sił, by w to dalej brnąć. Dlatego postanowiłyśmy z Veronique, że należy wszystko pogrzebać wraz z nią, w jej trumnie. Tylko w ten sposób mogłyśmy ochronić siebie i mamę. Obiecała mi, że się tym zajmie, tak żeby nikt nigdy tego nie zauważył. Żeby... tamci się nie dowiedzieli.

– I chyba wam się to udało, bo ci ludzie nie mieli dotąd pojęcia, że szkatułka przez tyle lat była pusta, podobnie jak nie wiedziała o tym ciotka Helena. Ale za to teraz, gdy to odkryli, są zdeterminowani odebrać ci zawartość.

– Nie mogą, skoro już jej nie mam. I nawet jeśli im powiem, gdzie to jest, nic im z tego nie przyjdzie.

Laura zastanawiała się, czy wspomnieć o tatuażu dostrzeżonym na nadgarstku Francuza, jednak po namyśle zrezygnowała. Podejrzewała, że Amelie od początku wie, kto odwiedził jej matkę w szpitalu. Świadczyła o tym jej reakcja na film z monitoringiem. Już wtedy musiała rozpoznać, kto na nim jest, i właśnie dlatego tak żarliwie broniła Louisa, chłopaka swojej wnuczki. Być może wiedziała też, jaką rolę pełni w tym wszystkim ciotka Helena, a nawet Henryk Lichota, o to jednak nie zamierzała pytać. Jej wyjaśnienia niewiele by już zmieniły. Laura

większości domyśliła się sama, reszty nie chciała już znać.

– A jeśli zechcą cię ukarać za to, co zrobiłaś? – spytała ostrożnie.

Amelie nie odpowiedziała. Laura słyszała tylko jej oddech. Nadal bardzo spokojny, była niemal pewna, że towarzyszy mu uśmiech.

– Czy powiesz mi, co to było? Co znalazłaś w tej nieszczęsnej szkatułce? – Zadała wreszcie najważniejsze pytanie, choć bez większej nadziei, że pozna odpowiedź.

– Nic szczególnego. – Ku jej zaskoczeniu padła natychmiast. – Stary manuskrypt z jakąś idiotyczną przepowiednią o nadchodzącym przełomie dziejów. Kompletny bełkot nawiedzonego proroka, w dodatku anonimowego, bo wszelkie daty i nazwiska zostały chyba zaszyfrowane. Tak czy owak był to stek bzdur, dlatego początkowo chciałam pokazać to Marie Anne, a nawet matce, tylko bałam się, że są zbyt zaślepione tą wydumaną ideologią, by spojrzeć na wszystko tak trzeźwo jak ja. Dlatego wołałam go ukryć. Razem z wisiorkiem.

– Wisiorkiem? – Laura mimowolnie wstrzymała oddech. Poczowała oblewającą ją nagle kolejną falę gorąca, choć jeszcze nie umiała określić przyczyny.

– Zielony motylek na łańcuszku. Ładny, ale raczej niewiele wart. Veronique upierała się wprawdzie, że należał do samej Heleny Bławatskiej, twórczyni Towarzystwa Teozoficznego, a potem do jej kontynuatorki, Annie Besant, ale poszperałam trochę w internecie i nie znalazłam potwierdzenia tej teorii. Bławatska rzeczywiście posiadała wisior, który przekazała Besant, a ta podarowała go Wandzie Dynowskiej, jednak to był podobno amulet wielkości dłoni, wykonany ze słonecznego chryzolitu.

– Natomiast motyl był jadeitowy, prawda? – Pytanie ledwie przeszło jej przez gardło. Oddech znów przyspieszył, i tym razem nie udało jej się tego zamaskować.

– Najprawdopodobniej, nie sprawdzałam tego dokładnie. – W głosie Amelie zabrzmiał lekki niepokój. – Dlaczego o to pytasz?

– Nie wiem, to chyba przez broszkę. Kameę, o której ci wspominałam. – Laura przycisnęła drugą ręką do ucha telefon, który zaczął wysuwać się jej z coraz bardziej drżących palców. – Przepraszam cię, ale muszę kończyć. I proszę, uważaj... Mimo wszystko uważaj na siebie.

Rozłączyła się. Z obawy, że powie o jedno słowo za dużo, że przez to zdarzy się zbyt wiele. Nie powinna burzyć odzyskanego przez Amelie spokoju. Nie może jej wyjawić, że Veronique LeBlanc nie wywiązała się z obietnicy, a przynajmniej z jej połowy, bo taką Laura miała nadzieję.

Bo wołała wierzyć, że w trumnie Marie Anne znalazł się przynajmniej ukradziony ze szkatułki manuskrypt.

Cisnęła telefon na siedzenie pasażera i wysypała tam całą zawartość swojej torebki. Pociągnęła za srebrny łańcuszek zaplątany w różne drobiazgi, chwilę

szarpała się z nim nerwowo, aż w końcu uniosła go na wysokość twarzy i zapatrzyła się w rozkołysanego motyla.

– Święty kamień mistyków – powiedziała beznamiętnie, marszcząc nos. – Amulet, który pozwala czerpać wiedzę z poprzednich wcieleń i wszystko widzieć jaśniej. – Westchnęła i zmrużyła oczy. – Symbol przemiany i Nowej Ery. – Zaśmiała się ochryple i potrząsnęła lekko łańcuszkiem. – Lekki jak ludzka dusza i jak ona delikatny. Tak łatwo go zniszczyć, wystarczy leciutko docisnąć, żeby zmiażdżyć w proch.

Owinęła łańcuszek wokół palców tak mocno, że wbił się jej boleśnie w skórę, a motyla zamknęła w dłoni. Zaciśnęła powieki i potrząsnęła głową.

W uszach wciąż pobrzmiwały jej słowa Heleny: „Masz zadanie! Drogę, którą musisz pójść śladem swoich poprzedniczek. Zdobyć Malkuth i skrzydła motyla. Wtedy wreszcie trafisz do swojej Narnii. Tak jak ci obiecałam, gdy byłaś jeszcze dzieckiem i ukrywałaś siebie i swój strach w tej starej szafie”.

Usiłowała je zagłuszyć jakąkolwiek inną myślą, ale bez skutku. Słyszała je coraz wyraźniej, jakby ciotka stała obok i krzyczała jej wprost do ucha. Choć przecież nigdy nie podnosiła głosu. Na nikogo.

– Obiecały, że w końcu zrozumie. Ona, Veronique i Josephine. – Laura otworzyła dłoń i znów popatrzyła na motyla. – Miały rację. Zrozumiałam.

Uchyliła okno i wzięła porządny zamach, ale w ostatniej chwili go wyhamowała.

– Nie! – krzyknęła na całe gardło, nie dbając o to, że ktoś przypadkowy może ją usłyszeć, i uderzyła pięścią w szybę. Skrzydła zaciśniętego w dłoni motyla znów wbiły jej się w skórę, srebrny łańcuszek chłósnał boleśnie w twarz. – Nie chcę takiej Narnii! I nie pozwolę, żebyście zabrali mi moją. Podstępnie i w jedwabnych rękawiczkach, w imię ułudy.

Przełożyła ostrożnie naszyjnik przez głowę lalki. Wyjęła z kieszeni dzinsów amarantowy koralik i położyła go na jednym z motyli skrzydeł. Sięgnęła po wszystkie cztery rogi apaszki i związała je w ciasny węzeł. Potem pochyliła się i przyłożyła usta tam, gdzie spod kolorowej tkaniny prześwitywał jasny warkocz.

– Nie pasujesz – wyszeptwała. – Nie pasujesz do mojego świata, ty i wszystko, co cię dotyczy. Tam, gdzie chcę być, nie ma dla ciebie miejsca. I nigdy nie było, dopiero teraz to rozumiem. – Z lalką w objęciach wysiadła z samochodu i ruszyła w stronę domu. Popatrzyła na opustoszałą teraz werandę i poczuła ulgę, a potem silne ukłucie żalu, gdy pomyślała o Helenie. Trudno jej było dopuścić do siebie bolesną myśl, że już nigdy jej nie zobaczy, a jednocześnie nie potrafiła pozbyć się prawie niemożliwego do zaakceptowania poczucia, że tak właśnie będzie. – Tu jest twoje miejsce – zwróciła się do zawiniątka i położyła je pod drzwiami. – Należysz do nich i do ich pomylonego świata, a ja wiem, że cokolwiek zrobię, oni i tak nie zrezygnują – szeptała, cofając się powoli. – Pozwolę im więc zdecydować

o twoim losie, ale nigdy o moim... Musisz do nich wrócić, żebym ja odzyskała wolność. Bo jeśli kiedyś będę gotowa, by opuścić mój kokon, pójdę swoją własną drogą. I nikt nie będzie mi jej wyznaczał!

Biegiem wróciła do samochodu. Zanim wsiadła, roześmiała się w głos. Nagle poczuła się wolna i lekka. Jak nigdy wcześniej, zupełnie jakby dostała skrzydeł.

– Dostałam skrzydeł... – wyszeptała i na chwilę zamarła. Po plecach przebiegł jej dreszcz. Wzdrygnęła się, jakby usiłowała strząsnąć z siebie resztki oblepiającego ją niewidzialnego brudu, albo szare strzępki czegoś, co nagle przestało ją krępować i obezwładniać... A potem przymknęła na chwilę oczy, napawając się nagłym, nieznanym jej wcześniej, ale niezwykle przyjemnym uczuciem. Uderzającą swobodą, jakiej nigdy dotąd nie doznała. – To są moje skrzydła i mój świat. Będzie taki, jak ja chcę. Będzie moją... – Wstrzymała na chwilę oddech i uśmiechnęła się w duchu. – Będzie naszą Narnią.

Koniec

SŁOWO OD AUTORKI

...którego początkowo w ogóle miało nie być. I wcale nie dlatego, że wszystko zostało już powiedziane na kartach niniejszej powieści, ale ponieważ uważam, że nie o wszystkim powinno się mówić. Dlaczego zatem nie zamilkłam wraz z postawieniem ostatniej kropki? Ponieważ uświadomiłam sobie, że istnieją dwa ważne powody – sprawy, o których wspomnieć dla odmiany należy.

Pierwsza z nich to słowa wdzięczności.

Dziękuję wszystkim, którzy przyczynili się do powstania tej książki.

Mojej Rodzinie za wsparcie i cierpliwość, gdy podczas pisania zbyt długo nie opuszczałam swojego pokoju. Mojemu Wydawcy za wyrozumiałość oraz za cierpliwość, zwłaszcza przy ustalaniu kwestii graficznych. Mojej Redaktor za cenne uwagi i także za cierpliwość związaną tym razem z moją nadmierną niekiedy skrupulatnością. Moim Czytelnikom przede wszystkim za to, że są tutaj ze mną. Czy konsekwentnie również za cierpliwość? Myślę, że tak, na wszelki wypadek...

Osobne podziękowania należą się pewnej osobie, dzięki której zrodziła się idea napisania o tym, o czym właściwie nigdy nie zamierzałam pisać, a co

podkreślałam przy wielu różnych okazjach. Zdanie zmieniłam – jak widać radykalnie – po krótkiej i nieco przypadkowej rozmowie z pewnym znanym polskim aktorem. Pokłosiem tej rozmowy są *Jedwabne rękawiczki*.

Druga ważna sprawa do omówienia to fakty.

Uważni czytelnicy z pewnością wyłowili je z powieści, starając się odróżnić od tego, co nieprawdziwe. Być może nawet pokusili się (i słusznie) o zdobycie dodatkowych informacji na temat rzeczywistych nazwisk, wydarzeń historycznych, realnie istniejących miejsc. Dlatego nie mam wyjścia, jak tylko potwierdzić ich autentyczność. Podobnie jak czuję się w obowiązku zaznaczyć, że powieść mimo wszystko od początku do końca jest wyłącznie fikcją literacką, a opisana w niej historia zdarzyła się w mojej, a potem mam nadzieję również w czytelniczej wyobraźni.

